

Mavis Cheek

Życie seksualne mojej ciotki

Przełożyli:

Marta Jabłońska-Majchrzak

Michał Majchrzak

*Z serdecznościami dla mojej prawdziwej ciotki,
Gladys Saunders –
ostatniej z dziesięciu – której życia seksualnego
ta książka z całą pewnością nie przedstawia*

Wołam do Ciebie z krańców ziemi, gdy słabnie moje serce: na skałę zbyt dla mnie wysoką wprowadź mnie.

Psalm LXI

(*Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, PoznańWarszawa 1980)

Uśmiechnąłem się na widok tych pieniędzy.

– Nędzna mamono! – powiedziałem na głos. – Cóż mi z ciebie przyjdzie tutaj! Nawet ty nie jesteś warta, bym miał się schylić po ciebie. Pierwszy lepszy nóż większą ma dla mnie wartość od tego całego bogactwa. Zostań tu sobie i idź na dno morskie, nie jesteś warta ratunku.

Mimo to po namyśle wziąłem te pieniądze z sobą...

Daniel Defoe, *Przypadki Robinsona Kriuzoe*
(przekład Józefa Birkenmajera, Lettrex, Warszawa **1991**)

Prolog

Na początku nie było słowa...

Nie umiem flirtować. Nigdy nie umiałam. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasu, kiedy byłam nastolatką – jeśli w pobliżu znajdują się osobnicy płci męskiej, należy trzymać głowę wysoko, patrzeć prosto przed siebie, iść do przodu niedbałym krokiem. Zwodzić. Jeśli cię zawołają, udawaj, że ich nie zauważasz. Idź dalej. Jeśli w zatłoczonym metrze spotkają się wasze spojrzenia, odwróć wzrok, patrz gdziekolwiek, byle nie w ich oczy. Nigdy się nie uśmiechaj. Uśmiechać się to tyle, co okazywać słabość. Spojrzeć w ich oczy i uśmiechnąć się to przyznać, że jest się zainteresowaną... a zainteresowanie oznacza potrzebę. Uśmiech należy zachować dla dzieci, kociaków oraz zachodów słońca nad morzem...

A... jeśli już? Jeśli zaryzykujesz i odwzajemnisz się za zaciekawione spojrzenie uśmiechem? Cóż, prawdopodobnie wtedy powiedzą: „Och, spoglądałem na wiewiórki” albo: „Podziwiałem ten plan metra”, albo: „Ja? Marzyła mi się tamta dziewczyna... o, ta tam. Ależ skąd, moja droga, nie ty... Na pewno nie ty”. Bóg jeden wie, ilu doskonałych, znakomitych, wspaniałych mężczyzn przegapiłam w ten sposób od czasu, kiedy po raz pierwszy ulokowałam piersi w biustonoszu. Setki? Tysiące? Co najmniej dwudziestu lub trzydziestu.

Jak wiele dziewcząt mojej epoki od małości uczono mnie znać swoje miejsce. A swoje znaczyło niskie. Na dodatek, inaczej niż niektóre dziewczyny, nauczono mnie również nie wychylać się, niewiele się spodziewać i cieszyć tym, co mam. Dotyczyło to szczególnie uczuć, a już na pewno tego, co nazywano miłością. Słowo to bowiem odsłania człowieka, wystawia na ciosy. Miłość to potrzeba. Miłość, kiedy tylko dostaniesz się w jej zasięg, staje się stratą. Miłość. W świecie mojego dorastania dziwny i obcy towar. Kiedy używało się tego słowa jako wypełniacza, wytartego powiedzonka, kiedy mówiło się „na miłość boską” czy „podrażniona miłość własna”, było w porządku, ale już w innych sytuacjach nie. Nie szafowało się nim publicznie, jeśli dotyczyło spraw związanych z ludzką naturą; prywatnie zresztą też nie. „Kocham tego kotka. Ma takie ciepłe futerko... „ było bezpieczne. Mogłam tak powiedzieć w obecności matki, która nawet by okiem nie mrugnęła. Gdybym natomiast zapytała, czy ona mnie kocha, albo nieopatrznie oznajmiła, że ją kocham, pewnie nieźle bym ją spłoszyła.

Raz miałam okazję się przekonać, jak to słowo działa: kiedy moja starsza siostra przez ponad tydzień nie chciała ze mną rozmawiać, zalana łzami poszłam do matki i łkając w jej fartuch – świadoma, że stąkam po niebezpiecznym gruncie – oznajmiłam, że nie wiem, co takiego zrobiłam, i że chciałabym, żeby Ginny mnie tak nie traktowała, bo przecież tak bardzo ją kocham. Co oczywiście nie było prawdą. Po prostu nie wiedziałam, co to znaczy kochać. Wydawało mi się jedynie, że jest to odpowiedni sposób wyrażenia faktu, że bardzo ciężko znoszę milczenie siostry. Naturalnie, słowa miłość i kochać były wszędzie wokół – w filmach, w radiu,

w czasopiśmie, popularnych piosenkach – ale jak pamiętam nigdy, aż do tamtej chwili, nie wypowiedziano ich w naszym domu. Tak się okazało, jego niespodziewane użycie odniosło natychmiastowy skutek. Moja zazwyczaj pobłażliwa matka wkroczyła, ten jeden raz, i kazała siostrze natychmiast wydobyć z siebie głos, bo jak nie... I chociaż powtórnie już tego nie spróbowałam, to przecież w jakimś zakamarku umysłu kołatało mi się przekonanie, że całe to kochanie, to słowo, ma ogromną moc. Niezależnie od tego, co tak naprawdę znaczy.

Aż do momentu, kiedy ukończyłam dziewiętnaście lat, nikt nigdy mi nie powiedział, że mnie kocha. Co było raczej typowe dla naszej rodziny niż tragiczne. Domyślałam się, że skoro moja matka, która odkryła, jakim ciężarem może być słowo kocham, wolałaby zrobić wszystko, żeby go nie użyć, to podobnie musiała postępować jej matka. Bo nawet jeśli babka Smart, która mieszkała z nami i panowała w dwóch frontowych pokojach, użyła go kiedyś w stosunku do któregoś ze swoich dziesięciorga dzieci, żadne z nich tego nie pamiętało. Ubóstwo oraz ciężka harówka nie pozwalały żadnej z tych kobiet mówić o miłości w sytuacji, kiedy najważniejsze było fizyczne przetrwanie. Użyj słowa miłość, pocuj ją, a jesteś stracona. Natomiast te dziesięcioro dzieci pamiętało, że ojciec używał tego słowa. To on wyłaniał się zza rogu ulicy i rozkładał szeroko ramiona na widok każdego, które się pojawiło, by dać się uściskać. Dowiedziałam się tego od mojej jedynej, wtedy żyjącej jeszcze, ale bardzo już wiekowej ciotki Cory, kiedy widziałam ją ostatni raz. To on nucił im piosenki, gładził po włosach i łagodnymi słowami oraz zachowaniem osładzał im życie.

Naturalnie i w moim przypadku to ojciec mógłby dostarczyć owego brakującego słowa wraz z jego znaczeniem, jednak żadnego ojca nie było. Było tylko poczucie braku i pustki; była jakaś efemeryczna postać, jakiś potwór, straszdyło, istota, o której czyta się w książkach, coś, czego żywą wersję miały tylko inne dzieci. W tych wczesnych latach pięćdziesiątych niemal wszystkie inne dzieci miały ojca i to takiego, który mieszkał wraz z nimi pod jednym dachem. o ile pamiętam, nigdy nie zapytałam, gdzie jest mój. Dzieci jakoś uczą się nie deptać miejsc, w których pogrzebano członków rodziny. Co w latach późniejszych daje im możliwość zadawania ran, jeśli tylko zechcą. Ostatecznie, żeby ominąć zwłoki, trzeba wpieryć wiedzieć, gdzie leżą. Tak więc, będąc dzieckiem, chociaż wielokrotnie miałam na to ochotę, nigdy nie podeszłam do matki i nie oznajmiłam: „Matka Jennifer Lacey trzyma ją za rękę” ani „Matka Sally White sadza ją sobie na kolanach, żeby wyszczotkować jej włosy” – nie byłam taka niemądra. Tego rodzaju aluzje wywołałyby u matki jeszcze większą rezerwę. To wszystko wykraczało już ponad jej możliwości, utraciła zdolność dawania, lękała się otworzyć jakąkolwiek część siebie, by nie naruszyć pokrywającej ją tkanki bliznowej, dzieła ojca. Akceptowałam to i żyłam dalej. Jedni mieli miłe rzeczy – pieszczoty, własny pokój oraz ojca, a inni nie. Było to jednak przyczyną dość obojętnego podejścia do życia. Bo przecież, jeśli się nie zaangażuję, nie będę w stanie mnie zranić.

Miałam zwyczaj uganiać się za siostrą niczym jakiś irytujący owad. Przeganiała mnie, a ja już po chwili znów wracałam do niej. A przecież była starsza ode mnie o pięć lat, wyprzedzała

mnie o lata świetlne, jeśli chodzi o wymowność, której używała, by mi jednoznacznie wyjaśnić, że nie dla nas owi baśniowi bracia i siostry z dziecięcej literatury. Słynna Piątka, Tajemnicza Siódemka¹, *Boże Narodzenie na farmie Blackberry*² – to tylko książki. U Enid Blyton starszy brat z czułością wicherzył włosy siostrzyczki; w naszym domu starsza siostra tarosiła mnie za nie i tłukła moją głowę o ścianę, jeśli tylko zbyt głośno zakasłałam. No cóż. Godziłam się na to. Byłam przecież okropna. Nie miałam prawa oczekiwać, że ktoś mnie będzie lubił czy chciał. Mogli mnie co najwyżej tolerować – ale i to w każdej chwili mogło się zmienić.

W każdym razie wiedziałam, że powinnam unikać flirtów, bo flirtowanie bierze się z pewności siebie. Wynika z przeświadczenia, że jeśli ktoś powie: „Chryste Panie, co za przerażający pomysł”, kiedy nieopatrznie puścisz do niego oko czy pomachasz ręką, możesz odejść ze śmiechem, bo tak naprawdę nie zależy ci na nim. Jego opinia zupełnie się nie liczy, ponieważ – cóż – przez całe życie cię kochano i dlatego ty kochasz samą siebie. Jednak nie dotyczy to mnie. Ja jako nastolatka czułam, że jestem jak jedna z tych wydrażonych ludzi z Eliota – wypchana, wsparta o innego wydrażonego człowieka o pustym spojrzeniu.

My wydrażeni ludzie
My wypchani ludzie
Wzajem na sobie wsparci...³

Wszystko się zmieniło, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Pierwszy raz usłyszałam słowa: „Kocham cię”. I zaakceptowałam je. Nawet wielokrotnie powtarzałam. Opowiem wam o tym, co zrobiłam, kiedy zetknęłam się z moją wersją oczu, których „napotkać nie śmiem w moich snach”⁴. I o tym, co potem uczyniłam tej pierwszej osobie, która powiedziała, że mnie kocha.

NA DWORCU TEMPLE MEADS USIADŁAM I PŁAKAŁAM

Miałam pewnie około dziesięciu lat, kiedy zorientowałam się, że chłopcy nie są jedynie konkurencją w uzyskiwaniu uwagi dorosłych. Niewiele później oni sami dali mi wyraźnie do zrozumienia, że też to sobie uświadomili. Od tamtej pory wysoko zadzierałam nosa na każdy przejaw zainteresowania pojawiający się po drugiej stronie biesiadnego stołu. Nawet kiedy już byłam szacowną małżonką. Nie – flirtowanie zupełnie nie leżało w mojej naturze. Ba, jest mi ono tak niemiłe, tak obce, tak zupełnie mnie nie pociąga, że kiedy poszłam z przyjaciółką na lunch i jej oczy nagle zaczęły wyczyniać dziwne sztuczki, byłam przekonana, że dotknęła ją jakaś choroba. Co gorsza, kiedy zorientowałam się, że to, co wyczynia ze swoimi oczyma, skierowane jest do mężczyzny siedzącego przy stoliku obok korytarza prowadzącego do toalet, zrobiło mi się niedobrze. Do tego stopnia, że nie byłam w stanie dokończyć ryby... Gdyby opiekany łosoś mógł coś odczuwać, byłoby to tak jak ze mną; ja bowiem nagle poczułam się jak święty Wawrzyniec na rozpalonej kracie... Jedna z najbardziej godnych i obdarzonych intelektem kobiet, jakie znałam, przeobrażona w jakąś wdzięczącą się głupawo, ofermową panienkę z przesłodzonych ilustracji Kate Greenaway¹. Brakowało jedynie beretu i pantalonów. Ani na moment nie przestała łypać. Odrażające. I godne zazdrości. Ale ja zwyczajnie nie jestem w tym dobra. Ani trochę. Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

Wszystko to bez wątpienia tłumaczy moje małżeństwo z Francisem. Pierwszym człowiekiem, który mi powiedział, że mnie kocha. I który, pomimo dezaprobaty Carole, został moim mężem.

Carole była moją najukochańszą przyjaciółką. Była tym wszystkim, czym moja siostra powinna być, ale nie była, a na dodatek osobą, która zawsze się wychylała. Flirtowała, jakby flirt był krucją. Uważała, że trafiony jeden na pięciu to dobra przeciętna. Jeśli któryś utrzymywał, że przecież jedynie spoglądał na wiewiórki, wzruszała ramionami, uśmiechała się i odchodziła. Bez najmniejszych zadrapań.

„Spróbuj”, nalegała. Nigdy jednak tego nie zrobiłam. Zbyt ryzykowne. Uważała, że Francis jest dla mnie za nudny, on natomiast w ogóle się jej nie obawiał, był jedynie ostrożny. Jej plan życiowy zakładał zabawę teraz, miłość potem, a skoro ja sama żadnego planu nie miałam, Francis był mile widziany. Przy pierwszym spotkaniu Carole zawołała: „Cześć, Frankie!” Na co on odpowiedział, uprzejmie, choć bardzo stanowczo: „Francis”. Co od samego początku źle ich do siebie nastawiło. „Jestem najbliższą przyjaciółką Dilly”, oznajmiła zaczepnie. Wszyscy – rodzina, przyjaciele, koledzy – zawsze mówili na mnie Dilly albo Diii, jedynie Francis nazywał mnie Dilys. „Dilys – powiedział po prostu – jest pięknym imieniem”. Kiedy spytał, co ono

znaczy, a ja odpowiedziałam, że nie wiem, zadał sobie trud, by się tego dowiedzieć. „Dilys – poinformował mnie potem – znaczy doskonała. A to mi odpowiada”. I rzeczywiście. Jedyne Dilys mu odpowiadała. Nie był przy tym napuszony... był po prostu sobą. Zawsze i wszędzie pozostawał Francisem Edwardem Holmesem.

Kochał mnie z jakąś urzekającą determinacją, a ja myślałam sobie: Cóż, to mi odpowiada. W tym początkowym okresie wyczytywałam to uczucie w jego oczach, rozpoznawałam w drzeniu dłoni, czułam, jak ono z niego nieustannie i żywiołowo emanuje. A trudno o lepszy afrodyzjak przy zalotach. CZĘŚĆ tego uczucia udzieliła się i mnie. Wydawał się wtedy najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu zdarzyła, i myślę, że istotnie tak było. Kiedy usłyszałam, że mnie kocha, poczułam, jak coś zatrzepotało w moim sercu, najwyraźniej wypełniając pustkę. Nie przeczytawszy jeszcze, co na ten temat napisał Flaubert, nie znałam wówczas owej majaczącej w tle Wielkiej Prawdy, iż „Każdy z nas ma w sercu królewską komnatę”; on ją zamurował, ale nie uległa zniszczeniu...

Zatem... Francis. Byłam przekonana, że dałam mu całą siebie i to na zawsze. Spotkaliśmy się w galerii sztuki, w której pod koniec lat sześćdziesiątych pracowałam. Po roku 1960 coś się bowiem wydarzyło. Angela Carter winą za to obarczyła darmowe mleko, sok pomarańczowy i tran, które dodały atmosferze niejakiej pienistości. Życie wręcz musowało. Braliśmy, co nam się należało, i zachowaliśmy prawo do zadawania pytań. Był to taki rodzaj demokracji. Ktoś o moim pochodzeniu mógł teraz wstąpić w poświęcone wrota świata sztuki, odpowiadając po prostu na prasowe ogłoszenie. W przeszłości zajęcie to przypadłoby przyjaciółce przyjaciółki, zwanej Jaśnie Wielmożną Priscillą de Vere Coştam. Tkwiałam zatem tam, przy Bond Street – włosy niczym dwie kurtyny, powieki obciążone kruczoczarnym tuszem – kiedy wszedł Francis z zamiarem kupienia czegoś ze sztuki współczesnej.

Był prawnikiem – świeżo po dyplomie – i potrzebne mu były do nowego biura grafiki Hockneya². W rzeczy samej, na tym etapie przekształcania Sztuki w Inwestycje, szczególnie w City, gdzie pracował, brak na jednej ze ścian czegoś, co wyszło spod ręki Scarfe’a³, a Hockneya na drugiej, był równie szkodliwy dla wizerunku, jak w dobie panowania Naszego Kena⁴ przyjsie do Rady Miejskiej Aglomeracji Londyńskiej na rozmowę w sprawie pracy bez „Guardiana” w dłoni. Posiadanie ich było stosowne i Francis po prostu nie potrafił nie być konformistą. Ale rzeczywiście lubił sztukę współczesną. I rzeczywiście chciał oglądać jej okazy na ścianach swojego biura albo na cokole czy na stoliku (kupił też jedną czy dwie rzeźby) – na czym nie wszystkim zależało. Sprzedałam kiedyś litografie Alana Daviego⁵ dyrektorom z telewizji, sitodruki Dubuffeta⁶ bankierom oraz brązy Armitage’a⁷ przedsiębiorcom, by odkryć później, że wiszą na ścianach do góry nogami albo też stoją, starannie oświetlone, w zupełnie niewłaściwej pozycji. W jednym przypadku dokonano zakupu pełnej kolekcji wielkich, wspaniałych, barwnych grafik Paolozziego⁸, zawinięto je wszystkie w gruby papier pakowy i natychmiast umieszczono w skarbcu pewnego banku. Jako dobrą inwestycję.

Kiedy Francis pojawił się w moim życiu, miałam dziewiętnaście lat. Byłam wtedy, w porze

lunchu, jedynym członkiem personelu obecnym w galerii (ówczesna Jaśnie Wielmożna Priscilla de Vere Cośtam udała się tego dnia popracować nad listą prezentów ślubnych w Army & Navy⁹ – co uważałam za dość dziwny wybór i zastanawiałam się, na co młodej parze mogą się przydać przedmioty wojskowego przeznaczenia, byłam bowiem nieświadoma – wówczas – niegdysiejszych potrzeb Małżonek Imperium). Oczywiście znajdowałam się na bezpiecznym gruncie i oczywiście nasze oczy się spotkały, choć nie było w tym nic szczególnie śmiałego ani kokieteryjnego. Byłam kompetentna, to wszystko. Poza tym sprzedanie komuś obrazka bez wymiany, przynajmniej sporadycznej, spojrzeń jest absolutnie niemożliwe. W istocie, kiedy już rozpocznie się tę rutynową gadkę: „Bardzo mały nakład... to jest wcześniejsze, stąd te ostrzejsze kreski... coś znakomitego, w stylu Hagartha, dostrzegalne w linii jego narracji” i spogląda się przy tym w sufit, nie wydrąży się portfela klienta. Co więcej, sprzedawałam obraz, nie siebie, a to zawsze jest łatwe. Na dodatek miałam na sobie aksamitną fioletową, quasiwiktoriańską suknię od Laury Ashley – długa, zapinana z przodu na guziczki, z wykończonymi koronką mankietami i dołem – ponieważ wybierałam się tego wieczoru na uroczyste otwarcie wystawy w Tatę Gallery. Choć może się to teraz wydawać dziwne, długie, ozdobione koronkami, aksamitne suknie – na dobitkę fioletowe – były wówczas uważane za strój szycowny. Byłam ubrana tak, by pociągać, i jak się miało okazać, z dobrym skutkiem.

Uśmiechnął się, uśmiechnęłam się, dokonał zakupu. Najpierw kupił grafikę, a kiedy przyszedł ją odebrać po oprawieniu, kupił i mnie. Zabrał mnie do restauracji Rules¹⁰, która mieściła się tuż za rogiem, żeby „uczcić zakup”. Rules było stosownym miejscem na lunch z potencjalną sympatią – pokazywało dziewczynie, że jest się znawcą, że ceni się ją na tyle, by wydać na nią przyzwoitą sumę pieniędzy, i oznajmiało: „Mam czyste intencje”. Całkiem przypadkowo oferowało też dwa specjały angielskiego lunchu – ostrygi oraz pieróg nadziewany dziczyzną.

Cóż, nawet jeśli nie umiałam flirtować, to bez wątplenia wiedziałam, co robić z ostrygami. W latach sześćdziesiątych w żaden sposób nie dałoby się przeżyć w okolicach Cork Street, nie nauczywszy się, jak jeść ostrygi, wobec czego ja też się nauczyłam. Może to dziwne, ale nigdy nie miałam do nich uprzedzenia, nie przeszkadzał mi ani ich wygląd, ani konsystencja, ani też bardzo wysoka cena. Moją babkę, która przez całe dzieciństwo cierpiała na ropień okołomigdałkowy (dziś zwany zapaleniem migdałków), a w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku mieszkała w nędznej dzielnicy Borough, z ojcem woźnicą i matką praczką, karmiono siekanymi ostrygami, kiedy nic innego nie mogła przełknąć. Sprzedawano je wtedy za bezcen. Wyrosłam, myśląc o nich – jeśli w ogóle przyszły mi na myśl – jako o czymś całkowicie zwyczajnym, zatem ani Rules, ani ostrygi mnie nie speszły. Co nie znaczy, że nie wiedziałam o ich innych dwuznacznych właściwościach. Może i nie potrafiłam flirtować, jednak na pewno wiedziałam, jak manipulować rekwizytami. W tym czasie najważniejsze dla przyzwoitej dziewczyny było stwarzanie pozorów, że nie ma najmniejszego pojęcia, jakie wywiera wrażenie.

Nieumiejętność flirtowania twarzą w twarz oznaczała, że tym usilniej musiałam próbować bardziej aluzyjnych form roztaczania powabu. Od czasu filmu *Tom Jones* i tamtej pełnej erotyzmu, zniewalającej sceny posiłku warunkiem *sine qua non* randek i schadzek było wprawianie współtowarzysza w stan podniecenia poprzez zagarnianie językiem połyskujących kęsów, a jednocześnie sprawianie wrażenia, że robi się to bezwiednie. Wiedziałam, że chodzi o coś ponętne, mimo że ani dla mnie – ani dla wielu moich przyjaciółek – nie było jasne, co seksownego może się kryć w obsłinianiu, gryzieniu i przeżuwananiu kawałków mięsa czy warzyw i szczerzeniu się przy tym jak pijana kokota. Ale tak się zachowywałyśmy. Wtedy seks oralny nie wdarł się jeszcze do wolnej miłości. Zdawałyśmy sobie sprawę, że coś się gdzieś czai, nie bardzo jednak wiedziałyśmy co. Naturalnie osobą, która mnie poinformowała, była Carole.

Tak czy owak, tamtego dnia w Rules przyłożyłam się do ostryg odpowiednio. Podejrzewam, iż sytuacja nabrała jeszcze bardziej erotycznego charakteru przez to, że zarówno lokal, jak i jego nazwa aż promieniały aurą poprawności. Nie mogłam nie zauważyć, że całe to spotkanie było niewątpliwie zabarwione erotycznie – Francis wychodził z siebie, żeby prowadzić jak najbardziej naturalną konwersację, a mnie – w duchu jakiegoś przechodzącego w trywialność patosu – odpowiadało jego towarzystwo oraz wrażenie, że jestem ośrodkiem jego świata. Być może po lunchu doszedł do wniosku, że za mnie, jak za grafikę i jej oprawę, też zapłacił...

Nie, nie – to zbyt cyniczne, zbyt niesprawiedliwe. Spoglądam jedynie rozpaczliwie wstecz, żeby znaleźć powody, przyczyny, usprawiedliwienie dla tego, co od tamtego czasu się wydarzyło. Przecież to ta wydrążona kobieta – a nie Francis – pozwoliła, by to się stało. Owszem, w pewnym sensie zostałam przez niego kupiona, ale był to mój wybór. On nie był taki. Nie Francis. A jaki był – powinnam raczej powiedzieć: jest – cóż, dałoby się to chyba wyrazić różnicą pomiędzy Martinem Lutherem Kingiem a Cassiusem Clayem. Obaj porządni, obaj dynamiczni, jeden wszakże na zawsze honorowo przykuty do swoich szczytnych przekonań, drugi wyzwolony przez własne osiągnięcia. Francis był człowiekiem do szpiku kości dobrym, zaangażowanym i godnym, nie był jednak kimś, kto palnąłby innego w nos czy sięgnął ku gwiazdom. Nie sądzę nawet, by miał jakieś marzenia, poza tymi bardzo zwyczajnymi, związanymi z wygodą, spokojem i szczęściem domowego ogniska oraz najwyższymi osiągnięciami zawodowymi. Honor znajdował się blisko szczytu listy cech, jakich wymagał od siebie i od reszty świata, i jeśli nawet potykał się na tej ścieżce, co się prawie nigdy nie zdarzało, natychmiast okazywał autentyczną skruchę.

Poprosił mnie o rękę, kiedy byliśmy w Henley, w tamtych dniach jednym z owych miejsc *derigueur*, nie przeobrażonym jeszcze w miejsce fet biznesmenów. Regaty w Henley należały do stosownych elementów sezonu, a wszelkie firmowe przyjęcia były kosztowne, a jednocześnie dyskretne i skromne. Staliśmy pod zielonym baldachimem wierzby, obserwując wioślarzy; on podał mi kieliszek szampana, spojrzął w moje oczy, uniósł swój kieliszek i zaproponował: „Zdrowie przyszłej pani Holmes?” Co, jak na Francisa, było bardzo śmiałe. Pamiętam, że spjrzałam ponad powierzchnią wody, przyjrzałam się potężnym, połyskującym,

muskularnym udom mężczyzn w łodziach i pomyślałam sobie: Do licha, i wtedy Francis zapytał: „O czym myślisz?” – a mnie tak bardzo zależało, by się nie domyślił, że zastanawiam się właśnie, co znaczyłoby być poznaną, w biblijnym sensie, przez jednego z takich jak tamci, że natychmiast odparłam „Tak” na jego pytanie. „Jestem taki szczęśliwy”, oświadczył, kiedy z powrotem przeniosłam wzrok z wiosłujących osiłków na niego. „Ja też”, oznajmiłam z całą mocą. A przecież nie należało ignorować tego kuszącego obrazka na wodzie, o którym, aż do niedawna, kompletnie nie pamiętałam.

Urodziwszy się w świecie krańcowo różnym od jego świata, obserwowałam, jak bawią się klasy uprzywilejowane, i choć nigdy nie ulegałam pokusie, żeby udawać, że do nich należę (tym samym nie stałam się kimś, kogo babka Smart nazwałaby „kobietą bez zasad”), to jednak całkowicie i bez reszty uwiodła mnie elegancja, pewność siebie, cała ta otoczka ich sposobu życia. W każdym razie w tych uderzających do głowy, demokratycznych latach sześćdziesiątych pochodzenie robotnicze stanowiło pewien atut. To była nasza epoka; młodość i rewolucja przekraczały wszelkie bariery. Gdybym za każdym razem, kiedy jakaś osoba z klas wyższych pomiędzy rokiem 1962 (*She loves you*) a 1970 (cholerna stara Yoko) przyjęła liverpoolski akcent, przybierała na wadze jeden funt, byłabym wielka jak Hampton Court. Demokracja społeczna miała zagościć już na stałe. Wierzyliśmy w to. Nie mieliśmy pojęcia, że potrwa tylko około dziesięciu lat. Spędziwszy okres dorastania w dwóch pokoikach od podwórza na przedmieściu, egzystując skromnie z dnia na dzień, byłam gotowa na kombinację *Słodkiego życia* oraz high life'u. Fakt, że starał się o mnie Francis, pozwalał mi powitać z entuzjazmem to, co można kupić za pieniądze, oraz to, co na ogół stare pieniądze od dawna już same z siebie posiadają. Jakość, elegancję. Wysmakowaną jakość oraz elegancję, które towarzyszą zamożności. Nie szpilki od byle Dolcisa z imitacji skóry za dwadzieścia dziewięć szylingów i jedenaście pensów, ale z prawdziwej, ściągniętej z upolowanego gdzieś na rozlewiskach Amazonki aligatora, wyprodukowane przez prawdziwych mistrzów i sprzedawane w sklepie na Bond Street za cenę trzykrotnie wyższą niż w Russel & Brom, z torebką do kompletu. Obserwowałam, jak się postępuje w pewnych sytuacjach, i uczyłam się błyskawicznie. W chwili, kiedy zabrano mnie, bym poznała przyszłych teściów w ich usytuowanej w West Sussex siedzibie, byłam przygotowana na to spotkanie i zdałam egzamin (w ich przypadku niezbędny jako że rewolucja społeczna jakoś nie całkiem dotarła do tego pokolenia pamiętającego panowanie brytyjskie w Indiach) – nawet jeśli moja obecność na rodzinnym drzewie genealogicznym wydawała się nieco dziwna.

Mój akcent, sposób bycia, wygląd oraz zajęcie pasowały jak ulał. Kiedy przyszła teściowa spytała, czym zajmuje się mój ojciec, Francis bez chwili zwłoki oznajmił: „Wojskowy”. Co poniekąd było prawdą. Tyle że nie opowiedział, jak ojciec awansował od prostego szeregowca w królewskim korpusie medycznym do stopnia porucznika, z którym opuszczał armię, i że zdegradowano go kilka lat później w związku z oskarżeniem o defraudację. Ani że matka wciąż jeszcze pracowała w fabryce. Ani też, że ojciec był bigamistą i że zostawił matkę z dwójką

małych bękartów na utrzymaniu. Nie dodał, że nauczyła się radzić sobie z ubóstwem od własnej matki, mojej babki, która również została opuszczona, wraz z dziesięciorgiem dzieci, i która była żywym przykładem jednego ze swoich ulubionych sloganów: „Ciężka praca jeszcze nikogo nie zabiła”, sprząając biura na Gray’s Inn, City Road i w ich okolicach. Co ciekawe, najprawdopodobniej sprzątała też w tym samym budynku, w którym mieściła się później pierwsza kancelaria Francisa. Zbieg okoliczności, który oboje uważaliśmy, z całkowicie odmiennych powodów, za dość dziwny.

Francis przeszedł przez to wszystko gładko. Kiedy zabrałam go do domu, żeby poznał moją matkę, dosłownie przedzierał się przez góry rupieci i szpargałów, które się na ten dom składały (po śmierci babki Smart matka rozprzestrzeniła się na całość), ani słowem nie skomentował faktu, że telewizor jest włączony, co prawda dość cicho, i niczym nie zrażony przyjął kieliszek słodkiego sherry. Kiedy przywitała go tak jak wszystkich wchodzących do domu mężczyzn: „Pracy dużo?”, odparł jedynie: „Owszem, dziękuję”, zupełnie nie zdziwiony tym pytaniem. Nietrudno mu było pojąć, że dla osoby, która dorastała w najgorszym okresie Wielkiego Kryzysu, pracować znaczyło tyle, co żyć. Zrobił też coś bardzo śmiałego – bez zachęty z jej strony zaczął się do niej zwracać po imieniu, Neli. Później, w kuchni, kiedy spytałam, czy nie ma nic przeciwko temu, odparła: „Nie, oczywiście, że nie, to przecież całkiem rozsądne”. Zupełnie jakbym ją spytała, czy ma coś przeciwko temu, żeby królowa mówiła jej po imieniu. Absurdalne. Francis rzeczywiście reprezentował wyższe sfery. A do tego był blondynem.

Matce naturalnie się spodobał. Zawsze miała słabość – jak powiedziała później – do blondynów. Jej pierwszy mąż... ściśle rzecz ujmując, jej jedyny mąż – zważywszy, że żona mojego ojca nadal żyła – zginął na początku wojny. Zabrakło mu więc czasu, by spłodzić dzieci. Wiedziałam z fotografii, że był blondynem. Wraz z upływem czasu matkę coraz bardziej zadziwiała okrucieństwo losu, który zabrał jej Freda, i jeszcze większe okrucieństwo, kiedy ten sam los na swoich diabelskich kopytach poprowadził ją do mojego ojca. Gdyby żył Fred, nigdy by nie spotkała tego buńczuczego drania, jakim był ojciec. Nie dałaby się nabrać na jego kulturalny głos, rudawozłociste włosy i niebieskie oczy. Jedyna przedstawiająca go fotografia, jaką miałam, była czarnobiała, z dnia ich ślubu; trzymałam ją głęboko ukrytą. Nie musiałam sobie wyobrażać koloru jego oczu i włosów, bo je odziedziczyłam.

Babka Smart, która zawsze się rozpływała, że Virginia to wykapaną Smartówną, równie stanowczo utrzymywała, że z wyglądu jestem córeczką tatusia. Trzeba oddać mojej matce, że nigdy nie wykorzystywała tego przeciwko mnie – bo przecież z wielką pasją nienawidziła i jego, i pamięci o nim. „Jeśli trafi ci się porządny człowiek, trzymaj się go. – „, powiedziała kiedyś. Przy żadnej innej okazji nie słyszałam w jej głosie tak głębokiego przekonania o słuszności własnych słów. Ja natomiast odczuwałam zbyt wielką ulgę, że trafił mi się jakikolwiek, żebym miała się go nie trzymać, i to z całych sił. Kiedy miałam siedemnaście lat i sześć miesięcy, zaczynałam podejrzewać, że jestem skazana na staropanieństwo. Mając dziewiętnaście, kiedy spotkałam Francisa, byłam już o tym przekonana.

Wzięliśmy ślub pół roku po pierwszym spotkaniu, cztery miesiące po jego oświadczeniach, w St Martin's w Holborn. I chociaż moja rodzina brakiem znajomości form towarzyskich wprowadziła jego rodzinę w niejakie zakłopotanie, nie bardzo nas to obeszło. Trochę tego ducha prawdziwej demokracji udzieliło się nawet jego rodzicom i w końcu, choć niechętnie, przyjęli mnie do rodziny. Pamiętam słowa matki Francisa: „Dlaczego za ledwie sześć miesięcy?”, którym towarzyszyło rzucone w moim kierunku podejrzliwe spojrzenie. „Bo się już nie mogę doczekać”, odparł. Wyglądała na wstrząśniętą takim otwartym manifestowaniem uczuć i zwróciła mu uwagę, że jest mało czasu na dostarczenie naszej listy prezentów ślubnych do Petera Jonesa i do Army & Navy... a ja już wtedy doskonale rozumiałam zasady działania tego szczególnego centrum handlowego.

Byłam zdumiona – szczerze zdumiona – ślubnymi prezentami. Dostaliśmy wytworny komplet srebra stołowego, Inianą bielizną pościelową, srebrne kubki do wina, kryształowe kieliszki, więc ręczniki mojej matki ze spółdzielczego sklepu oraz przeróżne podarki od wujów i ciotek – tekowa miska do sałaty od Cory, nawet kryształowa waza od pnących się w górę Arthura i Elizy – wyglądały obok tamtych tandetnie i niegustownie.

Francis nie kłamał, mówiąc, że nie może się doczekać. To czekanie doprowadzało go niemal do ostateczności... mnie zresztą też, w stopniu niewiele mniejszym. Miał szalony pomysł – a ja się na to zgodziłam – byśmy nie uprawiali seksu przed nocą poślubną. Jeśli nawet w samym pomysle było coś bardzo czystego, to już niczego czystego nie można się było doszukać we wszystkich wynikających z tego konsekwencjach. W restauracjach drażniłam go szparagami, na ulicy nieprzyzwyczajeni krótkimi spódniczkami, a kiedy się rozstawaliśmy, całowałam go długo i namiętnie. Podczas tych miesięcy kilkakrotnie niewiele brakowało, żebyśmy się gdzieś razem zaszyli. Tak się koncentrowałam na powściągnięciu swoich żądz, że nie byłam w stanie myśleć o bardziej subtelnych aspektach tego wszystkiego – o Miłości.

Na ślubie matka zachowywała się z wielką godnością. Miała na sobie coś, co nazywała „sympatycznym, dwuczęściowym granatowym kostiumem”, oraz kapelusz, który pomogłam jej wybrać. Wykazała się przy tym gustem, o jaki jej wcześniej nie podejrzewałam. To starsza siostra Francisa, Julia, doradziła mały kapelusik. Całkiem słusznie stwierdziła, że ludzie nie przyzwyczajeni do kapeluszy miewają z nimi okropne problemy. Obecność mojej nowej rodziny wprowadziła oczywiście matkę w stan napięcia, ale objawił się on jedynie uporczywym odchyleniem małego palca, kiedy trzymała w ręce kieliszek wina, i zerwaniem się na równe nogi, kiedy mistrz ceremonii zabębnił w stół drewnianym młotkiem. Poza tym wyglądała na spokojną i pogodną. I tak się cieszyła moim szczęściem. I swoim. Jeśli jej córka dobrze wyszła za mąż, to ona sama znajdzie na stare lata opiekę.. I tak właśnie by było, gdyby dożyła – Niezależnie od tego, jak niepewnie się czuła, to przecież wiedziała, że jest matką panny młodej, i dlatego zachowywała się z godnością należną temu dniowi.

Natomiast moja siostra, Virginia, to całkiem inna sprawa. Coś ją opętało i nic nie można było na to poradzić. Zzerała ją zazdrość o moją pracę, a teraz o moją pomyślność (zarówno duchową,

jak i materialną), uosobioną w moim mężu. Niewiele wcześniej poślubiła przemiłego faceta imieniem Bruce, który pracował w trzyosobowej firmie budowlanej swojego ojca. Ślub odbył się w miejscowym kościele, a przyjęcie weselne w przykościelnej sali. Virginia powierzyła mi, bardzo niechętnie, rolę pierwszej drużny. Babka Smart powiedziała jej, że nie może być inaczej – ślub to ślub, a siostra to siostra. Co oznaczało, że wciąż byłam tym irytującym, małym owadem. Dla Virginii mój wytworny ślub był okazją do zademonstrowania braku szacunku. Większy, wspanialszy, bogatszy od jej ślubu, taki, do którego ona i rodzina nie mogli się wtrącać, ponieważ go nie finansowali. Jego koszt był poza ich zasięgiem. Napisano też o nim w „Timesie”. Kiedy Virginia o tym usłyszała, zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że to durne szpanerstwo. Trochę się jednak spieszyła, gdy jej powiedziałam, że się z nią zgadzam, ale niestety rodzice Francisa nalegali.

Innym powodem irytacji Virginii był fakt, że nie mogła odegrać tego ważnego dnia żadnej istotnej roli, była bowiem w dziewiątym miesiącu ciąży i powinna na siebie uważać. Nawet matka się wtrąciła – czego na ogół unikała – i oznajmiła, że jeśli zacznie rodzić w dniu mojego ślubu, to nawet jej wody nie zagotuje. Przypuszczam, że Virginia zorientowała się, iż posunęła się za daleko, i oświadczyła, że musielibyśmy po prostu przelożyć termin ślubu. Mój przyszły mąż wlepił w nią wzrok, zastanawiając się, czy to na pewno tylko żart. Żeby się upewnić, objął mnie i powiedział: „Musimy pamiętać, Ginny, że ten dzień należy do Dilys”. I chociaż ona nie wyglądała na przekonaną, tak jednak było.

Skoro nie mogła iść ze mną przez kościół do ołtarza, zamierzała pokazać światu, że nie jest od nikogo ani trochę gorsza. Kiedy powiedziałam, że nikt nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, odwróciła się do mnie raptownie i wrzasnęła, że „znowu traktuję ją protekcyjnie”, co było jej ulubionym oskarżeniem. „Mogłaś przekonać mamę, żeby nie odstawała od szeregu w tym swoim kapeluszu – krzyczała – ale mnie niczego dyktować nie będziesz! Nie ty...”

I rzeczywiście, jeśli chodzi o nakrycie głowy, nikt nie mógł niczego Virginii narzucić. Włożyła na tę okazję ogromny jak koło u wozu kapelusz, z rondem tak przepelnionym kwiatami, że wyglądała jak kobieta, która wózek z zakupami woli nosić na głowie; i to taka, która zupełnie sobie z nim nie radzi. Rondo kapelusza nieustannie zawadzało o nosy sąsiadów. Musiała też nieźle trzepnąć tym kapeluszem w szczękę Bruce’a, bo ten niezwykle spokojny człowiek uniósł już lekko pięść w odwecie, kiedy do niego dotarło, że oberwał od własnej, przypominającej brzemienno grzyb żony. Przy stole siedziała sztywno, odchylona do tyłu, przez co ten jej kopiec sterczał jeszcze bardziej agresywnie. I bardzo się starała pokazać, że nic nie jest w stanie zrobić na niej wrażenia. Posadzono ją między biskupem, który dolewał jej wina (w tym czasie nie mówiono jeszcze o złych skutkach spożywania alkoholu przez ciężarne kobiety), a siedemnastoletnim kuzynem Francisa, który życzliwie zabawiał ją rozmową na temat uciech polowania. Virginia nigdy mi tego nie wybaczyła. Nie chodziło jej o lisy, raczej o to, jak bardzo zaszczuta i poniżona czuła się ona sama. W naszej rodzinie nigdy czegoś takiego nie

doświadczyła. Wymamrotałam, że to zupełnie niewyobrażalne uganiać się za czymś niejadalnym i że tylko po jego stronie można mówić o braku godności – że ostatecznie chłopak ma zaledwie siedemnaście lat – ona jednak okręciła się tylko na pięcie, zarzuciła mi protekcyjność i przez kilka następnych lat, do czasu, kiedy matka zachorowała na raka, rozmawiała ze mną bardzo chłodno. Typowe dla naszych tłumnych, rodzinnych ślubów. Zawsze ktoś się w końcu obrażał.

W podróż poślubną pojechaliśmy na Korfu. Do willi jednego z przyjaciół Francisza mieszczącej się w spokojniejszej części wyspy. Przez całą drogę Francis wręcz buchał tłumionym pożądaniem, ja natomiast byłam równie podniecona, jak rozbawiona i równie ogarnięta władzą, którą w tym względzie dysponowałam, jak i samą potrzebą seksu. Nie miałam wówczas pojęcia, że to będzie podstawą naszego miłosnego życia. Naturalnie, to tłumione pożądanie maskowało moje raczej spokojniejsze uczucia w stosunku do Francisza. Tę pragmatyczną ulgę, że oto wreszcie połączyliśmy się węzłem małżeńskim. „Cóż, teraz, kiedy się stało, cieszę się, że jest już po wszystkim”, jak pewnie ujęłaby to maszynistka T. S. Eliota. Ten stan uspokojenia krył się gdzieś pod warstwą nerwowego podniecenia naszej czteromiesięcznej wstrzemięźliwości. Kiedy opuściliśmy wreszcie samolot i kierowca dowiózł nas do willi, aż rwaliśmy się do siebie. I mimo że ta długotrwała, zaplanowana wstrzemięźliwość wydała nam się koszmarem, to przecież w tamtych czasach nie było to takie dziwaczne, jakie wydawałoby się obecnie.

Kiedy już znalazł się w usankcjonowanym małżeńskim łóżu, przy akompaniamencie morskich fal oraz świerszczy, okazał się pełnym entuzjazmu kochankiem, według typowej angielskiej szkoły – mnóstwo energii i kompletny brak stylu. Nie, żebym ja sama była czegokolwiek pewna. Każde z nas straciło cnotę już wcześniej – ale ponieważ dla siebie nawzajem stanowiliśmy nowość, to czuliśmy się tak, jakby to był pierwszy raz. Francis był zbyt przytłoczony lękiem, pożądaniem i, jak podejrzewam, tym odwiecznym poczuciem winy, jakiego doświadczają Anglicy, kiedy sobie dogadzają, tak więc o trzeciej nad ranem zasiedliśmy na tarasie, żeby grać w scrabble. Ostatecznie wszystko się ułożyło – nim wróciliśmy do Londynu, pieprzyliśmy się jak króliki i Francis już na zawsze nabrał pewności siebie, jeżeli chodzi o nasze życie erotyczne. Ba, mogłabym przysiąc, że puszył się jak paw, kiedy po powrocie opuszczaliśmy samolot na lotnisku Gatwick. Mnie zawsze zadowalał i satysfakcjonował sposób, w jaki byliśmy ze sobą, ale nigdy nie elektryzował tak jak Francisza. On to lubił, nie robił z tego tajemnicy i przez wszystkie nasze wspólne lata zawsze wykazywał w tym względzie zainteresowanie. Naturalnie, z czasem przyblakło ono nieco, ale nigdy do końca nie zniknęło. Przynajmniej nie u niego.

Nie przeżyłam żadnej wielkiej namiętności, z którą mogłabym czynić jakieś porównania. Moje wcześniejsze cokolwiek znaczące doświadczenia z bezrobotnym performerem (to, co próbował robić, nazywano wówczas „happeningami”) dziesięcioletnim poetą, nie były ani trochę bardziej szalone. Wypalał tyle marihuany, że nigdy nie było pewności, czy mu się uda czy nie... bo mnie na pewno nigdy się nie udało. Nauczył mnie natomiast – dzięki mu za to – jak radzić sobie solo. Za co byłam mu na zawsze już wdzięczna. Nawet jeśli nauczył mnie tego tylko

po to, żeby móc z czystym sumieniem ponownie zagłębić się w tę swoją odmóżdżającą nirwanę. W każdym razie po Korfu miałam poczucie, że istnieje gdzieś coś szalonego i cudownego, czego wcześniej nie doświadczyłam i czego teraz już nie doświadczę. Nie usychałam z tęsknoty za Wielką Nieznaną. Wiedziałam jedynie, że istnieje coś tak wszechogarniającego, iż ludzie gotowi są za to oddać życie. Chyba że Balzac i Szekspir, i Puccini to łgarze.

Jednak miałam dużo szczęścia. Z wiadomości, dość zresztą niewyraźnych, o swoim ojcu, wnioskowałam, że Francis był całkowitym jego przeciwieństwem. Wiedziałam, że nigdy w żaden sposób by mnie nie poniżył, i uważałam, że jeśli zatrzymam tę część siebie, tę, do której on nie mógł sięgnąć, ten płomyk namiętności, jako swoje sekretne miejsce, to będzie nam dobrze. I przechowałam go w królewskiej komnacie. Był przygasły, ale nie zdławiony.

Byliśmy szczęśliwi. Ja pracowałam w galerii przez następne kilka lat, aż do narodzin naszego pierwszego dziecka, Jamesa, kiedy to wyprowadziliśmy się z mieszkania Francis'a w Holborn do eleganckiego domku w Fulham, gdzie urodził się nasz drugi syn, John. Po tym wydarzeniu przeprowadziliśmy się do bardziej wielkopańskiej rezydencji, także w Fulham, gdzie osiedliśmy już na stałe. Virginia obserwowała to wszystko z zawiścią.

Wykonywałam swoje macierzyńskie obowiązki, pracowałam też zawodowo, śląc regularnie artykuły do „The Art Buyer” oraz recenzje do innych czasopism. Dla mnie praca stanowiła w pewnym sensie o zdrowiu psychicznym. W kojącej ciszy archiwów Tate Gallery, podczas przeglądania katalogów Richarda Hamiltona¹¹ czy wybierania odpowiednich slajdów, potrafiłam zapomnieć, że już od dwóch lat nie przespałam ani jednej całej nocy.

Virginia uważała to wszystko za folgowanie zachciankom. Bo trudno to było nazwać prawdziwą pracą. Ona sama zajmowała się dwójką swoich dzieci, prowadząc jednocześnie całą księgową i biznesową stronę interesu Bruce'a, który teraz pracował sam. Uwielbiał roboty instalacyjne i nimi się zajmował. Kiedy nasze dzieci dorastały, ja kręciłam się na obrzeżach świata sztuki, komisarzując tu i tam jakiejś wystawie oraz pisząc do nich katalogi, podczas gdy moja siostra ślezczała po nocach nad księgami i fakturami, i cenami miedzianych rur. I nie była uszczęśliwiona, kiedy z okazji otwarcia jakiejś wystawy moje zdjęcie pojawiało się w gazetach, zresztą sporadycznie. Zawsze mi się wydawało, że słyszę w jej głosie pełne napięcia oczekiwanie, kiedy telefonując do mnie, pytała: „A jak tam Francis? Wszystko dobrze między wami?” Nasze drogi życiowe się rozeszły, szczególnie po śmierci matki, i tak było o wiele łatwiej.

Kiedy James i John byli w szkole podstawowej, poroniłam, co pociągnęło za sobą rozmaite powikłania. To miała być ta upragniona córka. Dr Rowe dał nam do zrozumienia, byśmy więcej nie próbowali. Długo dochodziłam do siebie. Przez kilka następnych lat byłam wściekła, przygnębiona, przykra. A Francis miał krótki romans z jedną z tych ładnych dziewcząt w zakietach z watowanymi ramionami, które pracowały w jego kancelarii. Może nawet jej się wydawało, że coś z tego będzie, on jednak był na to zbyt porządny i w głębi serca zbyt szlachetny.

Romans trwał około czterech miesięcy. „Zupełnie nie wiem jak do tego doszło – oświadczył. – W jednej chwili rozmawialiśmy w moim gabinecie, w następnej byłem w jej łóżku”. Zamrugał z niedowierzaniem. Nie miał najmniejszego pojęcia, jaką jest zdobyczą. Zakończył tę sprawę, opowiedział mi o niej i poprosił o przebaczenie. A ja mu go udzieliłam, ponieważ tak naprawdę nie winiłam go, a także dlatego, że przywróciło mi to rozsądek. Jeśli będę się nadal tak zachowywała, stracę wszystko. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się zastanawiać, czy rzeczywiście chcę to wszystko ocalić. Potem, przez długi jeszcze czas, on się biczował, metaforycznie, za to uchybienie małżeńskiej uczciwości.

Po tym wszystkim życie toczyło się spokojnie. On zaaranżował długie wakacje tak, by zbiegły się z moimi czterdziestymi urodzinami, i zabraliśmy chłopców w podróż po Ameryce. Nie jestem pewna, czy miłość odrodziła się między nami. Bo czy kiedykolwiek umarła? W każdym razie nastąpił powrót do intymności, a James i John byli podróżą zachwyceni. Dla nich była to wyprawa życia – teraz opowiadają o niej własnym dzieciom i nadal zadziwiająco wiele z niej pamiętają. Ja z samej podróży i zwiedzania pamiętam mniej, więcej natomiast z tego, jak nam było z Francisem. Kiedy ponownie zaczęliśmy dzielić łóżko, byliśmy tak ostrożni, tak niewinni, tak uważający i delikatni, że przypominało to drugą podróż poślubną. Kiedy spoglądam wstecz, uświadamiam sobie, że właśnie o coś takiego mu chodziło, choć nigdy głośno tego nie powiedział. Nadal nie był to Krakatau, ale przypominało powrót do domu. Dającego ciepło, otuchę i spokój. Z nas dwojga Francis wydawał się bardziej obolały po tamtym swoim zbłąkaniu. Zranił mnie, tak uważał, w okresie mojej niemocy, a to rzecz niewybaczalna. Ja, z drugiej strony, bez trudu sobie z tym poradziłam. Takie rzeczy się zdarzają, powiedziałam sobie, i sprawę zamknęłam. Francis uważał, że zachowałam się cudownie, ale nie była to prawda. W rzeczywistości bowiem prawie mnie to nie dotknęło. Ten fakt był dla mnie znacznie większym wstrząsem i zatrzymałam go w tajemnicy. W istocie nie przeszkadzało mi, że mój mąż kochał się z inną kobietą. A może jednak było to coś, na co powinnam wówczas zwrócić baczniejszą uwagę – jak na tamten obrazek z wioślarzami. W pewnym sensie uważałam to, co się stało, za zabawne. Cała sprawa tak bardzo nie pasowała do charakteru Francisca. Musiałam nawet na siłę utrzymywać powagę, słuchając niektórych jego zwierzeń. Jak się okazało, jego panienka, odziana w szykowny, szyty na zamówienie strój, zabrała go kiedyś do Ministry of Sound na jego pierwsze i ostatnie spotkanie z nocnym klubem, które mogło się dla niego skończyć atakiem serca – tak w każdym razie uważał. Powiedziała mu też, że powinien pić piwo prosto z butelki, po czym, dla jakiejś kretyńskiej uciechy, zapoznała go z rozkoszami całodobowego McDonalda dla zmotoryzowanych – a on nie sprawdził się ani w jednej, ani w drugiej sytuacji. „W tym burgerze czułem jedynie – oznajmił z niejakim zakłopotaniem – smak korniszona”. Pamiętajcie, młode panie polujące na starszych panów: godność przede wszystkim; pozwólcie im ją zachować.

Żeby ostatecznie zakończyć całą tę sprawę, Francis kupił mi cejloński szafir, o najjaśniejszym, najczystszy błękit – symbol wierności, oświadczył – i przysiągł, że nigdy

więcej mnie nie zdradzi. Moim zdaniem przeraziło go to, że był o krok od rozbicia na kawałki swojego świata.

Virginia przyglądała się połyskującemu, jasnemu błękitowi pierścionka z mieszaniną podziwu, zazdrości oraz pogardy i oznajmiła sucho, że powinien być jednak z nim poczekać, jako że szafiry symbolizują czterdziestą piątą rocznicę ślubu. Roześmiałam się na sugestię czegoś tak niemożliwego i tak odległego, Francis natomiast – który nieźle znał naturę ludzką i wyczuwał skrywane bliźny mojej siostry – oświadczył dzielnie: „Cóż, kupię jej wtedy jeszcze jeden”. Takich rzeczy nie powinno się mówić Virginii. Nie było jednak dość czasu, by mogła się ponownie na dłużej obrazić. Następnego roku byłyśmy sobie potrzebne, ponieważ w końcu zmarła nasza matka.

Walka z rakiem była długa i żmudna. Dwukrotnie doszło do remisji, ostatecznie jednak przedostał się do kości. Byłam zła. Matka bowiem zlekceważyła dolegliwości i bóle, sądząc, że są tylko zwykłymi niedomaganiem starszej się kobiety. Długoletnia, ciężka praca w fabryce – do której budowy wykorzystano azbest – oraz towarzyszący tej pracy styl życia, pełen stresu i papierosów, zwiastowały taki koniec. Poza tym była samotna i zgorzkniała, a na dodatek, podobnie jak rak, zżerała ją własna przeszłość. Miała tylko rodzinę. Żadnych przyjaciół. Wstyd powodował, że obawiała się ludzi. Jak mówiła: „Kiedy mąż raz już wrzuci cię publicznie kopniakiem do rynsztoka, nie masz ochoty spojrzeć nikomu w oczy...”. Dorastałam, wysłuchując takich obrazowych konstatacji, a ukrytej za nimi historii mogłam się jedynie domyślać.

Razem z Francisem ułatwiłmy jej trochę codzienne życie, ale zawsze mieliśmy problem z Virginią, która niczym głodny jastrząb obserwowała bacznie nasze stosunki z matką oraz nasze podarki dla niej. Musiałam z nią wszystko uzgadniać. Matka to widziała... i czasami szeptała do mnie, robiąc wrażenie bardzo niespokojnej, że lepiej będzie, jeśli czegoś nie zrobi albo nie przyjmie, bo „przecież wiesz, jaka jest Ginny...”. Rak był bezlitosny. I za długo musiała się z nim zmagać. Jeśli jest Bóg, myślałam, to nie taki, którego mogłabym czcić.

W końcowej fazie cierpienia naszej matki nie było między mną a Virginią miejsca na zazdrość ani wzajemne wyrzuty; te sprawy znalazły się na boku, miałam nadzieję, że zapomniane, bo trzeba było przebrnąć przez towarzyszący temu wszystkiemu wielki ból. Po pogrzebie, kiedy przyszło mi uporządkować rzeczy matki, znalazłam duże kartonowe pudełko, a w nim kapelusz, który miała na naszym ślubie, nigdy powtórnie nie włożony, oraz bukiet, który wręczył jej tamtego dnia ojciec Francisca. Oba te przedmioty owinięte były bibułką i obłożone łądkami dawno już wyschniętej lawendy z ogródka. Zachowała też kartkę z porządkiem nabożeństwa i ceremonii ślubnej, menu weselnego śniadania oraz jeden z korków od szampana. Wiem, że matka była tamtym dniem zachwycona. Podobało jej się ogromnie, że mogła się wystroić, podobał jej się ten wytworny kapelusik, dopasowane do niego pantofle i torebka, i rękawiczki – czuła, że jest w samym centrum tego wszystkiego i że przez jakiś czas jest zupełnie kimś innym. To cenne znalezisko zachowałam w tajemnicy przed siostrą. Nie było bowiem najmniejszego śladu ślubu Virginii, nie licząc fotografii na gzymsie kominka

przedstawiającej uśmiechniętą młodą parę oraz mnie, nieco zdenerwowaną, za nimi.

Nawet wtedy nie umiałam wygrać. Popelniłam błąd, proponując siostrze, by wzięła wszystko, co należało do matki – a było tego niewiele, ponieważ dom był wynajmowany – włącznie z niewielkimi oszczędnościami, jakie matka posiadała (żałosną sumką, którą odłożyła dla dzieci, żeby miały na jej pogrzeb). Każdy z moich synów zadowolili się kilkoma rodzinnymi zdjęciami oraz filiżanką ze spodeczkiem, a ja zabrałam z toaletki komplet flakoników z zielonego szkła – zawsze był dla mnie kwintesencją matki. Virginia wykorzystała to jako jeszcze jedną okazję, do ostentacji.

– Podzielimy się nimi – oświadczyła na temat pieniędzy. Zaproponowałam, żeby je oddać na fundusz walki z rakiem. Błąd.

– Ciebie może stać na coś takiego – oznajmiła. – Mnie nie.

Wszystko, co zaistniało między nami podczas choroby matki, stopniało. Ponownie było *en guard*. I bardzo męczące.

Virginia po prostu spóźniła się na rewolucję lat sześćdziesiątych. Pracowała wtedy w banku – co było uważane za doskonałą posadę, dopóki lata sześćdziesiąte nie przenicowały całego systemu wartości – zamiast w galerii sztuki i wyszła za hydraulika zamiast za prawnika. Niebieski kołnierzyk, nie biały. Po wyjściu z interesu ojca Bruce założył jednoosobową firmę i sam sobie szefował. Tak już pozostało, a z robót instalacyjno-hydraulicznych uczynił sztukę. Kiedy założył nam centralne ogrzewanie, pokazywaliśmy instalację przyjaciom. Była piękna. Istna symfonia w miedzi. Układ linii jak u Morrisa Louisa¹². Nie musiał się reklamować. Kiedy zobaczyłam odsłoniętą przy okazji prac renowacyjnych londyńskiego metra doskonałość jego wiktoriańskich budowniczych, powiedziałam Bruce'owi, że przypomina mi ona jego dzieła. Czysta sztuka dla sztuki. Poszedł obojętnie. Virginia uważała, że się popisuje i że porównuje go do wyrobników.

„Cholerna protekcyjność”, oburzała się. Nawet Bruce znalazł wtedy dość śmiałości, by kazać jej zamilknąć. Wciąż żywiła te swoje urazy i musiałam obchodzić się z nią jak z jajkiem, żeby przypadkiem mój podziw dla ich nowego patio albo jakiegoś zakupu nie wywołał kolejnego wybuchu. Nasze rozmowy stały się sztywne i nienaturalne. Ona utknęła w swoim świecie. Ja wspięłam się wyżej, co oznaczało przemianę w kogoś bez zasad... Cóż, tak widziała swoją irytującą siostrzyczkę. Na szczęście miałam obok siebie radośnie rozszczebiotaną Carole. O to też Virginia miała pretensje. Zupełnie jakbym ja nie powinna w ogóle zaistnieć.

Nigdy tak do końca nie pojęłam, na czym ta gra polega. Wydawało mi się, że sukces czy uśmiech losu są tym, czym należy się cieszyć – a nie mieć za złe – a poza tym Virginii i Bruce'owi wiodło się nie najgorzej, zważywszy, że posiadali międzywojenną willę w Kingston oraz połowę niewielkiej willi w Hiszpanii. Ich syn Alec ma kierownicze stanowisku w banku w Leeds, a córka Colette uczy dzieci wuefu i kiedy tylko może, biega w maratonach. Zatem, jak powiedziałby Bruce, Niezły Efekt. Jednak nie dla mojej siostry. Bo Virginia była jednocześnie dumna z mojego małżeństwa z posiadającym wysokie dochody i także osiągnięcia prawnikiem...

i rozjątrzona tym stanem rzeczy. Kiedy po ślubie Colette powiedziała: „Oni oczywiście nie pojedą w podróż poślubną na Barbados... „ (sfinansowaliśmy taką podróż poślubną naszemu synowi Johnowi) i: „Przykro mi, że to tylko reńskie, a nie szampan...”, wreszcie raz jej wygarnęłam.

– Reńskie – zadrwiłam, nie panując nad sobą – zdradza w istocie twoje pochodzenie. Subtelny biały burgund byłby o wiele wytworniejszy...

I diabli wzięli kolejne pół roku siostrzanej zażyłości. Na szczęście powstrzymałam się i nie powiedziałam jej, jak zarobiłam swój szafir po tym, kiedy mój małżonek zadał się z jedną ze swoich sekretarek. Zamurowałyby ją. Według niej Francis zapewniał rodzinie doskonale życie, co często mi powtarzała. Przy akompaniamencie westchnień. Gdyby swego czasu poznała prawdę, pewnie kazałaby mi siedzieć cicho i pozwalać mu to ciągnąć... nie huśtaj łódki, którą płyniesz, nie zapominaj o hipotece... W rzeczywistości nie mieliśmy żadnej hipoteki, ale tego i tak nigdy bym się nie ośmieliła jej powiedzieć.

Człowiek w swoim życiu napotyka trzy czeluście. Ta pierwsza pozostaje otwarta, kiedy nie mamy dość miłości, by ją wypełnić. Druga się nie zamyka, gdy nie wiemy, według jakich wskazań żyć. Trzecia pozostaje niezasklepią, kiedy nie mamy dość pieniędzy, by zrekompensować sobie jedną czy obydwie tamte ziejące pustką czeluście. Mnie się wydawało, że wypełniłam wszystkie trzy. Virginia nie miała pojęcia, czy zapchała choćby jedną. Dla niej miłość była równoważna z możliwością sterowania. Skoro mnie kochasz, zrobisz to, będziesz taki, nie zrobisz tego... Jej rodzina nauczyła się kochać ją na przekór temu. A jeśli była niepewna miłości, cóż, to na pewno odczuwała brak spełnienia, a także brak pieniędzy. A ta jej zarozumiała siostrzyczka najwyraźniej miała to wszystko. Jakże musiało to być wściekle drażniące, kiedy z tych moich wysokości oznajmiłam, że z nas wszystkich to mnie najłatwiej przysłoby pożegnać się z pieniędzmi. Ależ byłam z siebie zadowolona. Tak miło było to wiedzieć. Oczywiście ani przez moment nie sądziłam, że mogłabym kiedykolwiek być wystawiona w tym względzie na próbę.

Taka zatem byłam, z owym niebieskim ognikiem na palcu, symbolizującym przebaczenie grzechu... i do diabła z moją siostrą postrzegającą wszystko przez zielone szkło zazdrości. Francis mnie kochał i ja kochałam jego, a chłopcom wszystko szło dobrze. Pełnia szczęścia. Zróbcie z nami wywiad na temat małżeństwa do jakiegoś lepszego niedzielnego magazynu, a nie będzie się do czego przyczepić. Pan i Pani Idealni. A skoro częścią tego było posiadanie ładnych przedmiotów... cóż, czemu niby miałabym ich nie mieć? Podążaliśmy do przodu. Francis i ja. Ja i Francis. Jest coś urzekającego, coś uspokajającego w tym, że ktoś się o nas troszczy, jednocześnie dbając o stronę materialną. Nic dziwnego, że kobietom tyle czasu zabrało uzyskanie praw wyborczych.

Francis był – nie – Francis jest dobrym człowiekiem, dobrym mężem, dobrym prawnikiem – choć z tymi sprawami nie miałam wiele do czynienia. Chodziłam na obowiązkowe przyjęcia oraz na wszelkie inne imprezy, na które mnie zapraszał; rozmawialiśmy także o niektórych

prowadzonych przez niego sprawach. Na ogół jednak praca i dom były od siebie oddzielone. Jego jedyne dwa potknięcia na ścieżce honoru to romans z tą w żakiecie z watowanymi ramionami oraz prowadzenie samochodu nocą po spożyciu nieco większej niż dopuszczalna ilości alkoholu, co policja stwierdziła po zatrzymaniu go i sprawdzeniu alkomatem. Sprawę załatwiła darowizna na Bal Policjanta. „Posłuchaj – powiedział, kiedy półzartem zarzucałam mu korupcję – popełniłem bardzo drobny błąd, za który kara oraz wynikająca z niej niesława byłyby nieproporcjonalne, ze względu na to, kim jestem... nie chcę przegrać sprawy i jeśli parę groszy dla miejscowych glin rzecz załatwia, to niech już tak będzie”. Co zresztą było prawdą. W tym czasie pracował nad sprawą o uprowadzenie dzieci. Ojciec muzułmanin wykorzystał swoje prawa w stosunku do żony Angielki, która od niego odeszła, i zabrał ich synów do Lahauru. Skąd, z kolei, ona ich uprowadziła. Sprawa dotyczyła materii tak drażliwej, że można było odnieść wrażenie, iż wszyscy, od prokuratora generalnego aż do samego dołu, podchodzą do niej w rękawiczkach. Francis miał rację – kieliszek wina za dużo na jednej szali, a na drugiej przyszłe szczęście klienta i jego dzieci? Dla Francisca wybór był oczywisty. Sprawę wygrał. I tyle. Kilka drobnych przewinień w trwającym ponad trzydzieści lat małżeństwie. Satysfakcjonujący, nawet jeśli nie wulkanicznie wybuchowy seks. Sporadycznie okazywany zły humor, jakiś drobny przejaw egoizmu, incydentalne napady depresji – to wszystko. Dobre małżeństwo, jeśli porównać z innymi – gdyby nie to dokuczliwe, dręczące małe coś, ta królewska komnata, zamurowana, bezpieczna, nigdy tak do końca nie zapomniana.

Wracając do flirtowania. Tego, czego nie umiem. Czego, co jak już teraz wiem, nie musimy robić, by mimo to wabić. Bo przecież w ogóle nie było mi to w głowie. Czekałam samotnie na pociąg – Francis miał gripę i nie pojechał ze mną – i miałam wrażenie, że dworzec Tempie Meads w Bristolu w marcu nie zachęca człowieka do jakichkolwiek działań... a już na pewno nie do flirtowania. Przenikliwie zimny wiatr omiatał ławki, otuliłam szyję kołnierzem czarnego, wełnianego płaszcza, czarnobiały szalik zwisał zwiędłe i smutno, jakby wyrażając moje samopoczucie, dłonie miałam przemarznięte pomimo grubych, skórzanych rękawiczek, a nie osłonięte niczym oprócz grubych, czarnych rajstop kostki nóg pokrywała mi gęsia skórka. Przycupnęłam na brzegu ławki w tym nieprzyjemnym, wilgotnym powietrzu, zupełnie jak zrezygnowana sroka. Ponownie poddałam się smutkowi wywołanemu utratą Carole i towarzyszącym temu myślom o własnej śmiertelności. Zimno przenikało mnie aż do kości; jakbym ja też leżała w ziemi. Zaczęłam popłakiwać. Była o rok młodsza ode mnie i wraz z nią odszedł na zawsze kawał mojego życia. Tylko ona na przykład wiedziała o tamtej chwili w Henley i tylko ona wiedziała, że kiedy John miał siedemnaście lat i jego szkoła wystawiała *Skarb Plauta*, zagapiłam się na jednego z jego dość skąpo odzianych kolegów. Była moją przyjaciółką. Gdzie znajdę taką drugą?

Spośród moich przyjaciół ona umarła pierwsza. Rodzice odchodzą – i nie jest to łatwe, ale jednak spodziewane, zgodne z regułą, nawet jeśli odchodzą zbyt wcześnie. Natomiast przyjaciel, rówieśnik, jeden z tych, których z wyboru otaczaliśmy serdecznością, i co nawet ważniejsze,

którzy wybrali nas... To jest dopiero trudne i okrutne. Nie wspominając już, że Carole była cudowna, wyjątkowa, utalentowana; najlepsza nauczycielka upośledzonych dzieci, jaką można sobie wyobrazić. Lekkomysłna dziewczyna na idiotycznych szpilkach, jaką była w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, przeobraziła się w kobietę honoru, zaangażowania i poświęcenia – dającą nadzieję rodzicom, także tym najbardziej jej pozbawionym. Jej życie miało wartość, a teraz nie żyła. Umierała strasznie, pozbawiona włosów, ciała; jej dawne poczucie humoru pozostało tylko wspomnieniem. Martwa, a zanosząca modły o śmierć. Kiedyś żartowałyśmy, że potrafią już wysłać człowieka na Księżyc, a nie potrafią wyleczyć zwykłego przeziębienia. Teraz to już nie był żart. Dziś są w stanie wybudować na Księżycu małe królestwo ludzkie, ale wciąż nie potrafią wyleczyć ani zwykłego przeziębienia... ani zwykłego raka. Dość podejrzane, według mnie. Bo co by zrobiły te wszystkie wysoce dochodowe firmy farmaceutyczne ze swoimi kosztownymi produktami, gdyby nagle odkryto jakiś skuteczny specyfik na raka czy przeziębienie? Carole nie było sądzone się o tym przekonać. No i co z tego, do jasnej cholery, że płakałam publicznie? I tak mieli szczęście na tym dworcu, że nie biegałam wzdłuż peronu, waląc się w piersi, szarpiąc na sobie ubranie i wciskając do ust grudy błota. Płakałam tylko, i to niezbyt głośno.

Przypominała mi się ta świecka ceremonia żałobna, którą sobie wybrała po wielokrotnych konsultacjach ze mną, wpatrywałam się w tory kolejowe i słyszałam jej głos, i słyszałam głosy ludzi, którzy wstawali i mówili, jaka to ona była wspaniała... i łzy same popłynęły. Myślałam też o tym, że straciłam jedyną prawdziwą siostrę. Wybraną osobiście, w przeciwieństwie do tej biologicznej, i zdolną do przeżywania tych wszystkich radości, jakich doświadczają siostry z powieści. Kąty i Clover¹³, Mariannę i Elinor¹⁴, Gudrun i Ursula¹⁵. W moim wnętrzu rozwarła się ogromna czeluść i nie sądziłam, by kiedykolwiek miała się zasklepić.

W tym momencie łzy przemieniły się w cichutki szloch, potem w głośniejszy, a później – nagle – ktoś usiadł obok mnie i podał mi wielką, czystą, białą chusteczkę. Spojrzałam z wdzięcznością w zatroskane oczy mężczyzny w skórzanej kurtce, dżinsach i wciśniętej głęboko na głowę grubej, wełnianej czapce. Opryszki nie noszą przy sobie czystych, białych chusteczek... to by się nie zgadzało z regułami wielkomiejskiego życia – to była moja pierwsza myśl. Ten nie wyglądał niebezpiecznie pod żadnym względem – kryminalnym ani jakimkolwiek innym – chociaż... ta czapka przydawała mu czegoś złowieszczonego. Gdyby w tamtej chwili odszedł, a mnie później poproszono by, żebym opisała jego wygląd, słowo „atrakcyjny” na pewno nie pojawiłoby się w mojej głowie pierwsze. A przecież jego oczy, pamiętam, że to zauważyłam, były jaskrawo-błękitne – jak mój szafir – być może tę wyrazistość zawdzięczały przenikliwemu zimnu, jego nos bowiem miał niemal taki sam kolor. Żal szczelnie osłania człowieka, tymczasem on najwyraźniej dotkliwie trząsł się z zimna.

Uśmiechnął się trochę niepewnie i oznajmił:

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi; pomyślałem tylko, że się to pani przyda.

Wzięłam chusteczkę, zaszlochałam w nią i ku swojemu zażenowaniu zobaczyłam na niej

ślady tuszu do rzęs, co natychmiast pociągnęło za sobą myśl, że skoro tak wygląda jego chusteczka, to jak musi wyglądać moja twarz. Co wywołało następny atak szloch, bo uświadomiłam sobie, że nie ma już Carole, z którą mogłabym pożartować na ten temat...

– Dlaczego w ogóle brniemy dalej? – spytałam. Tak naprawdę nie jego, raczej ogólnie, cały świat. Nadal przyglądałam się torom.

– Żeby zobaczyć, co jest za rogiem.

– Eee – burknęłam. Smutek dopuszcza nieuprzejmość.

– Może, żeby zobaczyć, czy za rogiem nie ma czegoś lepszego?

Ta odpowiedź wydawała się satysfakcjonująca, więc skinęłam głową.

Potem ogłoszono, że pociąg do Londynu jest opóźniony.

– *Plus ca change* – rzucił z irytacją i wstał. – Jedzie pani do Londynu?

Ponownie skinęłam głową.

Wyciągnął rękę i dotknął mojego łokcia. Tak po prostu. Zupełnie niegroźny kontakt i taki jedynie, jaki byłam w stanie znieść. A potem powiedział:

– Chodźmy. Wypijemy kawę w bufecie. W ciepłe. Wstałam, myśląc, że to prawdopodobnie moja ostatnia wizyta w tym mieście. Raz jeszcze rozejrzałam się po dworcu i popatrzyłam na wznoszące się dalej znajome budynki. On przechylił pytająco głowę: ma sobie pójść i mnie zostawić czy idę z nim?

– Po prostu żegnaj się z kimś szczególnie mi bliskim – powiedziałam. – Z siostrą.

Wypicie czegoś ciepłego w towarzystwie nieznanego powinno pomóc na tę pustkę w moim wnętrzu. Otworzył i przytrzymał drzwi bufetu.

– Nie z prawdziwą siostrą – dodałam, zupełnie jakby ścisła prawda była tutaj istotna. – Kimś znacznie lepszym.

Skinął głową, a ja odniosłam wrażenie, że zrozumiał.

Nieoczekiwanie poczułam ogromne zadowolenie z tego, że znów jestem w ciepłe. Tuż przed nami stał dwuosobowy stolik, usytuowany tak doskonale, jakby stanowił fragment planu filmowego. I kiedy szłam ku niemu, pomyślałam nagle: O mój Boże... przecież to *Spotkanie*¹⁶. Co prawda bez paprocha w oku, ale z chusteczką...

I roześmiałam się, bo wyraźnie usłyszałam głos Carole: „Wstydzilibyś się. Podrywać faceta w dzień mojego pogrzebu...” – i jej dźwięczny śmiech.

– Chyba nie jest pan lekarzem? – upewniłam się. Pokręcił głową.

KONIAKOWE NOCE

Kiedy wróciłam tego wieczoru do domu, zagrypony Francis spływał potem w łóżku. Nasza synowa Petra wpadła, żeby go podogłądać, i dała mu filiżankę, czegoś, co czuć było lukrecją, oraz jakieś czarne tabletki.

– Żeby mnie odtruc... – jęknął. – Powiedziałem jej, że wolałbym raczej, żeby mnie otruto.

Nie był w najlepszym humorze i nie pachniał przyjemnie. Co nie jest najlepszym sposobem zaprezentowania się żonie, która właśnie przeżyła *Spotkanie* i przez godzinę, wyżalała się obcemu odmiennej płci, z szafirowymi oczyma, najpierw w dworcowym bufecie, a potem podczas dwugodzinnej podróży pociągiem. Zręczliwość jest jednym z najmniej zachwycających aspektów ludzkiej kondycji. Potrzebowałam miłości, potrzebowałam współczucia, sama zaś nie miałam najmniejszej ochoty tymi uczuciami szafować.

Kiedy opadłam na poduszkę obok Francis'a i owiała mnie owa kwaśna woń dawno nie mytego ciała, pomyślałam sobie, że nie chcę tu być... co wzięłam za oznakę wciąż trwającego poczucia straty. Zmusiłam swojego biednego męża do dźwignięcia się z łóżka i do wzięcia kąpieli, podczas gdy ja zmieniałam pościel, sprzątałam zmięte chusteczki higieniczne, wycierałam nocny stolik, który kleił się cały od medykamentów. Nie robiłam tego jak Florrie Nightingale, już raczej jak zirytowana pani Gamp¹. Każdą zużytą chusteczkę, każdą zmarszczkę na poduszce, każdy lepiący się kubek odbierałam jako osobisty afront, robiłam zatem wiele hałasu i zamieszania. Podczas całej tej ostentacyjnej krzątaniny uderzyłam się o łóżko w palec u nogi, obtłukłam goleń, po czym ze złością wyciągnęłam Francis'a z kąpieli, przebrałam w świeżą piżamę; jego twarz nad bladoniebieskim kołnierzykiem miała kolor dobrze ugotowanego homara. Rzucalam mu gniewne spojrzenia, pakując z powrotem do łóżka, on jednak na szczęście przyjmował to z całkowitą obojętnością – grypa tego roku była wyjątkowo zjadliwa. Poszłam się wykapać, a kiedy myłam zęby, w głowie rozbrzmiewał mi w kółko kolejny wers z Eliota: „Łyzeczkami kawy odmierzyłem życie”². Chciało mi się płakać i chciało mi się śpiewać; istne wariactwo. Położyłam pierścionek, jak zwykle, na umywalce i natychmiast pomyślałam o kolorze oczu tamtego mężczyzny. A to sekretne miejsce w moim wnętrzu, miejsce tak długo utrzymywane w tajemnicy, uchyliło się troszeczkę i naładowało jakąś łaskotliwą energią. Nawet specjalnie przedłużone szczotkowanie zębów nie było w stanie jej zdusić.

Kiedy wracałam do sypialni, przyszły mi do głowy i rozbawiły inne wersy z Eliota: „I już sucha po kąpieli Na płatfusach Doris człapie. W rękę sole ma trzeźwiące Koniak prosto w gardło chlapie”³. Spytałam Francis'a, czy nie miałby ochoty na kieliszek koniaku, i bardzo źle odebrałam jego zdecydowane, stanowcze nie.

– Na Boga, Dilys – spytał z nieszczęśliwą miną – próbujesz mnie zabić?

– Och, nie bądźże niemądry – odparłam bez cienia współczucia.

– Dopiero co nafaszerowałaś mnie pigułkami – powiedział z pretensją w głosie, ponownie oblewając się potem. – Mnóstwem pigułek. Prawdopodobnie i tak było ich za dużo... żeby jeszcze mnie dobijać alkoholem.

Miał rację. Uraczyłam go sporą dawką paracetamolu. Trudno więc byłoby nazwać kieliszek koniaku życzliwą propozycją. Ale nie miałam ochoty na przeprosiny.

– Cytowałam Eliota – oznajmiłam sztywno. – Odpreż się.

Mówić choremu na gripę, żeby się odpreżył, to tak jakby mu poradzić, żeby wziął łóżko pod pachę i poszedł...

– Nie jestem w nastroju do poezji – rzucił z irytacją. – Natomiast nie miałbym nic przeciwko odrobinie gazowanej wody.

– Ależ Francis, koniak by cię nie uśmiercił.

– Nie jestem tego pewien. Już się czuję, jakbym miał umrzeć.

– To może sobie naleję trochę.

– Proszę bardzo. Nalałam.

Oboje byliśmy zaskoczeni, kiedy siedziałam tam, na brzegu łóżka, i popijałam. Zaskoczenie wynikało stąd, że było ogólnie wiadome, że nie cierpię tego trunku. Kiedy przejechano naszego psa, jeden z sąsiadów podał mi kieliszek koniaku, a ja wypiałam go bez zastanowienia jednym haustem i natychmiast zwymiotowałam. Tak więc byłam z tego znana. Ale tamtego wieczoru, w pociągu, kiedy ten biały rycerz przyniósł mi kieliszek... ja, niczym posłuszne dziecko, wypiałam. Moja mina doprowadziła go do śmiechu. A ten jego wybuch śmiechu spowodował, że poczułam się bardzo młoda. Jakbym dała śmierci kopniaka w zęby. Tamtego dnia niemal dotykałam śmierci, a przecież jej umknęłam. Rozumiecie? Mówiłam: Nie jestem jeszcze na ciebie gotowa.

Francis, wyglądający na wyczerpanego, a jednocześnie zaskoczonego, jęknął:

– Przecież nie lubisz tego smaku. A ja mu na to:

– Nie znoszę zapachu...

– Zapach to smak – oznajmił ponuro.

Miał oczywiście rację. Ale już sam zapach był dla mnie tak odrażający, że do bożonarodzeniowego puddingu zawsze dodawałam rumu. Kiedy tak sobie siedziałam na łóżku, popijając ten trunek małymi łyżkami, poczułam jakieś wewnętrzne ciepło, które nie w całości mogłam przypisać alkoholowi. Poddawałam mu się powoli.

– Pospiesz się – ponaglał Francis, z rozdrażnieniem wywołanym chorobą. – Chcę zgasić światło.

– No dobrze... zejść sobie na dół i tam wypiję. – Wstałam. – Mam iść?

– Aha, przy okazji – powiedział znużony. – Ginny dzwoniła. Żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Raczej żeby napawać się sytuacją – rzuciłam z niezwykłą jak na mnie zjadliwością.

Wyglądał na rozdrażnionego i spodziewałam się, że krzyknie na mnie albo wybuchnie płaczem – o grypie wiadomo, że wpływa na człowieka depresyjnie – on tymczasem uśmiechnął się łagodnie i ku mojemu zaskoczeniu zaczął mnie przeproszać za swoje samolubne zachowanie. Proszę, usiądź sobie z powrotem. I spytał, jak przebiegła ceremonia żałobna. Na co ja, pełna wyrzutów sumienia oraz ulgi, że oto jesteśmy wreszcie na bezpiecznym gruncie, oznajmiłam, że przebiegła dobrze.

– A nasze kwiaty?

– Wyglądały ślicznie.

Popłynęły łzy. On ścisnął moją dłoń. Jego jednak była tak ciepła i lepka, że zabrałam swoją i otarłam oczy.

– Przykro mi, że tam nie byłem. – Głos miał niepewny i drżący. Kiedy podpisywaliśmy dołączoną do wiązanki kartkę, zaskoczył mnie, pisząc na niej „Frankie”. – Naprawdę ją lubiłem – oświadczył.

– Ona ciebie też.

Dłoni mu już nie oddałam. Jakby taka maleńka odmowa miała jakąś własną, prywatną moc. Francis oczywiście niczego nie zauważył.

– Wszystko odbyło się idealnie – powiedziałam. – Tak, jak sobie życzyła.

– Żałuję, że nie mogłem w tym uczestniczyć.

– Ja też żałuję. Czy rzeczywiście? I tak, i nie.

Wiedziałam, że gdyby on tam był, wszystko zostałoby po staremu. A to było łatwe.

Ponieważ jednak nie pojechał, miałam świadomość, że coś się zmieniło. A to już łatwe nie będzie.

Spojrzałam na niego. Leżąc tak, wyglądał jak ufne dziecko. A ja jak pielęgniarzka, która mówi: „Ani trochę nie będzie bolało”. A boli.

– Jak poradziłaś sobie potem? – Dotknął dłonią mojego policzka. W tym geście było tyle czułości i serdeczności, ile jest w stanie wyrazić ktoś z temperaturą powyżej 39 stopni bezpośrednio po odwiedzinach energicznej synowej z bzikiem na punkcie zdrowej żywności i sklepem z taką żywnością.

Miałam już zacząć mu opowiadać – o najdrobniejszych szczegółach związanego z tym wszystkim bólu – a tymczasem zdołałam powiedzieć jedynie:

– Och... nie najgorzej. – I tyle. Uświadomiłam sobie, że wszystko przekazałam już nieznanemu i nie potrzebuję troski żadnej innej osoby.

Francis, senny po kąpielach i po kropelkach, i po proszkach, powiedział tylko:

– Dokończ koniak i kładź się. – Po czym zasnął.

Ja nie spałam. Dlaczego trzeci, podwójny koniak nie był w stanie pograżyć kobiety, której nigdy przedtem nie udało się wypić nawet jednego, w wywołanym pijackim otępieniu śnie? Kładłam to na karb smutku, jakim wypełniony był ten dzień. Stanowczo kładłam to na karb smutku... i wciąż nie zasypiałam. Byłam kompletnie, całkowicie rozbudzona.

W końcu wyslizgnęłam się z łóżka, poczłapałam na dół, na moich platfusach, i sięgnęłam po książkę telefoniczną. Czy istnieje wyraźniejsza oznaka, że ktoś nas pociąga, niż poszukiwanie tej osoby w książce telefonicznej? Niczego podobnego nie robiłam od czasu, kiedy jako jedenastoletnia, krótkotrwała zresztą, fanka, próbowałam odnaleźć numer Tommy'ego Steele'a w Bermondsey.

Nazywał się Matthew Todd i mieszkał w pobliżu dworca Paddington, tyle wiedziałam. Powiedział mi, że pracował w schronisku dla bezdomnych, dopóki go nie zamknięto, i że wybrał się do Bristolu, by sprawdzić, czy nie znajdzie tam podobnej pracy. Innymi słowy, był bezrobotny. Sam to powiedział – a nie ja wywnioskowałam – i kiedy to mówił, i kiedy ja popijałam swój kolejowy koniak, uśmiechał się, jakby chciał rzucić: „No i co z tego?”

Jak cudownie, pomyślałam. Być bezrobotnym z wyboru i się tego nie wstydzić. Powiedziałam:

– Ja też. Na razie. – I opowiedziałam mu o Fogal Institute i finansowanych przez niego pomieszczeniach wystawowych w Stepney, które pomagałam zaaranżować. – Zrobiłam wszystko, co zamierzałam. Czas było odejść.

– Czasami – powiedział – człowiek po prostu wie, kiedy odejść.

Poczułam dziwny ucisk w żołądku.

– Pierwszy raz w życiu jestem na zasiłku – oznajmił. – Teraz już wiem, jak to wygląda z tej drugiej strony.

– I jak to wygląda?

Oczekiwałam odpowiedzi, że nie najlepiej. On jednak uśmiechnął się.

– Nie najgorzej – oświadczył. – Ma się czas na rozejrzenie wokół. Na przemyślenia. Różnica jest oczywiście taka, że ja wiem, że to nie na zawsze. I mam dach nad głową.

– Gdzie? – spytałam, może odrobinę zbyt pospiesznie. I w ten sposób dowiedziałam się, gdzie mieszka. – A jak to w Bristolu nie wypali? – spytałam, starając się, by zabrzmiało to w miarę obojętnie. Nie chciałam zrobić wrażenia zbyt zainteresowanej i wścibskiej. Poza tym, o czym wie każdy, kto pracował w tym biznesie, największym współczesnym mecenasem sztuki oraz artystów w tym kraju, takim medyceuszem naszych czasów, jest zasiłek. Nie mielibyśmy nawet połowy tej artystycznej produkcji, którą szczęśliwie mamy, gdyby rząd nie sponsorował jej w formie zasiłku dla bezrobotnych.

– Och, być może trochę popodróżuję. Może napiszę alternatywny przewodnik dla samotników, proszono mnie o to. – Był ujmująco swobodny, usiadł wygodniej. I wzruszył ramionami. – A może nie. Przez prawie dwadzieścia lat próbowałam zmienić ten świat. W tej chwili nie zamierzam się przejmować kultem pracy... przez jakiś czas mogę po prostu się poobijać...

Bardzo by się podobał Carole. Słyszę, jak mnie zachęca: „Brawo... Daj sobie trochę swobody”. Często używała tego wyrażenia, które Francisa zawsze doprowadzało do szału. Bo to on zbierał strzępy tych ludzi, którzy dawali sobie zbyt dużo swobody i czasu. Już go sobie

wyobrażałam, jak mówi do Matthew z naciskiem, że to jest zły wzór dla naszej młodzieży, a w szczególności to jest zły wzór dla naszej czarnej młodzieży, ponieważ czarna społeczność rozpaczliwie wręcz usiłuje ją przekonać, by za krzyk mody uważała raczej wykształcenie niż telefony komórkowe, muzykę i auta. Nawet kiedy choroba Carole była już dość zaawansowana, doszło między nią a Francisem do szczerzej wymiany poglądów na te tematy. Ona była wielką zwolenniczką wolności jednostki... podejrzewam, że brało się to z faktu, iż miała do czynienia z tyloma nieprzystosowanymi. Ja zwykle trzymałam stronę Francisza, jednak teraz, siedząc naprzeciwko tego uśmiechniętego mężczyzny, który robił wrażenie tak swobodnego, starałam się, by moje usta w najmniejszym nawet stopniu nie wyrażały dezaprobaty, i odwzajemniałam jego uśmiech. – Tak właśnie trzeba – oznajmiłam bardzo poważnie. – Dać sobie trochę swobody.

– Prowadzę badania nad upadkiem jednostki i bezpośrednim związkiem między tym zjawiskiem a dziennym programem telewizji – powiedział.

Na szczęście uśmiechnął się, żeby pokazać, że żartuje, bo inaczej to również potraktowałabym poważnie.

A potem przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl, tam, w tym dusznym wagonie – o wiele bardziej intymna i szokująca, i na dodatek całkiem nieproszona – że ten mężczyzna, z jakże przydatną chusteczką, kiedy już odtajał, okazał się całkiem atrakcyjny. W każdym razie nie był nieatrakcyjny. Wyglądał młodzieńczo. Ubrany był też młodzieńczo. Zupełnie i całkowicie odmiennie od tego, do czego byłam przyzwyczajona. Po czym uświadomiłam sobie, że tak naprawdę ani nie wygląda szczególnie młodo jak na swój wiek, ani też tak młodzieżowo się nie ubiera. Ja byłam po prostu przyzwyczajona do kogoś starszego. Francis, starszy ode mnie o osiem lat, miał zdecydowany wpływ na to, jak postrzegałam samą siebie. Wydawało mi się, że ja sama też dobiegam sześćdziesiątki. A przecież tak nie było. I co więcej, kiedy tam siedziałam z tym mężczyzną, nie chciałam, by tak było.

Zadziwiająco, jak dobrze nam idzie liczenie, kiedy dotyczy czegoś, co akurat dzieje się w naszym życiu. Lekcje gorliwej panny Brettle, która wykorzystywała przykład napełniania wanny, by wytłumaczyć, jak się oblicza pojemność w metrach sześciennych, albo pedałowowała pod górę, by wyjaśnić, czym jest stopień nachylenia, nigdy nie przynosiły rezultatu. Natomiast w jak najbardziej osobistych sprawach – cóż, mój całkiem niematematyczny umysł, który nie radzi sobie z litrami, gramami ani tabliczką mnożenia, wykoncypował bez większego trudu, że skoro on skończył studia w wieku dwudziestu jeden lat – najdalej dwudziestu dwóch – i pracował w opiece społecznej przez niemal dwadzieścia lat, cóż, nie był już taki młody... I zupełnie nie wiem, dlaczego ta myśl niewiarygodnie mnie ucieszyła. Byłam co najmniej o dziesięć lat starsza od niego, a przecież czułam się o dziesięć lat młodsza. I to pomimo niesprzyjających okoliczności tamtego dnia. Carole, moja złota dziewczyna, obróciła się w pył, ale ja wciąż istniałam, wciąż cieszyłam się życiem... jeśli miałam na to ochotę. Wtedy właśnie odpowiedziałam „tak” na propozycję drugiego koniaku i usiadłam wygodnie; spoglądałam w okno, by zobaczyć jego odbicie, kiedy będzie wracał.

Teraz natomiast jak złodziej skradałam się nocą po schodach. Kiedy przewracałam kartki książki telefonicznej i przesuwiałam palec w dół kolumny nazwisk, serce biło mi nadzwyczaj głośno. Poczucie winy, oczywiście. Konsternacja, jasne. Ale również, niewątpliwie, podniecenie. Żeby tylko ujrzeć jego wydrukowane nazwisko i potwierdzić fakt, że istnieje. Było – Matthew Todd, Beeston Gardens 12a, London W2. No cóż, Matthew Toddzie z Beeston Gardens, pomyślałam sobie. Mam twoją kokardę, zupełnie jak niegdysiejsze damy. Kiedy będę gotowa, odzyskasz chusteczkę i zostanie ci ona dostarczona osobiście. Dokładnie to przyszło mi do głowy, zupełnie spontanicznie, i przyznaję, że zrobiłam tym na sobie wielkie wrażenie. Bo w tej strefie nie istnieje żadna moralność, jedynie strategia.

Nawet nie próbowałam sobie nic perswadować. Było na to za późno. I jeśli miałam nadzieję, że to jedynie skutek działania koniaku, to się myliłam.

Naturalnie wiedziałam, co robić. Wiedziałam, bo podstęp i oszustwo są wpisane w naszą naturę już w chwili narodzin. Wszyscy wiemy, jak oszukiwać, manipulować i kluczyć. Ci, którzy twierdzą inaczej, nigdy po prostu nie mieli powodu, by spróbować. Do tamtej chwili ja też nie miałam. Ale ta umiejętność we mnie tkwiła, utajona, pielęgnowana każdego dnia; czyhała tylko na okazję. Wystarczyło jedynie sięgnąć. Drżącą ręką zapisałam numer telefonu i adres. Potem, z sercem wciąż łomoczącym, wróciłam cichutko na górę, do łóżka. Francis, pachnący mydłem i eukaliptusem, nawet nie drgnął. Wtuliłam się w tę ciepłą, emanującą otuchą, irytującą postać w łóżku i pomyślałam, że w tym bardzo szczególnym dniu, w którym byłam świadkiem kremacji najlepszej przyjaciółki, wszystkie moje osobliwe zachowania są uzasadnione. To uporczywe, nekające uczucie ustąpiło bardziej natarczywemu. Zemsta wioślarzy. I nic nie byłam w stanie na to poradzić, ponieważ nie chciałam.

Leżałam tam, czując równy rytm serca mojego męża i pragnąc, by uspokoiło się także moje serce, i myśląc, że rano wszystko będzie wyglądało inaczej. Wszystko to związane było z Carole i ze wstrząsem, bo chociaż wiedziałam, że umiera, nie byłam emocjonalnie na to przygotowana. Nagła świadomość, że wraz z jej ostatnim tchnieniem tyle się zmieni; nie odpowie już na moje pytanie, nie będzie ze mną żartować, nie spojrzy na mnie i nie spyta: „Co miałaś na myśli, kiedy... ?” Nic nie przygotowuje człowieka na coś takiego. Ani też, Boże dopomóż (a On nie zechciał), na nadejście tego szaleńczego *carpe diem*, jakie pozostawia za sobą śmierć. Odwróciłam się od leżącego obok rozpalonego ciała. Połączenie koniaku i tego nocnego spokoju pozwoliło mi łaskawie utwierdzać się w przekonaniu, że kiedy zamykają się jedne drzwi, to zawsze otwierają się inne. Celowo zwróciłam myśli od starego bólu ku nowej jasności. Nawet jeśli myślenie o Matthew Toddzie przynosiło pocieszenie na tę jedną noc, to i tak było już coś. Carole by mi wybaczyła. Zresztą obie byłyśmy w żałobie już przez cały miniony rok, wiedziałyśmy przecież, że to, co ma nadejść, jest nieuniknione. Teraz pozostałam na scenie sama. Wszystko, co zrobię, będzie właściwe, a grób, cóż – jak powiada poeta – miejsce piękne i ciche, gdzie składają kości, a gdzie nikt, jak sądzę, nie uprawia miłości⁴... Utrata Carole spowodowała, że pomyślałam o własnych defektach. Brakach. I chociaż, leżąc tam, powtarzałam sobie, że

skwapliwe wykorzystanie tego, co życie przyniesie, właśnie teraz, kiedy czuję się taka zagubiona, będzie szaleństwem, nie przekonałam siebie.

Jedyną nadzieję widziałam w tym, że obiekt mojego fantazjowania leży teraz, podobnie jak ja, w swoim łóżku. Że śpi w ramionach ukochanej. Że, w przeciwieństwie do mnie, nie nosi w sobie pustki, którą musi wypełnić, i że znikam powoli z jego myśli, tak jak znikają światła mojej taksówki na końcu Marylebone Road. Nie bardzo jednak w to wierzyłam. Nie mówił jak ktoś, kto ma ukochaną, nie robił też wrażenia kogoś, kto musi się liczyć z jakąś bliską osobą. Nie pojawił się żaden z tych zwyczajnych zwrotów, typu „Cóż, moja żona zawsze... mówi, że” albo „Myślimy o wyprawdzie z Londynu... „, A może były to moje pobożne życzenia? Dzięki temu zaskakującemu, dopiero co odkrytemu zainteresowaniu pojęłam nagle, dlaczego Carole była w tych swoich ostatnich dniach taka rozgniewana, tak zupełnie nietypowo dla siebie pozbawiona humoru. Utrata życia oznacza utratę tego rodzaju możliwości... Związanej z nimi przygody. Życia... tak intrygującego, tak zmiennego, zawsze nieznanego i pełnego niespodzianek. Utrata tego wszystkiego oburzała moją przyjaciółkę. Tej nieznannej obietnicy, nawet w najbardziej mrocznej godzinie. Śmierć usuwa nieznanne. Jest ona, jak mówią, jedyną pewną rzeczą. A to, co mnie przydarzyło się tamtego dnia na dworcu Tempie Meads w Bristolu – to nieprzewidywalne – było właśnie czymś takim, czego ona już nigdy nie doświadczy.

Zrozumiałam nagle, jakie mam szczęście, że żyję. Po czym natychmiast wróciłam do codzienności, przypominając sobie, że nie oddzwoniłam do siostry. Zamiast jednak tak leżeć z poczuciem winy, odwróciłam się po prostu i zgasłam lampę. Niech się wypcha. To była chwila mojej sekretnej radości i nie zamierzałam brać jej na wodze dla dobra całkiem niesiostrzanego stanu równowagi.

A więc trzeba żyć dalej. Moja radość nie była tym, nie teraz. Nie leżenie w tym wygodnym łóżku z miarowo oddychającym mężem u boku i całą tą jego miłością. Moja radość trwała w oczekiwaniu na to, co ma nastąpić. Matthew i Francis, pomyślałam, kiedy ostatecznie obezwładniły mnie nadchodzący sen oraz koniak. Matthew i Francis, i Ja. O, to miało już całkiem nowy wymiar. Tamtego ranka wyszłam z domu jako Francis i Ja. A wieczorem... Nie ma najmniejszej wątpliwości – było nas troje. No i w końcu zasnęłam.

KOKTAJLE Z MOJĄ CIOTKĄ

Bezrobocie odpowiedzialne jest za wiele różnych rzeczy. Włącznie z ułatwianiem potajemnych romansów. Gdyby Matthew musiał wstawać o wpół do ósmej rano i łapać autobus, sprawy mogłyby przybrać inny obrót. I gdybym ja musiała cztery razy w tygodniu wstawać i jechać samochodem do Stepney – sprawy też mogłyby się potoczyć inaczej. A tak mieliśmy nieograniczoną ilość czasu dla siebie. Jego finansował Wydział Ubezpieczeń Społecznych, a mnie mąż. Dwa wzory cnót nagle przeobrażone w mistrzów oszustwa i fałszu i żadne z nas nie splamiło się w związku z tym choćby chwilą refleksji. Byliśmy jak para nastolatków uciekająca ze szkoły. Tyle że o wiele bardziej pomysłowa pod względem erotycznym, jak teraz o tym myślę. Przeżywałam wariacki okres marnowania młodości – o trzydzieści lat później niż to zwykle bywa. Miałam przyjemność z każdej jej grzesznej chwili. A Matthew, którego młodość na pewno była zmarnowana, miał mnie.

Zaczęło się niefortunnie. Wyprałam chusteczkę i dwa tygodnie później wysłałam mu zaproszenie na prywatny pokaz indyjskich rycin i rzeźb w Wiesmann Centre, nieopodal jego mieszkania. Przy koniaku i osuszaniu moich łez powiedział mi między innymi, że w tym roku spędził miesiąc w Indiach i że chce tam znów pojechać. Poprzednio kupił tani bilet lotniczy, załatwił wizę, wziął plecak i wyruszył z Bombaju na południe. Teraz chciał się udać na północ. Podsunął mi to jako coś, co ewentualnie mogłoby przynieść pociechę.

– Coś w tym jest – oznajmił. – Indie po prostu dostarczają człowiekowi stawy duchowej. Jest w nich jakaś równowaga – cała ich struktura utrzymuje się w równowadze – upał i zimno stają się ciepłem i chłodem – tego rodzaju sprawy... Można zabrać swój żal i ból pod pomnik Gandhiego i miejsce to w jakiś sposób człowieka uświęci. Kwestia innych wartości. Inne życie, naprawdę. – Twarz mu się przeobraziła pod wpływem zapału. – Byłaś tam? Nie ma drugiego miejsca na świecie, do którego bym tak pragnął powrócić.

Wychwyciłam bardzo osobiste nutki w tonie jego głosu, co mnie urzekło.

Cóż, naturalnie, kiedyś tam byłam. Ale tylko raz. Podobnie jak ja, Francis był nastawiony na Europę. Lubiliśmy winnice Toskanii i Florencję, urocze hotele Sewilli i Madrytu, zimną, osobliwą Brugię i Amsterdam, gdzie jedynie sztuka podgrzewa krew. Indie nie pojawiały się już w moich planach podróży. Bardzo nam się podobały, kiedy tam byliśmy, kiedy zatrzymywaliśmy się w Radżasthanie i Gudżaracie, kiedy z umundurowanym przewodnikiem pływaliśmy łodzią po jeziorach, wynajmowaliśmy samochody i szoferów, a wszystko to robiliśmy w luksusowym, czasem ekscentrycznym, ale zawsze bardzo relaksowym stylu. Spędziliśmy tam nieco ponad dwa tygodnie. Przyznaliśmy, że było to duże przeżycie. Duchowe. Ale następnego roku wybraliśmy

Ravello.

– Bardzo bym chciała kiedyś tam wrócić – wyznałam Matthew. – Zawsze tego chciałam. – I nie mogłam się jakoś powstrzymać, żeby nie dodać: – Nie jestem pewna, czy mój mąż czuje to samo...

Przyglądałam mu się bacznie, żeby stwierdzić, czy ta ostatnia uwaga poruszy go w jakikolwiek sposób. Jakiś mięsień w jego twarzy delikatnie zadrgał. Całkiem bezwiednie spojrzałam mu prosto w oczy i się uśmiechnęłam. Zrobiłam coś, czego nigdy nie robię. I z zadowoleniem zauważyłam, że odwrócił głowę, nieco nieśmiało, jak sądziłam. A potem zmieniliśmy temat, tak to już jest, i nagle zaczęliśmy rozmawiać o coraz to krótszych nocach i o tym, jak długo trwała ta zima.

Tak więc to zaproszenie na prywatny pokaz było całkiem sensowne. Miałam nadzieję, że odczyta znaczenie mojego wyboru i zrozumie, że jest w nim przesłanie dla niego. I modliłam się, żeby nie był tak tępy jak większość mężczyzn z mojej rodziny – Francis, na przykład, w sądzie bystry jak kot dachowiec, a poza nim zupełnie pozbawiony sprytu. W jego przypadku żadne aluzje nie miały najmniejszego sensu, szczególnie dotyczące delikatniejszej materii. Kiedyś, podczas wakacji, próbowałam zasugerować, żebyśmy się wymknęli do łóżka... na co on oświadczył naszym współtowarzyszom przy lunchu, że „Dilys udaje się na górę, żeby się zdrzemnąć”. Jeśli chciało się czegoś od Francisca, należało to powiedzieć bez owijania w bawełnę. Nie mieliśmy przecież powodów, by stosować jakiegokolwiek skrót. Natomiast podtekst tego konkretnego zaproszenia był taki, że jestem zainteresowana Matthew na tyle, by pamiętać wszystko, co powiedział. I by ponownie chcieć go zobaczyć. Na karcie napisałam: „Pomyślałam, że to Cię szczególnie zaciekawi. Chusteczkę, czystą i wyprasowaną, oddam przy tej okazji. Dziękuję. Dilys”. Nie Dilly. Hmm? Czy to było znaczące?

Zapisałam numer swojego telefonu komórkowego w rożku karty i wtedy przypomniałam sobie, że przecież trzeba go włączyć. Potem spędziłam całutki tydzień w trwającej dzień i noc udręce. Nic. Kompletna cisza. Francis w ujmujący sposób stwierdził, że zachowuję się, jakbym nie mogła usiedzieć w miejscu. Poprosiłam nawet synową, żeby do mnie zadzwoniła; chciałam sprawdzić, czy to urządzenie działa. Działo. Istna rozpacz. I tak, wijąc się z upokorzenia, już się niemal poddałam. Gdybyśmy mieli kota, pewno bym go skopała. Idiotka, powtarzałam sobie sześć razy dziennie. Cholerna, głupia idiotka. A potem oczywiście zadzwonił, wieczorem, w dniu poprzedzającym pokaz, kiedy siedziałam z Francisem przed telewizorem, oglądając *Wielkie nadzieje*. Tytuł bardzo stosowny do sytuacji. Los. Niech go szlag. Mogłam przecież być gdziekolwiek. Mogłam być na zakupach, mogłam być w łazience, mogłam prowadzić samochód. Ale nie. Los zadecydował, że ma zadzwonić w momencie najgorszym z możliwych. W jednej chwili siedziałam sobie spokojnie obok męża, w następnej ciskałam się po pokoju jak oblana wrzątkiem papużka falista. I byłam spontanicznie serdeczna.

– Doskonale. Wspaniale. Tak, owszem. Dziękuję. Możesz? Tak się cieszę. Tak... nie... w pół do siódmej. Wyśmienicie. Jutro. Znakomicie! Och, nie... to ja tobie dziękuję. Do zobaczenia.

Francis musiał odnieść wrażenie, że zachowałam się jak jakiś zakonspirowany sierżant sztabowy.

– Kto to był? – zainteresował się.

No tak... kto to był? Dobre pytanie i niech Bóg go za nie pokarze. Zamarłam na moment, a potem oznajmiłam:

– Moja ciotka Eliza. Ciocia Liza.

Skąd się bierze ta umiejętność kręactwa? Francis wyglądał na zaskoczonego, co zrozumiałe.

Po co, ach po co to powiedziałam?

– Eliz a? – zdumiał się. – Trochę za szybko się jej pozbyłaś. Przecież ona musi mieć koło dziewięćdziesiątki.

Skinęłam głową w kierunku telewizora.

– Nie chciałam przegapić tej sceny pożaru. – Już wypowiadając te słowa, uświadomiłam sobie całkowitą niestosowność oglądania, jak inną starszą panią, choćby i postać literacką, ogarniają płomienie.

– Koło dziewięćdziesiątki – powtórzył, patrząc, jak panna Havisham zamienia się w żywą pochodnię.

– Kto?

– Liza.

– Mniej więcej.

Miałam wrażenie, że moje serce łomotem mogłoby obudzić umarłego.

– Stuknęła jej sześćdziesiątka, kiedy braliśmy ślub.

– Chyba tak. Nie... chyba troszkę mniej. Bliżej jej raczej do osiemdziesięciu pięciu. Może trzech.

– To dość niespodziewane.

– Pomyślałam sobie, że się z nią skontaktuję.

– Myślałem, że nie mogłaś jej odnaleźć, kiedy umarła twoja matka. Albo też nie chciałaś, czy coś takiego.

Poczucie winy jest czymś okropnym. Francis zadawał mi całkiem sensowne pytania, całkiem spokojnym głosem. A ja słuchałam tych sensownych pytań wypowiedzianych tym spokojnym głosem, jakby mój mąż był połączeniem funkcjonariusza Stasi i Gestapo.

– O co chodzi? – spytałam ostro. – Metoda trzeciego stopnia? – Potem spróbowałam się roześmiać. „Hi, hi” zabrzmiało, jakbym dusiła tę cholerną papużkę.

– No cóż... to sympatyczne. I tyle. Niewiele osób ze starszego pokolenia pozostało w twojej rodzinie.

– Tak naprawdę to ona nie jest rodziną. Wyszła za mąż za mojego wujka.

– Nieważne... Przecież pozostała już tylko Cora, a ją też rzadko widzujemy. Powinniśmy znowu tam pojechać...

Dla Francisa rodzina była ważna. Można ich kochać albo nienawidzić, ale to wspólna krew i

należy to cenić.

– Mhm – zgodziłam się.

Patrzyliśmy przez chwilę na film, po czym on zapytał:

– Dokąd się wybierasz?

Serce niemal przestało mi bić. Zdażyłam już zapomnieć o ciotce.

– Kiedy?

– Jutro. Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– O wpół do siódmej? Z Elizą? Ulga.

No tak, dokąd mogłam się wybierać w marcu, w środę, o wpół do siódmej ze zbliżającą się do dziewięćdziesiątki kobietą?

– Och, na koktajl. To jej urodziny. Ona uwielbia... och, no wiesz... ten z Cointreau i sokiem cytrynowym, i z...

– Białą Dame?

– Aha. Uwielbia ją. Ciągnie jak lemoniadę. Zabierać prawie dziewięćdziesięcioletnią ciotkę na koktajl? Chociaż wyglądało na to, że mi wierzy. Tak mi się przynajmniej zdawało.

– Dokąd?

– Och, jest takie miejsce niedaleko jej domu.

– A gdzie ona teraz mieszka?

Nie miałam zielonego pojęcia. Francis dobrze pamiętał; rzeczywiście nie mogłam jej odnaleźć, kiedy zmarła moja matka, a od tamtego czasu i tak jedna połowa rodziny nie rozmawiała z drugą połową, więc zupełnie straciłam z nią kontakt. Wymieniałam kartki bożonarodzeniowe z kilkoma kuzynami i sporadycznie odwiedzałam ciotkę Córę, która mieszkała w Norfolk. Pozostałe ciotki oraz wujowie ze strony matki już nie żyli. Eliza poślubiła wuja Arthura, najmłodszego z mężczyzn, ale gdy umarł, po prostu jakoś mi zniknęła. Nikt z rodziny Smartów nie miał nic dobrego do powiedzenia na jej temat, a ja nie miałam pojęcia, gdzie się podziewa. Ani nawet czy żyje. Zawsze była dość żywotna, więc istniało prawdopodobieństwo, że nadal przebywa na tym świecie. O cioci Lizie było wiadomo, że lubi mężczyzn. Niegodne u kobiety, przynajmniej wedle babki Smart. W swoim czasie miano ją wręcz za latawicę. Cokolwiek to znaczyło. Kiedy bowiem dorastałam, na naszej ulicy uważano, że latawicą jest ta, która częstuje mleczarza filiżanką herbaty, i ta, która idzie do łóżka z Johnem Profumo. Zatem mogła być latawicą jakiegokolwiek sortu, wyłączając, jak sądzę, rzeczywiste zatrudnienie w burdelu. Nigdy nie miałam dobrych kontaktów z moją kuzynką Alison. Ta córka Elizy i Arthura była ode mnie o kilka lat młodsza i bardzo lubiła podkreślać, że ona miała ojca, a ja nie. Nie miałam pojęcia, gdzie mogłabym ją znaleźć. Kłamstwo już jednak padło i nie bardzo mogłam się z niego wycofać. No więc... gdzie mieszka moja ciodca?

Pierwsze prawo łgarstwa mówi, że trzeba się trzymać jak najbliższej prawdy, i to właśnie usiłowałam zrobić. Dopiero w połowie słowa zorientowałam się, że zabrzmiało dość dziwnie.

– Paddington – odpowiedziałam Francisowi.

– Paddington?

Zaskoczony odwrócił wzrok od Magwitcha. Kiedy Francis słyszał o nich ostatni raz, mieszkali w Finchley, w bardzo stosownej, thatcherowskiej okolicy, natomiast Paddington miało reputację, dzielnicy przygodnego, mieszanego towarzystwa... i znane było z narkotyków.

– Ale właśnie ma się przeprowadzić.

– Dokąd?

– Nie wiem – odparłam, uradowana nagłym przeblyskiem inteligencji. – Dowiem się jutro.

Roześmiał się.

– No cóż, nie przesadzaj z Cointreau... żebyś jej nie uśmierciła. Mam jechać z tobą?

– Nie – odparłam zdecydowanie za szybko. – Dam sobie radę.

– To może przyjadę po was? Przywitam się z nią, odwiozę do domu, a potem my możemy pójść na kolację.

– Ona wstydzi się mężczyzn – powiedziałam. – Trochę się ich boi. Nie wiem dlaczego.

Modliłam się, żeby sobie nie przypomniał, że to właśnie ona tańczyła z nim na naszym weselu, przytulając się i wpatrując w niego, przewracając sugestywnie oczami i powtarzając, że gdyby tylko była o dwadzieścia lat młodsza... i nie przejawiała najmniejszego lęku. I to ona oznajmiła mu, z wytwornym akcentem spikerki radiowej z lat trzydziestych, że jej ojciec też zostałby prawnikiem, gdyby nie to, że był odnoszącym sukcesy biznesmenem.

O tak, ciotka Liza przepadała za pompą i blaskiem. Rodzina ledwie ją tolerowała – jak ledwie tolerowała wszystkich ludzi z zewnątrz – i nigdy jej nie wybaczyła, że zadzierała nosa. Przypomniały mi się urywki rozmów z dzieciństwa.

– Zawsze się uważała za lepszą, niż jest – mówiła moja matka. – Biznesmen, też mi coś. Jej ojciec miał kilka sklepików mięsnych.

– Ale się z nią kumpłowałaś, Neli – rzuciła ostrym głosem babka.

Matka wyraźnie poczuła się nieswojo.

– Tak, owszem, to było, jeszcze zanim się tak zaczęła pysznić. Komu by zresztą teraz zależało na rozmowie z nią.

Babka była jednak bardziej szczerą.

– To cholerna snobka – oznajmiła. – I lubi mężczyzn. Nie dziwota, że Arthurowi tyle czasu zabrało...

I obie kobiety pokiwały głowami, milcząco, z dezaprobatą.

– Co tyle czasu zabrało wujowi Arthurowi? – spytałam. One jednak dalej się już nie posunęły.

Moja rodzina różniła się krańcowo od rodziny Francisa: gromadki starych, zabawnych byłych wojskowych. Zarówno jego ojciec, jak i stryj żyją jeszcze i mieszkają w tym samym domu dla emerytowanych wojskowych, Richmond Lodge, gdzie grają w brydża i popijają różowy dzin. Ojciec ma osiemdziesiąt sześć lat i poza lekką głuchotą oraz kontuzjowanym kolanem jest w świetnej kondycji. Stryj Samuel jest o dwa lata starszy i nieco zniedołężniały, i z

tego właśnie powodu ojciec Francisca dołączył do niego. Richmond Lodge stanowi zresztą doskonały przykład tego, jaki wpływ na życie, w każdym jego okresie, mają pieniądze. Jest ono jakby połączeniem oficcerskiego kasyna z hotelem wysokiej klasy. Mimo że wspomagają je wojskowe instytucje charytatywne, wciąż należy do kategorii drogich. Tymczasem moja ciotka Cora z Norfolk żyje w prowadzonym przez lokalne władze samorządowe domu, którego, choć jest przyjemny, nie zaprojektowano z myślą o indywidualnych potrzebach pensjonariuszy. Skłonna byłam zaoferować jakąś długoterminową pomoc finansową – przenieść ją do czegoś prywatnego, lepszego – ale kuzynostwo nie chciało o tym słyszeć. Jest ich matką i oni sami wszystkim się zajmą.

Członkowie mojej rodziny należeli, by użyć określenia Shawa, do tych „potrzebujących”. Dziesięcioro ciotek i wujków. Dziesięcioro dzieci w domu z czterema sypialniami w Islington, obok sklepu rybnego. Babka brała do domu pranie i przyjmowała lokatorów. Wychowała całą dziesiątkę samodzielnie, po tym jak dziadek wyniósł się za najbliższy róg, żeby zamieszkać z inną kobietą. Może ta nowa gotowa była od czasu do czasu powiedzieć, że go kocha. Pamiętam, że babka Smart raz tylko wspomniała dziadka Smarta, gdy opowiedziała nam, jak wrócił kiedyś w oplakany stan, opity tanim piwskim, a ona przyłożyła mu patelnię w głowę. Myślę, że po czymś takim każdy pomyślałby o wyprowadzce.

Moja matka była dziewiąta z kolei i wszyscy hołubili ją jako ostatnie dziecko w rodzinie, dopóki nie pojawiła się ciotka Daff. Biedna matka... nic nigdy do końca jej się nie udało. Wyglądało na to, że przez całe życie będzie dostawała tę czarę szczęścia po to jedynie, by było jej co odebrać.

Wszystkim ciotkom się powiodło; wyjątkiem były matka i Daff, te dwie najmłodsze. Im poszło źle, a właściwie bardzo źle. Do moich uszu dotarło, że w obydwu przypadkach powodem nieszczęścia byli mężczyźni: matka po prostu spotkała i poślubiła drania, a ciotka Daff urodziła nieślubne dziecko innego drania, który w tym czasie był żonaty i który nie zamierzał przestać być żonaty. Kilka lat później przyszedł zalecać się do mojej matki – blondyn, o szczupłej twarzy, nie wyjmujący z ust papierosa. Kiedy się nią zainteresował, był już wdowcem i kontrolerem biletów w autobusach – bardzo mile widziana partia. Pamiętam, że podsłuchiwałam którąś z ciotek, jak namawiała matkę, by go zaakceptowała, przekonując, że małżeństwo ujęłoby jej nieco ciężaru (co pozwoliło mi ujrzeć oczyma wyobraźni matkę przedzierającą się przez dżunglę jak tubylcy w książkach). Matka jednak kręciła głowę. „Niekoniecznie – mówiła. – Poza tym, jak mogłabym wyjść za kogoś, kto zrobił dziecko Daff?” Od tego wszystkiego miałam niezły mętlik w głowie.

Ciotka Daff wylądowała ostatecznie w domu komunalnym. Podczas gdy my wynajmowaliśmy mieszkanie w domu prywatnym. Nie był może wspaniały, ale... nie był komunalny... Jeszcze jedna zagadka z dzieciństwa: Co takiego złego było w słowie komunalny? Potrzebujący odpowiedzieliby na to: pachniało ono przytułkiem i dobroczynnością – a co najgorsze – pachniało prostactwem.

Virginia i ja pomieszkowałyśmy w dzieciństwie u różnych ciotek i wujków, żeby nasza

borykająca się z trudnościami matka miała choć trochę wytchnienia, i każde z nich traktowało nas po swojemu, to znaczy na ogół serdecznie. Jedynie w domu wuja Arthura i ciotki Lizy było trudniej. Jeździłyśmy do nich całkiem często, aż pewnego dnia Virginia wydorowała na tyle, żeby powiedzieć nie, jeździłam więc już sama. Kiedy miałam jakieś dziewięć czy dziesięć lat, moje wizyty gwałtownie się urwały. Najwyraźniej powodem była, jak to określała babka, „niewyparzona gęba” Lizy, która powiedziała coś, co uczyniło ją rodzinnym pariasem. Bo nasza rodzina, zupełnie jak rodzina jakichś mafiosów, miała swój honor. Otóż Eliza, zabrawszy mnie oraz najmilszą Ally, swoją córkę, na zakupy, powiedziała konduktorowi autobusu, że jestem jej „ubogą krewną”. A że wyrażenie to zabrzmiało w moich uszach bardzo romantycznie, powtórzyłam je matce. Co wywołało w rodzinie zamęt porównywalny z trzecią wojną światową. Tym bardziej że przypadkowo było to prawdą.

– Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam... – powtarzała matka. – Gotowa jestem...

Wsluchiwałam się w każde jej słowo i zastanawiałam, na co rzeczywiście jest gotowa, ona jednak, zauważywszy moje spojrzenie, zamilkła i kręciła jedynie głową.

– Żadna córka rzeźnika z Marylebone nie będzie nazywała mojej rodziny swoimi ubogimi krewnymi! – grzmiała babka Smart. A potem przyjrzała mi się zmrużonymi oczyma. – Mogłam się była domyślić, że będą przez ciebie kłopoty.

Virginia z satysfakcją podjęła temat.

– Mogłabyś trzymać gębę na kłódkę – oznajmiła, doskonale wręcz naśladowując ton babki. – Jesteś jednym wielkim kłopotem.

Moja babka i siostra były wielkimi sojuszniczkami.

Od tamtej pory ciotka Liza była odsunięta od spraw rodzinnych. Owszem, przychodziła na śluby i pogrzeby, na inne ważne uroczystości, jednak traktowano ją chłodno i bez wątplenia wiedziała, że zawdzięcza to mnie. Co czyniło wybór ciotki Elizy na przykrywkę dla mojej schadzki posunięciem dość dziwacznym.

Musiałam się uśmiechać do tych wspomnień, bo Francis spojrzał na mnie i odpowiedział uśmiechem.

– Jesteś taka serdeczna – oznajmił niemal bezwiednie... Ot, taka sobie ulotna uwaga rzucona podczas spoglądania na przesuwające się po ekranie napisy.

W ciągu kilku zaledwie dni moje małżeńskie antenki stały się niezwykle wyczulone. Mieszanina dumy i przerażenia, jaką wywołały u mnie jego słowa, spowodowała, że zrobiło mi się słabo, kiedy odczytałam w jego oczach tę deklarację, która miała się stać moim przekleństwem. Miłość. A najbardziej wstrząsające było to, że czułam...

czułam złość spowodowaną tym jego uczuciem. I jeszcze To Pytanie: Siedzimy sobie tutaj wygodnie, o dziesiątej wieczór, zupełnie sami – może poszlibyśmy trochę wcześniej do łóżka... ? Nie, tylko nie to.

– Coś dzisiaj jestem śpiąca – oświadczyłam.

On ścisnął moje kolano, ze zrozumieniem, ani trochę nie zaniepokojony. Wyłączyliśmy

telewizor. Ziewnęłam bardzo znacząco.

Oszukiwanie. Robiłam się w tym dobra. Tuż po zgaszeniu światła powiedziałam, znowu przekonywająco ziewając, że skoro będę jutro w tamtej okolicy, to przed spotkaniem z ciotką wpadnę chyba na wystawę. Nie wymieniłam nazwy galerii. Francis jedynie coś zamruczał. Gdyby mnie ktoś tam zobaczył i mu o tym powiedział – mało prawdopodobne, ale zawsze – przynajmniej nie byłoby w tym nic podejrzanego.

Następnego popołudnia wybrałam się taksówką, ponieważ chciałam tam przybyć w idealnym stanie. W torebce miałam czystą, białą chusteczkę, włosy świeżo ułożone, odrosty pokryte najlepszą czarną farbą, jaką fryzjerowi udało się kupić. Moje odziane w nowiutką kaszmirową sukienkę ciało rozsadała energia. Sukienka, pomyślałam z podnieceniem, jest z rodzaju tych, co to rzucają refleksy na skórę i powodują, że wygląda się młodziej. Z drugiej wszakże strony, kiedy pomyślałam o cenie tej sukienki, poczułam się zdecydowanie starszej... Ale – niech tam – stać mnie na nią.

Taksówka dowiozła mnie za wcześnie. Wpadłam do Weismanna niczym przejęta nastolatka, wzięłam kieliszek wina i powędrowałam wokół, zupełnie jakby mnie obchodziło to, co wisi na ścianach. W rzeczywistości w tamtej chwili nie byłam w stanie dostrzec niczego. Poza tym, że jego tam jeszcze nie było. Odprężyłam się. Zanim się pojawi, zdążę uspokoić tłukące się dziko serce i odzyskam kontrolę nad pęcherzem.

– Halo?

Odwróciłam się.

Stał tam. Te błękitne, bardzo błękitne oczy, przerzedzające się jasne, krótko przystrzyżone włosy, ten uśmiech zbyt szerokich ust i jakiś luzacki, czarny garnitur z dżinsową koszulą. Całkowite przeciwieństwo Francis'a. Francis zawsze robił wrażenie nieco wymuskanego, nawet kiedy był w dżinsach. Trzeba było połączonych sił całej rodziny, by mu wyperswadować kanty na lewisach. Matthew wyglądał jak zachęta do superrelaksu na pograniczu zaśnięcia. Nie był to styl wysoki. Nie był to śmietankowo-biały kaszmir, ale było to coś Bardzo Aktualnego, na pewno. Ja jednak byłam tak zadowolona, że równie dobrze mógłby mieć na sobie spódniczkę baletnicy – zupełnie by mnie to nie wzruszyło. Byłam uszczęśliwiona, że go widzę. On też robił wrażenie uradowanego moim widokiem, uśmiechał się bowiem od ucha do ucha i wydawało się, że docenia to, co widzi. Chociaż czy chodziło o sztukę, czy o mnie, nie potrafiłabym powiedzieć... Wcale nie był przystojny; nie miał regularnych rysów, nie był też wysoki i dystyngowany jak Francis. Po prostu zwyczajna twarz, przeciętna budowa... i tylko te przenikliwe, błękitne oczy. Wyglądał młodziej, niż go zapamiętałam, wygładzony, jakby ubyło mu kilka lat. To samo o mnie powiedział mój fryzjer. „Coś panią odmłodziło”, zauważył przy nakładaniu tej hebanowej farby.

Matthew wyglądał, jak mi się zdawało, na trochę onieśmiałonego. Co zresztą, jak wszystko inne, nie było ważne, bo przecież stał tam, przede mną z szerokim uśmiechem na twarzy.

A potem nadszedł ten niefortunny moment.

– A to – oznajmił – jest Jacqueline.

Nie wiem, co na to odparłam. Mam nadzieję, że nie to, co sobie pomyślałam: Jak można mi robić coś tak okropnego, chyba się rozplacę. Czułam się, jakbym rozpakowując paczkę z urodzinowym prezentem, znalazła w niej szczura. To, co zrobił, było okrutne... a on nawet nie był tego świadom.

– Piliście już coś? – Pamiętam, że zadałam takie pytanie. Jacqueline, która była mniej więcej w wieku Petry i jak ona miała bladą, niezdrową, pozbawioną makijażu twarz kogoś, kto zbawia naszą planetę i nie jada mięsa, wzięła szklanekę z wodą. Dostrzegłam, jak ręka Matthew błądzi niezdecydowanie od soku pomarańczowego do wody i wreszcie do wina... pomyślałam, że tego już za wiele, i wcisnęłam mu w dłoń kieliszek białego wina. Wyglądał na zaskoczonego, ale kieliszka nie wypuścił.

– Matthew był kiedyś dla mnie bardzo miły... – zaczęłam i rozwinęłam dezawuuującą moją osobę opowieść o naszym spotkaniu. Wewnątrz czułam się jak wytrzęsiona galareta. Jak mógł ją tutaj przyprowadzić? Jak mógł?

– Czy pani mąż jest tutaj? – spytał, rozglądając się wokół ponad moim ramieniem.

– Nie... Indie niespecjalnie go interesują – wyjaśniłam. A potem, zwracając się do Jacqueline, spytałam: – Była tam pani?

Pokręciła głową.

– Mattie był sam. Ja pojedę następnym razem. Mattie?

Dar boży, ewangelista, poborca podatkowy przeobrażony w świętego, następca podłego Judasza, a ona nazywa go Mattie... Jakież, do diabła, ma prawo nazywać go, jakby był małą matką? Krew mi się zagotowała.

– Tam jest cudownie – oznajmiłam. Spojrzałam mu prosto w oczy i dodałam: – Ja też zamierzam tam znów pojechać. Pobudziłeś mój apetyt, Matthew... – Włożyłam w te słowa wszystko, na co było mnie stać, zrobiłam krótką przerwę i dokończyłam radosnym, beztroskim tonem: – Może wszyscy się tam spotkamy... ? – Perlisty śmiech. Kurtyna. Ja, Dilys Holmes, zakończyłam swój flirt.

Czasami bogowie okazują swoją dobroć, a czasami nie. W tym momencie zechcieli wyświadczyć mi drobną uprzejmość. Na ścianie, bezpośrednio za plecami Mattiego, wisiało coś bardzo niezwykłego. Coś, z czym najprawdopodobniej wegetarianka o imieniu Jacqueline nie potrafiłaby się zmierzyć. Ja sama zresztą nie byłam pewna, czy dam temu radę. O rzeźbiarzach z Wrindawanu na pewno można powiedzieć, że sławili ziemskie namiętności i lubowali się w przedstawianiu gubiących odzienie pasterek. Daje się to odczuć, szczególnie kiedy samemu się jest w odpowiednim nastroju.

– Och, aha, hm. Na waszym miejscu nie odwracałabym się – rzuciłam znacząco.

Naturalnie oboje się odwrócili, a ja miałam przyjemność ujrzeć, jak ona oblewa się soczystym pąsem, a jego kark oraz koniuszki uszu nabierają ponętnej barwy piwonii. No i co, Małamoto, pomyślałam sobie. Gdzie jest teraz twoje poczucie równowagi? Ciepło i chłód, też mi

coś. Raczej już gorąco i goręcej, jeśli się nie mylę. Głośno natomiast powiedziałam:

– Hmm, no tak, widzę teraz, Matthew, co masz na myśli, mówiąc o tym, że poczucie równowagi w Indiach jest inne. Jestem pewna, że gdybym coś takiego robiła, to na pewno bym spadła.

– Nie, gdyby cię odpowiednio trzymano – oświadczył gładko, sunąc ku rzeźbie jak na dobrze naoliwionych kółkach.

Jacqueline roześmiała się. Śmiech ten świadczył, że ona dokładnie wie, o czym on mówi.

Ja też się roześmiałam, starając się by nie zabrzmiało to tak, jakbym chciała to wypróbować.

Później, kiedy snuliśmy się wokół wystawy, wszyscy troje, spytał mnie, jak tam moje odczucia w związku z Carole, a kiedy odpowiedziałam, że nie najlepsze, dotknął mojego ramienia i wygłosił pasujące do sytuacji zdania o tym, jak to trzeba czasu, mnóstwo czasu. Że trzeba łagodnie, nie starać się na siłę tego przezwyciężyć, że trzeba o tym rozmawiać... Och, wiele takich właściwych słów, a wszystkie wydawały się pozbawione sensu, ponieważ Jacqueline miała tę „tak-mi-cię-żał” minę, a ja sobie myślałam: Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo powinnaś mi współczuć, ty wyblakła, nędzna weganko. A potem przeprosiłam oboje, mówiąc, że muszę się spotkać z ciotką, a oni wyszli ze mną. Na schodkach, kiedy Jacqueline owijała wokół swej chudej szyi wielki, bardzo włochaty szalik – co zabrało trochę czasu – on odezwał się cicho:

– Miło było cię znowu zobaczyć.

– Tak – rzuciłam radośnie. I to było już wszystko.

Odeszli, żeby złapać autobus – Jacqueline wcisnęła swoją małą mackę pod jego ramię – a ja powlokłam się na oślep w poszukiwaniu taksówki. Dopiero w jej wnętrzu, szukając czegoś, czym mogłabym otrzeć łzy – głównie rezultat wściekłości na siebie samą – uświadomiłam sobie, że ostatecznie nie oddałam mu chusteczki. Wobec czego wydmuchałam w nią nos, bardzo energicznie, i zdecydowałam, że tym razem może ją uprać ona, jego przyjaciółka. Pranie w tych ekologicznych mydlanych proszkach może jej zabrać nieco czasu. Chustka cała była ponownie wymazana tuszem do rzęs. Może takie miało od teraz być moje życie? Płacz i zawroty głowy, i zgrzytanie zębami pośród straszego wiru czegoś nieodwzajemnionego? Nie byłam w stanie o tym myśleć. To wina Carole, że sobie umarła. Wina Francisa, że dostał grypy. Jakoś to minie.

Kazałam taksówkarzowi zatrzymać się w odległości półgodzinnego spaceru od domu, żeby nie wrócić za wcześnie. Było dopiero parę minut po ósmej. Czułam się jak nieszczęśliwa, upokorzona, a na dodatek głupia idiotka. Znowu miałam wrażenie, jakbym dobiegała sześćdziesiątki. Jak mogłam wziąć przyjacielskość za prawdziwe zainteresowanie? Ale też nie byłam w stanie zapomnieć jego słów: „Nie, gdyby cię odpowiednio trzymano... „ Spacer – forsowny marsz byłby chyba właściwszym określeniem – nie pomógł. Może i dobrze się stało, że nikt tego wieczoru nie próbował mnie napaść. Bo zostałyby z niego mokra plama.

Kiedy dotarłam do domu, Francisa nie było. Zadzwoeniłam do kancelarii. Pracował.

– Jak tam koktajle? – spytał, myśląc o czymś zupełnie innym.

– Bardzo mocne. Wypiła dwa i miała ochotę na więcej. Późno wrócisz?

– Sądzę, że około północy. Nie czekaj na mnie. Aha, Dilys?

Serce zabiło mi mocniej na ton, jaki zabrzmiał w jego głosie. – Tak?

– Pamiętaj, że musisz wypić mnóstwo wody. – Roześmiał się w ten swój „och, wy dziewczyny” sposób i odłożył słuchawkę.

Ja też odłożyłam słuchawkę i pokręciłam się trochę po domu. Napelniłam wannę. Próbowałam nie myśleć. Zjadłam jabłko. Włączyłam telewizor. Wyłączyłam telewizor. Opróżniłam i ponownie napełniłam wannę, bo woda tymczasem zdążyła wystygnąć. Powiedziałam sobie, że wszystko jest w porządku. Zarówno twarz, jak i małżeństwo zostały uratowane. To tylko ja zachowuję się absurdalnie. Rozebrałam się i właśnie w momencie, w którym wchodziłam do wanny, zadzwonił mój telefon komórkowy. Zadrżałam. To na pewno pomyłka. Przecież mam go jedynie na wszelki wypadek. A i tak to guzik daje, skoro zapominam go włączyć, co zresztą z wielką lubością wytykają mi synowie. Teraz jednak był włączony. I dzwonił. Serce znów zaczęło mi łomotać. Nie. To niemożliwe. Odebrałam jednak i usłyszałam głos Matthew Todda.

– Tu Matthew – powiedział, a ja nie bardzo wiedziałam, co robić. – Chciałem ci podziękować. – Nagle odjęło mi mowę, ale nie odjęło tego miarowego łomotania serca. Na jego powtórzone, doskonale brzmiące „Halo?” wydusiłam z siebie jedynie: „Iii”. Spytał raz jeszcze: – Dilys?

Wreszcie mi się udało.

– Halo. – Usiadłam na zimnym brzegu wanny, nagusienka jak podstarzała Wenus Botticellego, i zamieniłam się w słuch. Tylko to byłam w stanie zrobić.

Powtórzył, że dzwoni, by raz jeszcze mi podziękować – nawet ja pomyślałam, że to niezbyt przekonujące, zważywszy, że zegar właśnie wybijał dziesiątą. Odparłam, że cieszę się, że im obojgu podobała się wystawa.

– Owszem – powiedział nieco chłodniejszym tonem.

– Świetnie.

Brnął dalej, nieudolnie opowiadając, jak to miło z mojej strony, że pamiętałam o jego indyjskiej wyprawie, że przypomniało mu to dobre chwile. Potem przerwał, a po chwili dodał, że – także – bardzo miło mu było znów mnie zobaczyć.

– Tak – powiedziałam. Za cholerę niczego ode mnie nie wyciągnie.

Następna krótka przerwa. Ani słowa, mówiłam sobie. Nie wypełniaj niczym tej luki.

– No tak, więc... – odezwał się. Zabrzmiało to pożegnalnie.

– Och – rzuciłam pospiesznie. – Zapomniałam ci oddać to, po co przyszedłeś.

Nastąpiła króciutka chwila wahania, taka, jakiej należałoby w tym miejscu oczekiwać.

– To znaczy co?

– Twoją chusteczkę.

Tym razem nastąpiła właściwa chwila milczenia. Potem zapytał:

– Co teraz robisz?

Cóż, bądźmy szczerzy, jak często los oferuje człowiekowi ten najdoskonalszy z momentów?

– To zabawne – odpowiedziałam – ale właśnie wchodzę do wanny. Zupełnie dosłownie... zamierzam właśnie zanurzyć w wodzie czubek palca.

Nastąpiła jeszcze jedna krótka przerwa, a po niej bardzo cicho: – Och. Potem zdawało mi się, że słyszę przejeżdżający autobus.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– Na rogu Pittsburgh Street i... aaa... Prebend Place. Teraz ja powiedziałam:

– Och. – Moje serce znów nabrało tempa. – To tuż za rogiem.

– Wiem.

Nie było już odwrotu. Minał odpowiedni moment, żeby się wycofać. Czego, naturalnie, nie uczyniłam.

– Jesteś sam? – spytałam.

– Owszem. A ty?

– Wyjdę, do ciebie. Daj mi dziesięć minut. Muszę coś na siebie włożyć.

A potem to usłyszałam. Bardzo cicho. I bardzo wyraźnie. Jak głos pierwszej, wytęsknionej kukulki na wiosnę. Wyraźnie, bardzo wyraźnie, usłyszałam to, na co czekałam.

– A musisz?

– A Jacqueline?

– Moja była... czy prawie już moja była...

– Ona tego tak nie postrzega... ?

– Nie...

– Mieszkacie razem?

– Na razie...

– To trudne.

– A ty... twój mąż?

– Umówmy się, że nie będziemy rozmawiać o... żadnym z nich.

– W porządku.

– Pójdziemy na drinka?

– Nie, chodźmy w kierunku Hammersmith. Wzdłuż rzeki. Porozmawiajmy. Gdzie twój... ?

– Mam około godziny.

– Przypuszczam, że tak to jest...

– Pewnie tak.

– Czy ty...

– Nigdy. A ty?

– Nii.

– Zawsze ten pierwszy raz.

– Ano.

Nie sądzę, by Francis powiedział kiedykolwiek w życiu „nii” czy „ano”. Nawet te słowa –

Boże, ratuj mnie – były jakieś inne... podniecające.

Niebezpieczne, głupie... to te inne słowa, które przyszły mi na myśl.

To przerażające szczęście, ten szczególny rodzaj szczęścia. Szczęście zakazane, którego nie potrafimy powstrzymać, niezależnie od tego, jak bardzo się staramy. Śmiejemy się, idziemy w milczeniu, dotykamy, cofamy się, dotykamy, czujemy wybuchy w głowie i ciele i uważamy, że moglibyśmy rzucić wszystko, żeby tylko ta chwila trwała wiecznie. Z ostatnim śladem niewinności, którym dla Sartre'a było formowanie się płodu w macicy, macie do czynienia wtedy, kiedy jesteście niemal nazbyt czuli, by się wzajemnie dotykać. Robicie przegląd szczegółów, które was do siebie przyciągają – kiedy się pierwszy raz zorientowaliście, dlaczego w ogóle? Odnajdujecie miejsca jeszcze na to nie przygotowane i otwieracie je na siłę. Udajecie. On nie pyta o twoje dzieci, ty o jego przyjaciółkę. Żyjecie chwilą. Żadnej przeszłości, żadnego jutra. Jedynie teraz. Ty pokazujesz się z najlepszej strony i on pokazuje, co najlepsze u niego. To jak jakaś bardzo subtelna reklama albo pierwsze dni jakiegoś nowicjusza. Każdy żart jest śmieszny, każda wypowiedź ważna, nie istnieje nikt inny. A potem następuje ten krótki moment wahania, kiedy zatrzymujecie się oboje i udajecie, że chcecie popatrzeć na rzekę, odwracacie wzrok od rzeki, by spojrzeć sobie w oczy, i całujecie się. Ot tak. W publicznym miejscu. Za późno, by się wycofać. Oboje znajdujecie wytłumaczenie. Twierdzicie, że nigdy sami czegoś takiego nie poszukiwaliście. Tak naprawdę nie wiecie, co was naszło – i znów się całujecie, i idziecie dalej mocno spleceni, nie znajdując śmiałości, by powiedzieć, jak się czujecie szczęśliwi, wiedząc, że rzecz już jest przeklęta.

Potem następuje pożegnanie, skryte, za rogiem, z dala od ulicznej lampy, podniecające do chwili, w której ci świta, że to ukrywanie to nie dziecięca zabawa, ale wprost przeciwnie, coś bardzo dorosłego – tak dorosłego, że ma specjalną nazwę: cudzołóstwo. Spychasz to gdzieś w kąt świadomości i przyrzekasz wkrótce ponownie się spotkać – szyfry już umówione, pożegnalne dotknięcia, zrozumienie, dokąd to doprowadzi – co jest jednocześnie przerażająco erotyczne i zwyczajnie przerażające. Niemalże ulga, że jesteś sama, by to przetrwać, przemyśleć, zastanowić się. A potem ten bardzo wyrazisty świat, kiedy wspinasz się po schodkach i otwierasz dobrze sobie znane drzwi i wchodzisz do ciepłego, jasnego wnętrza, które przestało być czyste i uczciwe, a stało się niczym więzienna cela, mroczne i groźne, bo już na zawsze je odmieniłaś. Nie ma odwrotu. Ten bladoszary luksusowy dywan, te obrazy, te kwiaty, to lustro w hallu, które wybrałaś wspólnie z mężem – wszystko to teraz nic nie znaczy. Idziesz na górę, świadoma tego wszystkiego, a przecież nucisz sobie... jesteś szczęśliwa. To czyste szaleństwo, ale równie nieuchronne jak kichanie po zaciągnięciu się pieprzem... i równie niepohamowane. Twój szczęśliwy dom. A ty właśnie spuściłaś bombę prosto w jego środek.

DZIELNICA ZWANA PADDINGTON

Uprawianie seksu z dwoma mężczyznami na zmianę, jest zajęciem niebezpiecznym. Jeśli jesteś w łóżku z obydwojema naraz i oni są tego świadomi, to można ci wybaczyć drobne nieścisłości co do imion, jeśli natomiast masz do czynienia z każdym z osobna i w innym miejscu, to się strzeż. Poza ryzykiem, że wyszepczesz niewłaściwe imię w kluczowym momencie – i odkryjesz, że on wpatruje się w ciebie zaskoczony, po czym usłyszysz coś w rodzaju: „Wybacz, ale na imię mi George” – istnieje prawdopodobieństwo, że wcześniej czy później jeden z nich odkryje, że nie wkładasz w to serca. Istnieje też trzecie niebezpieczeństwo – że doprowadzisz się do szaleństwa, wyrzucając sobie, że robisz to komuś, kto ci ufa. Radziłabym unikać tego ostatniego, co nie znaczy, że sama potrafiłam.

Gdzieś wewnątrz trawił mnie ten nieodłączny płomyk pretensji, że mojemu kochankowi jest pod tym względem tak łatwo, podczas gdy mnie tak trudno. Każdego dnia musiałam patrzeć w oczy Francisa, chyba że był poza domem – a nawet wówczas do mnie dzwonił, jeśli tylko nie udało mi się wymyślić odpowiednio przekonującego kłamstwa o jakichś pozadomowych zajęciach. Główną rolę w tych kłamstwach odgrywała moja odkryta na nowo ciocia Liza. Oprócz śmiertelnie groźnych popołudniowych koktajli wrzucałam w jej ponadsiemdziesięcioletnie gardło wiele innych rzeczy: podwieczorek, obiad, szampana z naszej piwniczki – Francis nakrył mnie, gdy chowałam butelkę do bagażnika – piernikowe ludziki z penisami (w pełnym wzwodzie); kiedy je piekłam, wyczuł zapach, ale na szczęście ich nie widział... I brał to wszystko za dobrą monetę. Co ja, w tamtych uderzających do głowy dniach, uważałam za oczywiste. Nawet jednak najbardziej ufego mężczyznę musi dopaść taka chwila, kiedy zaczyna uważać, że jest coś dziwnego w nieprzemijającej gotowości żony do towarzyszenia sędziwej powinowatej. Tego momentu obawiałam się najbardziej. Chwili, w której będę musiała wymyślić inne oszustwa, zaplatać się w gęściejszą, bardziej lepka pajęczynę.

Jasne, nie ma mi czego współczuć. Nie lubisz oszukiwać męża? To nie rób tego. Dzięki ci, święta Agnieszko. Każda chwila, w której oszukiwałam Francisa, była mi nienawistna. Jednocześnie uwielbiałam każdą chwilę spędzaną z kochankiem. A podczas gdy ja wysilałam się i pociłam, żeby wszystko szło gładko, Matthew odzyskał nagle wolność. Co było i jednocześnie nie było pomocne. Gdyby nie odzyskał tej wolności tak szybko, być może trochę lepiej rozumiałby tortury mojej wewnątrzmałżeńskiej zonglerki. On tymczasem był wolny, bez zobowiązań i dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę... co było dla nas obojga taką ulgą i taką radością, że zapomniałam mu przypomnieć, że ja zdecydowanie wolna nie jestem.

Zanim się wyzwolił, jedynym, jak się wydawało, sposobem rozejścia się z Jacqueline było

wyprowadzenie się z własnego mieszkania i znalezienie sobie czegoś innego, przynajmniej na jakiś czas.

– Szkoda, że muszę się wyprowadzić – narzekał. – Wynajmuję to mieszkanie od ośmiu lat.

Było w tym coś ekscytującego – coś jak z życia cyganerii – w porównaniu z absolutnym bezpieczeństwem mojego dotychczasowego domowego układu.

– Nie pomyślałeś o kupnie? Roześmiał się.

– Byłem przecież w nieustannym ruchu.

– Coś znajdziemy – pocieszałam go. – Dołożę do czynszu.

Mieszkanie musiało być tanie, ale zdecydowanie odrzuciłam pomysł Matthew – jego zdaniem rozsądny i praktyczny – by zainwestować w starego dormobile’a. Wehikuł miłości, jak go zwał. W takich chwilach jest się świadomym swojego wieku. „Ani dormobile, ani żaden inny mieszkalny samochód – powiedziałam. – Nawet o tym nie myśl”. Prawdę mówiąc, niektóre lokale, zwane przeważnie „kawalerkami”, które oglądaliśmy razem w tych gorszych okolicach południowego i zachodniego Londynu, nie oferowały lepszych warunków niż samochód zaparkowany na poboczu. W Acton, gdzie znaleźliśmy mieszkanie z osobną sypialnią, gospodarz otworzył szeroko oczy na naszą wzmiankę o umeblowaniu.

– Tu nie ma łóżka.

– No to wstawią państwo własne.

– Nie ma stołu ani krzeseł, ani lodówki...

– Są zasłonki na oknach. Jesteście z innej planety czy jak?

Mimo to prawie już je wzięliśmy, kiedy – po naszej wstępnej zgodzie – właściciel oświadczył, że istnieje jeszcze kwestia kaucji. Dwóch tysięcy funtów.

– Mogłabym – oznajmiłam niezbyt chętnie.

– Mowy nie ma – odparł na to Matthew. – Nie dałbym mu złamanego szeląga. – I wymaszerował stamtąd, nie bacząc na rzucającego nieźle dobranymi przekleństwami gospodarza.

– Teraz już wiesz, dlaczego tylu ludzi mieszka po bramach – powiedział. – Z powodu takich śmieci jak ten facet.

– Posłuchaj – powiedziałam jakiś czas później – następnym razem mogę podjąć pieniądze... bez żadnych problemów. Musze, tylko wiedzieć troszkę wcześniej.

Nie dodałam, że prawdziwy problem tkwi w tym, że mamy z mężem wspólne konta. Ani tego, że Francis okazał zupełnie jak na niego nietypowe zdziwienie tym, ile ostatnio wydałam z rachunku bieżącego. Za większość rzeczy związanych z naszym romansem płaciłam gotówką i nie było mi łatwo uzasadnić te wydatki. Zwykle jako wymówki używałam cioci Lizy – ale nawet ujmujący, ufny Francis nie mógłby uwierzyć, że kupiłam jej skórzaną kurtkę u Harrodsa. (Zupełnie jak dziecko, chciałam nosić takie same ubrania jak Matthew.)

– Dziwny zakup – oznajmił z zamyśloną miną Francis. Miał rację, skoro, jak powiedziałam, codziennie już przygrzewało wiosenne słońeczko.

To było coś zupełnie egzotycznego, ta ekonomika wszystkiego. Ta żonglerka liczbami i

zastanawianie się, czy kupić to, a nie tamto; gdyby pozbyć się tego, a zatrzymać tamto, czy można by wtedy zrobić coś innego? Takimi sprawami nie zajmowałam się od czasu opuszczenia domu matki. A teraz próbowaliśmy opracować jakiś budżet na sfinansowanie naszych niegodnych postępów. Ale tak naprawdę pragnęliśmy jedynie – co całkiem naturalne w tych pięknych pierwszych dniach, dniach niewinności, by tak rzec – miejsca, gdzie moglibyśmy zdjąć ubrania i być ze sobą nago. Często. I nie można było takiego miejsca znaleźć. Czułam, jak ogarnia mnie paranoja – wszyscy właściciele mieszkań i pośrednicy wiedzą, że jesteśmy cudzołożnikami, i zgodnie z tą wiedzą postępują. Byłam o tym przekonana.

Matthew oświadczył, na wpół rozpaczliwie, na wpół żartobliwie, że moglibyśmy dołączyć do naturystów, ja jednak uważałam, iż natychmiast zauważyliby, że nie uczestniczymy w ich zajęciach – siatkówka nie należała do moich ulubionych rozrywek, nawet kiedy byłam jak najdokładniej ubrana. Ale nie było w tym wszystkim nic zabawnego. To było żałosne. Zresztą przeszliśmy już etap, kiedy uważaliśmy nędzę przydrożnych zajazdów za ekscytującą. Chciałam miejsca, gdzie mogłabym przynieść kwiaty, zostawić flakon perfum, powiesić szlafrok, zostawić trochę bielizny, odcisnąć swój trwały ślad. Jednak podczas tych pierwszych kilku tygodni Jacqueline była zbyt nieprzewidywalna, żebyśmy mogli zaryzykować skorzystanie z jego mieszkania. Raz spróbowaliśmy i rozminęliśmy się z nią tylko dlatego, że wyszliśmy do sklepu po wino. Po tym zdarzeniu zaczęliśmy korzystać z mieszkania jednego z jego przyjaciół, co skończyło się tym, że przyłapał nas *in flagranti* ktoś inny, kto też miał do niego klucze. Musisz być niezwykle entuzjastyczną, wytrwałą kochanką, by nie uciec z krzykiem, kiedy zdarzy się coś takiego. Przypomniała mi się scena ze *Spotkania*, gdzie wydarzyło się to samo (choć niezupełnie *in flagranti*). Sztuka i życie stapiają się w jedno. Widzę teraz, że nie ma sensu wykrzykiwać do Celi Johnson na ekranie: „Nie odchodź, nie uciekaj”, bo jest to właściwie jedyne, co można zrobić. Czujesz się jak coś, co przykleiło się do czyjegoś buta. Jak śmieć. To, co dla ciebie piękne, dla świata zewnętrznego jest tylko rżnięciem. Mogliśmy korzystać jedynie z tandetnej, tymczasowej przestrzeni. Te spotkania w przydrożnych zajazdach były jak ogryzanie kości. Zastanawiam się często, czy gdyby nasze schadzki miały dłużej tak wyglądać, to wszystko nie skończyłoby się po kilku tygodniach.

Matthew zapytał o mój dom. Kiedy nie mogliśmy znaleźć nic do wynajęcia i raz jeszcze wracaliśmy z tego postmodernistycznego piekła, motelu przy Al z zameczkiem dla dzieci, oznajmił, całkiem praktycznym tonem: „Skoro nie ma innego wyjścia”. Już samo rozważanie tej możliwości było dla mnie istną torturą. Francis był w bezpiecznej odległości, kiedy nie wracał na noc do domu; mimo to nie byłam w stanie się do tego zmusić, a Matthew – co widziałam – po prostu tego nie rozumiał. W końcu, jeżeli i tak zdradzasz męża, to dlaczego nie miałabyś tego robić we własnym domu?

– Ewentualnie – rzucił, zatrzymując się raptownie, żeby mi to oznajmić – mogłabyś mu po prostu powiedzieć.

Jeszcze jeden ostrzegawczy obrazek... i to taki, który należałoby umieścić obok tamtego z

wioślarzami oraz obok łatwości, z jaką zaakceptowałam tamtą panienkę Francisę w żakiecie z wywatowanymi ramionami. Matthew nie miał pojęcia, jak bardzo byłam rozdarta, jak musiałam się starać zachować obydwie związki. Jeden na spokojnym morzu, a jeden w przysłowiowym wrzącym kotle. Niebezpieczne przeoczenie, to pominięcie jego sugestii jako sprawy poważnej. Jakoś tego nie dostrzegłam. A potem – niemalże w punkcie krytycznym – już nie musiałam. Bo sprawa rozwiązała się sama. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Jacqueline zniecka oświadczyła, że się wyprowadza.

Było to mniej więcej w miesiąc od początku naszego romansu i Matthew dopiero zaczynał odczuwać stałą konieczność oszukiwania jako obciążenie. Odkryłam, że znajduję spokój tylko wtedy, kiedy z nim przebywam, cała reszta była bowiem jednym piekielnym zamęt. Bo być z nim w jego mieszkaniu bez konieczności ukrywania każdego śladu po sobie, z lęku przed odkryciem, to jak zrzucić z piersi wielki ciężar. Kiedy zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że odeszła, był podniecony jak dzieciak. A ja z szafki do przesuszania bielizny (czego to człowiek nie posiada) wyjęłam świeże prześcieradła, świeże powłoczki, świeże ręczniki, by zabrać je tam. Och, co za ulga. Chciałam o tym komuś powiedzieć – podzielić się tą chwilą – ale nie miałam komu. Nikomu nie mogłam zaufać. Bez Carole byłam całkiem sama. Siostrze oczywiście nie mogłam powiedzieć, a przyjaciółek, które byłyby tylko moimi przyjaciółkami, nie miałam. Nie mogłam powiedzieć nikomu z naszego towarzystwa, bo wcześniej czy później rzecz by wyszła na jaw; nie mogłam powiedzieć nikomu z zespołu w Stepney, ponieważ już tam nie pracowałam; i naturalnie nie mogłam powiedzieć tej jedynej osobie, której zwierzałam się ze wszystkiego innego – Francisowi. I tak nagłe odejście Jacqueline oszczędziło mi dalszych rozterek na temat tego, czy mogę sprowadzić Matthew do swojego domu. Tego przynajmniej, z ręką na sercu, nie zrobiłam swojemu mężowi.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się razem we własnym łóżku (z moimi najlepszymi prześcieradłami i poszewkami, które miały nas chronić przed złym wpływem osoby wcześniej je zajmującej), zapytałam go, dlaczego ona tak niespodziewanie się stąd wyniosła, a on odparł, że nie sypiał z nią od dnia, kiedy mnie poznał. Zresztą i tak ich związek znajdował się na równi pochyłej i ta dziedzina już wcześniej była nieistotna, więc w tym, że przestał z nią sypiać, nie było nic szczególnie podejrzanego.

– Nieistotna? – spytałam. – Co to znaczy nieistotna? – Myślałam o sobie i o Francisie. Nasze zbliżenia były sporadyczne, ale raczej nie nieistotne.

– Trzy albo cztery razy na noc – odparł. – Co noc.

– Szczęściarz – skomentowałam.

– Wprost przeciwnie – powiedział, przysuwając się do mnie. – Szczęściara.

– Ale, tak serio...

– Po prostu cieszymy się tym, co mamy – podsumował. Koniec rozmowy.

Jacqueline odeszła i bardzo mnie to satysfakcjonowało. To mi wystarczało. Przestrzeń i czas. To wystarczy, myślałam sobie. Och, ale... Czy kiedykolwiek jest czegoś dość? Czy to nie leży w

ludzkiej naturze: walczyć o uzyskanie tego, co się uważa za niezbędne, a potem stwierdzić, że chce się więcej? Nawet jeżeli się wie, że uzyskanie tego zniszczy czyjeś życie? Na pewno tak jest. Bo, niemal natychmiast, tak się stało i z nami. Nie tylko chcieliśmy całej wspólnej nocy – co nam się udawało – chcieliśmy też całego wspólnego weekendu, co już nam się nie udawało. A potem zamarzył nam się jakiś dłuższy czas, wakacje, i Matthew zaproponował: „Jedźmy do Indii”. To chyba najbardziej okrutna rzecz, jaką możesz uczynić porządnej mężatce, która nie jest nawet w stanie zaaranżować zwykłego weekendu w Bognor i która zdaje się pograżać wraz z tobą coraz głębiej i głębiej w otchłani. Tyle że on też się pograżał coraz głębiej wraz ze mną. Żadne z nas nie miało nad tym kontroli. Wszystko przybierało coraz większe rozmiary – nadmuchaliśmy coś, co uważaliśmy za mały ponton, a ten zaczął się raptownie przekształcać w replikę krążownika *Belgrano*. Nie potrafiłam nawet przejść obok sklepu, żeby nie poczuć chęci kupienia mu czegoś... A on nie potrafił wytrzymać jednego dnia bez spotkania czy chociażby telefonu. Zaproponowano mu pracę w Bristolu. Odmówił. Tamtejszy kierownik, który przechodził właśnie na emeryturę, nalegał, żeby się zastanowił. On jednak powiedział „nie” i wyznaczono kogoś innego. Nie miałam ochoty myśleć o rozmiarach, jakie to przybrało. Przecież w Bristolu na dworcu Tempie Meads powiedział mi, jak bardzo, jak niesamowicie zależało mu na tej posadzie...

Jego mieszkanie stało się nasze w maju, a maj jest dla zakochanych najpiękniejszym miesiącem. Podejrzewam, że to samo powiedziałabym o listopadzie, gdyby to był akurat listopad. Maj jednak jest miesiącem łaskawym. Ciepłym i pełnym spełnionych obietnic. Człowiek zaczyna wierzyć, że lato, podobnie jak jego szczęście, nigdy się nie skończy. Ale maj jest również – żeby wrócić na ziemię – miesiącem urodzin Francisca i moich. W odstępie dwóch dni. Jego dwunastego, moich czternastego. Pomyśleć tylko, zaśmiewaliśmy się kiedyś, że i jego, i moi rodzice lubili wrześniowy seks. Teraz nie był to już powód do śmiechu.

Francis nieustannie usiłował mnie uszczęśliwiać i było to dla mnie, w zaistniałej sytuacji, niezwykle bolesne. Kiedy się zaręczyliśmy, powiedział mi: „Uszczęśliwię cię. Wynagrodzę ci to wszystko”. Jego dzieciństwo było zwyczajne i szczęśliwe – pomijając szkolne lęki – z trudem więc pojmował, jak sobie radziłam dotknięta tym całym kryzysem, z daleka od radości tego świata. Uważał wręcz za niewybaczalne, że zostałam na to narażona. Wiedział, co to przestępcy, ale żył w błogiej nieświadomości, jeśli chodzi o to, na co były skazane kobiety. Nawet te pobite i posiniaczone dobrze się zastanowiły, nim wzięły dzieciaki i opuściły dom, udając się w nieznaną. Mimo że był prawnikiem, nie wiedział tak naprawdę, że często prawo odwraca się do człowieka tyłem. Dopiero całkiem niedawno dowiedziałam się, że sąsiedzi mojej matki utworzyli coś w rodzaju straży obywatelskiej, żeby chronić ją podczas najgorszych wybryków ojca. Policja nie kiwnęła palcem.

– Myślałbym, że zwykłe człowieczeństwo każe im coś zrobić – oburzał się.

– Niektórzy popijali razem z ojcem – odparłam. – To były sprawy rodzinne. W tamtych czasach nie wtrącano się do rodzinnych spraw. Wiesz o tym.

– Jak to w ogóle możliwe, że nie zwariowałaś? – westchnął.

Próbowałam wyjaśnić, że w rzeczywistości nie odczuwałam tego aż tak okropnie... że pewnie brzmi to znacznie gorzej, niż było. Że niewiele zapamiętałam. Nie przyjmował tego do wiadomości. Dla niego były to nieszczęsne doświadczenia, które musiał mi wynagrodzić. I wynagradzał. Tak więc zdradzanie go było opluwaniem tego wszystkiego, co na tym świecie najlepsze. Wiedziałam, że bez niego zniknie miłość i poczucie bezpieczeństwa. Niektórzy kochają wspaniałomyślnie, łagodnie; inni zachłannie, okrutnie. Byłam tego świadoma. Wiedziałam też, że mój mąż jest człowiekiem wyjątkowym. Że to, co przeżyliśmy z sobą, było wyjątkowe. Ale odkryłam miłość jak z Balzaca i Szekspira, jak z Pucciniego, jak z ballad i poezji. A moc tej miłości jest tak wielka, że potrafimy dla niej zaryzykować życie. Prawdą było, że zmagalam się z pokusą, lecz nieszczególnie energicznie, i dlatego pokusa zwyciężyła. Prawdą było, że nie chciałam być ze swoim mężem, wzorem doskonałości, chciałam być z kochankiem. I prawdą było, że mimo pełnej dobroci miłości oraz pewnych, bezpiecznych lat, tej właśnie rzeczy, którą kiedyś obiecał, Francis nie był w stanie mi dać. Szczęśliwa byłam tylko wtedy, kiedy byłam z kimś innym. I coś jeszcze. Pierwszy raz wiedziałam, co to znaczy być naprawdę szczęśliwą. Naprawdę czuć, że się żyje.

No tak, nasze urodziny. Zawsze wyjeżdżamy na jeden, dwa czy nawet na pełne trzy dni i noce. Taka małżeńska tradycja Holmesów. Tego roku te cholerne dni przypadły na weekend i mieliśmy się spotkać z Timem i Charlotte Jenningsami w Bath. Lubię Tima, lekarza i starego przyjaciela Francisca, lubię też Charlotte, która zna się na antykach, i uwielbiam Bath. Tyle że wyjazd został zaplanowany przed Matthew. Teraz nie chciałam jechać, ale nic nie mogłam zrobić. Co więcej, Francis – nieświadomy, niczego nie podejrzewający Francis – który w dziedzinie pożycia małżeńskiego niewiele miał ostatnio ze mnie pożytku i który, jak sędzę, kładł to na karb śmierci Carole – w kwestii uczuć oczekiwał zapewne czegoś nieco bardziej seksownego niż ziewająca mu w twarz żona. Miałam coraz mniejszą ochotę na przeżywanie tej ostatniej już spośród wielkich zdrad: kochania się z mężem i wyobrażania sobie, że jest kimś innym.

Kilka tygodni wcześniej usiedliśmy z Matthew, żeby rzecz przedyskutować. Po prostu, żeby oczyścić atmosferę. Mężczyzna i kobieta siedzący naprzeciwko siebie przy stole w jego mieszkaniu. Tyle że oboje byliśmy nadzy. A on sięgał nieustannie i gładził mnie po piersi, co ogromnie zmniejszało moją zdolność logicznego i rozsądnego myślenia.

– Chyba się ubiorę – oznajmiłam, chciałam bowiem, żebyśmy przestali się rozpraszać.

Jednak w sposobie, w jaki Matthew rzucił swoje „nie”, było coś tak kategorycznego, że znieruchomiałam. Zupełnie jakby chciał mnie sprawdzić. Wobec czego się nie ubrałam.

– Posłuchaj – odezwałam się stanowczym głosem. – Co roku obchodzimy tak nasze urodziny. To już tradycja.

– Nie będziesz zadowolona.

– Wiem – jęknęłam. Biorąc pod uwagę to, co on właśnie ze mną wyczyniał i co Francis na

pewno miał w planie, i na samą myśl o trzech dniach bez Matthew, mogłam tylko jęczeć.

– Po prostu nie jedź. Proszę.

– Muszę jechać. Chyba że zachoruję.

– Więc zachoruj. To znaczy, udaj, że jesteś chora.

– Nie dotykaj mnie tak. Nie mogę myśleć.

– To może tak, co?

– Nie potrafię się z tego wyplątać.

– Nie możesz jechać.

– Muszę. Cofnął rękę.

– Powiedz po prostu, że kiepsko się czujesz.

– Matthew... popatrz na mnie. Nie dostrzegasz tego, co widzą wszyscy inni, włącznie z Francisem?

– Niby co... panią Holmes bez odzienia?

– Mówię poważnie. Popatrz. Ja kwitnę. W domu biegam po schodach. Śpiewam. Wyglądam i czuję się świetnie. Mówi to mój fryzjer, mówią sąsiedzi, nawet mój syn to mówi... mój syn, Matthew. I jestem pewna, że gdyby mój drugi syn był w kraju, też by to powiedział. A co ważniejsze, mówi to Francis. Musze, przyznać, że jak na prawnika wykazuje się zupełnym brakiem sprytu, bo przecież aż tryskam zdrowiem, a kiedy nadchodzi dziesiąta, nagle jestem zbyt zmęczona na zabawy w łóżku.

Matthew się skrzywił. Nie zwróciłam na to uwagi. Gadałam dalej. Nie zadzwonił nawet najcichszy ostrzegawczy dzwoneczek. Zastanawiałam się przez chwilę.

– Szczerze mówiąc... mruknął kiedyś coś w rodzaju: „Nie wyglądasz na szczególnie przemęczoną”, kiedy oświadczyłam, że padam z nóg. I jest przekonany, że kilka dni w Bath świetnie mi zrobi. Nieustannie powtarza, że nasza wyprawa do Bath zdziała takie cuda, doda mi tyle energii i zdrowia, a wszystko to brzmi jak żywcem wzięte z jakiejś cholernej powieści Jane Austen...

– Hamuj się trochę.

– Nie wiem, co robić. Nie chcę się kochać z nim, bo wtedy myślę o tobie. Zawsze tak jest. Te kilka razy od naszego poznania, kiedy to się zdarzyło... ty po prostu wskakujesz i wyskakujesz...

– Roześmiałam się. – Prawie dosłownie...

On jednak się nie śmiał.

Nie śmiał się i był jak najdalszy od tego.

Wstał. Jego dłoń wciąż spoczywała na moim karku, ale czułam, jak cały zeszytniał. Nie zdziwiłabym się, gdyby czymś walnął albo coś potłukł.

– Matthew? Co się stało?

Cofnął dłoń i odepchnął mnie. Potem odszedł od stołu. Poczulałam nagły chłód, który nie miał nic wspólnego z moją nagością, z trudem wychrypiałam:

– Dokąd idziesz?

Szedł do sypialni. Twarz miał białą jak kreda. Usta zaciśnięte w cieniutką kreskę; zniknęły gdzieś te wydatne wargi... ani śladu uśmiechu. Ubierał się. Usłyszałam cichy szelest bawełny, a potem ostry chrzęst zamka błyskawicznego. Oddech. Przestrzeń i czas między nami zamarły – w powietrzu zawisł jakiś złowieszczy ciężar. Potem wrócił. Zastanawiałam się, czy płakał. Oparł na stole dłoń i wbił we mnie wzrok. Błękit jego oczu był bezlitosny.

– Kiedy ostatni raz się z nim pieprzyłaś? – spytał.

HOTEL GRANDA

Rozumiecie, co mam na myśli, kiedy mówię: niewinność? Ponieważ Matthew natychmiast przestał to robić ze swoją partnerką, nigdy nie przyszło mu do głowy, że ja nie mogę tak potraktować mojego męża. Wprost szalał z bólu, wściekłości i zazdrości na myśl o tym, że mogę się kochać z Francisem. Przypomniał mi się własny ból, kiedy Matthew pojawił się na tamtym prywatnym pokazie z Jacqueline. Gdybym była na jego miejscu, też odchodziłabym od zmysłów. Nieważne, jak mocno podkreślałam (ogromnie niechętnie, ze względu na męża), że nie sprawiało mi to przyjemności, że było okropnym wysiłkiem, że myślałam tylko o nim. Rozbijało go to na miazgę. Zawsze uważałam, że mężczyźni są tą bardziej romantyczną płcią. Kobiety tak naprawdę są pragmatyczne. Dużo wcześniej od mężczyzn nauczyły się wabić. Robiły to, żeby przeżyć.

– Przeżywasz z nim orgazm? – chciał wiedzieć. Miałam ochotę oznajmić, że to teren zakazany, jednak bladość jego twarzy kazała mi skłamać.

– Skąd. Nigdy – odparłam. Choć faktycznie, owszem... jeśli myślałam o czymś zupełnie innym albo wyobraziłam sobie, że to on, a nie Francis. Pomimo uczuć, jakie wstrząsały moim skołatany umysłem, wiedziałam, że głośno nie powinnam tego mówić. Był tak zmieniony, że odczuwałam lęk. Nie o siebie, ale o niego, ponieważ on też smakował teraz rzeczywistość tej otchłani, w którą wspólnie się stoczyliśmy.

– Po prostu nie jedź – powiedział cicho.

– Muszę, Matthew – odparłam. – Jeśli tego nie zrobię, Francis albo zacznie mnie poić ziołową miksturą antydepresyjną i przemawiać do mnie cichym, łagodnym głosem, albo zacznie coś podejrzewać. W końcu jest prawnikiem. Nie mogę ryzykować.

– Ryzykować? Co ryzykować?

Już miałam odpowiedzieć: „Naturalnie, moje małżeństwo”, kiedy zobaczyłam jego minę.

– To – wyszeptałam bez przekonania.

O dziwo uspokoił się. I przeprosił. Nie było nic do przebaczenia i nie było innego wyjścia. Ten weekend miał się wydarzyć. On przynajmniej miał sporo zajęć, dzięki czemu nie będzie siedział i się gryzł. Byli przyjaciele, z którymi trzeba było nadrobić stracony czas, kilka rozmów z różnymi organizacjami o ewentualnych posadach, a poza tym poproszono go o napisanie Raportu z Misji (ta terminologia mnie doprowadzała do śmiechu, a jego do niemal fizycznego bólu) – raportu na temat nowego podejścia do zakładów dla młodocianych przestępców. Zważywszy na to ostatnie, byłam jeszcze bardziej przekonana, że on i mój mąż darzyliby się sympatią, a świadomość ta kuriozalnie wręcz rozbrzmiewała w moim mózgu, powołując do życia własne fantazje: ja z Francisem, jak na obrazie Seurata, kroczymy brzegiem rzeki, ja mijam

Matthew z prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy, gdy tymczasem oni padają sobie w ramiona, wyrażając szczerą radość ze spotkania; albo jeszcze gorzej: siedzą obaj na trawie, kompletnie ubrani i pograżeni w poważnej konwersacji, gdy tymczasem ja, naga i niezauważona, siedzę, pomiędzy nimi, w jakiejś potwornej wersji *Śniadania na trawie*. Nie uważałam, by był to szczególnie odpowiedni moment na dzielenie się podobnymi myślami z Matthew, wobec czego oświadczyłam, że go kocham, i wyszłam. A potem... nadszedł ów weekend.

Wyruszyliśmy z Francisem w piątkowe popołudnie. Nie udało mi się w czwartek spotkać z Matthew, bo czekałam w domu na telefon od Jamesa z Kapsztadu, a potem jadłam lunch z Johnem i Petrą; pod koniec dołączył do nas Francis oraz jego siostra Julia (bardzo sprytnie – przyszedli do tej restauracji ze zdrową żywnością w samą porę na deser. Zauważyliście, że ci zdrowo odżywiający się ludzie dostają świra, kiedy nadchodzi czas na deser?), po czym zabraliśmy Julię do domu, ponieważ, jak zwykle, miała w nim zamieszkać pod naszą nieobecność. Jeszcze jedna z tych małych tradycji, które dotychczas uważałam za błogosławieństwo. Jeśli tylko było to możliwe, gdy my dwoje wyjeżdżaliśmy, Julia zbierała manatki i przyjeżdżała z Hove, żeby pobyc trochę w mieście. Co jej sprawiało przyjemność, a nam dawało spokój ducha, bo nie musieliśmy się bać ewentualnego włamania. Już po kilku dniach pobytu w Londynie Julia zaczyna tęsknić za swoim południowym wybrzeżem, więc rozwiązanie to jest doskonale dla wszystkich zainteresowanych. Dobrze nam z sobą w czasie tych krótkich spotkań, dlatego zawsze z przyjemnością witałam jej wizyty. Teraz natomiast myślałam o niej z niechęcią i nie zachowałam się jak sympatyczna bratowa. Krótko mówiąc, kiedy zadzwoniła, byłam wręcz oschła.

– Naprawdę masz ochotę tu przyjechać?

Owszem, miała.

No i straciłam szansę, żeby się wymknąć na godzinkę czy dwie w czwartkowy wieczór lub piątek rano. Wywołało to u mnie pewną nerwowość i pozbawiło humoru, dlatego przez cały wieczór wbijałam w nią wzrok, zupełnie jakby była zwiastunem jakiegoś wielkiego nieszczęścia. Kiedy zaproponowała, żebyśmy po kolacji wypili kawę w ogrodzie, bo jest tak ciepło, oznajmiłam, że jest mi zdecydowanie zimno i idę do łóżka. Fakt, że była dopiero za dziesięć dziewiąta, nie przeszedł niezauważony, o co mi zresztą chodziło. Zachowałam się infantylnie, ale nie panowałam nad tym. Widziałam, że Francis uniósł brew, ale nie powiedział ani słowa. A potem Julia przysłała na górę, wsunęła głowę do sypialni i spytała, czy czymś mnie obraziła, zmuszając mnie do wrzucenia komórki pod kołdrę i wykrzywienia twarzy w radosnym, serdecznym uśmiechu. Musiałam tryskać poczuciem winy na odległość, jak Tytus podający pieróg Tamorze¹. Żadnej kryjówki. Kiedy wreszcie zostałam sama, było już późno, miał wyłączony telefon.

W piątkowy rano, w dniu urodzin Francis, nie mogłam tak po prostu wyrwać się z domu i zostawić Julii samej, po tym jak ją potraktowałam poprzedniego dnia. Siedziałyśmy zatem w milczeniu przy porannej kawie, a potem, tak jak chciała, zabrałam ją do Petera Jonesa. Ależ ja

wtedy nienawidziłam tego miejsca. Paskudztwo. Kategorycznie odmówiłam kawałka ciasta marchwiowego, które zawsze tam jadłam, co wywołało komentarz Julii: „Francis ma chyba rację. Rzeczywiście potrzebna ci jakaś odmiana... „ Ta uwaga przywołała mnie do porządku i od tej chwili zachowywałam się grzecznie. Kiedy gawędziłyśmy później o zakupach, o ruchu ulicznym i o ludziach w sklepie, pomyślałam, że do tego sprowadza się teraz moje życie: Peter Jones, prywatne pokazy, krótkie wypadki do Bath, nieco wyblakli, starzejący się krewni, synowie i wnuki, połowiczna swoboda, kołtuński i wyszlizgany stok życia klasy średniej... Kiedyś dzięki temu wszystkiemu byłam taka szczęśliwa, jakaś częśćka mojej osoby nigdy nie przestała gratulować sobie, że z taką łatwością pozbyłam się z butów pyłu przeszłości. A teraz? Julia mówiła coś o bawełnie i perkalu.

– Uważam, że te poszewki na poduszki to dobry zakup.

– Tak – odparłam, myśląc: Poduszka, poduszkę... chcę znaleźć się na jego poduszce teraz... natychmiast!

Wiadomości przesłane na moją komórkę nie nadawały się do powtórzenia. Pierwsze odkryłam, kiedy byłam w toalecie przed wyjściem od Petera Jonesa. Byłam uradowana, a do tego napalona jak wszyscy diabli. Matthew robił, co mógł, żebym czuła jego obecność. Poszewki i ciasto marchwiowe rozpląły się w nicłość pod wpływem żaru tego delikatnego zniewolenia... Następne, równie gorące, czekały na mnie, kiedy wróciłam do domu.

– Jesteś taka zarumieniona, moja droga – powiedziała Julia, kiedy ponownie wynurzyłam się z sypialni. – Wszystko w porządku?

– Wręcz idealnie – odparłam.

Czułam w kieszeni telefon, wciąż ciepły od mojej dłoni i ucha, zupełnie jakby to sam Matthew przywierał do mojego brzucha. „Zadzwoń” – brzmiały jego ostatnie słowa. Próbowalam... ale znów okazało się to niemożliwe. Ten jeden raz, kiedy udało mi się oddalić od Julii na tyle, żeby zadzwonić, numer okazał się zajęty. Nieracjonalny ból, śmiertelny lęk odezwały się we mnie, kiedy wyobraziłam sobie, że on rozmawia z Jacqueline i prosi ją, żeby wróciła. W końcu ja wyjeżdżałam z mężem... niemal słyszałam, jak mówi do mnie te słowa z lodowatą, cyniczną logiką.

Wczesnym popołudniem Francis wrócił do domu i zaczęliśmy się przygotowywać do wyjazdu. Nie śmiałam sprawdzać, czy są jakieś wiadomości, ponieważ Francis przez cały czas kręcił się wesolutko wokół mnie i paplał. Nie wypadało, bym w jego urodziny irytowała się na niego, choć w pewnej chwili zauważył, że robię wrażenie nieco niespokojnej. „Bo chciałabym już jechać”, oznajmiłam. Co, w jakimś sensie, było prawdą. Dość już bowiem miałam prób unikania przyjacielsko nastawionej Julii i radośnie niecierpliwego Francisca. Muszę zadzwonić, myślałam. Ale wszystkie moje rozpaczliwe próby pozbycia się tej dwójki okazywały się całkowicie bezskuteczne. W desperacji oświadczyłam, że pójdę do ogrodu, żeby sprawdzić lilie. Bo z powodu upału mogą mieć za sucho. Oboje, Julia i Francis, popatrzyli na mnie dość podejrzliwie. Poszłam tam, i owszem, a kiedy wyciągnęłam telefon i zaczęłam wstukiwać numer,

z sercem bijącym tak jak u samych początków romansu, Polly Savage, nasza sąsiadka, wystawiła głowę nad płotem i oznajmiła: „Myślałam, że o tej porze już was nie będzie... „ Skoczyłam pod samo niebo, wprawiając ją w wielką konsternację, i z trudem udało mi się nie wylądować plecami w tych znakomicie nawilżonych i okazałych liliach. Nic dziwnego, że Francis i Julia spoglądali na mnie podejrzliwie. Z samego rana spadł bowiem rześisty deszcz.

Wierzcie mi, człowiek nie ma pojęcia, pod jak ścisłym nadzorem toczy się jego życie, dopóki nie spróbuje się z tego wyplątać. Tuż przed naszym odjazdem weszłam do garderoby na parterze – ostatniej deski ratunku – ale Francis cofnął się właśnie po aparat fotograficzny i wiedziałam, że jeśli usłyszysz, jak mówię tam sama do siebie, zwłaszcza po tej wpadce z liliami, sprawa zakończy się wizytą w szpitalu. Potem on wrócił do auta, ja natomiast przeprosiłam go na chwilę i spróbowałam raz jeszcze dodzwonić się z toalety na dole, ale nie było sygnału. Wobec czego pojechaliśmy. Julia machała do nas od furki i mówiła, żeby się mną dobrze opiekował, a ja szczerzyłam się w zdradzieckim uśmiechu. Wierzcie mi, człowiek nie ma pojęcia, pod jak ścisłym nadzorem toczy się jego życie, dopóki...

– Bardzo się już na to wszystko cieszę – oświadczył Francis, kiedy wjechaliśmy na autostradę.

– Ja też – odpowiedziałam cicho. W moim głosie było tyle entuzjazmu, ile u wiezionej na szafot Marii Antoniny.

– Możemy zjechać z autostrady i pojechać wolno bocznymi drogami, jeżeli chcesz – zaproponował.

– Nie, nie, po prostu jedźmy.

Wymyśliłam sobie, że im wcześniej tam dojedziemy, tym szybciej będzie po wszystkim. Musiałam nawet wyglądać jak Maria Antonina w drodze na szafot, bo Francis spytał, czy dobrze się czuję. Przez zaciśnięte zęby wycedziłam, że niemal bosko, jednocześnie wpatrując się tępo przed siebie. Dziecinada. Zaciśnął wargi i prowadził samochód w milczeniu. Zły znak. Musiałam porozmawiać z Matthew, zostawić mu wiadomości, cokolwiek... ten kontakt był mi tak potrzebny jak działka ćpunowi.

W końcu poprosiłam, żebyśmy się zatrzymali na stacji benzynowej, gdzie popędziłam do toalety, ale sygnału znów nie było, najwyraźniej byłam poza zasięgiem sieci. Żadnych wiadomości. Jedyne, co mi pozostało, to z telefonem przyklejonym do ucha biegać po parkingu Membury Services, widoczna jak na dłoni dla mojego, znów o rok bliższego sześćdziesiątki męża, ale czułam, że dalsze próby skazane są na niepowodzenie. Mogę tylko przegrać lepiej – jak by to ujął Beckett. Wróciłam więc do samochodu i wyobraziłam sobie, co się dzieje przy Beeston Gardens 12a. Tortura, makabra... Piekło na ziemi... Jacqueline? Byłam przerażona, że mogę go stracić.

– Wszystko w porządku? – spytał Francis.

– Ależ tak.

– Wydaje mi się, że dość często tam biegasz.

– Taka pora miesiąca.

– Dopiero co się skończyło w zeszłym tygodniu... Na pewno nic ci nie jest?

Był taki autentyczny, taki troskliwy, tak prawdziwie przejęty.

Całkiem zapomniałam. Użyłam tego jako wymówki, żeby uniknąć seksu z nim po tym spięciu z Matthew. O Boże. Och, jak ja tego wszystkiego nienawidziłam.

– Może powinnaś pójść do doktora Rowe’a?

– Nic mi nie jest. To pewnie ta wczorajsza soczewica. Już w porządku.

– No cóż, zawsze możesz się poradzić Tima.

– Nic mi nie jest... – Znów te zaciśnięte szczęki. – Nic. Rzucił mi coś na kolana.

– Świetnie – powiedział – bo mam dla ciebie to. Wszystkiego najlepszego.

Otworzyłam pakiecik. Bilety na *Czarodziejski flet*, na sobotni wieczór. Trzy miesiące wcześniej byłabym w siódmym niebie. Teraz, w związku z Matthew, czułam jedynie odrętwienie. A na cóż mi Mozart, kiedy mogłabym siedzieć nago z kochankiem w tandetnym mieszkanku w Paddington?

– Wspaniale – powiedziałam.

– Hmm. Chyba jednak powinnaś odwiedzić doktora Rowe’a. – A potem powiedział cicho, jakby samochód był pełen szpiegów: – Czy myślisz, że to może być ten okres przejściowy...

Przyszło mi do głowy coś jeszcze innego. Wymyśliłam już tyle miesiączek, że w zasadzie przydałaby mi się transfuzja, ale szczerze mówiąc, pogubiłam się i nie miałam najmniejszego pojęcia, kiedy przychodził czas na tę prawdziwą. I tak już były trochę nieregularne – zapewne z powodu zbliżających się rozkoszy okresu przejściowego. I oczywiście nigdy nie poświęcałam im chwili uwagi, poza tym, że starałam się być na nie przygotowana. Teraz jednak przyszła mi do głowy – szalona, wariacka, idiotyczna, niemożliwa wręcz – myśl, że jestem w ciąży. Ta ostatnia wydawała się taka odległa. O mój Boże. Rozejrzałam się po parkingu. Nagle wydało mi się, że we wszystkich autach są dziecięce foteliki. To nie mogło się zdarzyć, po prostu nie mogło... Och, a jednak mogło. Dużo seksu, przeważnie na zasadzie „do diabła z ostrożnością”... to mogło się zdarzyć.

Zanim poznałam Matthew, byłam kobietą rozsądną. Kiedy doktor Rowe powiedział, że powinnam zrezygnować z pigułki i wrócić do kapturka – bo progesteron to taki złośliwy hormon – zrobiłam to. Ostatecznie półtoraprocentowa zawodność nie stanowiła szczególnego powodu do zmartwienia. Uprawiałam usankcjonowany seks, dość rzadko, jedynie z własnym mężem. Gdyby się coś wydarzyło... cóż, dalibyśmy sobie z tym radę... Było to jednak bardzo, ale to bardzo mało prawdopodobne. Wówczas. Teraz natomiast dopiero od pięciu tygodni brałam regularnie pigułkę. W ciągu tych pięciu tygodni miałam więcej *coitus non interruptus* niż cała grupa dziewcząt z przydrożnego burdelu. I – bądźmy szczerzy – kiedy człowiek wpadnie w wir potężnego romansu, procedury antykoncepcyjne nie są zbyt pilnie przestrzegane. Och. Och. Och. Patrzyłam na stojące dookoła auta w sam raz dla kobiet z dziećmi, modliłam się, coraz bardziej przekonana, że znów będę matką, co rzeczywiście wywołało potrzebę skorzystania z toalety.

– Ostatni raz – rzuciłam do Francisa. – Dla pewności.

– Tylko się pośpiesz – odpowiedział, niezdolny już, co zrozumiałe, do powstrzymania irytacji w głosie.

Kiedy już znalazłam się w toalecie, wzięłam kilka głębokich oddechów i zastanowiłam się. W ciąży? Pewnie tak. Dotknęłam piersi. Rzeczywiście wydały mi się bardzo wrażliwe. Poza tym... cóż, dosłownie kwitłam, tak jak przy trzech poprzednich ciążach. Niemal się rozplakałam. Jakikolwiek metamechanik rządził wszechświatem, bez wątpienia miał swoje sposoby na ukaranie cudzołzniczy; zaczęłam się nagle zastanawiać, głupio i bez sensu, czy nadal mamy łóżeczko dziecięce. W momencie, w którym uświadomiłam sobie powagę sytuacji, byłam zadowolona, że jeszcze nie zdążyłam się podnieść z sedesu. Wyglądało na to, że jestem w ciąży, a przecież od tygodni nie współżyłam z mężem. Nawet Francis, który ufał mi bezgranicznie, mógłby mieć niejaki problem ze zrozumieniem sytuacji. I wtedy mnie olśniło.

Ruszyłam z powrotem do auta, raźnie wylądowałam na fotelu obok Francisa, uśmiechnęłam się radośnie – tak uwodzicielsko, jak tylko potrafiłam – i oznajmiłam:

– Nie mogę się doczekać wieczora, kiedy wreszcie znajdę się w łóżku.

Wyglądał na rozczarowanego.

– Znowu zmęczona? – spytał.

– Wcale nie! Rozochociona. Naprawdę rozochociona.

– Cóż – powiedział na to Francis, z miną zdradzającą zadowolenie i podniecenie – Tim z Charlotte przyjadą grubo po siódmej. Jest dopiero piąta. Bez trudu dojedziemy na szóstą. Zatem... dama będzie usatysfakcjonowana.

– Świetnie – ucieszyłam się. – Doskonale.

Jeśli jestem w ciąży, podpowiadała logika, mąż będzie uważał dziecko za swoje. Rozumiecie, co mam na myśli, kiedy mówię o oszustwie? Mamy je we krwi. W mojej pełnej entuzjazmu reakcji pobrzmiwał jednak ton osoby, której oznajmiono, że szafot jest tużtuż. Francis natomiast promieniał. Włączył Bryana Ferry'ego. *Let's Stick Together*. I wybijał rytm na kierownicy. Dostał tę kasetę lata temu od synów... miała go rozruszać. Słuchał jej potulnie, aż wreszcie polubił. Podśpiewywał teraz radośnie, przez co czułam się jeszcze bardziej przygnębiona. Co dziwniejsze, nim wyjechaliśmy z parkingu i ponownie włączyliśmy się do ruchu, zrobiło mi się niedobrze, a to utwierdziło mnie w przekonaniu, że jestem w ciąży. No trudno, dobrze mi czy niedobrze, Matthew czy nie, będę się kochać z mężem najszybciej jak się da... żeby się na wszelki wypadek ubezpieczyć. Nic dziwnego, że Henryk VIII pozbył się nas pięciu. Załatwiłby i szóstą, gdyby nie zabrała go ospa.

Hotel Royal Edward jest wspaniały. Okazały i urządzony z przepychem – z gatunku tych, które uwielbiają Amerykanie, a które, dzięki naszym zaatlantyckim kuzynom, oferują obecnie stosowną instalację wodnokanalizacyjną oraz chęć służenia gościom. Chcesz wziąć prysznic, naciskasz odpowiedni guzik i masz prysznic, zadzwonisz po obsługę pokoi, obsługa pojawia się z uśmiechem. Zatrzymywaliśmy się tam już wcześniej, tym razem jednak Francis zamówił

apartament. Mieścił się na najwyższym piętrze, z tej strony nie docierały dźwięki ruchu ulicznego i mieliśmy cudowny wręcz widok na opactwo. Udałam się prosto do łazienki – pod pretekstem przygotowań do miłosnych igraszek – i sprawdziłam, czy mam jakieś wiadomości. Była jedna. „Kocham. Tęsknię”. Ogromnie mi ulżyło. Żadnego: „Gdzie się, do kurwy nędzy, podziewasz? Dlaczego nie zadzwoniłaś? Z nami już koniec”. Dzięki Bogu był rozsądny. Z pokoju dobiegł mnie dźwięk wystrzału korka od szampana. Francis nabierał rozpędu.

Rozebraliśmy się, włożyliśmy szlafroki i usiedliśmy przy oknie, by popijać szampana i podziwiać widok. Opactwo złościło się w promieniach słońca. Tak chciałam, żeby Matthew mógł to zobaczyć.

– Cudownie – oznajmił Francis, gładząc moje kolano. Zgrzytałam zębami, to znów je zaciskałam – i mało nie parsknęłam śmiechem, kiedy w głowie pojawiło mi się zniechęcające owo: Zamknij oczy i myśl o macierzyństwie... Zaczęliśmy się kochać. Prawdę mówiąc, Francis był mi tak dobrze znany i taki zadowolony i – cóż – prostolinijny, że nie powiem, żeby tak całkiem mi się to nie podobało. I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Uprawianie małżeńskiego seksu oznacza, że jeśli zadzwoni telefon, to czasami się go odbiera. Odebrałam go ja, bo byłam bliżej. Jakiś głos, zabarwiony nieco cudzoziemskim akcentem, oświadczył, że przysłano mi kwiaty i czy mają je przynieść na górę.

– Nie – odparłam. – Jeszcze nie.

– Co jeszcze nie? – zainteresował się Francis, leżący tuż przy mnie, zupełnie jakby świat, który zamieszkiwało liśmy jako mąż i żona, wciąż był tym samym niezmiennym, przytulnym miejscem, jakim był zawsze.

– Jeszcze za wcześnie na obiad. Naprawdę...

Jeśli te kwiaty były jego pomysłem, fakt, że zjawią się później, nie będzie miał znaczenia. Jeśli natomiast nie były...

I podjęliśmy to, co zostało przerwane. Szampan, przyćmione światła, białe, świeżo wyprasowane prześcieradła i ta gładkość jedwabnej narzuty oplatającej nasze ciała. Tylko ten niewłaściwy mężczyzna.

Nagle... pukanie do drzwi.

– Zostań, nie idź – powstrzymywałam go, starając się, by nie usłyszał w moim głosie niepokoju. Bo jeśli to kwiaty, to już po mnie.

Pukanie stało się głośniejsze.

I jeszcze głośniejsze.

Francis wstał, włożył szlafrok, przeszedł do naszego niewielkiego saloniku i otworzył drzwi. Dobiegł mnie ten sam głos z cudzoziemskim akcentem oznajmiający dostawę kwiatów dla pani Holmes. Usłyszałam głos Francisa, potem jak ktoś odsuwa go na bok i idzie dalej przez salonik do sypialni. A ja siedzę na łóżku, owinięta w tę jedwabną narzutę, bez odzienia, za to w osłupieniu. Mężczyzną z kwiatami jest Matthew we własnej osobie.

Matthew...

Bóg jeden wie, skąd wytrzasnął takie ubranie, niemniej pasowało ono idealnie do roli dyskretnego lokaja. Włącznie z tym granatowym krawatem w grochy i w ogóle.

– Madame – powiedział, złożył mi ukłon i postawił kosz, wulgarnie obrzydlistwo, obok mnie na łóżku. Twarz miał kamienną. Spojrzenie błękitnych oczu ostre jak stal.

Usiłowałam robić wrażenie, jakbym została wyrwana z drzemki. Nie mogłam nic powiedzieć, ponieważ za jego plecami pojawił się zaskoczony Francis. Wpatrywałam się wściekle w Matthew, który odwzajemniał mi się takim samym spojrzeniem. Nigdy wcześniej nie widziałam tak błyszczących oczu. Wyglądały całkiem groźnie, dlatego spodziewałam się, że walnie Francis w nos albo zrobi coś naprawdę niedopuszczalnego. Tymczasem on jedynie skłonił głowę.

– Pani wybacz, madame – oznajmił z tym swoim lekko cudzoziemskim akcentem. – Gdyby pani czegoś jeszcze potrzebowała... – i wręczył mi wizytówkę.

Odegrał to doskonale. Zrobił całkowicie naturalne wrażenie. Tyle że żaden pracownik hotelu nie wmaszerowałby do sypialni bez zaproszenia, z kwiatami czy bez. Przypuszczam jednak, że sprawdziła się tutaj stara zasada: wystarczy robić coś z wystarczającą pewnością siebie, by rzecz się udała. Francis przybrał chłodny wyraz twarzy, nim jednak zdążył powiedzieć coś ponad: „Skoro to już wszystko...”, Matthew wykonał w tył zwrot. I w sposób równie naturalny, w jaki wszedł do sypialni, teraz ją opuścił. Ja natomiast wsunęłam wizytówkę pod poduszkę.

Francis poszedł za nim i patrzył, jak wychodzi z apartamentu.

– To ci dopiero tupet – oświadczył poirytowany, kiedy drzwi saloniku zamknęły się głośno. Ale nawet jeśli uważał całą sprawę za bardziej niż dziwną, to przecież nie zamierzał jej rozpamiętywać. Wolał wrócić do łóżka. – Cóż – powiedział, dotykając jednego z pomarańczowych goździków, sąsiadujących z zielonymi – ktoś się najwyraźniej wysilił. W życiu nie widziałem takiego bezguścia... Od kogo to?

Wziął do ręki małą kopertę i wyjął karteczkę ozdobioną kwiatkami, nad którymi napisano: „Ze szczerymi wyrazami współczucia. Od wszystkich spod numeru 12a” – odczytał.

Spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

– Ciotka Liza – oznajmiłam. – Daj jej Boże zdrowie.

– A kim są ci wszyscy? – spytał.

– Koty.

W tej chwili potrafiłabym wyprowadzić w pole nawet agenta MI5.

Francis wybaczył jej to bezguście wielokolorowej kompozycji.

– Szkoda, że nie ma ochoty mnie poznać – oświadczył. – Wydaje się miłą staruszką. Pewnie już czuje, że jej dni są policzone, stąd to całe okazywanie przywiązania do ciebie... – Trącił szokująco różowy pączek róży. Ponownie spojrzał na kartkę i uśmiechnął się. – Trochę jednak pokręciła. – I popukał palcem w napis „Ze szczerymi wyrazami współczucia”.

Czułam, że pomimo gniewu i obawy przed zdemaskowaniem, kocham Matthew jeszcze bardziej za wywiniecie takiego numeru. Pozwolił mi poczuć się młodą i śmiałą – jak dziecko,

które wie, że coś jest niebezpieczne, a mimo to musi spróbować.

– Na czym to skończyliśmy? – spytał mój małżonek.

Roześmiała się. Ja też próbowałam się śmiać. Tym razem zabrzmiało to, jakby Maria Antonina chichotała, podczas gdy kat sprawdzał ostrze. Nie dość, że Matthew znajdował się w hotelu, to jeszcze w każdej chwili mógł dokonać kolejnego dramatycznego wejścia na scenę. A moje małżeństwo mogło się skończyć w okamgnieniu. Ta rozgniewana część złagodniała i poddała się znowu gorącemu uczuciu do niego. Takie plany, taka przezorność... przyćmiłoby to nawet *Czarodziejski flet*. Po czym gniew przysłonił tamto łagodne uczucie i już byłam gotowa ruszyć za nim, odnaleźć go i spytać, co, do jasnej cholery, sobie wyobraża. Że niby co wyprawia z moim małżeństwem? Na to on miałby oczywistą odpowiedź: „Z jakim małżeństwem?”

Zrobiłam jedyną możliwą w tej sytuacji rzecz: wypiałam jeszcze jeden kieliszek szampana i dokończyłam to, co rozpoczęłam wcześniej z mężem. Nie niepokojona. Może dlatego, że wykazałam się dostateczną przytomnością umysłu, żeby leciutko zsunąć słuchawkę telefonu. Jeśli przez następne pół godziny ktoś się usiłował dodzwonić, to po prostu nie mogł.

Nasz apartament miał numer 505. Na wizytówce Matthew widniał numer pokoju 215. Przynajmniej nie było go za ścianą. Ani w żadnym z pokoi na naszym piętrze. O Boże, dlaczego Carole musiała mi to zrobić i umrzeć? To wszystko jej wina. A teraz, kiedy to już się stało, nie miałam się nawet komu zwierzyć. Była mi tak potrzebna. Konieczność utrzymywania wszystkiego w całkowitej tajemnicy była prawie nie do zniesienia. Nie tylko chciałam opowiedzieć komuś o tym szalonym, absurdalnym, cudownym, teatralnym przedstawieniu, zainscenizowanym dla mnie przez mojego kochanka w tym właśnie hotelu, pod nosem mojego męża, ale bardziej ogólnie, i to dość często, miałam ochotę powiedzieć komuś, jakie to uczucie być tak zakochaną! Chciałam z kimś dzielić się żartami, znaczącymi chwilami, wszystkim tym, z czego jedna kobieta zwierza się drugiej. Nie chodziło mi o rozmiar męskiego instrumentu ani o to, ile razy jednej nocy, ale o tę oczywistą, zachwycającą otoczkę. Żadna kobieta nie została poddana próbie prawdziwej przyjaźni, jeśli co najmniej przez miesiąc nie wysłuchiwała entuzjastycznych opowieści o dowcipie tego nowego mężczyzny i że powiedział to, a zrobił tamto, i co to oznaczało w związku z tamtym, i że robi mu się zmarszczka, kiedy się nad czymś głowi, i że jest jedynym mężczyzną, jakiego spotkałam, któremu dobrze jest w żółtym, i czy mówiłam ci, co powiedział wczoraj wieczorem, kiedy... I tak w kółko. Nie miałam nikogo, komu mogłabym zaufać – na pewno nie nadawała się do tego moja siostra. Nikogo. I to osamotnienie budziło własne demony. Nie było absolutnie nikogo, kto mógłby popatrzeć na rzecz obiektywnie. Te szaleństwa były wyłącznie moje i takie miały pozostać – męczyło mnie to okropnie, ale nie było wyjścia. Przynajmniej takiego wyjścia, które chciałabym wziąć pod rozwagę.

Kiedy tylko Francis mnie objął i zaczęliśmy sobie nawzajem dziękować za wszystko i dotykać się w ten uroczy, uprzejmy sposób, wstrząsnęły mną dreszcze. Matthew Todd zatrzymał się w tym samym hotelu co ja i mój mąż oraz dwójka naszych przyjaciół. Wmaszerował do tej sypialni, przeszedł obok mojego męża i zobaczył mnie w łóżku, i to w stanie, z którego mógł

wyciągnąć tylko jeden wniosek. Że tak byłam napalona, by dostać się do gatek Francisa, że ledwie zamknęły się za nami drzwi, bez żadnych zahamowań zajęliśmy się tym. Następna fala dreszczy. Tyle czasu zabrało mi uspokajanie Matthew po tym, jak odkrył, że mająca romans mężatka musi nadal sypiać z mężem... a teraz zobaczył to na żywo. Miałam ochotę umrzeć. Chciałam położyć się na plecach i oznajmić: „W porządku, losie, poddaję się. Czyń ze mną, co chcesz. Ja sama nie wiem już, co robić”. On był gdzieś tam niedaleko, był niebezpieczny i mógł zrobić wszystko... A część mnie pragnęła, żeby to zrobił.

Francis pogładził mnie po czole.

– Wyglądasz na nieco zestresowaną – zauważył. – Odpręż się. Po to przecież tutaj jesteśmy. Poleż sobie... napiuszcę ci wody do wanny.

No cóż, naturalnie, wybuchnęłam płaczem.

A on mnie pocieszał. Przynajmniej tak mu się wydawało. Kiedy mnie obejmował, położyłam słuchawkę we właściwej pozycji. Telefon zadzwonił. „Rób ze mną, co chcesz, losie” – powiedziałam bezgłośnie. Ale to był Tim. Właśnie przyjechali. Francis powiedział, że weźmie prysznic i spotka się z nim na dole. Ja w tym czasie będę mogła wziąć kąpiel. Wreszcie trochę swobody.

CZŁOWIEK W ŻELAZNEJ MASCE

Jeżeli kiedyś myślałam, że łyżeczkami kawy odmie – rżałam sobie życie, przestało to być aktualne. Teraz odmierzałam je przesiadywaniem na muszli klozetowej i maniackim wduszaniem przycisków telefonu. Wybrałam numer w jego pokoju – brak odpowiedzi. Potem z kolei nie odpowiadał jego telefon komórkowy. Zaczęłam panikować. Wróciłam do sypialni i ponownie spróbowałam się połączyć z jego pokojem – bez skutku. Zadzwoiłam do recepcji i spytałam, czy gość spod 215 jest na terenie hotelu. Z tego, co wiedzieli, owszem. Nie było bowiem jego klucza. Znowu wybrałam jego pokój. I komórkę. Nic. Zanurzyłam się w letniej wodzie i surowo przemówiłam sobie do rozsądku. Moja śmierć w tych okolicznościach nic nie da. Poza tym – przypuszczam, że był to wrodzony, atawistyczny pragmatyzm – powinnam mu pozwolić, żeby przeprowadził to, po co tu przyjechał. On by prowadził, ja bym podążała za nim... żywiąc nadzieję, że Francis niczego nie odkryje. Napięcie ustąpiło. Powrócił dobry humor i podniecenie. Uśmiechnęłam się do piany w wannie. Może uda się spędzić z nim trochę czasu. To oczywiście czyste szaleństwo. Niemniej większy od lęku przed zdemaskowaniem był tkwiący w takiej możliwości dreszczyk. Jak wszystkie Ginewry, ekscytowała mnie jego brawura i radował niemądre fakt, że potrafił zrobić dla mnie coś tak nierozważnego.

Ubrałam się i zjechałam do baru. Po drodze zadzwoniłam do pokoju 215, ale odpowiedzią była cisza. Plan B. Napisałam kartkę. Plan B się nie powiódł. Kartka nie dała się wsunąć pod drzwiami. No dobrze. Zabiorę ją na dół i zostawię dla niego w recepcji.

Zanim winda dojechała na parter, poczułam się spokojniejsza. Będzie, co ma być. Miałam dwa cele. Jeden, to spotkać się z nim jak najszybciej sam na sam. Drugi, to nie zranić Francisca. Pierwszy może mi się uda osiągnąć lub nie. Jeśli chodzi o drugi, byłam zdeterminowana. Żalosne w istocie, zważywszy na to, co robiłam za jego plecami. Francis nie był głupi ani tępy, ani arogancki, więc nie zasługiwał na okpienie... był po prostu mężczyzną, który ufał swojej żonie.

Charlotte szła właśnie przez hol, kiedy otworzyły się drzwi windy. Zatem nici z Planu C. Włożyłam kartkę do torebki i objęłyśmy się czule. Po czym Charlotte zrobiła krok do tyłu i zmierzyła ranie taksującym spojrzeniem od stóp do głów.

– Cholera, wyglądasz cudownie – oznajmiła. I nieco sceptycznym tonem dodała: – Francis twierdził, że nie czujesz się całkiem dobrze.

Ogarnęła mnie ogromna ochota, żeby jej wszystko opowiedzieć. Na szczęście ta chwila szaleństwa szybko minęła. Zachowuj się zwyczajnie, powiedziałam sobie, i wzięłam ją pod rękę.

– Tak się cieszę, że cię widzę – oświadczyłam.

Ruszyłyśmy w kierunku baru. Charlotte nic się nie zmieniła. Tyczka z gniazdem siwych

włosów, regularnymi rysami twarzy i zgrabnymi, długimi nogami. Nosiła zwiewne pastelowe spódnice, współgrające z nimi zwiewne pastelowe żakiety i jasne pończochy, co wszystko razem wyglądało na niej jakoś bardzo stosownie.

– Ty też wyglądasz znakomicie. Niezwykle elegancko... Przerwała mi.

– Ależ nie – zaprzeczyła. – Nie o to chodzi. Ty naprawdę wyglądasz cudownie. W czym tkwi sekret?

Podniosłam wzrok.

Uśmiechnęłam się.

A potem, nadal się uśmiechając, utkwiałam spojrzenie w jednym punkcie i gwałtownie wciągnęłam powietrze.

Stałam oniemiała, bezmyślnie zapatrzona i całkowicie zeszywniała. A ona była zupełnie zbita z tropu.

I tak pomilczałyśmy przez chwilę, aż wreszcie Charlotte powtórzyła z lekkim wahaniem:

– Sekret? – A tak naprawdę to miało znaczyć: Halo... jestem tutaj.

Moje oczy wciąż były wlepione w punkt za jej plecami. Sekret? Co było moim sekretem? Cóż – żeby się długo nie rozwodzić – mój sekret siedział tam, w fotelu, czytając gazetę czy raczej spoglądając ponad jej krawędzią z uniesionymi brwiami. Nie uśmiechał się.

Ja też nie.

– Nie ma żadnego sekretu – odparłam i zmusiłam się, żeby oddychać miarowo. – Panowie są w barze, prawda? – I ująwszy Charlotte pod rękę, na omdlewających nogach, skierowałam się do baru.

Matthew wstał i ruszył za nami. Wyglądało to całkiem zwyczajnie. Cóż, to mogło wyglądać zwyczajnie, tyle że on sam nie wyglądał zwyczajnie. Skąd wziął takie ubranie? Miał teraz na sobie klubową marynarkę i flanelowe spodnie... białą koszulę i krawat, a nawet spinkę do krawata. Różnił się tak od mojego noszącego się sportowo Matthew jak Fred Astaire od jakiegoś breakdancera. Jednym słowem, wyglądał jak prosto z Hastings Bowls Club. Roześmiałabym się na głos (czy może rozszochała), gdyby nie robił wrażenia szaleńca. Patrzyłam więc prosto przed siebie, podobnie zresztą jak on, i niemal ramię w ramię, ja nadal trzymając się kurczowo Charlotte, wkroczyliśmy do baru.

Francis i Tim siedzieli przy oknie. W pobliżu nie było wolnych stolików, wobec czego Matthew ruszył w kierunku stołka przy barze. Kiedy Francis pocałował mnie w policzek i powiedział, że wyglądam cudownie, prawie krzyknęłam: „Przestań”. Czułam, jakby przestrzeń pomiędzy mną a barem była pod napięciem. Zerknęłam za siebie, ale Matthew odwrócony był tyłem. A potem zobaczyłam. Dwa punkty błękitnego światła odbite w tylnej ścianie baru. Obserwował nas w lustrze.

Tim mówił coś o tym, że wyglądam o dziesięć lat młodziej. Francis coś o szampanie czy o dzinie z tonikiem, na co odparłam: „Owszem”, a on zapytał: „Że co, obydwaj?” I kiedy on i kelner z rozbawieniem rozplątywali ten problem, przełożyłam jedną rękę do tyłu i delikatnie

pomachałam. Matthew wykonał podobny ruch. Bez uśmiechu. A potem jakoś tak się stało, że usadzono mnie przy stoliku tyłem do mojego kochanka, i nie mogłam się zdecydować, czy tak jest lepiej czy gorzej.

Powinłam była wiedzieć. Mogłam się domyślić po tym wypytywaniu o nazwę hotelu: kiedy dokładnie przyjeżdżamy, czy jadamy w tutejszej restauracji czy gdzieś indziej, co porabiamy podczas tych weekendów... Przypisywałam to wszystko zazdrości, tymczasem to było mu potrzebne do zaplanowania całej tej intrygi. Sama dostarczyłam Matthew wszystkich informacji... i trzeba przyznać, robił z nich niezły użytek. Nie wystarczało mu, że może tymi swoimi bezlitosnymi oczyma wpatrywać się we mnie, kiedy siedzą w barze, gwarząc z przyjaciółmi i ściskającym moją dłoń mężem, popijam z wolna dzin z tonikiem – podczas gdy tak naprawdę miałam ochotę połknąć go jednym haustem i paść nieprzytomna na podłogę – i ogólnie rzecz biorąc, staram się zachowywać przyzwoicie. Jeszcze mu było mało i kiedy opuściliśmy bar, by przejść do restauracji, też się tam przeniósł. Posadzono go po przeciwnej stronie sali, obok drzwi, ale widziałam go doskonale. A on mnie. Wpatrywał się tylko. Bez najmniejszych oznak emocji. Jedynie ta twarz, to nieruchome spojrzenie ponad głowami obiadujących. Uśmiechnęłam się. On nie. Podniósł tylko pusty kieliszek, odstawił go, oparł ręce na stoliku i nadal się we mnie wpatrywał. Gdyby nie to, że miał tak niewinne, pogodne oblicze, któremu nawet rzucające gromy spojrzenia nie były w stanie przydać złowrogich cech, zapewne personel hotelowy by go aresztował. Nawet cienia emocji, ani w twarzy, ani w postawie. Równie dobrze mógłby się kryć pod maską. Kiedy już złożyliśmy zamówienie i wino znalazło się na stole, przeprosiłam na chwilę towarzystwo. Miałam doskonały pretekst. Zapomniałam zabrać urodzinowy prezent dla Francisa. Został na toaletce w naszym apartamencie. Wstałam, powiedziałam: „Za chwilę wrócę” i popędziłam. Wyczuwałam, że Matthew ruszył za mną. Na szczęście moi nieświadomi niczego towarzysze pogrążeni byli w beztroskiej rozmowie. Już w drzwiach sali restauracyjnej zauważyłam natomiast, że kelner obsługujący Matthew stoi bez ruchu, z butelką w ręku, zdumiony raptownym opuszczeniem krzesła przez swojego klienta. Usłyszałam jego pytające: „Proszę pana?” i rzuconą przez Matthew odpowiedź: „Wrócę”, i już biegłam przez hol. Dogonił mnie. „Kocham cię”, oznajmił. Biegłam dalej. Bóg jeden wie, co myśleli sobie ci siedzący i kręcący się wokół nas trzeźwi ludzie. Nie był to hotel, w którym ktokolwiek poruszały się biegiem.

– Gniewasz się? – spytał. Milczałam. Wbiegliśmy po schodach na najbliższy podest i tam chwycił moją rękę i razem już pobiegliśmy na następne piętro. Dotarliśmy do jego pokoju. Numer 215 znajdował się w tej zdecydowanie mniej reprezentacyjnej części hotelu i kluczyliśmy niezliczonymi korytarzykami, zupełnie jak Alicja i Biały Królik. Pokój był mały, wąski, z pojedynczym łóżkiem i miniaturową kabiną prysznicową. Jeden z tych pokoików być może kiedyś zajmowanych przez służących, którzy towarzyszyli dżentelmenom... albo trzymany dla przypadkowego, niebogatego gościa. Kto wie. Po pobycie w 505 odczułam na jego widok zażenowanie.

– Tu jest okropnie – oznajmiłam. – Naprawdę koszmar.

Objęliśmy się, stojąc na wąskim dywaniku.

– Nie było innych wolnych pokoi; zresztą i tak wygląda już lepiej – oświadczył.

– Jak mogłeś coś takiego zrobić? – spytałam. – To kompletne szaleństwo.

– Nic innego nie przychodziło mi do głowy. – Szukał palcami zamka błyskawicznego, ale ta sukienka go nie miała. Chyba tego nie zauważył. – Trochę mi to pomogło – stwierdził głosem, w którym słycać było pretensję przemieszaną ze smutkiem. – To planowanie, ta tajemnica, przyjazd tutaj. Odciągnęło myśli od ciebie z nim.

Coś mi w tym wszystkim nie pasowało. To mógł powiedzieć raczej skrzywdzony małżonek, nie zaś pełen zapału kochanek.

– Te kwiaty... to było zabawne. Zignorował mój śmiech.

– Zabawne? – Zrezygnował z szukania zamka błyskawicznego i wsunął mi dłoń między uda.

– Czy ty... – spytał – tego wieczoru... ?

– Nie ma sensu o tym mówić. Zrobiłam, co musiałam. On jest moim mężem, Matthew. Moim mężem. – Nagle zaczęłam krzyczeć, lęk i gniew wzięły górę nad dziecinadą, jaką to wszystko było. – Musiałam, do jasnej cholery! – wrzasnęłam.

– Są sposoby – oznajmił.

– Nie ma.

Odsunął się i patrzył na mnie, zupełnie jakbym wbiła mu nóż w plecy.

– Wypróbowałam wszystkie. Po prostu musiałam. A teraz, proszę, zapomnij o tym. – Zrobiłam krok do przodu.

Cofnął się, jego twarz ponownie zastygła w maskę.

– Czy to było...

– Nie sędzę, by z tej rozmowy wynikło coś dobrego... Kocham cię i chcę być z tobą... – Próbowałam go pocałować, ale odwrócił gwałtownie głowę. Ujęłam jego dłoń i przytrzymałam i w tamtej chwili nienawidziłam Francisca. Bo tylko tego chciałam. Teraz.

– Zostań – powiedział.

– Nie mogę.

– Możesz – nalegał. – Proszę. Zachowywaliśmy się jak para bezrozumnych istot.

– Muszę wracać. Oni tam wszyscy czekają. Jak nie wrócę, zaczną mnie szukać. Już uważają, że trochę mi się pomieszało w głowie... albo że nie jestem w najlepszej formie, jak to określają... a Francis uważa, że i pomieszało mi się w głowie, i jestem w nie najlepszej formie, a do tego mam problemy z pęcherzem. – Co?

– Bo usiłowałam dodzwonić się do ciebie z każdej publicznej toalety pomiędzy estakadą Hammersmith a tym hotelem.

Zapanowała chwila milczenia. Potem – czy to była ulga, czy wprost przeciwnie, nerwy, w każdym razie nagle oboje dostrzeżliśmy komizm tej sytuacji i parsknęliśmy śmiechem. Przynajmniej stopniała ta jego maska. Kiedy wreszcie udało się nam powstrzymać śmiech, zaczął

gładzić mnie po karku.

– Mogłaś – powiedział – po prostu od tego wszystkiego odejść. Kiedyś będziesz musiała.

To było miejsce, od którego wołałam się trzymać z daleka. Miejsce strzeżone tym lękiem i gniewem. Nie pozostało mi nic, jak tylko oznajmić:

– Muszę już iść. Naprawdę muszę iść. Jeśli nie pójdę, on zacznie coś podejrzewać. A wtedy...

Spojrzenie jego niebieskich oczu znowu nabrało twardości stali.

– Wtedy? – spytał. – Co wtedy?

– Eee... nic. – Wycofałam się. – Eee... nic. Po prostu nie jestem jeszcze gotowa na taką rozmowę.

Pocałowałam go. Ponownie zeszywniał, jego twarz zastygła...

– Nie rób tego. Proszę, Matthew...

Miałam go puścić, tymczasem wciąż się go trzymałam. Myślę, że gdyby raz jeszcze poprosił, żebym została, poddałabym się. On jednak musnął ustami moje włosy i popchnął mnie ku drzwiom. Wyszliśmy. W milczeniu.

– Zejdź na dół – odezwałam się w końcu. – Ja muszę jeszcze pójść po prezent dla Francisca. – Byłam bliska płaczu. Cały czas spodziewałam się usłyszeć te stare jak świat słowa: „Gdybyś mnie kochała, tobyś to zrobiła” i miałam nagle zupełnie szalone wrażenie, że jesteśmy tak młodzi jak Romeo i Julia i podobnie jak oni osaczeni. Wszyscy umierają, pomyślałam zupełnie bez sensu. Tych dwoje, pani Bovary, Therese Raquin, Madame Butterfly...

Na końcu korytarza on poszedł swoją drogą, a ja wsiadłam do windy. Teraz już płakałam na całego. Tego było za wiele jak dla mnie i nie miałam pojęcia, co robić... byłam dosłownie rozdarta na dwoje. Może rzeczywiście skończę jako obłąkana, nie kontrolująca czynności fizjologicznych osoba?

Kiedy wyskoczyłam z windy i pobiegłam korytarzem do naszego apartamentu, ujrzałam idącą przede mną Charlotte; sprawdzała numery na drzwiach.

Zawołałam, a ona odwróciła się i uśmiechnęła.

– Francis zaczął się niepokoić – oznajmiła – wobec czego przyszedłam. Wszystko w porządku? Wyglądasz nieco...

– Wydaje mi się, że godzinę temu wyglądałam cudownie – odparowałam, zdecydowanie zbyt agresywnie.

Zamrugnęła nerwowo. Miła, sympatyczna, umiejąca się zachować Charlotte. Miałam ochotę jej wyjaśnić: „Nie, nie wszystko jest w porządku. Pieprzę się z dwoma mężczyznami i nie wiem, co robić... Ponieważ kocham obu. A przynajmniej wydaje mi się, że kocham obu... W każdym razie kocham jednego z nich i chociaż tego drugiego też kocham, to jednocześnie nie mogę znieść jego widoku... „

Na szczęście odezwała się ona:

– Cóż, wyglądasz, jakbyś płakała – oświadczyła usprawiedliwiająco.

– Owszem. Och... przepraszam. Tak już jest.

Wpuściłam ją do naszego apartamentu i usiadłam w fotelu. Ona przysiadła na drugim z zatroskaną miną, którą mógł wywołać również widok tego niezwykłego kosza kwiatów.

– Chodzi o menopauzę?

Wzruszyłam ramionami, pamiętając, żeby mówić prawdę, kiedy to tylko możliwe.

– W jednej chwili jestem zadowolona i szczęśliwa, a w następnej właśnie taka...

Odprężyła się.

– Och, wiem, jak to jest. Sama zachowuję się podobnie. Wszystko jest w jak najlepszym porządku i nagle... łup! W zeszłym tygodniu wyrываłam chwasty w ogródku od frontu, kiedy nagle poczułam się taka słaba, nogi zaczęły mi drżeć...

Pocziwa Charlotte! Wrywała chwasty! Wstałam.

– I po wszystkim. Już dobrze. Wezmę tylko prezent i zjedziemy na dół.

– Wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać. Obiecuję, że nic nie powiem Timowi.

Wlepiłam w nią wzrok. Czyżby podejrzywała?

– Poza tym – dodała – zawsze możesz pogadać ze swoim lekarzem.

Wzięłam portfel – bezosobowy prezent – w żaden sposób nie potrafiłam się zmusić, żeby kupić mu coś na zawsze, takiego jak sygnet czy zegarek – i pojechałyśmy na dół. Pogodne, pewne siebie, dwie panie w pewnym wieku, spędzające z mężami rozkoszny weekend w uroczym, historycznym Bath, jedzące obiad w hotelu. Tyle że przypadkiem kochanek jednej z nich siedzi przy stoliku opodal i obrzuca ponurym spojrzeniem te dwie pogodne, pewne siebie panie, kiedy przechodzą obok. Przez jedną krótką chwilę miałam ochotę usiąść obok niego... „Czy mogę się przysiąc, skarbie?” – i cała rzecz się wreszcie skończy. Przeszłam jednak obok, pomaszero瓦łam dalej i dołączyłam do swojego towarzystwa. Domyśliłam się, że Tim i Francis rozmawiali przed chwilą o mnie. Natomiast czy ich rozmowa dotyczyła stanu moich hormonów, czy mojego oczywistego rozkwitu, trudno było odgadnąć. Tim uśmiechnął się tylko do mnie dobrodusznie, Francis przyjął i otworzył prezent, wyraził głębokie zadowolenie i dał mu wyraz, składając pocałunek na moim policzku, co musiało być dla Matthew powodem do wielkiej radości. Przyniesiono wstrzymane do tej pory zakąski. Zerknęłam szybko na drugą stronę sali. Matthew i ja wybraliśmy ostrygi. Myślałam, że to jakiś znak. Harmonia serc... Wariactwo.

A potem, rzuciwszy okiem na mój talerz, Tim zwrócił się do Francis:

– Hoho... to może być twoja szczęśliwa noc. Przyniesiono talerz Francis. On również zamówił ostrygi. Mrugnął do mnie, kiedy je przed nim stawiano.

– Pocziwe, seksowne ostrygi – oświadczył. Charlotte i Tim zachichotali.

– W Rules – Francis wyjaśnił ten żart. – Na pierwszej randce podbiła tam moje serce dzięki ostrygom.

Nagle ogarnął mnie smutek, tęsknota za tą szczęśliwą, nieskomplikowaną osobą, jaką byłam lata temu.

Po daniu głównym Matthew wyszedł. Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć, a tymczasem

jego już tam nie było; sprzątno stół. Natychmiast nasunęła mi się banalna myśl: No cóż, on nie przepada za deserem. A potern miałam ochotę się uśmiechnąć, bo ta myśl była tak zwyczajnie prosta; bo rozumiałam jednocześnie, że pod namiętnością i żarliwością kielkuje prawdziwe uczucie.

– Dilys? Francis coś mówił.

– Tak?

– Tim stwierdził właśnie, że mamy szczęście, że udało nam się dobrać aż tak daleko. W całości.

– Myślałam, że wszyscy teraz żyją dłużej i zdrowiej...

– Nie chodzi o życie – powiedział Tim. Charlotte wybuchnęła śmiechem.

– Chodzi o małżeństwo. Które ci najwyraźniej służy.

– Naprawdę? – Gorączkowo zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jest jakiś sprawdzian. – Myślałam, że małżeństwo przedłuża mężczyznom życie, za to kobiety samotne żyją dłużej. Czy nie to wynika ze statystyki?

– Och, statystyka – zachnął się Tim.

– Teraz rozpada się o wiele więcej małżeństw – oznajmiła Charlotte. – Połowa związków naszych przyjaciół sypie się w gruzy. I związków ich dzieci.

– Myślę, że w dzisiejszych czasach ludzie myślą ślub z małżeństwem – powiedział Francis. – Jedno jest łatwe, drugie zaś trudne. – Roześmiał się i poklepał moją dłoń. – Cholernie trudne.

Jak to dobrze, że alkohol nie wymaga gryzienia i żucia, i właściwie sam spływa do gardła. Nie byłam bowiem zdolna do żadnej czynności wymagającej kontroli nad mięśniami. Czemu niby miała służyć ta rozmowa? Czy oni wszyscy wiedzieli, że jestem cudzołożnicą? Próbowali złapać mnie na jakąś przynętę? Czyżby wcześniej się zmówili i postanowili wyżyć się na mnie przed ujawnieniem prawdy?

Tim mówił dalej, najwyraźniej zupełnie nieświadom głębszego znaczenia swoich słów.

– Wyobrażacie sobie odgrywanie roli jakiegoś Jeffreya Archera¹ czy Alana Clarka²? Cudzołóstwo. Z całym tym ryzykiem. Na samą myśl dostają gęsiej skórki.

– To ich problem, jak sądzę – oznajmiła Charlotte ze śmiechem. – Ta gęsia skórka.

Tim wznosił ku niej kieliszek.

– Mamy za sobą już prawie trzydzieści pięć lat – powiedział. – A wam musiała stuknąć trzydziestka.

– Owszem – potwierdziłam. Znowu jechałam na szafot. Poczułam, że Charlotte obdarza mnie dłuższym spojrzeniem, wobec czego sięgnęłam do dłoni Francis'a i ścisnęłam ją... i zrobiło mi się słabo. Nieszczęsna para. Judasz i Maria Antonina, ramię w ramię, wiezieni po kocich łbach.

– Już myślimy o czterdziestej piątej rocznicy – powiedział Francis. Dotknął pierścionka na moim palcu. – Po prostu kupiłem ten szafir kilka lat wcześniej.

– A co się dzieje potem? – spytałam.

– Wyganiem cię na śnieg – odparł. Wszyscy się roześmiali.

Kołatała mi się w głowie tylko jedna myśl: Czterdzieści pięć lat.

– Napiję się koniaku – oznajmiłam radośnie.

Zauważyłam, że Francis i Tim wymieniają niemal niedostrzegalne spojrzenia. Francis najwyraźniej pamiętał ten koniak po pogrzebie Carole i to, że potem już nic nie było takie samo.

– Polubiłam go. – Czort z nimi. – Może kawę wypijemy w barze?

Konieczniamusiałam odnaleźć Matthew. Choćby po to, żeby być z nim w jednym pomieszczeniu. Pomyślałam, że może poszedł topić swoje smutki w alkoholu. Wiem, że byłam gotowa zrobić to samo z moimi.

Rozsiadliśmy się w barze. Salka była prawie pusta. Jego tam nie było. Nieszczęśliwa popijałam okropny koniak.

– A jutro wieczorem Mozart – oświadczyła Charlotte. – Cóż za uczta.

Przyszła mi do głowy całkiem zabawna myśl, że Matthew może odegrać w tym spektaklu jakąś rolę. Był do tego zdolny. Myliłam się. Zostawił mi wiadomość. Kilka słów.

„Nie mogłem tego znieść. Wróciłem do domu”.

Poczułam się całkowicie osamotniona.

MIEĆ ALBO NIE MIEĆ?

A co to takiego? – spytał Francis, kiedy pakowaliśmy się przed wyjazdem do domu. – Pigułki hormonalne – odparłam. – I nie grzeb w mojej torebce. Poproś, jak czegoś potrzebujesz.

– Nie grzebię... – Wydawał się urażony. – Po prostu szukam pióra.

Byłam wściekła.

– Możesz użyć swojego. – Wiedziałam, że powinnam była wyjąć z opakowania dwie pigułki, a resztę zostawić w domu. Lenistwo i cudzołóstwo, jak odkryłam, nie pasują do siebie. – To moja prywatna torebka. Bardzo prywatna.

– Przepraszam – powiedział.

Chodziłam nadęta, co nijak nie przypominało zachowania żony wdzięcznej za zorganizowanie uroczego weekendu w stylu Dunmow Flitch¹.

– Zupełnie zapomniałem, że to oznaka władzy współczesnej kasztelanki.

– Niby co?

– Jej torebka. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Przyrzekam, że następnym razem zapytam.

Czekał.

Nadał się dąsałam.

– Możesz jeszcze tupnąć – powiedział.

Natychmiast zrobiło mi się i wstyd, i przykro.

– Mozart był wspaniały. Dziękuję.

– Widziałem te łyzy – powiedział zadowolony. – To był udany spektakl. – I zaczął nucić *O zittre nicht, mein lieber Sohn...*

Nie lękaj się, o szlachetny młodzieńcze – tak, to wydawało się idealnie wręcz stosowne.

– Przestań – jęknęłam całkiem bezwiednie. Śmiał się podczas pakowania.

– Choć, od czasu do czasu, nieco nużący... Ta Pamina się nieźle roztyła, nie sądzisz?

– Nie da się ukryć. Zamknął walizkę.

– Gdybyś musiała wybierać pomiędzy Mądrością, Rozsądkiem i Naturą, do której ze świątyń byś wstąpiła?

– Naturalnie, Mądrości – skłamałam. – A ty?

– Kiedyś powiedziałbym to samo, teraz jednak... – Podniósł wzrok znad walizki. – Myślę, że teraz wybrałbym Naturę... I wyruszył na spacer po bardziej dzikiej okolicy.

Dawniej podeszłabym do niego, dotknęła delikatnie, pocałowała w policzek... może i coś więcej. Teraz jednak przemknęłam przez pokój i zniknęłam w łazience. Nawet on robił wrażenie zaskoczonego, kiedy jak strzała przelatywałam obok niego. Znowu zabrałam się do mycia zębów.

– W każdym razie z niecierpliwością oczekuję emerytury – zawołał do mnie.

– Mhm – wymamrotałam.

– Tim przechodzi na emeryturę w końcu przyszłego roku. Chcą się wybrać w podróż dookoła świata. Wspominali kilkakrotnie, że moglibyśmy pojechać razem.

– Znakomicie – oświadczyłam, wynurzając się ponownie z łazienki, przekonana, że groźba jakichś bardziej intymnych gestów już przeminęła.

Dotknął mojego ucha. W którym tkwił szafirowy kolczyk. Jeden z pary, którą mi wręczył tuż przed wyjściem do opery.

– Wcale nie znakomicie – oświadczył. – Przecież mamy ochotę pobyć sami, czyż nie?

Nie mogłam już tego znieść i odchyliłam głowę. Westchnął, ledwo dosłyszalnie.

– Może zatrzymalibyśmy się po drodze na lunch. Przedłużyli powrót do domu. Co ty na to? Pomyślałam o Henley.

Jeśli w tej propozycji zabrzmiała nuta smutku, to nie była zbyt wyraźna. Ale poczułam się jak użądlna.

– Chciałabym po prostu wrócić do domu. Zjedliśmy ogromne śniadanie. A poza tym miło byłoby spędzić trochę czasu z Julią.

Skinął głową. Rozczarowany. Podobnie rozczarowany był tego ranka, kiedy zaczął mnie dotykać, a ja się odsunęłam. Teraz objęłam go w pasie i obojętnie uścisnęłam, przez co poczułam się jeszcze bardziej okrutna.

– Opowiedz mi o sprawie Hogana – poprosiłam.

Kiedy on mówił, ja intensywnie myślałam, jak się spotkać wieczorem z Matthew. Musiałam go zobaczyć. Każda cząstka mojego ciała naładowana była przeznaczoną dla niego energią. Każdy, kto porównywał miłość do narkotyku – od Mozarta do Bryana Ferry’ego – miał z grubsza rację. Człowiek nie zastanawia się nad niebezpieczeństwem, nad ceną, kiedy musi wziąć działkę.

Wysilałam mózgownicę przez całą drogę do domu. Jak mam tego wieczoru wyjść, legalnie, a do tego sama? Jak? Czy ośmielę się to zrobić raz jeszcze? Kochana, poczciwa ciocia Liza.

Jazda samochodem z Fulham do Paddington w ciepłe, słoneczne popołudnie zajmuje około trzydziestu pięciu minut. Tym razem nie pozwoliłam sobie na bezmyślność, tylko spróbowałam skoncentrować się na myślach pożytecznych. Nie robiłam tego od czasu pogrzebu Carole i chciałam się przekonać, czy jeszcze to potrafię. Namiętność z całą pewnością powoduje kurczenie się mózgu i zdziecinnienie. Kiedy pojawia się jakaś poważna myśl, to po prostu nie ma dla niej miejsca wśród całej tej roziskrzanej waty cukrowej. Skoncentrowałam się. Może chociaż zgodną, dokąd to naganne postępowanie mnie zaprowadzi. Żeby zachować zdrowe zmysły, jeśli już nie w innym celu, mocno skupiałam myśli pomiędzy Fulham i Paddington.

Włączając się w sznur samochodów w Hammersmith, porównywałam sobie tych dwóch mężczyzn. Francis i Matthew. Mąż i kochanek. Szanowany prawnik i bezrobotny z Paddington. Zrób listę ich zalet, a okaże się, że ci dwaj prawie się od siebie nie różnią. Przynajmniej nie przyprowadzałam Francisowi rogów z facetem, z którego poglądami by się nie zgadzał. Co zresztą

nie było dla mnie żadną pociechą. Nie byłoby też dla niego, gdyby wiedział, co się dzieje. A kiedy czasami chciałam porozmawiać z Matthew o Francisie, ten przykładł palec do swoich albo do moich ust, albo też zmieniał temat.

Obaj wierzyli w najwyższe dobro. Obaj mieli liberalne poglądy. Obaj mieli do czynienia z brutalną rzeczywistością, będącą przeciwieństwem tej krainy niesprawdzonych ideałów zamieszkaną przez większość z nas, i to niezależnie od naszych politycznych przekonań. Piękne są te czyste ideały w stylu „Daj ludziom ładny domek oraz jedzenie na stół, a ucywilizują się razdwa i przestaną obijać staruszki na ulicach”.

Francis miał nieustannie do czynienia z ludźmi, którzy posiadali ładny dom, przyzwoite jedzenie, zmieniali bieliznę, pościelową co poniedziałek, a którzy mimo to wyruszali na miasto i tłukli, kogo popadnie. Miał kiedyś w areszcie chuligana, tak zwanego pseudokibica, który podczas rozróby na stadionie wbił nóż w ucho wznoszącemu okrzyki emerytowi. Podczas rewizji w jego domu żona stała z niemowlęciem na rękach. Nie rozumiała, o co chodzi. Policjanci zaglądali do szaf z wyprasowaną bielizną i równiutko ułożonymi ubrankami dziecka. Zawartość szuflad wyrzucali na nieskazitelnie czysty, beżowy dywan. Kobieta twierdziła, że o niczym nie ma pojęcia. Wtedy nie byłam przekonana... teraz już w to wierzę. Możesz oszukać każdego, kto cię kocha.

Na drugim krańcu zawodowego spektrum Francisza znajdowali się ofermowaci nieudacznicy, wybrakowana część społeczeństwa. Nieszczęśni i pozbawieni nadziei, którzy potrzebowali ochrony przed zwolennikami teorii w rodzaju „Jak nie można ich powiesić, to trzeba im dokopać” i tym podobnych. Był ich obrońcą w duchu „Tylko z łaski bożej to nie jestem ja”², i takie tam. Miał nieustannie do czynienia z klientami, którzy w jakiś tajemniczy sposób walili głowami w buciory policjantów albo którzy z tragicznym skutkiem poślizgnęli się na schodach komisariatu. Wzywano go w środku nocy do aresztu śledczego, gdzie u swoich młodocianych klientów odkrywał znacznie poważniejsze obrażenia niż tylko sińce na karku. Dla niego sprawa była oczywista Winę za całe zło, od tego chuligana z beżowym dywanem na podłodze, przez przystrojonego swastykami, naszprycowanego ulicznego bandytę, do zrozpaczonego, pozbawionego praw obywatelskich młodego człowieka, ponosi Margaret Thatcher ze swoim „Czy jesteś jednym z nas?”

Ten Francis, wywodzący się ze świata, w którym uprzywilejowanie oznaczało, że niczego nie trzeba sobie odmawiać, wierzył w równość społeczną. Oskarżał ten system. Potępiał Thatcher i jej frazesy w rodzaju „Nie ma społeczeństwa, są tylko jednostki”, bo umocniły tę przeraźliwą arogancję, którą przesiąknęły nasze instytucje publiczne. Nie godził się z sytuacją, że brak pieniędzy lub pracy staje się przyczyną różnych szykan czy lekceważenia. Ronił łzy z żalu i wściekłości, kiedy dotarły do niego wieści o Hillsborough³. Widzieliśmy na ekranach naszych telewizorów obywatele drugiej kategorii pozostawionych bezmyślnie w pułapce i sceny jak z filmów grozy. Ogłupiali policjanci odzyskali rozsądek dopiero wtedy, kiedy uświadomili sobie, że należy pozbyć się nagrania wideo, które wykaże ich niekompetencję. To zupełnie jak w

dickensowskim świecie, oznajmił z obrzydzeniem. I za to winił Thatcher i jej ideologię – za to, że paskudnie wykorzystwała powiedzenie „każdy dba o własną skórę”, mówiąc, że chodzi o zaradność. Prawdziwe wiktoriańskie wartości. Naprawdę jej nienawidził.

Stąd to dziwne uczucie, kiedy leżałam w łóżku obok Matthew i obserwowałam świt, wysłuchując jednocześnie monologu mojego kochanka na tematy społeczne. Jakbym słyszała Francisa. Mogłabym podpowiadać Matthew najbardziej odpowiednie słowa – znałam je na pamięć. Gryzłam się w język, bo wiedziałam, że tego robić mi nie wolno. I tak już ponosiły go emocje i na pewno byłby zachwycony, gdyby usłyszał, jak bardzo przypomina mi mojego męża... Thatcher była jedyną istotą ludzką, którą Francis radośnie udusiłby gołymi rękoma; Matthew najchętniej przyłożyłby jej w głowę jedną z tych słynnych żelaznych torebek.

Podobne też mieli zdanie na temat wojny falklandzkiej. Dla Francisa było to wydarzenie, które wzmocniło jego polityczne zaangażowanie. A był już w takim wieku, że mógłby sobie darować i zacząć wchodzić łagodnie... W wieczór Wielkiej Defilady Zwycięstwa, tego boleśnie groteskowego wydarzenia, do którego nie dopuszczono rannych i okaleczonych weteranów, byliśmy właśnie w miejscowej restauracji. Jeden z gości popełnił błąd, wznosząc ku nam kieliszek w toaście za to „wspaniałe zwycięstwo”. Na co Francis pomaszzerował wprost do jego stolika, poinformował go, gdzie może sobie wsadzić ten toast, i z taką siłą walnął pięścią w jego stolik, że aż podskoczyły kieliszki. Na szczęście właściciel nas znał...

Wspomnienie tamtego wieczoru okazało się nagle bolesne. Przypomniało mi o tym, jak znani byliśmy w pewnych restauracjach – wtedy było to takie banalne – i jak niezachwiana była moralność Francisa. Cokolwiek bym teraz wyczyniała, mój podziw dla niego nie malał. Było mi wstyd, że krzywdzę takiego porządnego człowieka. O ile to wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym mogła sobie powiedzieć, że Francis jest złym mężem, złym człowiekiem, po trzykroć złym. Wiedziałam, że Matthew chciałby usłyszeć coś takiego (a ja, oczywiście o jego żonie, gdyby ją miał), tymczasem mogłabym tylko powiedzieć, że Francis jest po trzykroć dobry. Byłam z niego dumna. Jednocześnie dumna i niewierna mu. Nikczemna miłość. Tyle razy miałam ochotę powiedzieć Matthew coś dobrego o Francisie... na przykład o tamtej restauracji i defiladzie. Milczałam jednak, leżąc w jego ramionach, i słuchałam, jakby to wszystko było dla mnie nowością. Dowiedziałam się przy okazji, że tamten wieczór Matthew spędził z dwoma bezdomnymi weteranami, upijając się tak, że nie mógł ustać na nogach. Tamci nóg nie mieli.

Francisa cieszyła rewolucja blairowska, choć wydaje mi się, że zaskoczył go nieco fakt, iż jest o dwanaście lat starszy od nowego premiera. Matthew tymczasem musiał zarzucić swoje pomysły. Jego oczekiwania, że nadejdzie czas inwestowania w klasy upośledzone, nie spełniły się, podczas gdy Francis zakładał dalekowzrocznie, że reformy staną się możliwe jedynie wtedy, kiedy klasy średnie rzeczywiście opowiedzą się za nimi. Taka jest kolejność dziejowa. Podzieliłam się tymi przemyśleniami z Matthew.

– O kant dupy to rozbić – oznajmił. – Ta tak zwana rewolucja blairowska to zdrada całego ruchu laburzystowskiego. Jeśli facet dostaje się do rządu i w pierwszej ustawie wprowadza opłaty

za doskonalenie zawodowe, a jednym z jego haseł jest zdecydowana walka z bezdomnymi, to, moja malutka, ja takiego kogoś na pewno nie poprę...

– Na kogo więc będziesz teraz głosował?

– Nie wprowadzajmy polityki do alkowy...

– To znaczy, że nie wiesz? – Aha.

– To czemu nie dasz Blairowi i Spółce szansy?

– Ponieważ, mój słodki piesku kapitalizmu, oznaczałoby to danie im szansy, którą mogą źle wykorzystać...

A przecież Francis i ja tak długo czekaliśmy na tę zmianę. Były w niej załączki tego poczucia winy i rozpacz, jakie mnie teraz dręczyło. Kiedy bowiem nadeszła – tak długo oczekiwana – on był już zdecydowany ustąpić pola. Właśnie wtedy zaczął mówić o emeryturze. Uważał, że trzeba zrobić miejsce młodym. My – on i ja – wreszcie byliśmy wolni od odpowiedzialności. Nawet wtedy nie pomyślałam, że jestem zaledwie po czterdziestce, nadal całkiem młoda. Szlachetnie odchodziliśmy w kierunku zachodzącego słońca, po dobrze wykonanym zadaniu. Dochowaliśmy wiary i laburzystom w końcu się udało. Matthew widział to inaczej.

– Przewymarzyli pryncypia za władzę. To rząd działający na zasadzie posiedzenia dyrekcji. Kiedyś zapraszano mnie, żebym coś powiedział na takich posiedzeniach... kiedy szukałem funduszy... i nasłuchiłem się tego żargonu. Oderwane od rzeczywistości gadanie o tym, czego by się chciało, a nie o tym, co jest. Rząd pod tym względem nie jest inny. Kiedy ostatni raz słyszałaś, jak ktoś mówi: „Przepraszam, spieprzyłem”?

– A sprawa Stephena Lawrence’a⁴? Myślałam, że Matthew padnie trupem na miejscu.

– Mydlenie oczu – powiedział w końcu. – Och, dajże spokój, Dilly... chyba to widzisz? Ilu czarnych czy Azjatów jest na wyższych stanowiskach w policji? Ilu czarnych czy Azjatów jest w kancelarii Francis’a, skoro już o tym mówimy? A... ilu spośród twoich przyjaciół nie jest białych?

W nieprzyjemny sposób rozbijał klosz, pod którym żyłam. Jak mu miałam powiedzieć, że jedyną dobrze mi znaną przedstawicielką mniejszości etnicznych była... moja sprzątaczką? Aż do tej chwili byłam przekonana, że wszystko wokół pozostaje w zgodzie z *Desideratum*... że świat toczy się tak, jak powinien.

Wreszcie Francis mógł przyznać, że zaczęła się prawdziwa zmiana. Był o tym jeszcze bardziej przekonany po obejrzeniu filmu na temat śledztwa w sprawie Lawrence’a. Policyjna fuszerka i uprzedzenia rasowe zostały tak wyraźnie pokazane, że nikt już nie mógł przymykać oczu.

Nareszcie otwarto ten grób pobielany. O to walczył od lat i teraz mógł się usunąć.

– Cieszę się – powiedział. – I jestem znużony. Czas zrobić coś wyłącznie dla siebie.

Zasługujemy na to, myśleliśmy, kiedy usadowieni w naszym eleganckim czarnym saabie jechaliśmy do ulubionej pobliskiej restauracji, gdzie mogliśmy wydać na jeden posiłek równowartość emeryckiej tygodniówki. Bardzo chciałam wymazać podobne chwile z pamięci. Byłam taka szczęśliwa. Jak trudno jest sobie przypomnieć to uczucie czystego sumienia.

Człowiek nie myśli o słowie „szczęście”, dopóki coś mu tego szczęścia nie zabierze. Wiedziałam, że od poznania Matthew ów błogi stan – spokój umysłu, z którego Francis się śmiał i który nazywał moim samozadowoleniem – już nigdy nie wróci.

Byłam wówczas rzeczywiście szczęśliwa. Połowa moich przyjaciółek miała mężów, którzy wraz z upływem lat nie mieli najmniejszej ochoty rezygnować z tego wyścigu szczurów. Jessica Pine, której mąż, Edgar, był kimś ważnym w wielkiej firmie farmaceutycznej i któremu bardzo niewiele brakowało do emerytury, przyszła do mnie pewnego ranka zalana łzami, ponieważ Edgar miał przejść na emeryturę za jedenaście miesięcy, a pewnego dnia przedłużył kontrakt o dodatkowe trzy lata.

– W przyszłym roku mieliśmy kupić dom na Sycylii – oznajmiła z żalnością. – Obiecał. Trzydzieści lat czekam na chwilę, kiedy z własnego domu będę mogła oglądać zachód słońca nad murami Agrigento. A teraz wiem, że to się nigdy nie wydarzy.

Nie myliła się. On nadal jeździ codziennie metrem do miasta, a ona nadal zajmuje się różnymi pożytecznymi sprawami i coraz częściej zagląda do butelki.

Nie jest pod tym względem jedyna. Znam inne kobiety, które desperacko wypełniają czas klubami książek i badmintonem, i ćwiczeniami na sali gimnastycznej, podczas gdy ich mężowie mówią: „Jeszcze tylko rok”, a potem „Jeszcze tylko rok”... Znam też takie, które zrealizowały się w życiu – rodzina, kariera zawodowa, dom, przyjaciele – i które kilka lat przed emeryturą są już gotowe do zwolnienia tempa. „Jeszcze tylko rok” załatwił Bensonów zza rogu. On upierał się przy dalszej pracy, a jego żona Sylvia doznała udaru, który okrutnie unieruchomił ją w łóżku. Leżała zaśliniona, najczęściej zalana łzami, bezgranicznie smutna, świadoma, że jej bystry umysł na zawsze już uwięziony został w uszkodzonym ciele, że teraz już nigdy nie odwiedzi Australii i swoich wnuków, że nie będzie podążać szlakiem Erica Newby’ego przez Hindukusz. Człowiek się zastanawia, czym tak naprawdę jest życie, kiedy widzi coś takiego. Kazałam Francisowi obiecać, że jeśli przydarzy mi się coś podobnego, to mnie zastrzeli. Przyrzekł mi to. Teraz pomyślałam sobie, że rzeczywiście mógłby to zrobić. Tyle że z zupełnie innego powodu.

Co ja właściwie wyprawiam? Kobieta, która tyle posiada i która wie, co znaczy mieć bardzo niewiele, ryzykuje to wszystko dla jakiejś przyjemnej odmiany? Kiedy miałam trzynaście lat i że tak powiem, stałam u progu kobiecości, widziałam, jak moje wszystkie przyjaciółki zaczynają nosić koronkowe staniki i hałeczki, tę całą fascynującą bieliznę. Moja rodzina była tak biedna, że miałam zaledwie dwie pary majteczek – jedną na sobie i jedną w praniu – oraz podkoszulek, tak zszarzałe i postrzępione, że nie ośmieliłabym się pokazać w nich nikomu. Dlatego nigdy nie rozbierałam się w obecności innych. Zarobiłam w ten sposób na miano świętoszki. A świętoszek nie dopuszczano do typowo dziewczęńskich sekretów. Myślę, że jeśli czegoś naprawdę zazdrościłam, to poczucia przynależności. I teraz, kiedy mogę być dumna, że wykupiłam połowę zapasów działu bieliźniarskiego u Marksa i Spencera i że zajmuję miejsce w samym centrum rodzinnego kręgu – kochający mąż, synowie, ich żony, wnuczeta – właśnie w tym idealnym, najbardziej idealnym momencie ja postanawiam zatańczyć na wulkanie?

Mężczyźni jest o wiele łatwiej. Mężczyzna po prostu powiedziałby kochance: „No cóż, Cynthia, tak to wygląda, decydujesz się czy nie”. I Cynthia pewnie by się zdecydowała. Żona nadal by trwała w błogiej nieświadomości, jeżdżąc na wakacje i jedząc szwarewaldzki tort na przyjęciu organizowanym przez firmę, a kochanka Cynthia z upływem lat gorzkniałaby coraz bardziej i bardziej. Tymczasem gdybym ja powiedziała do Matthew: „Decydujesz się czy nie, skarbie”, na pewno by odszedł. W niczym nie przypominał Tułacza, bohatera komedii Aphry Behn⁵, a ten mały dramat, w którym graliśmy, był bardziej w stylu Congreve’a⁶. Same marne zakończenia. I do tego te pobudki moralne. Dwóch szlachetnych mężczyzn w życiu jednej kobiety może być ciężarem nie do udźwignięcia. Wiedziała, że Matthew by odszedł, gdybym mu postawiła takie ultimatum. A ja nie byłabym w stanie znieść tej straty. A z drugiej strony, och, a z drugiej strony. Co stracę, jeśli pociągnę to dalej?

I tak rozmyślałam przez całą drogę, a im bliżej byłam, tym serce biło mi szybciej, świat z każdą przejechaną milą stawał się piękniejszy.

Przerwać to?

Nie chciałam.

Po prostu.

Nagle uświadomiłam sobie, że nie zniosę, dłużej stałej obecności Francisa obok siebie. Ten sympatyczny mężczyzna, którego kiedyś poślubiłam, był teraz zbędnym dodatkiem. Tej jednej nocy, po tamtej wystawie sztuki indyjskiej, odmieniłam swoje życie. Nie, nawet nie tamtej nocy. Odmieniłam je już na dworcu Tempie Meads i pozwoliłam, by tak się stało. Od zadowolonej kobiety z przyszłością opakowaną w złocisty papier, z sąsiadami, którzy składali wizyty i mówili do rzeczy, z – uszczypnijcie mnie, bo śnię – łatwym życiem, jak z typowej historii „z nędzy do pieniędzy” – od tego wszystkiego do tej napalonej cizi. Dlaczego postanowiłam to wszystko zniszczyć? Jeśli dla miłości, to przecież byłam kochana. Przez męża i dzieci, i wnuczeta, i nawet – co godne odnotowania – przez synowe. Pojawił się Matthew i zdmuchnął to wszystko. Mój kochający, odnoszący sukcesy, lojalny mąż stał się utrapieniem. Świat najwyraźniej zwariował. Znów miałam dziewiętnaście lat, spoglądałam poprzez zwisające gałęzie wierzby w Henley na uda wiosłarzy i całym sercem żałowałam, że nie miałam odwagi po prostu powiedzieć nie.

Kilka miesięcy wcześniej Francis wychylił się zza poświęconych nieruchomościom stron niedzielnej gazety i oznajmił:

– Jeśli chcesz, możemy sprzedać dom i kupić któryś z tych przebudowanych magazynów. Albo coś wynająć. Ruszyć się trochę. Przeżyć ponownie naszą niezupełnie zmarnotrawioną młodość. Lub przynajmniej moją nie zmarnotrawioną młodość.

Nawet po tych trzydziestu latach Francis był przekonany, że do czasu naszego poznania prowadziłam bardziej rozwiązłe życie niż on. Miało to coś wspólnego z tamtym poetą i z popalaniem trawki. Jak zwykle zaprzeczałam. A tymczasem on oczekiwał, żebym teraz to ja poprowadziła go ku czemuś bardziej beztroskiemu. Odłożył gazetę i oznajmił:

– A może powinienem sobie sprawić tatuaż. I kolczyk? Co o tym myślisz?

– W żadnym razie – odparłam i nie żartowałam. Do szaleństw byłam nastawione równie entuzjastycznie jak on. Jak widać. Jak się zresztą okazało.

Było to takie bolesne. Oszukiwałam człowieka, który wywiązał się ze wszystkich obowiązków i długo czekał, by pozwolić sobie na jakieś nieodpowiedzialne zachowanie, a teraz... ? To było jak wylew Sylvii. Powalałam go w kwiecie wieku. Może i nie udało nam się przed laty wsiąść razem do tej magicznej furgonetki⁷, ale przecież nie mogłam za to winić jego. Sama nie bardzo miałam ochotę wsiąść. Jeśli dziewczyna nie potrafi flirtować, to zapewne nie przeżyje na północno-afrykańskiej pustyni bez tamponów. A że ja doświadczyłam w życiu braku wielu rzeczy, nie kusiła mnie zupełnie wyprawa do miejsc, gdzie być może nie mogłabym kupić nawet kompletu bielizny osobistej. Żadne z nas nie było materiałem na hippisa, ale nawet Francis gdzieś pod tym swoim dobrym wychowaniem skrywał krztynę szaleństwa. Szaleństwa, którego natury do końca nie potrafiłam zgłębić. Było w nim coś intrygującego, coś tajemniczego, zagadkowego. Dostrzegałam to choćby w tym, że wyraźnie lubił niektórych z tych swoich oprychów.

W swoim zawodzie spotkał wielu, jak ich nazywał, rzezimieszków w starym stylu. Mężczyzn i kobiety, którzy z łamania prawa, z oszustw, machlojek, prania pieniędzy i z innych występków uczynili sztukę. Nie pochwalał ich postępowania, a mimo to wielu spośród nich darzył sympatią, z czym ja nigdy nie potrafiłam się pogodzić. Matthew coś takiego, naturalnie, by nie przeszkadzało. I choć Francis takich jak Krayowie⁸ uważał za psychopatów, to przecież był dziwnie życzliwie nastawiony do różnych łotrów spod ciemnej gwiazdy. Zawsze powtarzał, że przeciętny kryminalista jest lepszy od skorumpowanego gliny, co, jak sądzę, było powszechną opinią wśród prawników. Pewien jego klient, szef gangu, który kradł samochody na zamówienie – i nie mówimy tutaj o dziesięcioletnich peugeotach – przypominał, w pewnym sensie, syna farmera. „Firmę” odziedziczył po ojcu, któremu przekazał ją wcześniej jego ojciec, podobnie jak farmerzy przekazują ziemię z pokolenia na pokolenie. Nie było w tym sentymentu, raczej normy postępowania. Zauważyłam, że to tylko taka dziecinada – że złoczyńca jest złoczyńcą, złoczyńcą i już... Przyznał, że przemoc stanowi część tych norm, ale przynajmniej są jakieś normy. Obcuje z tymi typami, człowiek wiedział, na czym stoi. W czasie pothatcherowskim wszelkie normy przestały się liczyć i to było niepokojące. Samoregulujące, nie zespolone, nie istniejące społeczeństwo wchłonęło także tych, którzy dawniej żyli poza prawem. Jeśli siły rynku uznano za wystarczającą formę moralności, podobnie działo się w świecie zbrodni. Kryminaliści przestali się bratać i zaczęli działać na własną rękę, bez żadnych norm postępowania; brutalnie, bez wahania. Jak tamten chuligan ze stadionu, który po prostu lubił mieć krew na rękach.

Współczesne wyrostki z okolicy były amoralne jak małe dzieci. Sprawy, którymi zajmował się Francis, nigdy nie były łatwe do przełknięcia, ale teraz wyglądały znacznie gorzej, bo ci, z którymi miał do czynienia, nabrali manier nędznych zbiorów, i dla nich poharatać kogoś nożem znaczyło tyle, co splunąć. Według Francisa, tacy sami, metaforycznie rzecz ujmując, stali się torysi pod rządami pani Thatcher. Tak jak nie było już honorowych złodziei w starym stylu, tak

też nie było honorowych torysów ze starej gwardii. W dawnych czasach arystokrata przynajmniej poczęstowałby wólcę herbatnikiem, a i złoczyńca miał swoje zasady. Mógł sprzątnąć luksusowy samochód sprzed nosa właściciela, mógł czasem otruć psa, żeby dostać się do kluczy dyrektora banku. Aby dopiąć swego, nie wahał się użyć broni czy zrobić komuś krzywdę, jednak nigdy nie zdiebiłby łomem dzieciaka dla samego dreszczyku, jaki daje widok krwi. „Czysto wejść, czysto wyjść”, głosiło motto złoczyńców w starym stylu. Znając kilka spraw, którymi się zajmował, dobrze rozumiałam, o czym mówi. On nie musiał oglądać Greenaway'a ani Tarantino... z czymś takim miał do czynienia na co dzień.

Kiedy zauważyłam, że jest to stosowanie podwójnych standardów, Francis po prostu rzekł: „Są różne wymiary...”. W każdym razie różniły mu nieco uszy, kiedy na święta Bożego Narodzenia przysyłano nam kosze od Harrodsa czy skrzynki szkockiej z gorzelnii, z dołączonymi karteczkami, na których widniały enigmatyczne podpisy w rodzaju „Od Dzwoneczka i Cieni” albo „Wolna Świnka”. Jasne, że Świnka była wolna, ponieważ Francis uratował jej tyłek. Jakże to było odległe od tego, czym zajmował się tamten wzięty, młody prawnik z City, kiedy za niego wychodziłam.

Pamiętam dokładnie, kiedy się zmienił, ten mój małżonek. Miał trzydzieści trzy lata i wiodło mu się w City tak fantastycznie jak wszystkim innym – nic, czym można by ubrudzić sobie ręce – i było to po nim widać. Długi, czarny płaszcz, zarzucony niedbale gładki szalik, czarne, skórzane rękawiczki, dyskretne mankiety u spodni, błyszczące, czarne buty z wytłaczanej skóry i odrobinę przydługie włosy, leżące na kołnierzyku koszuli w paski. Każdego roboczego dnia tygodnia w pobliżu wyjścia z metra przy Moorgate, Tempie czy Bank można było zobaczyć setki takich, jak pojawiają się na chodniku i spacerkiem podążają do swojego miejsca pracy. Właśnie coś takiego Francis powiedział tamtego wieczoru. Byliśmy w jego klubie i zaproponował, byśmy zamiast wziąć taksówkę, przeszli się po Piccadilly. I właśnie podczas tego spaceru oznajmił, że postanowił zmienić zainteresowania zawodowe. Zamierzał zająć się innego rodzaju praktyką prawniczą i tym samym zrezygnować z marzenia o posiadaniu w przyszłości ekskluzywnego morgana, małego jachtu oraz apartamentu w Antibes. Nadszedł czas, oznajmił, by coś oddać.

Nie wiedziałam, co myśleć. Wyobraziłam sobie, jak popadamy w ubóstwo. Całkiem bezsensownie. Bo, naturalnie, zupełnie nie potrafiłam sobie uświadomić, zważywszy na moje pochodzenie, że nasze dochody niewiele zmaleją. Że honoraria nadal będą pokaźne, że nadal będzie nam się dobrze żyło i że to, co Francis zarabiał w ciągu roku, wystarczyłoby, by utrzymać na przyzwoitym poziomie kilkoro członków mojej rodziny. Nie zdając sobie sprawy z tego wszystkiego, przeraziłam się i wściekłam, no i w końcu straciłam panowanie nad sobą. Pierwszy raz w życiu, tam, na Piccadilly. Co zresztą wstrząsnęło nami obojgiem. Bo ze słodkiej, posłusznej żony przeobraziłam się nagle w zapędzoną w pułapkę tygrysicę.

Wyrzucałam z siebie słowa:

– Mogłeś mnie zapytać. Ostatecznie oboje będziemy cierpieć... A może moja opinia się nie liczy?

Zatrzymał się, na wprost siedziby Komisji Rady Sztuki, która wówczas mieściła się w budynku stojącym na Piccadilly od strony Hyde Parku, popatrzył najpierw na ten gmach, a potem na mnie i oświadczył:

– Nie będziemy cierpieć... no, chyba że uważasz brak morgana za wystarczający powód do cierpienia. Nie naraziłbym nas na cierpienie. Natomiast jeśli chodzi o wybór kariery zawodowej... cóż... nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby przeszkadzać tobie, gdybyś zechciała zmienić to, co robisz.

Najwyraźniej nie rozumiał, o czym mówię.

– A co z pieniędzmi?! – wykrzyknęłam. Popatrzył na mnie, jakbym mówiła po chińsku. Nie rozumiał.

– Poradzimy sobie.

– Poradzimy? Poradzimy? – Byłam przerażona. – Do jasnej cholery, ja nie chcę sobie radzić. Już sobie radziłam... radziłam sobie aż do bólu. Och nie. Ja chcę... chcę... – I wtedy zobaczyłam jego twarz, zatroskaną, zatrwożoną, i zamilkłam.

Rzeczywiście pochodziliśmy z dwóch różnych planet. Francis, mówiąc „poradzimy sobie”, miał na myśli coś pozytywnego, coś, co bez wątpienia da się osiągnąć. Ja dorastałam w świecie, w którym „radzić sobie” oznaczało coś zupełnie innego: wiązanie końca z końcem, zmaganie z przeciwnościami, braki, poświęcenie.

– Nigdy nie zrobiłbym czegoś, co by nam utrudniło życie... – Był naprawdę wstrząśnięty.

Jakoś się opanowałam i zebrałam w sobie na tyle, żeby zacząć mówić z sensem.

– Wszystko, co wiąże się ze sztuką, jest marnie opłacane – oświadczyłam. Wciąż byłam rozgniewana, ale starałam się, by moje słowa nie brzmiały zbyt ostro.

– Przynosi natomiast innego rodzaju satysfakcję – uzupełnił łagodnie.

– Nie będziemy przecież mogli liczyć na moje zarobki.

– Nie sądzę, by kiedykolwiek miała zaistnieć taka konieczność – oświadczył. – W każdym razie sztuka jest strawą duchową.

I znów byliśmy przyjaciółmi i spacerowaliśmy dalej, a ja zrozumiałam, że faktycznie przeszłam do zupełnie innej ligi. Wreszcie wiedziałam, że jestem bezpieczna.

– Myślę, że coś takiego dającego satysfakcję, dobrego dla duszy, to jest właśnie to, czego szukam. Oddanie czegoś z siebie innym. Tyle że to moje zajęcie jest znacznie lepiej opłacane niż twoje... chyba że trafi ci się bestseller.

– Z historii sztuki? Mała szansa – zauważyłam.

– Och, nie wiem – roześmiał się. – Pomyśl o Gombrichu. O Berenssonie!

Gombrich⁹? Berenson¹⁰? Wszelka myśl o tym, czym zajmowałam się zawodowo, była w tamtym okresie zupełnie nieistotna, jako że po uszy tkwiłam w śpionszkach i przyuczaniu malucha do korzystania z nocnika. Od czasu do czasu wrywałam się na jakieś ważniejsze spektakle, ale ze światem sztuki miałam niewielki kontakt, a chwile, które udało mi się skraść dla siebie, żeby usiąść na kanapie z jakąś poważniejszą książką – a co dopiero z historią sztuki – były rzadkie.

Jeśli zaś chodzi o napisanie własnej książki, wydawało się to – z głębi mojego szczęśliwego, zasiusianego macierzyństwa – równie nierealne jak gruszki na wierzbie.

Wszystko jednak toczy się do przodu. Kilka lat później zaczęłam pracować nad książką o Davinie Bentham – malarce, kuzynce Jeremy'go¹¹, tej, którą w jednym z listów do Rickmana określił jako „niewiastę o niestosownym sposobie bycia, zabawiającą się malowaniem olejów”. Francis był jak najbardziej za. Kupił mi komputer Amstrad, reprezentujący w tamtym czasie najnowszą technologię, i nigdy – mimo naszych kłopotów z różnymi opiekunkami do dzieci, pomocami domowymi i au pair – nie zademonstrował żadnego niezadowolenia. Wyszukał nawet dla chłopców letni obóz – chyba któryś z kolegów powiedział mu o nim – i obaj wyjechali na trzy tygodnie, a ja w tym czasie przechodziłam istne piekło, pisząc pierwszy szkic. Francis darzył sztukę naiwną miłością i podziwiał moją znajomość tej dziedziny, nie mogło mi się więc nie udać, zważywszy na całe materialne i psychiczne wsparcie, jakiego otrzymywałam. Przyszło mi do głowy, jak bardzo było to wszystko odmienne od tego, czego doświadczała biedna Davina Bentham, której każde zawodowe przedsięwzięcie było tłamszone dezaprobatą oraz nakazem przestrzegania konwenansów i bezpośrednio ograniczone koniecznością zarabiania na życie. Jej dziadek stracił większość rodzinnych pieniędzy w Krachu Mórz Południowych¹², w rezultacie czego Davina wychowywała się w ubóstwie z zachowaniem pozorów wielkopaństwa i sama musiała sobie znaleźć miejsce na tym świecie. Rodzina była dość zgorszona, kiedy odkryła, że dziewczyna zdecydowała się szukać tego miejsca za pomocą pędzla i palety. Przyszło mi również do głowy – ponieważ nigdy nie napisałam więcej niż ten pierwszy zarys książki – że ona odniosła sukces, zmagając się z wszelkimi możliwymi przeciwnościami, a ja, nie mając najmniejszych zmartwień, tę batalię przegrałam. O czymś to świadczyło.

Gdyby było we mnie prawdziwe pragnienie, może zmusiłabym się do większego wysiłku. Moja książka miała dotyczyć przede wszystkim charakteru i natury kobiety związanej ze sztuką w epoce oświecenia. Podziwiałam sposób, w jaki koncentrowała się na tym, co istotne; uważałam, że miała swój styl i klasę i była niezwykle utalentowana. Wciąż błąka się w moich myślach. Nie uformowana, nie dokończona. Podczas tych wszystkich naukowych poszukiwań stała mi się bardzo bliska, ale było też coś, do czego nie potrafiłam przeniknąć. Jakiś kawałek układanki, którego nie udało mi się znaleźć. Gdybym dzięki niej miała odnieść sukces, musiałabym wpierw odkryć i zrozumieć tę jej część, która mi umykała. Nie byłam jednak w stanie określić, czego mi w tym wszystkim brakowało.

Davina wyprzedzała epokę, w której kobiety wychwalano głównie za cnoty charakteru. Ona sama na przykład była apodyktyczna i cierpka w stosunku do osób, które dla niej pozowały, co jak najbardziej uchodziło w przypadku Gainsborougha i Reynoldsa, natomiast zupełnie nie pasowało do młodej damy o oczach jak łania. Namalowała studium Herkulesa, które zaprezentowała Akademii; ponieważ stanowczo odmówiła żądaniu domalowania choćby skrawka garderoby, Akademia zniszczyła obraz pod pretekstem, że szerzy zepsucie. Kiedy wysłano do niej duchownego, rzuciła się na kolana. Wydawało się, że szlochą i zalewa łzami

jego stopy. W końcu zauważono, że się śmieje. Ta historia nie wpłynęła pozytywnie na jej reputację i bardzo szybko straciła prawie wszystkie zamówienia na portrety dzieci, w której to dziedzinie uważano ją za bardzo utalentowaną.

Miała zatem trzy wyjścia: mogła zarabiać bardzo skromnie, uprawiając swoją sztukę, mogła poślubić zamożnego mężczyznę albo też mogła zostać kochanką jeszcze bardziej zamożnego – w jej przypadku był to lord Sidon, który zadurzył się w niej, kiedy malowała portrety dwójki jego dzieci. Lord Sidon zdobył znaczny majątek dzięki korzystnemu małżeństwu z niezbyt urodziwą posiadaczką olbrzymiej fortuny, starszą od niego o kilka lat, która chętnie oddała mu swoją rękę. Lord Sidon, jak napisał do Daviny, nigdy nie dawał do zrozumienia, że pozostanie wierny swojej żonie, niemniej zapewnił ją, że nie opuści jej pod względem towarzyskim. Tak więc zachował się całkiem podobnie jak książę Walii. Jeśli Davina skłonna będzie przyjąć go na tych warunkach, przekona się, że jest człowiekiem bardzo hojnym. „Miłuję cię bardziej, niż cieszy oko uroda Afrodyty, bardziej niż chwyta za serce śpiew Filomeny” – zakończył kwieciste swój list. Na jego marginesie Davina zapisała: „Zatem będzie cię to drogo kosztować!”

Napisała do swojej siostry, Roweny, cytując tamte słowa i dodając, że ma on mały nos, jak guzik, co miało sugerować, że wszystko ma małe. Siostra odpisała jej cierpko, że podobnie jak wiele innych kobiet powinna się z tego cieszyć. Czy pisząc te słowa, odnosiła się do małych rozmiarów męskiego członka, czy też, bardziej niewinnie, do ewentualności zostania czyjąś utrzymanką, nie było jasne. Jeśli chodzi o Davinę, to z pewnością czyniła aluzję do męskich genitaliów, których tajemnice nie były jej straszne, co można wnosić na podstawie wykonanych przez nią studiów do tak brutalnie potraktowanego przez Akademię malowidła przedstawiającego Herkulesa. Nie wiadomo – ja też tego nie odkryłam – kim był jej model, niewątpliwie jednak na niektórych przynajmniej szkicach młodzieniec ten wygląda na całkiem pobudzonego...

Lord Sidon czynił jednakże zbyt wielkie zakusy na jej wolność. A ona żadną miarą nie chciała zrezygnować z uprawiania sztuki. Ostatecznie Davina Bentham wybrała samotną drogę, wierząc, że jej talent pomoże ją przebyć. Nie pomógł. Nadal zarabiała bardzo mało, mimo że, sądząc po zachowanych portretach, jej profesjonalizmu nie powstydziliby się żaden członek Akademii. Posiadała wyjątkową umiejętność operowania kolorem i choć w pracach na zamówienie tłumiała go nieco, w pracach malowanych dla siebie – krajobrazach, martwych naturach oraz portretowych szkicach przyjaciół – nie hamowała się. Lubiła też domowe wnętrza i malowała je nastrojowo na wiele lat przed Turnerem i jego obrazami z Petworth. Co ciekawe, sam Turner posiadał jedno z tych jej płócien przedstawiających słabo oświetlone, pograżone w półmroku pokoje, obraz oprawiony w tak kosztowną ramę, że po tym choćby widać było, jak bardzo go cenił.

Była osobą interesującą, zarówno jako malarka, jak i kobieta. Kiedy pod koniec osiemnastego wieku Rickman pracował nad pierwszym spisem ludności, towarzyszyła mu czasem w jego podróżach, by malować wieśniaków i biedaków z dużych miast przemysłowych. W liście do Benthama Rickman zauważa, że „oko jej błyska gniewnym ogniem, farby zaś chłapie

tylko samo na dywan, ile na papier – niemniej, pracuje bardzo szybko... „Czuła, że ma prawo do takiej samej wolności jak – powiedzmy – jej kuzyn Jeremy oraz jego wyznający radykalne poglądy, inteligentni, zapijający się i zadający z dziewczkami przyjaciele. Bentham robił dla kuzynki, co mógł, podczas gdy jej jedyny żyjący bliski krewny, rodzony brat Edward, nic dla niej nie uczynił. Potępiał jej styl życia i postępowanie – wygarniał, co o niej myśli, w listach, które do niej pisał, kiedy podróżowała z Rickmanem – ona jednak nie zwracała na to szczególnej uwagi i gryzmoła sobie machinalnie na wąziutkich marginesach tych listów. Napisała do kuzyna Benthama: „Skoro Edward uważa mnie za tak wyuzdaną, że nawet towarzyszenie panu Rickmanowi na osobnym koniu wydaje mu się nieobyczajne, przekaż mu wyrazy szacunku wraz z załączonym portretem, żeby mógł się naocznie przekonać, jak mało atrakcyjnym mężczyzną jest pan Rickman”. Portret się nie zachował, niemniej z pamiętnika Benthama wynika jednoznacznie, że przedstawiał Rickmana nagiego.

Ostatecznie pokłóciła się z Benthamem. Podobnie jak Mary Wollstonecraft¹³, była na łasce swego temperamentu oraz nieprzeciętnej inteligencji, w epoce, kiedy te dwie cechy były uważane u kobiet za zbędne, inaczej natomiast niż Wollstonecraft, jak się zdołałam zorientować, nigdy się fatalnie nie zakochała. Kochała swoją sztukę. „Odbierzcie mi ją, a umrę” – tymi słowami zakończyła list do jednego z kuzynów, kiedy próbowano ją nakłonić, żeby się ustatkowała. Rozbawił mnie ten przesadny dramatyzm. Powszechnie sądzono, że chorobą, na którą zmarła, mając zaledwie czterdzieści sześć lat, był syfilis, choć niektórzy poszukiwacze podobieństw między nią a Mary Wollstonecraft sugerowali, że być może i ona umarła w połogu. Istnieje dość argumentów na potwierdzenie tezy, że powodem jej przedwczesnej śmierci była po prostu nędza. Jak mogło się to stać w świecie, w którym tylu ludzi chciało się o nią troszczyć?

Zważywszy na dramatyczne koleje jej losu oraz na tę niewielką liczbę obrazów, o których wiadomo, że istniały, i na te inne, nadal ukryte w zbiorach prywatnych, a także na jej szczególne miejsce w nowożytnej historii kobiet, rezygnacja z pomysłu napisania książki o niej była z mojej strony niedorzecznością. Cóż... niestety... podejrzewam, że wygodą rodzi gnuśność.

Matka Francisca postrzegała moją „pracę” w sposób, w jaki postrzega się działalność charytatywną kobiet szlachetnie urodzonych: coś, co by je zajmowało; coś, czym Dilys wypada się zajmować, żeby uniknąć nudy. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego się ze mną ożenił ani dlaczego zrezygnował z City, ani dlaczego wywiesiliśmy w oknach plakaty Partii Pracy („Kochanie, nie mógłbyś głosować na liberałów, skoro już musisz... ?”) podczas wyborów. Julia, która była w tym czasie żoną maklera, uśmiechała się do niego pobłaźliwie, jakby wciąż miał osiem lat, kręciła głową i powtarzała: „Och, Francis, Francis. Jak zwykle chcesz się czymś różnić... „. Moje stosunki z nimi nie były jednak łatwe. Musiało minąć dziesięć lat i musiało się urodzić dwoje naszych dzieci, nim jego matka i siostra mnie zaakceptowały. Żadne rewolucyjne zmiany społeczne, jakie nastąpiły w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, nie dotarły do ich przekonania. Skoro pochodzę z gminu, niewątpliwie chcę się wspinać po drabinie społecznej, czyham na pieniądze Francisca i mogę niestety skalać jego rodowe nazwisko. Powinien był się

ożenić z taką dziewczyną jak Charlotte, żona Tima. I rzeczywiście, kiedy bywaliśmy we czwórce w jego rodzinnym domu, wielokrotnie zauważałam, że jego matka spogląda na Charlotte aprobowo, a na mnie posepnie. Dopiero znacznie później, kiedy stanęłam na czele batalii skierowanej przeciwko Francisowi i nie dopuściłam, by posłał Johna do najbliższej szkoły państwowej – zapewniając mu w zamian miejsce w oddalonej o kilka mil szkole prywatnej – jego matka i siostra ostatecznie mnie zaakceptowały. One patrzyły oczywiście na całą sprawę z przeciwnego krańca tej edukacyjnej osi. Do państwowej szkoły po prostu się nie uczęszczało. Ja podchodziłam do tego z matczynego punktu widzenia. To nie było odpowiednie miejsce dla naszego syna. Bez końca roztrząsaliśmy z Francisem ten problem i był on przyczyną naszego pierwszego rodzicielskiego sporu. Jedyne poważnego. Tygodniami nie rozmawialiśmy ze sobą; padały między nami jedynie zdania typu: „Podaj sól, proszę”. Ale ja wiedziałam, że John byłby w tamtej szkole poniewierany. Bo tylko ktoś, kto był w takiej szkole, wie tak naprawdę, o czym mówi, a ja nie miałam zamiaru pozwalać, by mój syn, dla zasady, był królikiem doświadczalnym.

I w ten sposób zjednałam sobie teściową i szwagierkę na zawsze. Zdałam egzamin dojrzałości do tych wyższych warstw klasy średniej. Julia była już do mnie całkowicie przekonana, teściowa zaś, choć niechętnie, skłonna mi była zaufać. Ta druga, bogom dzięki, dawno odeszła ze świata żywych, jednak na samą myśl o tym, że kochana, ufna, dobra Julia mogłaby odkryć mój romans, robiło mi się słabo, bardzo słabo.

Pozbyłam się mojej społecznie nieodpowiedniej przeszłości, pogrzebałam ją najgłębiej, jak się dało, i stałam teraz po słusznej stronie. Wystarczyło poobserwować, jak się zachowuje w stosunku do mnie Virginia, żeby zobaczyć, że w oczach świata już dawno przeszłam na tę stronę. Ona mi już nie zagrażała. Nic i nikt mi nie zagrażał, bo miałam obok siebie Francisa. Troszczono się o mnie, kochano, szanowano. Miałam zatem wszystko, czego tylko kobieta może pragnąć od życia.

Aż do spotkania Matthew.

Bo teraz ta wzorowa małżonka, ta, która owinęła plastrami bekonu niezliczone daktyle i przygotowała całe półmiski minipizzy na przyjęcie z okazji dobrania się do skóry niemoralnym parlamentarzystom – w którym uczestniczyłam tak ochoczo, że miałam kaca do połowy następnego tygodnia – okrywała się hańbą. Teraz dopiero stworzyłam sobie własne szambo. I z czego się było tak cieszyć? Że garstka torysów z parlamentu poszła w odstawkę? Jeśli Pani Doskonała uważała wtedy niemoralne zachowanie za gorszące, to co myśli teraz? Ucieka z domu, żeby się pobzykać z kochankiem w nędznym mieszkanku w Paddington, a jednocześnie z fałszywym zaangażowaniem wysłuchuje męża, szczerze snującego plany na przyszłość. Nie byłam lepsza od polityków, którzy mówili światu, jak się ma zachowywać, podczas gdy sami zachowywali się całkiem inaczej... i to niestosownie. Jak mogłam codziennie spoglądać w lusterko? Jak mogłam traktować pogardliwie tamte szare koperty, a przecież teraz sama wynajmowałam motelowe pokoje na godziny? Jak mogłam chichotać z wojażującego fiuta

Jeffreya Archera, skoro sama nie bylam lepsza? Jak moglam cos takiego robic? A przeciez juz robilam i zamierzalam robic nadal, i nadal robilam.

Co za demon doprowadzil mnie do sytuacji jak z Congreve'a? Tyle ze miejsce karykaturalnych postaci o lubieznym, czerwonym ustach i rozpalonym, bezwolnym udach zastapily postaci z krwi i kości i nie dzialo sie to na scenie, tylko w zyciu. To nie demon, to ja sama. Ja sama. Wszystkie postaci tej sztuki spotka marny koniec, jezeli bede goniec za tym, czego pragne. Nie widzialam dla siebie wyjscia, bo nie umialam dokonac wyboru. Nie ma sensu chwytac sie za glowe i mowic, ze jakaś sila pchala mnie do tego. Bo przeciez gnalam ku katastrofie z własnej i nieprzymuszonej woli, niemal z poczuciem triumfu. Zupełnie jakbym chciala powiedziec: „Spójrzcie, patrzcie na mnie... naprawde jestem oszustką”. Zła krew wczesniej czy pozniej da o sobie znac. Drogi Francis. Drogi, dobry Francis. Zrównowazony, kulturalny, wrażliwy na krzywdę, dobry syn, dobry brat, dobry mąż, dobry ojciec. Co ja robie? Po co? I z kim... ?

Bede miala za swoje, pomyslam, wlokac sie w gestym ruchu ulicznym na Bayswater Road, jezeli sie okaże, ze rzeczywiście jestem w ciąży.

NA DNIE W PAŁACU LONDYŃSKIM

A Matthew? Jaki był ten mężczyzna, którego towarzystwo, jak sądziłam, odpowiadałoby Francisowi, gdyby zdarzyło im się spotkać przy ciepłym piwie Pod Szczurem i Papugą? Matthew Patrick Todd. Co powodowało tym szlachetnym mężczyzną? Tym szlachetnym mężczyzną, który, podobnie jak Francis, odnalazł nową drogę wraz z odkryciem swojego sumienia? On także zmienił zainteresowanie i jednym ruchem doprowadził do połączenia pracy z etosem godnego obywatela. Czasami zastanawiałam się, czy nie łatwiej by mi było, gdybym kiedyś poszła w ślady matki i znalazła sobie jakiegoś zwalistego, prymitywnego drania.

Matthew. Leżąc z nim w łóżku w którymś z moteli, jakiś tydzień czy dwa po pierwszym spotkaniu, zaczęłam poznawać jego przeszłość. Po olśniewającym sukcesie – jego własne słowa – jakim było ukończenie studiów na Uniwersytecie w Leeds przez rok uczył angielskiego w Namibii – tam spotkał Alnę i zakochał się w niej. Była absolwentką Uniwersytetu w Edynburgu i zajmowała się tym samym co on. Kiedy wrócił do Londynu, podjął pracę, która wydawała mu się bardzo odpowiednia, w wydziale edukacji jednej z radykalnych londyńskich dzielnic. Tak też uważała Alma oraz jego rodzice – oboje nauczyciele. Wymowny, atrakcyjny (co, niestety, osobiście mogłam poświadczyć), pełen pasji (jak wyżej), ambitny, o wysokiej motywacji, był przygotowany i nastawiony na karierę polityczną. Widząc, jak traktuje się ludzi źle opłacanych oraz tych bezradnych z samego dołu drabiny społecznej, szybko nauczył się wpływać, lobbować, manipulować. W jego dzielnicy mieszkało stosunkowo wiele rodzin imigranckich, w których kobiety zajmowały się pracą chałupniczą... wykorzystał to do swojej krucjaty. Piękny, młody mężczyzna z groźnymi, błękitnymi oczyma i byronowskimi blond włosami głosił niemodne, socjalistyczne hasła.

– Nie byłem piękny – bronił się. – I już zaczynałem łysieć.

Ja jednak upierałam się przy swojej fantazji.

– A poza tym – dodał – Byron nie znosił kobiet...

– Ale one go uwielbiały.

– To właśnie w nich uwielbiał i nienawidził. Ja kobiety lubię.

– Zdążyłam zauważyć.

– Wszystkie prócz jednej.

Nie było przed tym ucieczki. Thatcher, ta córka sklepikarza z Grantham, potrafiła wywołać reakcję u najbardziej liberalnego mężczyzny; choć prawdę mówiąc, mężczyźni zdecydowanie ją demonizowali. Ona przynajmniej, myślałam sobie po cichu, była przekonana, że prawo jest po jej stronie... Tak jak bez wątplenia przekonany był o tym nabijający przeciwników na pal Wład

Dracula. Ona przynajmniej w coś wierzyła... A wszelkie moje przekonania zdawały się gdzieś rozplywać.

– Jeśli chodzi o twoje towarzystwo, najbardziej podoba mi się to – ciągnął Matthew – że tak samo myślimy.

– Owszem – zgodziłam się, myśląc sobie: Wszyscy troje.

Intymne rozmowy socjalistów, nawet w motelu przy Al, to podniecające doświadczenie. Przeciwczyliśmy je już z Francisem, kiedy leżeliśmy objęci i omawialiśmy „Sklepiarza” Heatha¹. Nie zostawiliśmy na nim suchej nitki. Francis nieźle parodiował te jego drgające ramiona i głupawy śmiech, a oboje uważaliśmy jego narzuconą sobie powagę i przybieranie pozy mędrca za kretyńskie. On jednak przynajmniej dał tej dziewczynie z Grantham kopa w... lata osiemdziesiąte. Rozmawiając teraz w łóżku z Matthew na te same tematy, doświadczałam niejakiego deja vu..

– Tak więc, Matthew Toddzie, miałeś być gwiazdą w Westminster i co stało się potem?

Roześmiał się.

– Potem jedna ze szmatławych gazet próbowała zrobić ze mnie „stukniętego, lewicowego, komuchowatego homoseksualistę”, a ja doprowadziłem do ugody pozasądowej.

– Jak udowodniłeś, że to nieprawda?

Jeśli miałam nadzieję, że to zademonstruje, to nic z tego.

– Po prostu kogoś w tej sprawie przekupili, a on się do tego przyznał. W każdym razie po tym wydarzeniu wiedziałem, że jestem u progu kariery politycznej. Zainteresowanie tym, z kim i jak uprawiam seks, oznaczało, że znalazłem się w centrum uwagi... Pomyślałem więc: Co teraz?

– Znowu się zaśmiał. – Jaką mógłbym podjąć sprawę, na tyle niemodną, że byłaby jej przydatna ta moja sława stukniętego, lewicowego, komucha? I wiesz, co znalazłem?

Pokręciłam głową, niczego się nie domyślając.

– Bangladeskie kobiety. – Czekał na jakąś reakcję. – Coś ci to mówi?

– Cóż... – zaczęłam – wiedziałam na ten temat wszystko, ponieważ...

Uśmiechał się szeroko.

– Ponieważ?

– No cóż, Francis pracował nad wieloma sprawami o wyzysk i... o mój Boże...

– Właśnie. Francis... hm... kontaktował je ze mną.

Wtedy Matthew po raz pierwszy z własnej woli wypowiedział imię Francis. Czekałam. Naprawdę, bardzo to było dziwne, ale... co w dzisiejszych czasach nie jest dziwne?

– Okazał się bardzo bystry, ten twój małżonek, ponieważ zdał sobie sprawę, że zanim pójdziemy do sądu, potrzebna nam będzie aprobatą społeczności bangladeskiej, szczególnie mężczyzn. – Podłożył dłonie pod głowę i uśmiechnął się do sufitu. – Tak więc mam być za co wdzięczny twojemu mężowi. Po tamtym sukcesie telewizja i radio zaczęły wykorzystywać mnie w programach gadających głów jako młodego, dynamicznego faceta. Miałem dwadzieścia cztery lata. – Popatrzył na mnie. – A wszystko dzięki twojemu mężowi.

– Dlaczego mi to opowiadasz? Wzruszył ramionami.

– Może po to, by ci pokazać, że wiem, że on jest porządnym człowiekiem. Pokazać ci, kim ja jestem... I powiedzieć ci, że czuję się jak ostatnie gówno, ale nic nie mogę na to poradzić. Kto powiedział, że miłość jest tyranem?

– Nie wiem. Co było potem?

– Może Corneille?

– Potem?

– Potem wszystko się zmieniło. Właśnie kiedy mieliśmy kupić z Alną dom... i ustatkować się... zostawiłem to wszystko...

– Byliście zaręczeni? – Pytanie wystrzeliło z moich ust tak szybko, że zdziwiłam się, że nie przebiło go na wylot.

Milczał, jakby nieco zakłopotany, po czym oświadczył:

– Byliśmy zaręczeni... ale jedynie dlatego, że jej rodzice byli zaciekłymi szkockimi prezbiterianami... W każdym razie odkryłem swoje powołanie, którym nie było znalezienie się na wymarzonej liście wyborczej jako dziarska polityczna postać, ale najwyraźniej aktywne poświęcenie życia społecznym śmieciom. Alma musiała być tym zaskoczona, skoro dla mnie samego była to niespodzianka jak cholera. Jednego dnia brałem udział w posiedzeniu radnych, którzy omawiali problem bezdomnych, następnego zaś wyszedłem z budynku rady, żeby założyć dla nich w tamtej okolicy schronisko. Ponieważ wiedziałem, jak wszystko funkcjonuje, byłem w stanie to zorganizować. Mój Damaszek... Kwestia semantyki. Słowo „problem” użyte podczas posiedzenia. Rada uważała, że jej zadaniem jest, by przy likwidacji tego problemu jak najmniej obciążyć kosztami podatników. Porządne posiłki rozwożone po domach, programy adopcyjne, przytulny dom starców czy dwa, wszystko to było w porządku... Ale nie męty. Mętów nie chcieli. Krótko mówiąc, bliskie pokrewieństwo z faszyzmem i eugeniką. Oczywiście to podatnicy wybierali radnych, podatnicy opłacali radnych... Oni nie chcieli niczego robić. Chcieli tylko, żeby ten problem zniknął... A tymczasem sami go zaostrzali, pozbywając się tych wszystkich dzieciaków z przytułków, gdy kończyły osiemnaście lat. Pojawia się więc biały rycerz w błyszczącej zbroi...

Właśnie pomyślałam, że nawet zapaleni kochankowie spowici w swoje socjalistyczne marzenia mogą przesadzić z rozmowami w łóżku, kiedy on powiedział:

– No i tyle. Chciałem po prostu wszystko zmienić. I zmieniłem. Zostawiłem Alnę dla „dobra publicznego” – dodał, kpiąc z samego siebie. – Po trochu udawało się realizować różne plany. Największym osiągnięciem było przekonanie rady, by oddała Sheldon Point na schronisko dla bezdomnych. Nazywaliśmy je „Pałacem Londyńskim”.

– A Alma?

Objął mnie mocno.

– Wiesz, że gdybym teraz miał dokonać takiego wyboru, nie jestem przekonany, czy zaryzykowałbym utratę ciebie... Odtąd – oświadczył, trochę żartem, trochę serio – ty będziesz

moim Pałacem Londyńskim.

Słyszałam tykanie swojego podróżnego budzika, ale poza tym odnosiłam wrażenie, jakby ten cały motel, cały świat wstrzymał dech. A potem on dodał:

– Twój mąż przysłał mi wówczas list z poparciem i oświadczył, że jeśli kiedyś będę potrzebował jego pomocy, wystarczy, że mu powiem... Na szczęście nigdy nie musiałam tego robić.

Co zasługiwało już na dwa kufle Pod Szczurem i Papugą.

Kiedy świat wrócił do normy, miałam do zadania tylko jedno prawdziwie palące pytanie. Nie o to, co się stało z tamtymi bangladeskimi kobietami. Nie o to, co wyszło z marzeń o schroniskach dla bezdomnych. Nawet nie o to, co robił dalej, żeby zbawić ten świat. Jedyna rzecz, którą chciałam wiedzieć, zawierała się w pytaniu:

– A co z twoją narzeczoną?

– Moją... ? Och... Alną...

Wstrzymałam oddech, czekając, czy usłyszę w tonie jego głosu echo nie zagojonych ran.

– Poprosiłem, żeby poczekała. Powiedziała: „W porządku”, ale nie poczekała.

– Mój ty biedaku – westchnęłam. Byłam zachwycona i jednocześnie wstydziłam się tego uczucia.

– Bynajmniej. Kiedy prosiłem, żeby poczekała, to chyba miałem nadzieję, że da sobie spokój. Nie miałem już ochoty być w jakikolwiek sposób z czymś związany. Nie chciałem stałej pracy, hipoteki, dzieci, samochodu. Do tamtej pory robiłem wszystko zgodnie z regułami... szedłem zaplanowaną ścieżką i odkryłem, że jest to trochę zbyt piękne, trochę za łatwe... Potrzebna mi była następna krucjata.

A teraz popatrz tylko, pomyślałam, przesuując palcami po jego skórze. Dosłyszałam w jego głosie dumę. Nawet oto byłam zazdrosna.

– Zrobiliśmy z naszego „Pałacu” największe schronisko w kraju. Niezły rezultat, prawda?

Pamiętałam „wielkie otwarcie”. Poszliśmy z Francisem na tę uroczystość – wspaniałą fetę. Francis nie mógł się nachwalić tego projektu. Stwierdzenie, że na przypomnienie tego wszystkiego krew zastygła mi w żyłach, byłoby grubą przesadą. Niemniej myśl o nich dwóch, w tym samym pomieszczeniu, wznoszących toast za ten sam sukces... ? Byli stworzeni, żeby się ze sobą kumpłować...

– Pamiętam – oznajmiłam. – Francis był na otwarciu.

– Wiem – powiedział. – Rozmawiałem z nim dłuższą chwilę. Właśnie zaczął współpracować z Prawnikami Sumienia.

Czekałam, aż powie, że mnie też pamięta. Nie powiedział. I chociaż ja nie pamiętałam jego, to przecież pamiętałam, że miałam na sobie rzucającą się w oczy małą czarną, którą nawet Francis do dziś wspomina z rozczuleniem. A co tam. Przez chwilę miałam ochotę poczęstować go lewym sierpowym. Ostatecznie leżeliśmy razem w łóżku, przed chwilą się kochaliśmy, byłam przecież żywą istotą, a on powinien był pamiętać. Albo udać, że pamięta. Zachłanna, taka już

byłam. Tymczasem oczy Matthew błyszczały światłem prawdziwej ewangelizacji.

– To było fantastyczne – oświadczył, przeniósłszy się najwyraźniej do chwili swojego największego triumfu. – Powinnaś tam być...

– Byłam.

– Dobry Boże.

– Właśnie.

Dwaj mężczyźni, którzy znaczą coś w moim życiu, i obaj muszą być kombinacją Lancelota, Charlesa Dickensa, Keira Hardiego² i Bronowskiego³.

– Tak więc zmiana zainteresowań okazała się słuszna?

– Całkowicie słuszna.

– W każdym aspekcie? Wyglądał na zdziwionego.

– W każdej dziedzinie?

Wzruszył ramionami, wciąż niepewny.

– Tak sądzę...

– W każdym absolutnie aspekcie? – naciskałam.

– Aż do samych koniuszków nerwów – rzucił, żeby coś odpowiedzieć, ale najwyraźniej nie miał najmniejszego pojęcia, o co mi chodzi.

Wzięłam głęboki oddech. Przez moment zastanawiałam się, gdzie się podziała ta kobieta o imieniu Dilys, która nierzadko bywała odrobinę za poważna. Może i sobie pochlebiam, ale wyglądało to tak, jakby ni stąd, ni zowąd Bunuel postanowił nakręcić film w stylu brytyjskich seriali komediowych z lat pięćdziesiątych. Uczucie zrobiło mi watę z mózgu.

– Co? – Wciąż czekał. Jeszcze jeden głęboki wdech.

– Także... w miłości? Wreszcie dotarło.

– Ach, to – rzucił lekceważąco. – Chodzi ci o ten okres po Almie?

Skinęłam głową.

– Cóż, ominęła mnie ta wolna miłość z lat sześćdziesiątych – powiedział – wobec czego odkryłem ją dla siebie później... – Uśmiechnął się lekko, nieco chępliwie. Skinął głową z zadowoleniem. – ... Było wspaniale, dziękuję. Wspaniale.

– Opowiedz.

– Nie ma co opowiadać.

– Opowiedz...

– Mnóstwo bardzo sympatycznych kobiet.

– Mnóstwo?

– Tysiące.

– Któraś wyjątkowa?

– Każda z nich była wyjątkowa. – Och.

– Każda aktualna była wyjątkowa.

Zaschło mi w ustach. Wydawało mi się, że wszystko, co mnie z nim łączy, przeżywam po raz

pierwszy. Natomiast ja dla niego byłam najwyraźniej jedną z wielu – z szeregu – wyjątkowych kobiet. Wyjątkowych przez chwilę... a potem już go nie było. I co warte były jego słowa, że nie potrafiłby mnie zostawić.

Najlepszym sposobem na złagodzenie bólu było odzyskanie godności. Mogłam tego dokonać, po prostu się ubierając. Wstałam. A więc to koniec. Odchodzę.

– Jednak żadna z nich, ani jedna, nie była tak wyjątkowa jak ty. – Przesunął ciepłą dłońią po moim chłodnym brzuchu.

Stałam wciąż obok łóżka, spoglądając na niego.

– Ile razy to już mówiłeś?

– Nigdy do nikogo nie czułem tego, co czuje, do ciebie – oznajmił poważnym tonem.

– Ale jeśli one wszystkie były wyjątkowe, to czym ja się od nich różnię?

– Jeśli chcesz, żebym powiedział, że przed tobą nikt się nie liczył, to nie mogę tego powiedzieć. Ale cię kocham. Nie mam nad tym żadnej kontroli i wcale mi się to nie podoba, ale nic na to nie mogę poradzić. A pieprzony, cholerny problem w tym – teraz miał taką samą żalną minę jak ja przed chwilą – że jesteś żoną kogoś innego. – Pociągnął mnie z powrotem na łóżko. Usiedliśmy obok siebie, plecy wyprostowane, oczy skierowane przed siebie. – Jesteś żoną kogoś innego, a ja tego nie chcę. Chcę, żebyśmy byli wolni, i nie chcę już więcej w tej grze oszukiwać.

Wniosek wypływający z jego słów był oczywisty. Ale wciąż jeszcze nie byłam gotowa podążyć tą drogą. On chciał, by wszystko rozgrywało się w pełnym świetle. Uczciwie. Bez krętałów. W taki sposób, w jaki żył dotychczas. Podobnie jak kiedyś uczciwie zachował się Francis, przyznając się do tamtego małego romansu, choć przecież nie było takiej potrzeby. O tak. Gdyby tych dwóch kiedyś się spotkało, bardzo przypadliby sobie do gustu. Obaj szlachetni, bardzo, bardzo szlachetni panowie. Z jedną drobną różnicą, że Matthew mógłby się zapomnieć i klepnąć Francisza w plecy oraz oświadczyć, że zachwycają go dźwięki, które wydają, kiedy szczytują.

Matthew miał czterdzieści dwa lata. Duchem jednak, podobnie jak wiele innych osób, które nie mają dzieci, był znacznie młodszy. Nie wiem, czy to prawda, że to, co jemy, pokazuje, czym jesteśmy, i powoduje, kim się stajemy (lepsze pełnoziarniste płatki zbożowe niż oblepiony cukrem preparowany ryż ze sztucznymi dodatkami), ale jestem przekonana, że to, co nosimy na sobie, jest przejawem tego, na ile lat sami się czujemy. Matthew – wyjąwszy tą okazję w hotelu Royal Edward, kiedy był rzeczywiście wystrojony – prawie zawsze nosił dzinsy i T-shirty. Czasami jakąś dzinsową koszulę, czasami skórzaną kurtkę i – bardzo rzadko – luzackie, czarne ubranie. Kiedy patrzyło się na niego z tyłu, mógł mieć równie dobrze osiemnaście, jak i trzydzieści sześć lat. Nosił takie rzeczy, z jakich drwił Francis: czapki bejsbolówki i buty ze sztucznych tworzyw; do tego miał krótko przycięte włosy i zwyczaj picia piwa prosto z butelki. Zdaniem Francisza, coś takiego jest pozowaniem na niekonwencjonalność. Swego czasu kiwałam mądrze głową i zgadzałam się z nim. Teraz wręcz uwielbiałam młodość i wolność, jakie

się z tym wiązały. Nawet te osobliwe buty były podniecające, ponieważ świadczyły o tym, że Matthew jest inny od wszystkich i wszystkiego, co wcześniej znałam. Gdybym kiedyś musiała przywołać jakieś wyjaśnienie chwili, w której uświadomiłam sobie, że jestem zgubiona, to byłoby ono związane z tymi ekologicznymi butami.

Sposób ubierania odzwierciedlał jego charakter – spokojny, młodzieńczy, niefrasobliwy. Tę młodzieńczość Matthew odkrył także dla mnie. Fatalne zauroczenie. Przy nim czułam się jak dziewczyna. Nie tylko z powodu ożywczości nowego związku, ale dlatego, że pod każdym względem Matthew był młodszy od mojego męża. Pierwszy raz poczułam się nieodpowiedzialna i rozkoszowałam się każdą chwilą tego stanu. Przyjemność psuło jedynie to, że... cóż... że nie byłam...

Matthew, podobnie jak Francis, był dzieckiem kochanym. Był życzliwy. Lubił ludzi. Tamtego dnia na dworcu wiedział, że potrzebna mi chusteczka, i wiedział, jakich użyć słów.

– Nie masz pojęcia – powiedział – co to za wspaniałe uczucie, zobaczyć, jak taki brudny, zakrwawiony staruszek w przemoczonym i postrzępionym ubraniu następnego dnia je sobie spokojnie śniadanie przy stole i wygląda zupełnie zwyczajnie. – Wzruszył ramionami i roześmiał się. – Starczy za tych wszystkich, którzy rzucają się na człowieka z brzytwą, kiedy zabraknie im towaru.

– Dla mnie to trochę jak być mesjaszem.

– Bo tak właśnie jest – potwierdził radośnie. – Z własnej woli pozwalałam się kusić diabłu. Zabierz mnie na dach Sheldon Point, powiedz mi, że jeśli obwołam się mesjaszem, to wszyscy ci zwinięci w kłębek, śpiący po bramach będą moi... a zrobię to... Czy jest coś złego w tym, że czynimy dobro i dzięki temu dobrze się czujemy? No co? Nie zamierzam udawać... Wdzięczność ludzi za to, co dla nich zrobiłeś, jest miła... Oznacza, że ich zadowoliliś...

A ja sobie pomyślałam, że ważne osobistości w ten sposób nie myślą. Ważne osobistości wykonują swoją robotę za ogromne pieniądze i za taką odrobinę cichej chwały, jaką wypada się okryć, żeby nie zostać posądzonym o wyrachowanie. A potem zasiadają w Izbie Lordów.

– To dlaczego już tego nie robisz? Dlaczego już nie jesteś mesjaszem?

– Z twojego powodu.

– Nie byłeś już mesjaszem, zanim mnie spotkałeś.

– Jedynie tymczasowo.

– To dlaczego nie robisz tego dalej „jedynie tymczasowo”? Gdzie się podziało *Wunderkind*?

– Och, *Wunderkind* powróci. Jest tylko tymczasowo nieobecne. W moim ostatnim miejscu ktoś się wygadał, że w domu jest heroina. Bo była... nie ma co zaprzeczać. Ludzie, którzy ją tam wnieśli, złamali reguły. Żadnego alkoholu. Żadnych narkotyków. Z drugiej strony, trzymaliśmy się zasady: żadnych przeszukiwań. Więc pewnego dnia pojawili się gliniarze... dostali cynka... i...

– I?

Robił wrażenie rozbawionego.

– I gdyby sprawy nie umorzyli, prawdopodobnie korzystałbym z usług niejakiego Francisca

Holmesa, adwokata, bo oskarżono by mnie o przyzwolenie na narkotyki w podległym mi schronisku. Czy to nie ironia losu?

Przerażające.

Przyszło mi do głowy, że gdyby Francis reprezentował go w sprawie narkotykowej, Matthew mógłby się pojawić w naszym domu, zasiadłby z nim, prowadził ujmującą rozmowę i nie dostrzegł w tym niczego niezwykłego. Czy wówczas poczulibyśmy to nieodparte wzajemne przyciąganie? Bóg jeden wie. Ale nie my. A niech tam. Jak lubiła powtarzać Madame de Stael⁴: „Miłość: to miłość samego siebie *a deux*... „

Skręciłam w ulicę, przy której mieszkał Matthew, i znów ogarnęło mnie podniecenie. Istne szaleństwo. To wszystko było bez sensu. Byłam szalona, że tak bezsensownie kusiłam los. Tak jak w dzisiejszy wieczór. Tylko po to, żeby zobaczyć jego twarz, wyszłam z domu, lekceważąc zakłopotany i odrobinę urażony wyraz twarzy męża. Na pewno zastanawiał się, dlaczego koniecznie muszę wyruszyć z wizytą do starzejącej się ciotki, która o tej porze powinna już dawno leżeć w łóżku z książką. Wyrzuciłam z umysłu obraz Francisa, z jego urażoną miną, i skończyłam analizować swoje lekkomyślne postępowanie. Nie warto było o tym myśleć. Poza tym koniec z rozmyślaniami: byłam już na miejscu.

Zajechałam przed dom, w którym mieszkał, i zaparkowałam za należącym do niego starym, czarnym saabem. Nawet to jego auto mnie wzruszało; wgniecenia, zadrapania, rdzewiejące miejsca, luźno zwisające, potłuczone boczne lusterko, nawet zapach skórzanej tapicerki – wszystko to było esencją jego samego. Nigdy jednak mu tego nie powiedziałam. Nawet dla niego – w jego obecnym stanie romantycznej łaski – to byłoby za wiele. Tak jak nie powiedziałam mu, że ten samochód jeszcze bardziej utwierdził mnie w osobliwym przekonaniu, że gdyby się spotkali z Francisem, toby się polubili. Saab i „Guardian” – tak oczywiste jak znaczący uścisk dłoni masonów. Tyle że, oczywiście, nasz saab miał zaledwie rok i błyszczał granatowym lakierem. W tej chwili, tak jak zawsze, moje serce rozszalało się niecierpliwością oczekiwania. I z nagłym dreszczem uświadomiłam sobie, że jedynie przypadkiem, na razie, jestem na silniejszej pozycji. Wystarczyłoby obrócić koło o kilka stopni, a w tym oknie mogłabym znaleźć się ja; mogłabym przytrzymywać zasłonkę i wpatrywać się w ulicę, jakby od widoku jego nadjeżdżającego auta zależało moje życie. Pomachałam i uśmiechnęłam się. O tak... role tak łatwo mogły się odwrócić. W każdej chwili mogłam zostać postacią z obrazu Edwarda Hoppera⁵.

Wszystko, co zaszło, próbowałam potraktować lekko. Śmiałam się ze stroju, w jakim pojawił się w hotelu Royal Edward, i spytałam, skąd wytrzasnął takie ubranie – ten garnitur, tę szaloną klubową marynarkę – a on odparł, że kupił je w sklepiku organizacji zbierającej fundusze na walkę z rakiem. Powiedziałam mu, że chciałabym, żeby częściej nosił marynarkę. Tylko marynarkę. Nic poza tym. Nie roześmiał się. I wszelkie poczucie siły czy radości wynikającej z jego uczuć wkrótce wyparowało. Najpierw przeprosił za egoizm, który pchnął go do przyjazdu do Bath, następnie to odwołał i oznajmił, że przede wszystkim to ja nie powinnam była tam jechać, potem chciał poznać wszystkie szczegóły weekendu, bo lepiej jest wiedzieć, niż nie

wiedzieć, ale zaraz oświadczył, że nie chce słyszeć ani słowa na ten temat. Wreszcie zaparzył kawę, ale dał sobie z nią spokój i nalał nam po szklaneczce whisky, potem niemal siłą zaciągnął mnie do sypialni i kiedy już się położyliśmy, usiadł i od nowa zaczął mnie wypytywać, co tam robiłam z Francisem.

– W sobotę po południu poszliśmy na spacer, a potem, wieczorem, obejrzeliliśmy *Czarodziejski flet*, a w niedzielę rano...

– Co robiliście w łóżku?

– Spaliśmy.

– Pieprzyłaś się z nim, kiedy wszedłem do waszego apartamentu.

– Jest moim mężem.

– Sprawiało ci to przyjemność?

– Nie powinienesz być tam przychodzić.

– Sprawiało ci to przyjemność?

– Jest moim mężem.

– Czy z mojego powodu ma to jakiś dodatkowy smaczek? Jeśli to teraz zrobimy, **czy** to będzie o tę odrobinę bardziej ekscytujące?

– Pójdę już.

– Jak to jest... z nim... teraz?

Kiedy odmówiłam odpowiedzi, rzucił oskarżycielsko:

– Jak możesz to robić z kimś innym?

– Jest moim mężem – powtórzyłam, udręczona i zmęczona tym wypytywaniem.

Spytał, czy to oznacza, że między nami wszystko skończone.

– Kocham cię – powiedziałam. – Chciałam być tutaj teraz z tobą, w jednym łóżku, od momentu, w którym cię zobaczyłam w tym cholernym Bath. Żałuję, że tam w ogóle pojechałam... żałuję...

Oboje byliśmy bliscy łez, płakaliśmy, już sama nie wiem...

– Nie wiem, czy potrafię tak dalej żyć – powiedziałam.

– Chcesz to skończyć?

Nigdy nie widziałam, żeby ktoś gryzł własne palce, dosłownie. Tylko czytałam kiedyś o czymś takim, a tymczasem Matthew wgryzał się w swój kciuk niczym wygłodniały pies.

– Skończenie tego – oznajmiłam – jest ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mi do głowy. Problem w tym, jak to kontynuować. Ty naprawdę nie masz pojęcia, co to dla mnie oznacza... ty nie krzywdzisz nikogo, na kim by ci zależało, a przecież on jest moim mężem.

– Jak już mówiłaś.

Nadal gryzł palec i przyglądał mi się, by po chwili wytoczyć ciężką artylerię. Tę, której do tej pory udało mi się szczęśliwie uniknąć. Tę nieuniknioną.

Chyba się tego spodziewałam. Miałam jednak nadzieję, że on się powstrzyma. Nie zrobił tego. Słodka naiwność jego myślenia, że Francis i ja trwamy jakoś w związku platonicznym,

zniknęła. A wraz z nią zniknęły wszelkie powody, by czynić uniki w rozmowie o przyszłości. Rzecz była już całkiem oczywista. Popatrzył po prostu na moje dłonie, dotknął ich delikatnie, jakby zmniejszając ciężar tego, co miało za chwilę na mnie spaść.

– A więc kiedy – spytał – od niego odchodzisz?

– Napiałabym się tej kawy.

– Dilyś, kiedy od niego odchodzisz?

– Nie róbmy...

– Kiedy od niego odchodzisz?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że muszę wybierać?

– Nie, ja pytam: Kiedy od niego odchodzisz? Człowiek cały sztywnieje, bo naprawdę nie istnieje dobra odpowiedź na takie pytanie.

Teraz już wiem, co czuł Michael Howard, kiedy Jeremy Paxman czternaście razy pytał go: „Tak czy nie?”⁶

– Nie wiem... – Kiedy?

– Nie mogę... – Kiedy?

– ... jeszcze.

– Więc?

– Nie wiem... – Nawet się nad tym nie zastanawiając, dodałam: – ... czy w ogóle kiedykolwiek.

Można się kochać tak – teraz to wiem – jakby to miał być ten ostatni już raz. I w pewnym sensie tak było. Niezależnie bowiem od tego, co miało nam się w przyszłości przydarzyć, tamtej nocy coś za sobą pozostawiliśmy. Wyszliśmy ze skorupki. Wylęgliśmy się. Nie było powrotu. Musieliśmy brać to, co dawał nam świat, i przeżyć albo zginąć. To „kiedy od niego odchodzisz?” zmieniło wszystko, na zawsze.

Kiedy jechałam z powrotem, o wiele później niż zamierzałam, wydarzyło się coś zadziwiającego. Zajechałam na parking przy stacji benzynowej i kupiłam magazyn „Hel – lo!”. Zanim zdążyłam pomyśleć, trzymałam go w ręce i stałam przy kasie. Zapłaciłam i zabrałam go ze sobą. Było w nim wiele różnych kolorowych fotografii uśmiechniętych gwiazd filmowych i sportowych i jak zwykle fotoreportaż z jakiegoś wydarzenia dotyczącego rodziny królewskiej. Kiedy wróciłam do domu, poszłam z tym do Francisa, który siedział w swoim gabinecie, i oświadczyłam:

– Ciocia Liza uparła się, żebym to ze sobą wzięła.

I siedzieliśmy tam oboje, ja na poręczy fotela, przerzucając kartki, śmiejąc się z zamieszczonych tam nonsensów, aż, jestem o tym przekonana, oboje uwierzyliśmy, że moja stara, kochana ciotka naprawdę istnieje.

Tym czymś zadziwiającym była przebiegłość wynurzająca się mimowolnie spoza mojej świadomości. Stałam przy tej stacji benzynowej z magazynem w dłoni, zanim uprzytomniłam sobie, co tam robię. Przeraziło mnie to. I przekonało, że dalej tak postępować nie mogę. To było

takie sprytne, przekonujące posunięcie. Mogłam sobie szczerze pogratulować tej umiejętności oszukiwania. Z takim talentem byłam w stanie wymyślać rozmaite sposoby, by podtrzymać tę historię przez długi, bardzo długi czas. Jedyne problem tkwił w tym, że z każdym nowym przypadkiem mojego sprytu ostrzyłam następny kolec, który przebije serce Francisa, kiedy ostatecznie odkryje on prawdę.

Pewnego dnia usiądzie zdruzgotany, zapewne w tym właśnie pokoju, zapewne sam, i przeanalizuje po kolei każde z łgarstw, którymi go karmiłam. Przypomni sobie wówczas i tę chwilę. , i ten nedorzeczny magazyn... a wspomnienie nas dwojga, siedzących tutaj i zaśmiewających się, złamie go. A jeśli nie to oszustwo, to następne albo kolejne, albo jeszcze inne... „Pękło mu serce”, mówi Marek Antoniusz o Cezarze po okrutnym ciosie Brutusa. Zdradziecki nóż najbliższego przyjaciela. Co powiedziałyby, gdyby cios Cezarowi zadała małżonka Cezara?

STRACH PRZED KLAMANIEM

Cóż, przez kilka dni sama jesteś zdruzgotana. Dzwoni Charlotte, żeby pogadać o radościach tamtego weekendu, ale twój brak entuzjazmu znów przypomina nastrój Marii Antoniny wiezionej na szafot. Ona myśli, że to ponownie hormony, a ty nie wyprowadzasz jej z błędu. Ktoś jej mówił, że świetnie pomagają na to bataty. Ledwie się powstrzymujesz, żeby jej nie powiedzieć, gdzie może je sobie wsadzić, odkładasz słuchawkę i zaczynasz szlochać.

Cały dzień spędziły u ciebie wnuczki, Claire i Rosie, którymi zawsze uwielbiałaś się opiekować, częściowo dlatego, że mogłaś je karmić niezdrowymi chipsami i innymi specjałami nafaszerowanymi całą masą tych ohydnych (oznaczonych literką E) dodatków do żywności, a częściowo dlatego, że możesz później zwrócić podtrute kochane małeństwa rodzicom – ale ty nadal jesteś Marią Antoniną. Ich paplanina cię drażni, zapomniałaś im kupić słodycze, z trudem wykrzywiasz twarz w uśmiechu na widok ich płasów.

Idziesz z mężem do teatru na długo oczekiwany *Wieczór Trzech Króli*... Bilety zamówione miesiące wcześniej; bilety niemal nie do zdobycia – krytycy szaleją, po spektaklu publiczność sześciokrotnie wywołuje aktorów na scenę, a tymczasem ty słyszysz jedynie słowa nieszczęsnej Oliwii: „Nie wiem, co robię, lecz odkryć się boję. Ze moje oczy serce zwodzą moje. / Z ludzkich się planów przeznaczenie śmieje: / Niech się i ze mną, jak chcą losy, dzieje!”¹ Francis klaszcze i klaszcze, nawet przy opuszczonej kurtynie. Wola „brawo”... ponieważ, jak się zdaje, rzecz zasługuje na pochwałę. A ty z trudem... itd. , itd.

Bo jest już po wszystkim. Sama, bardzo rozsądnie, to zakończyłaś. On chce, żebyś powiedziała mężowi; ty nie możesz mężowi powiedzieć. Jeszcze nie i w ogóle nigdy. Pat. On mówi wiele rzeczy, które dadzą się streścić w stwierdzeniu, że nie potrafi żyć, dzieląc się tobą. I tak, unoszona na powierzchni nierealności pożegnania, mówisz żegnam. Dwanaście godzin po tym, jak bardzo rozsądnie rzecz zakończyłaś, czujesz się, jakby przecięto ci wszystkie zakończenia nerwów, rozciągnięto na siłę każde ścięgno, a wszystkie mięśnie zakotwiczyły się w ziemi. Jak tak dalej pójdzie, po dwudziestu czterech godzinach to wspomnienie drogi na szafot będzie drobiazgiem w porównaniu z twoją udręką.

Staje ci przed oczyma rysunek Davida². Wcześniej szczęśliwa królowa, nagle w pętach, bezbronna, na tym klekoczącym wózku podąża ku swemu przeznaczeniu. Modlisz się. Francis wchodzi w chwili, kiedy z zamkniętymi oczyma leżysz w wannie i powtarzasz śpiewnie, niczym zaklęcie: „Niech zadzwoni”, czy coś w tym stylu. Z trudem przypominasz sobie o konieczności kłamstwa i mówisz, że to taka nowa piosenka. Przynajmniej pewne, że Francis nigdy tego nie zdoła sprawdzić.

Masz ochotę się utopić.

Kiedy nie musisz brać czynnego udziału w życiu, siedzisz z rękoma na kolanach, obok telefonu, czekając na ten jedyny dźwięk, który cię uszczęśliwi. Przez cały czas czujesz do siebie nienawiść i sobie współczujesz. Przez cały czas powtarzasz sobie, że wciąż wszystko kontrolujesz, i przez cały czas wiesz, że to nieprawda. Któregoś dnia ten ból zniknie, powtarzasz. Wyobrażasz sobie, że ukochany znajduje pocieszenie w ramionach innej. Tak po prostu. W jednej chwili siedzi na łóżku z tobą, oboje we łzach, kiedy zgadzacie się, że rozstanie jest najlepszym wyjściem, a w następnej ciebie już nie ma, on wstaje, bierze prysznic, wychodzi na ulicę, dostrzega idącą naprzeciwko ładną kobietę, umawia się z nią... i tyle. Znowu jest szczęśliwy. Tak w przybliżeniu wygląda scena, którą obracasz w głowie na wszystkie strony. Kiedy tak cierpisz prawdziwe katusze, zdarza się wielki cud... nie możesz jeść. Małeńka cząstka ciebie – ta odrobina mózgu, która nadal funkcjonuje – szepce ci do ucha, że utrata wagi jest niejaką rekompensatą. Problem w tym, że pić, owszem, możesz. Zatem waga pozostaje bez zmian.

Dopiero słowa Francisa, wypowiedziane w środowy wieczór: „Jestem pewien, że w ubiegłym tygodniu kupiłem butelkę dżinu...”, przywracają mi rozsądek. Dżin z tomkiem o wpół do dziesiątej rano to nie najlepszy pomysł. Czujesz do siebie jeszcze większą nienawiść, kiedy mąż wyraża troskę o ciebie, a ty mówisz, że to nic takiego, że nadal opłakujesz zmarłą przyjaciółkę. Francis natychmiast spieszy z pociechą i ewentualne ryzyko podejrzeń rozplywa się. To ostateczne już jądro ciemności w tym romansie – aby go podtrzymać, będziesz oszukiwać i zdradzać na wszelkie możliwe sposoby, również grzeszyć nikczemnie, zniesławiając osoby nieżyjące.

A potem dzwoni twój kochanek, bo on też nie potrafi znieść tej rozłąki. Daje ci czas na podjęcie ewentualnych decyzji i przeprosza za napastliwość. Tymczasem ty zdążyłaś już napisać list, który dociera do niego następnego ranka. Wiesz o tym, bo jesteś tam, w jego łóżku, kiedy przynoszą pocztę. Wcale się nie skończyło. Wręcz nabrało intensywności. Jest gorzej. To musi się skończyć. Nie może się skończyć. To wymaga spokojnego namysłu i jasnego, niezmaconego oglądu. Przymusowej rozłąki, na tyle długiej, by przeanalizować to, co wydaje się jeszcze nieprawdopodobne. Zgadzasz się na chwilową rozłąkę, żeby przewietrzyć nieco sytuację. W rezultacie twój ukochany jedzie do swojej siostry pod Bridlington, w niewypowiedzianej nadziei, że w jakiś sposób te kilka dni z dala od siebie wszystko rozwiąże. Niczego nie rozwiązuje. Ani dla ciebie, ani dla niego. A niech to szlag. Rozłąka, nawet tak krótkotrwała, wzmacnia jedynie więzy. Oświadczasz mężowi – rozmarzona i dość bezmyślna – że bardzo byś chciała spędzić dłuższy czas na wsi; masz na myśli okolice Bridlington. Mąż – który jest już nieco znużony intensywnością twoich zmian nastroju – odkłada ten pomysł. To oczywiste, że twój mąż, twój biedny mąż nie wie, co ma o tym myśleć... ale twoje oświadczenie zapada w jego umysł.

Ukochany wraca i następuje pełne ekstazy spotkanie. Nagle stajesz się zupełnie inną osobą. Mąż przygląda ci się podejrzliwie. Ty, która od kilku dni nie myślała włosów, która ledwie zechciałaś podgrzać pizzę, teraz uległaś całkowitej przemianie. Jesteś zachwycająca jak

supermodelka, kiedy serwujesz wypieczoną *sole veronique* mężowi, który spodziewał się chleba z serem czy jakiegoś gotowego dania... i jeszcze przy tym podśpiewujesz.

Znów kochasz świat. Energia wprost cię roznosi. Pławisz się w świetle miłości. Chcesz kochać świat. Dlatego proponujesz, żeby zaprosić na niedzielny lunch całą rodzinę, włącznie z rodzicami Petry i z jej bratem, i jego żoną, a do tego sąsiadów mieszkających po obu stronach. Po prostu, żeby pokazać Bogu, jaka to jesteś dobra. Dwanaścioro dorosłych, czworo dzieci oraz mieszkający u sąsiadów student z Madrasu.

Atmosfera staje się sztuczna i naprawdę męcząca, kiedy wszyscy członkowie twojej rodziny, wszyscy biali i należący do klasy średniej, wychodzą wręcz ze skóry, żeby nie powiedzieć czegoś, co choć trochę pachniałoby rasizmem. Pamiętasz rozmowę z ukochanym, w której wytknął ci twój quasiliberalizm. Tym mocniej starasz się zagłuszyć wypowiedzi rodziny Petry, ludzi o zdecydowanie rasistowskich poglądach. Jej ojciec, William, o wszystkich, którzy nie mają białej skóry, mówi „ci kolorowi”. Posiłek jest udręką, jak zawsze, kiedy biesiadnicy nie mogą powstrzymać się od dyskusji. Ledwie rodzice Petry albo jej brat, albo jego żona otworzą usta, żeby powiedzieć coś do studenta z Madrasu, natychmiast ty, Francis lub oboje naraz zaczynacie coś mówić. Doskonała pieczeń wołowa nie wystarczy, żeby złagodzić sytuację, w której są nieustannie zagłuszani, nawet jeśli chcą powiedzieć coś równie niewinnego jak „Poproszę o sól”. W pewnej chwili matka Petry wstaje i zaraz słyszy od was obojga i od mocno już podenerwowanego zięcia, że ma usiąść. Musi więc oznajmić, bardzo głośno, całemu zgromadzonemu przy stole towarzystwu, że po prostu udaje się do toalety. Zastanawiasz się, czy szeroko otwarte oczy studenta z Madrasu świadczą o tym, że uważa takie zachowanie za przejaw osobliwego angielskiego ceremoniału. Francis piorunuje cię wzrokiem.

Williamowi ostatecznie udaje się wygłosić zdanie, którego początek brzmi: „Czy wiecie, że do roku 2030 będzie więcej kolorowych niż nas...”. Na co Francis posyła ci spojrzenie, mówiące wyraźnie: „Ten pomysł był szalony!” A chwile, potem, kiedy akurat wnosisz szarlotkę rozmiarów koła młyńskiego, twoje najmłodsze wnuczę pyta studenta z Madrasu, dlaczego ma inny kolor skóry, a wszyscy przy stole wykonują coś, co przypomina taniec wojenny Nawahów, tyle że na siedząco. Z wyjątkiem, naturalnie, studenta z Madrasu. Piekło na ziemi. Pijesz.

Jak przewidział mąż, wysiłek związany z tym wszystkim wykończył cię. Na dodatek masz ciężkiego kaca. „Nigdy więcej tego nie rób”, radzi ci zwięźle małżonek. A ty, tak samo zwięźle, oświadczasz mu, że jest ostatnim brutalem, skoro kopie leżącego. Tyle że on sam też wygląda na wykończonego. „Nie wiem, co w ciebie wstąpiło”, wzdycha, jak ktoś rzeczywiście zbolały.

Cały następny dzień, poniedziałek, spędzasz w łóżku. We własnym łóżku, ponieważ twój ukochany ma rozmowę w sprawie pracy. Nagle uświadamiasz sobie, że jesteś stara.

Ależ nie, nie jesteś. We wtorek miotasz się po salonie przy tak głośno nastawionej płycie Charliego Parkera, że najbliższa sąsiadka, Jess, wysłuchuje koncertu, nie opuszczając własnego domu.

Całą środę spędzasz z ukochanym.

W czwartek, z błyskiem w oku, każesz mężowi usiąść i opowiadasz mu o swoich planach założenia skalnego ogrodu. Skalny ogród? Dlaczego? Ponieważ z łóżka kochanka oglądałaś popołudniowy program o ogrodnictwie i raptem miniaturowe górskie roślinki wydały ci się najśłodszą rzeczą na ziemi.

A w piątek robisz zakupy; padasz wręcz ze zmęczenia w pogoni za wszystkim, co podpowie ci twój rozgorączkowany mózdzek: zalotki do rzęs, łazienkowy zestaw przyborów w neonowym żółtozielonym kolorze (włącznie z rękawicą do peelingu), zbiór wierszy miłosnych, nowy komplet bielizny, tak skąpej, że już nie wiadomo, co miałyby osłaniać, kilka nie branych dotąd pod uwagę płyt kompaktowych, włącznie z *Największymi przebojami* The Eagles – w godzinę po przywiezieniu ich do domu znasz cały tekst piosenki *Desperado* i wyśpiewujesz go, odpowiednio modulując głos. Demonstrujesz to tak często, że w końcu twój mąż wycofuje się do swojego gabinetu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Wyszukujesz hasło „brak miesiączki” na stronie internetowej poświęconej zdrowiu kobiety i stwierdzasz, że może on oznaczać masę rzeczy – raka, ciążę, menopauzę itd. , itd. – i znów popadasz w przygnębienie. Będziesz to znosić dzielnie i nie powiesz nikomu. Nie jest to trudne, skoro i tak nie masz się komu zwierzyć. Przychodzi ci do głowy, że jeśli rzeczywiście będziesz miała dziecko, to jego bratanica będzie od niego o dwa lata starsza. Włączasz kasetę ze *Spotkaniem* i szlochasz w samotności.

W sobotę i w niedzielę sprawy wyglądają bardziej optymistycznie – masz skurcze żołądka i modlisz się, żeby to znaczyło, że nie jesteś w ciąży. Rozsądek podpowiada ci, że przecież to byłby absurd. Tu jednak trudno kierować się rozsądkiem. Nic się nie dzieje. Co po prostu oznacza, iż byłaś tak spięta, że twoje mięśnie zaczęły sarkać. „Jeśli uważacie, że to dla was niedobre, wy małe dranie – mówisz do siebie, przygotowując neutralny niedzielny lunch – to spróbujcie być mną”.

Francis, niewłaściwie odczytując te nagłe chwile złego humoru i sposób, w jaki łapiasz się za brzuch, pyta:

– Znowu okres?

– Nie – odpowiadasz i wybuchasz płaczem. Przypalasz sos, co staje się najwyraźniej kulinarnym odpowiednikiem Armagedonu. Szlochasz.

– Słuchaj – nalega – przecież coś ci jest.

W tym szalonym momencie mówisz Francisowi, że uważasz, że jesteś w ciąży. Reaguje tak, jak należało się spodziewać. Wpada w osłupienie. Potem przybiera ostrożną minę. Czy to nie jakaś pułapka? Jeśli powie: „O Boże, nie”, czy zareagujesz histerią? A jeśli powie: „O Boże, tak”, czy też zareagujesz histerią? Zostawiasz go z tym jego osłupieniem. Przynajmniej udało ci się zatrzeć ślady. I naturalnie chcesz, żeby to wiedział. Jak przestępca, który powraca na miejsce zbrodni, chcesz, żeby on dokładnie wiedział, kiedy i gdzie je zatarłaś. Zatem – po prostu, żeby się upewnić – mówisz, pozornie całkowicie irracjonalnie: „To musiało być w hotelu”, a on, nie usłyszawszy dokładnie, myśli, że chodzi ci o to, że w kąpieli, co byłoby zabawne, gdyby nie było

tragiczne. Śmieje się z własnej pomyłki; mówi, że zawsze mu się podobałaś w kąpielni. Ganisz go za taki brak wrażliwości. W ciąży, Francis. To nie jest moment na erotyczne dowcipy. On mówi na to, że nie będziemy się martwić na zapas. Nie jest przekonany. Ty też nie. Ach, te małe demony.

– Idź do lekarza – mówi łagodnym tonem.

– Nie waż się dzwonić do Tima – mówisz rozdrażniona. Jak należało oczekiwać, Francis, szukając w myślach sposobu wyjścia z tego szaleńczego fandango, przypomina sobie twoje wcześniejsze słowa i przychodzi do domu w poniedziałek wieczorem, by oznajmić, że właśnie wynajął na cztery tygodnie wiejski domek w Dorset. Na cały lipiec. Domyślasz się, że to będzie jakieś bardzo odpowiednie miejsce do ukrycia szalonej małżonki. Mówi, że zrobił to, bo potraktował dosłownie twoje słowa – których ty, jako rzeczy odległej o całe eony, niemal nie pamiętasz, a które brzmiały: „Och, jak bym chciała się stąd wyrwać i zaszyć gdzieś na angielskiej wsi, na naprawdę długo...”, To było oczywiście w czasie, kiedy Matthew przebywał w okolicy Bridlington.

Przychodzi ci też na myśl, że on zamierza odciągnąć cię jak najdalej od waszego ogrodu. O wiele za często wspominałaś o tym skalnym ogródku – zresztą nie dlatego, byś naprawdę chciała go mieć, ale dlatego, że za każdym razem, kiedy o nim mówisz, znów jesteś w łóżku ze swoim ukochanym i w obecności męża rozkoszujesz się tajemnicą, której on nigdy nie pozna. Jest to okrutne i podle, ty jednak nie potrafisz się od tego powstrzymać. Zupełnie jakbyś celowo narażała się na zdemaskowanie. Francis tego wszystkiego nie wie. Dla niego pomysł skalnego ogródka, z tycimi górskimi roślinkami, o których z takim uczuciem opowiadasz, jest niewątpliwie przerażający. Do tej pory wasz ogród był sensowny, tak bowiem został zaprojektowany. Szczyci się sporym trawnikiem, kilkoma łatwymi w utrzymaniu krzewami, śmiesznym oczkiem wodnym, które Francis zbudował z chłopcami i z którego wciąż są dumni, oraz kamiennym tarasem w stylu York, idealnym, kiedy chce się posiedzieć na świeżym powietrzu. Bo po to właśnie jest ogród – żeby w nim posiedzieć. A nie pracować. A już na pewno nie po to, żeby wykładać go skałkami...

Nazwałam to fandango? Bardziej jednak przypomina to opływanie Charybdy.

Dla mnie, dla mojego szaleństwa, pomysł z Dorset był istnym cudem. Najpierw się boczyłam i w ogóle przerażała mnie myśl o takim zesłaniu. A potem uświadomiłam sobie, że oznacza to, iż Matthew i ja moglibyśmy spędzić te kilka tygodni razem. Francis przyjeżdżałby na weekendy, a to już dałoby się jakoś znieść. Gdybym od niedzielnego wieczoru do piątkowego ranka była z ukochanym, to przez resztę czasu mogłabym być zadowoloną małżonką. Idealne rozwiązanie. Znów mogłabym być spokojna, uprzejma, rozluźniona. Nie myślałam o tym jednym jedynym drobiazgu... w wynajęciu Carey House w Woodlynch na cały lipiec dostrzegałam wyłącznie doskonałość wszechświata.

Oznaczało to również, że mogłam odsunąć o cały miesiąc odpowiedź na tamto Wielkie Pytanie. Matthew, usłyszawszy o Dorset, ustąpił i udzielił milczącej zgody na chwilowe

powstrzymanie się z wyznaniem. Przez wzgląd na tę większą sprawę, jaką była nasza przyjemność. A rozmyślanie o tym, co nas czeka, było czymś nadzwyczajnym. Było jak oczekiwanie na dziesięć tysięcy świąt Bożego Narodzenia, które zaczynają się jednocześnie. Myślę, że Francis był zupełnie zaskoczony moją szaleńczą wręcz radością.

– Gdybym wiedział, jak bardzo zależy ci na wyrwaniu się z miasta, już dawno bym to zorganizował – oświadczył wyraźnie speszony.

– Sama tego nie wiedziałam – odparłam. I usiłowałam nie wyglądać jak kot kontemplujący śmietankę. Jednak całe moje ciało zdawało się mrużyć z zadowolenia.

Tej nocy uprawialiśmy seks, pierwszy od tamtej podróży do Bath, a ja zachowywałam się jak wdzięczna kurtyzana, której adorator przyniósł brylant wielkości Koh-INOora. Francis zupełnie nie wiedział, co się dzieje.

– Ostrożnie – mówił zadowolony po fackie – bo rzeczywiście zajdziesz w ciążę... – Przerwał, żeby się poprawić. Co w innych okolicznościach byłoby komiczne. – To znaczy, jeśli jeszcze nie jesteś – dodał ostrożnie.

Ja jednak nawet nie zamierzałam o tym myśleć. Na horyzoncie najbliższego miesiąca nie miała prawa się pojawić najmniejsza chmurka.

Trzeba było nieco pokombinować, kiedy zaczął mówić, że ta część Dorset znajduje się w odległości zaledwie dwóch i pół godziny jazdy samochodem od Londynu. Ja jednak myślałam szybciej od niego. Zawsze ci, którzy oszukują, myślą znacznie szybciej – są zmyślni, czujni i w stanie pełnej gotowości. Zadzwoiłam do AA, do automobilklubu (omal nie wybrałam numeru Anonimowych Alkoholików, który naturalnie figurował w naszym domowym spisie telefonów. To by dopiero była rozmowa...), i tam potwierdzili, że czas przejazdu wydłuża się do niemal trzech godzin, z powodu wolno przesuwającego się ruchu, chyba że ktoś jedzie po północy. Miałam tę informację w pogotowiu. Kiedy Francis oznajmił od niechcienia, jak zresztą się spodziewałam, że może przez jakiś czas dojeżdżać, zwróciłam mu uwagę, że zajmie mu to przynajmniej trzy godziny w jedną stronę. Kiedy powiedział, że mógłby wracać do Londynu dopiero w poniedziałkowy ranek, musiałam myśleć wyjątkowo szybko. Z powodzeniem. Powiedziałam, że zamierzam wykorzystać ten czas, żeby podjąć przerwane pisanie. Wyglądał na zaskoczonego. Nic dziwnego. Od dziesięciu lat słowem nie wspominałam o mojej książce.

– Więc? – spytałam, odrobinę zbyt agresywnie. – Co niby w tym złego?

– Nic – odparł roztropnie. – Absolutnie nic.

– Mogłabym odkopać Davinę Bentham.

– Czemu nie? – zgodził się.

– Albo zacząć coś nowego. – Aha.

– Jeśli więc zostaniesz do poniedziałku, nie będę się mogła do tego zabrać. Ale jeśli wyjedziesz w niedzielę... możesz wyjechać późno... powiedzmy, o szóstej czy siódmej...

Wyglądał na zdziwionego. Zgoda, pomysł późnej pory w połączeniu z szóstą czy siódmą był nieco wewnętrznie sprzeczny, ale ponieważ właśnie pieściłam jego ucho – łatwa forma

kurewstwa – przystał na moje propozycje.

– ... bo wtedy się obudzę i wstanę, i już w poniedziałkowy rano pociągnę...

Zareagował jeszcze bardziej zdumionym spojrzeniem, jako że ranki nigdy nie były moją mocną stroną.

– Będę potrzebowała mnóstwo energii. Szczególnie, jeśli się zabiorę do nowej.

– Dobrze – zgodził się. – Będę przyjeżdżał w piątki najwcześniej, jak będę mógł, a wyjeżdżał w niedzielę wieczorem. Zadowolona?

– Dziękuję.

– O czym miałyby być ta nowa?

– O aktach – odparłam bez chwili zwłoki. – Tak, myślę, że podejmę taką właśnie próbę...

Skinął głową i zaczął wodzić dłonią po krzywiznach mojego nagiego ciała.

– Akty – powiedział, ponownie szykując się do akcji – wydają się bardzo stosowne.

Myślałam tylko o jednym: że Matthew będzie ze mną przez całe pięć dni – pięć dni w tygodniu; nie będę musiała opuszczać jego ciepłego łóżka, wracać do domu, opowiadać kłamstw i żyć w zakłamaniu. To właśnie tych kłamstw nie można znieść. Człowiek nie wie, czy nie może ich znieść, bo są czymś złym, czy też nie może ich znieść z obawy, że zostanie zdemaskowany. A do tego wszystkiego tak jak w przypadku tamtego nieszczęsnego skalniaka, jakaś część duszy pragnie zdemaskowania. Jedno było pewne. Nie chciałam, by cokolwiek zepsuło nam ten miesiąc – a już na pewno nie Francis odkrywający prawdę.. Będę musiała być dla niego miła i zachowywać się jak najbardziej normalnie. Żebym bez niego mogła być tak podła i nienormalna, jak tylko potrafię.

Przed ukochanym roztaczasz perspektywę wspólnego spędzenia czasu bez najmniejszego nawet ryzyka kłopotów. „Całe tygodnie razem – mówisz. – Nie psujmy tego prawdą... „ I z trudem powstrzymujesz się, żeby nie zacytować: „Nie pytajmy o księżyc, gdy mamy gwiazdy... „³, bo mógłby przecież pomyśleć, że byłaś wystarczająco dorosła, żeby zobaczyć ten film, kiedy po raz pierwszy wszedł na ekrany, i wtedy ten wspaniały, o lata młodszy od ciebie mężczyzna mógłby zmienić zamiar.

I tak zaczyna się te najdziwniejsze trzydzieści dni w twoim życiu. Na cały miesiąc stajesz się dwiema kobietami. Kiedy to się kończy, zastanawiasz się, czy jeszcze kiedykolwiek odzyskasz spokój i zdrowe zmysły.

KOBIEITA W KĄPIELI

Rzeczywiście przypominało to Boże Narodzenie, bo całą poprzedzającą wyjazd noc nie mogłam z podniecenia spać. Francis był wzruszająco zadowolony, że udało mu się dokonać czegoś tak właściwego. Jak my w ogóle jesteśmy w stanie spojrzeć samym sobie w oczy, kiedy robimy coś takiego? Jak?

Wyruszyliśmy w piątkowe popołudnie, a ja czułam się najszcześniejszą z ludzi. Matthew miał przyjechać w niedzielę wieczorem. Musiałam zatem przetrwać jedynie piątkowy wieczór, sobotę oraz niedzielę, do – w rezultacie kompromisu – około ósmej, by przez niemal pięć dni mieć życie dla siebie. W obliczu tak rozkosznej perspektywy mogłam sobie pozwolić na wszelką życzliwość.

Kiedy tam jechaliśmy, ja podśpiewywałam, Francis się uśmiechał. Demon wyłaził znowu...

– Francis – wdzięczyłam się – to takie mądre z twojej strony. Naprawdę jesteś najlepszym z mężów. – Bez najmniejszych wyrzutów sumienia patrzyłam na jego wyrażający zadowolenie uśmiech. W istocie dziękowałam bowiem swojemu mężowi za jego troskliwość i za wynajęcie domku, w którym planowałam przeżyć ze swoim kochankiem letnią idyllę seksu i miłości. I dziękowałam mu ze szczerego serca. Czekałam. Ziemia nie rozwarła się pode mną, nie pochłoniął mnie palący ogień. Wręcz przeciwnie;

promienie słońca padały na zielone wzgórza i aż wstrzymaliśmy oddech, kiedy na horyzoncie ukazały się pierwsze błyski morskich fal. I tak właśnie kończy się małżeństwo, pomyślałam, i tak właśnie kończy się małżeństwo – nie hukiem, ale mizdrzeniem.

Zachodni Dorset znaliśmy dobrze, ponieważ wkrótce po swoim ślubie Virginia i Bruce zamieszkali tuż za opłotkami Dorchester. Prawdziwa kraina Hardy'ego. Odwiedzaliśmy ich z Francisem dość często; od początku pociągała nas uroda tego miejsca, a później sprawiała nam przyjemność możliwość wyrwania się z Londynu i zatrzymania u ludzi, którzy dużo wiedzieli o niemowlętach. To swojej siostrze muszę przyznać: jeśli potrzebna była pomoc, okazywała się w porządku. I kiedy urodziłam Johna, a potem Jamesa, a jeszcze znacznie później poroniłam, naprawdę się sprawdziła. Przynajmniej oddaliłyśmy się od dzieciństwa, kiedy wykorzystywała każdą sposobność, by mnie stłamsić. Dopiero gdy zdołałam się otrząsnąć i ponownie odzyskałam dawną formę, zaczęła się zachowywać dość dziwnie. Czuła pewny grunt pod nogami jedynie wtedy, kiedy znajdowałam się w sytuacji kryzysowej. W tym stanie rzeczy zwróciłam się ku Carole. To ona brała na kolana moich synów i nawet cała ochlapana fasolką w sosie pomidorowym potrafiła mówić o sztuce i doprowadzać mnie do śmiechu opowieściami o swoim świecie z kręgiem kochanków w Paryżu i nocnymi lotami do Nowego Jorku.

Później, kiedy Virginia i Bruce przeprowadzili się już do Kingston (czy Surrey, jak Virginia nalegała, by miejsce to nazywać), a nasi chłopcy byli już nieco starsi, nadal jeździliśmy tam na weekendy – zatrzymywaliśmy się w Bridport lub Eype. Traktowałam to chyba jako rekompensatę za te wszystkie wakacje, których nigdy nie miałam, i wtedy dopiero osiągnęłam mistrzostwo w posługiwaniu się wiaderkiem i łopatką. Samo przebywanie z własną szczęśliwą rodziną na plaży wydawało się takie dobre, takie beztroskie, takie normalne, tak całkowicie różne od mojego dzieciństwa, że przy nich ja też stawałam się dzieckiem. Kiedy chłopcy byli mali, wyjazdy za granicę nas nie pociągały – lotniska i latanie, i całe to wyczekiwanie składały się na jeden długotrwały stres, nie mówiąc już o wystawianiu ich wrażliwej i delikatnej skóry na wpływ piekącego słońca. Zatem spędziliśmy nasze wakacje w Anglii, a Dorset lubiliśmy najbardziej.

W tamtym okresie wyobrażaliśmy sobie, że kiedyś kupimy na nasz weekendowy azyl jeden z tych zbudowanych z piaskowca, oplecionych różami domków w Dorset. Chodziliśmy wówczas na tak zwane „spacery okrężne” – według mnie jest to najlepsza forma spaceru z małymi dziećmi, bo koniec spaceru wypada zawsze przy samochodzie. Po przejściu około trzech mil odczuwałam przyływ ciepłego uczucia, kiedy za zakrętem wyłaniał się wierny saab, czekający na nas i gotowy przyjąć do swojego wnętrza. Wydaje się to teraz niewiarygodne, że takie proste, śmieszne rzeczy mogły dostarczać tyle radości... Kiedy myślałam o moich obecnych emocjonalnych przeżyciach, tamte czasy wydawały się jakąś cieniutką warstwą mojego życia. Jedno solidne dźgnięcie i już po niej.

Kiedy Virginia zadzwoniła do mnie, powiedziałam jej, że Francis wynajmuje na jakiś czas domek na wsi, celowo jednak nie podałam żadnych konkretów dotyczących miejsca czy terminu. Virginia miała oczywiście pogardliwy stosunek do takiej dekadencji, a jednocześnie bardzo chciała przyjechać tam z wizytą, co w sumie stanowiło bardzo nieprzyjemną kombinację.

– Francis jest przemęczony – oświadczyłam. – Musi się trochę zrelaksować. Ostatecznie zaczął przecież... pięćdziesiąty ósmy rok...

Ponieważ Virginia właśnie skończyła pięćdziesiąt sześć lat, nawet w bardziej normalnych okolicznościach nie byłaby to zbyt taktowna uwaga. A zważywszy na trudne stosunki między nami, była wręcz samobójcza.

Jej głos podniósł się o oktawę wyżej.

– No wiesz, nie jesteśmy chyba obślinionymi, trzęsącymi się staruszkami tylko dlatego, że przekroczyliśmy pięćdziesiąt pięć lat. Czasami wydaje mi się, że ty, Dilly, żyjesz w jakimś Kukułczynie Chmurnym¹, jeśli chodzi o uczucia innych i...

Francis, który wszedł właśnie do pokoju i którego poinformowałam bezgłośnie, że rozmawiam z siostrą – czego i tak się sam domyślił po poziomie decybeli – omal nie roześmiał się na głos, zapewne z nerwów, kiedy zamiast wykazać się swoją zwykłą pokorą, rzuciłam niespodziewanie:

– Och, Virginio, znajdź sobie jakiś prawdziwy problem... – i odłożyłam słuchawkę. – Dobrze jej robi, jak trochę pocierpi – oświadczyłam rzeczowo. – Najlepiej ją obrazić, bo inaczej

przyjedzie z kilkudniową wizytą. A ja nie chcę, by ktokolwiek zepsuł tę idyllę.

Francis popatrzył na mnie tak rozanielonym wzrokiem, że uświadomiłam sobie, iż on, jakżeby inaczej, uważa, że ta idylla to z nim...

Woodlynch było idealnym miejscem na wymarzony domek, ponieważ leżało na tyle blisko Bridport, by móc tam chodzić pieszo, a jednocześnie na tyle daleko, by czuć się jak na wsi. Czy teraz, kiedy jechaliśmy znaną nam krętą drogą, myślałam o swoich synkach drepczących tędy, żeby obejrzeć superświnę czempionkę w zagrodzie farmera Hope'a? Czy przypominałam sobie, jak żona farmera Hope'a dawała nam miód z własnej pasieki i jak córka Hope'a, niewiele starsza od Johna, robiła do niego cielece oczy i ku naszemu rozbawieniu wszędzie za nim chodziła? Czy pamiętałam zbieranie jeżyn, owoców tarniny, nasze spacerunki na drugą stronę wzgórza, gdzie przysiadaliśmy czasami, by zjeść śniadanie? Nie. Myślałam jedynie o pożądaniu i rozkoszy potajemnych uczynków w tym schowanym przed ludzkimi oczyma zakamarku świata.

I o pokazaniu Matthew, jaka to piękna okolica, jeszcze piękniejsza, kiedy my tam jesteśmy razem. Cała tamta rodzinna atmosfera, wszystkie te cenne wspomnienia nie liczyły się już zupełnie.

Francis wyglądał na zadowolonego, kiedy zajechaliśmy przed Carey House.

– Od Dorchester nie przestałaś się uśmiechać – zauważył. – Mam nadzieję, że dom ci się spodoba.

Cóż, oczywiście, że mi się spodobał. Pobiegłam schodami na górę. Znajdowała się tam duża główna sypialnia, z ogromnym starym, sosnowym łóżem. Prawdę mówiąc, tylko to widziałam i nie było potrzeby, żebym oglądała coś więcej. Usiadłam na łóżku i podskoczyłam kilkakrotnie, a Francis, który wszedł właśnie z walizkami, rzucił coś o tym, jaka to jestem rozochociona i czy nie mogłabym przynajmniej poczekać, aż napijemy się herbaty...

– Jesteś jak Maria – roześmiał się – kiedy wróciła do Anglii z Wilhelmem Orańskim. Cały kraj i tron Anglii, którymi mogła się ekscytować, a ona tymczasem szła od komnaty do komnaty, wypróbując pałacowe łóża... – Postawił walizki i podszedł do mnie.

– Herbata – rzuciłam szybko. – Ja tymczasem rozpakuję.

Zostałam na górze, by rozpakować walizki i spróbować się uspokoić, podczas gdy Francis, równie rozemocjonowany, przechodził od pokoju do pokoju, otwierał drzwi i okna i przywoływał mnie, żebym podziwiała wszystko razem z nim. Ogród był od zachodniej strony. Rosły w nim jabłonie i wisiała kanapahustawka z baldachimem – rozkosznie. Salonik miał niszę z kominkiem i drzwi wychodzące na wyłożony starym klinkierem taras. Wspaniale. Meble stare i porządne. Nigdzie ani śladu złego gustu. Znakomicie. Ale tak naprawdę ani trochę mnie to nie obchodziło. Z radością jednak stwierdziłam, że łazienka jest duża i szczęśliwie wyposażona w wannę wystarczająco pojemną – jak bezmyślnie rzuciłam do męża – dla dwojga. Radośnie posłał mi tak pożądlive spojrzenie, że pognałam natychmiast schodami w dół po jeszcze jedną filiżankę herbaty. Nic dziwnego, że powiadają, iż my, Brytyjczycy, przetrwaliśmy wojnę dzięki herbacie.

Uznaliśmy oboje, że to idealne miejsce. Uścisnęliśmy się. Wypiliśmy herbatę, stojąc przy

drzwiach do ogrodu, biodro przy biodrze – obrazek doskonałego wręcz zespolenia. Kiedy jednak spytał mnie, czy nie zechciałabym wypróbować z nim tej wanny, palnęłam coś zdumiewająco prostackiego, w rodzaju: „Co... teraz?” W rezultacie poszliśmy na spacer i oglądaliśmy topniejące na zachodzie słońce. A potem, kiedy wróciliśmy, zastosowałam swoje mistrzowskie posunięcie. Nie zapomniałam bowiem o zabraniu ze sobą scrabble.

Nawet jeśli Francis nie był zbyt podniecony perspektywą gry, to przecież mi wybaczył, grał dobrze i ostatecznie spędziliśmy sympatyczny wieczór. Przyszło mi na myśl, że kiedyś moglibyśmy zostać dobrymi przyjaciółmi, on i ja... Pewnie najbardziej okrutna rzecz, jaką można powiedzieć mężczyźnie czy kobiecie, którzy ogrzewali twoje łóżko, to: „Do seksu już cię nie potrzebuję, skarbie, ale fantastyczna z nas brydżowa para... „ Wyglądało na to, że moja siostra miała rację – chyba rzeczywiście żyłam w jakimś Kukułczynie Chmurnym.

Kiedy przyszła pora snu, udało mi się naprawdę błyskawicznie zasnąć, podczas gdy Francis tkwił jeszcze w łazience. Nie obiecywałam Matthew – bo nie mogłam – że nie będzie małżeńskiego seksu, niemniej zamierałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby temu zapobiec. Zadanie o wiele trudniejsze, niżby się niejednemu zdawało, sądząc po tych wszystkich kabaretowych dowcipach o żonach i ich bólach głowy. Jak kobiety potrafią miesiącami nie wypełniać swoich małżeńskich obowiązków? Ja musiałam się zachowywać niemal jak szalona pani Edwardowa Fairfax Rochester², żeby tylko w ciągu minionych dwóch tygodni wykręcić się od seksu, ale wiedziałam, że tutaj już mi się to nie uda. Postanowiłam jednak, że będę rzecz odsuwać tak długo, jak tylko się da. I w ten pierwszy weekend mogłoby mi się udać, gdybym wykazała się większym sprytem...

Następnego ranka, w sobotę, obudził nas telefon od Julii. Zrobiła coś głupiego ze swoim alarmem i nie mogła się ruszyć z domu. Zanim Francis uporał się telefonicznie z tym problemem, zdążyłam już wstać, ubrać się, zrobiłam kawę i zaczęłam podgrzewać rogaliki. Jeśli był rozczarowany, to prawie udało mu się to ukryć. Wyczuwałam zaledwie odrobinę napięcia, tak słabego, że mogłam się nie przejmować. Już wcześniej postanowiliśmy odwiedzić Bridport i pooglądać stragany. A to bez trudu dawało się rozciągać w czasie. Kiedyśmy się tam wybrali, zaproponowałam zjedzenie lunchu Pod Bykiem. Przy odrobinie szczęścia po takim posiłku powinien po południu zasnąć.

Stragany i różne stoiska rzeczywiście pochłonęły dużo czasu. Przywitaliśmy się ze starym farmerem Hope'em i jego żoną, którzy nas sobie przypomnieli, później z córką Hope'a oraz jej mężem; ona wyrosła na dorodną blondynę, najwyraźniej lubiącą wieprzowinę z własnej hodowli. Wyglądało na to, że mieszkają na kawałku ziemi, która kiedyś należała do świni czempionki. „No cóż – westchnęliśmy oboje, kiedy kobieta odeszła – czas nie stoi w miejscu”. Kupiłam Francisowi stare, skórzane etui, w którym mógł trzymać spinki do mankietów, ponieważ jedną z liter, wytłoczoną u samej góry wieczka, było F. To, że ta druga litera to również F, a nie H, nie ma, tak naprawdę znaczenia, oświadczyłam. A w myślach powtarzałam: Nic nie ma znaczenia... absolutnie nic...

On chciał mi kupić małeńki, wiktoriański flakonik do perfum, ale ja nagle poczułam się rozdrażniona i oznajmiłam, że miałam już w życiu dość różnych śmieci. Mężczyzna ze stoiska uniósł brwi, a my poszliśmy dalej. Ta irytacja nie miała najmniejszego związku z flakonikiem, który był bardzo ładny; wiązała się ona z moim ogromnym pragnieniem, żeby kupić jakiś prezent dla Matthew oraz ze stałą obecnością tego mojego męża na H, nieustannie do mnie przyklejonego jak strażnik więzienny, wsłuchującego się w każdą moją myśl, obserwującego każdy ruch i w ogóle utrudniającego wszelkie posunięcia.

W końcu zauważyłam dwa kieliszki do jajek w kształcie kokoszki i kogotka. Kupiłam je, bo były całkiem zabawne, ale też sugerowały coś o byciu parą, o wspólnych śniadaniach itp.

– Ty i ja – oświadczył Francis, śmiejąc się z ich dziwaczego kształtu.

Z trudem się powstrzymałam, żeby nie wyrwać mu ich z ręki.

– Ja je poniosę – powiedziałam. Rzucił mi krótkie, dziwne spojrzenie.

– Powinniśmy wobec tego kupić i jajka. – Ruszył w kierunku straganu z nabiałem.

– Już je kupiłam – skłamałam.

Zjedliśmy lunch Pod Bykiem; nalegałam, żeby Francis wypił jeszcze jeden kufelek. Kiedy wróciliśmy do Carey House, powodowana niemądrą, sentymentalną myślą – chciałam, żeby pierwszy raz zostały użyte przez Matthew i przeze mnie – ukryłam te kieliszki do jajek. Uchowaj mnie Panie Boże, pomyślałam, wpychając je na sam tył szuflady z bielizną, żeby, jeśli przejedzie mnie autobus, wykonawcy mojej ostatniej woli znaleźli takie porcelanowe drobiazgi ukryte wśród majtek. Nagły chłód ogarnął moje serce. Mój testament? Moja przyszłość? O Boże, o tym wszystkim należało pomyśleć... Cóż, po prostu odmawiam.

Tego sobotniego popołudnia leżałam z książką na kanapie. Drzwi na taras były szeroko otwarte. Za tarasem, rozciągnięty na kobiercu z trawy i pogrążony w głębokim śnie dzięki temu dodatkowemu kufłowi piwa, leżał Francis. Czytałam starą powieść Agathy Christie, ściągniętą tutaj z półki – lekturę odpowiednią do tego poziomu koncentracji, jaki byłam w stanie osiągnąć; wystarczyłoby coś nieco bardziej wymagającego, a w moim mózgu przepaliłby się zapewne jakiś bezpiecznik. Nawet zanim poznałam Matthew, nigdy nie umiałam odkryć sprawcy zbrodni w którejkolwiek z tych książek. Czytałam je, mając czternaście lat, a potem powtórnie, zupełnie jakby był to pierwszy raz, kiedy sami będąc nastolatkami, odkryli je moi synowie. Trzecie czytanie, a ja wciąż nie pamiętałam żadnej intrygi ani jej rozwiązania. Doskonałe. Wata dla mózgu. Nurzałam się w smaczkach epoki i w cudownym, spokojnym, wręcz monotonnym toku fabuły, w której nic ani nikt nie jest tym, czym się wydaje. Bystra, przenikliwa Agatha – jedyne, co musiała robić, to umieścić szalejące w nas demony pomiędzy okładkami taniego paperbacku, za każdym razem w innej scenerii, i już każdy miał coś dla siebie. Dzięki tej lekturze popołudnie mijało szybko, a ja nie musiałam myśleć...

Byłam tak zaabsorbowana, że nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Francis już od dawna nie śpi, że od jakiegoś czasu stoi w drzwiach i mi się przygląda. Nie było wyjścia. Dzień był gorący, więc odziana byłam dość skąpo. Zaświtało mi lekko wspomnienie drwiących słów Matthew:

„Powinnaś nosić czarczaf... „ Żałowałam, że go nie mam. Czytałam dalej, udając, że nie zauważyłam Francisca, gdy on tymczasem wymówił moje imię, zupełnie niemeżowskim tonem.

– Och, cześć – rzuciłam, podnosząc wzrok.

On jednak nie zamierzał zajmować się komunikacją na tym poziomie. Wykręcałam się, jak mogłam, ale wiedziałam, że nie mam wyjścia. Odwróciłam Matthew twarzą do ściany. „Jest twoim mężem, jest twoim mężem, jest twoim mężem”, jedynie tyle zdołałam sobie przypomnieć, kiedy Francis podszedł, uklęknął i podciągnął mi do góry sukienkę. Potem, bardzo ostrożnie, bardzo powoli i bardzo delikatnie, rozchylił moje uda i wsunął między nie głowę.

Co miałam zrobić? Uciec z wrzaskiem?

Później, w kąpielni, mydliłam mu plecy i myślałam, że to w porządku, to rozdwojenie. Poradzę sobie. Przynajmniej wiedziałam, że Matthew nie wtargnie do łazienki przebrany za wieśniaka, ze słomianą kukłą, symbolem święta plonów w rękach. Przecież się nigdy nie dowie. Zaczęłam podśpiewywać i zachowywać się, jak przystało dobrej małżonce, którą nie byłam, podczas gdy Francis czerpał uciechę z rozmiarów wanny, a ja zastanawiałam się, dlaczego moje udane, stabilne małżeństwo nagle wygląda jak przeniesione z nudnego, francuskiego filmu.

– Od dawna nie było tak świetnie – oznajmił, sięgając ręką do tyłu, żeby pogłodzić moje udo.

– Chyba odkryłem u siebie na nowo popędy kilkunastolatka. – Roześmiał się zadowolony. A potem dodał ostrożnie: – Nie wydaje się... ee... żebyś była w ciąży.

Nadal mydliłam mu plecy, tak samo bezosobowo jak przedtem.

– Mmm – mruknęłam.

– Wiesz – ciągnął – chyba miałaś rację. Żeby na jakiś czas oderwać się od wszystkiego i od wszystkich. Ja pewnie potrzebuję tego tak samo jak ty. Oboje tego potrzebujemy. Teraz cieszę się, że postawiłaś na swoim i nie zaprosiliśmy tu Johna i Petry, i dziewczynek. – Odchylił się i oparł o moje kolana, odprężony i przepelniony zadowoleniem. – Uważam, że zasługujemy na odrobinę czasu tylko we dwoje. – Bardzo delikatnie przesuwając gąbkę i cieszyłam się, że w starych, pokrytych matowym nalotem kurkach nie może widzieć mojego odbicia.

W niedzielny rano bardzo się starałam nie okazywać zniecierpliwienia. Wypełnij czymś czas, wypełnij czas... Zaproponowałam więc pójście przed lunchem na drinka do miejscowego pubu. Pub miał ogródek niemal przylegający do miejsca, które kiedyś zajmowała świnia czempionka, czy raczej ona i cały szereg jej następców, tyle że chlew już zniknął, a na jego miejscu stanął duży, nieprzyzwoicie nowiutki dom. Najwyraźniej własność córki Hope'a. Jasne było, że nie mogę ponownie uśpić Francisca piwem, chyba że chciałabym dostarczyć mu pretekstu do pozostania na wsi, wobec czego wypiliśmy po kufelku i powędrowaliśmy z powrotem. Niecierpliwłość doprowadzała mnie do szaleństwa, ale szłam powolutku, jakbym miała mnóstwo czasu.

– Jest wprost bajecznie – obwieścił.

– Owszem – zgodziłam się potulnie, sprawdzając, kiedy mijaliśmy samochód, czy na pewno wszystkie koła są dobrze napompowane.

Na lunch zjedliśmy kraby i najpierw ucieliśmy sobie krótką drzemkę, potem pozmywaliśmy, a kiedy wreszcie spakowaliśmy Francisca – mało brakowało, a wylądowalibyśmy znów w wannie, do której on zapalał wyraźną sympatią – była mniej więcej pora jego odjazdu. A wiedziałam, że mój ukochany jest już w drodze, że pędzi do mnie. W jakimś punkcie ich samochody się miną. Przynajmniej miałam nadzieję, że się miną. Kolana mi się uginały na myśl o wystąpieniu jako bohaterka notatki z nagłówkiem KOBIE TA TRACI MEŻA I KOCHANKA W ZDERZENIU CZOŁOWYM. Ugięły się jeszcze bardziej, kiedy Francis, który zszedł właśnie po schodach ze swoją torbą, jakiś kwadrans po siódmej, opuścił ją raptownie i oświadczył:

– Wiesz, tak naprawdę to nie muszę wyjeżdżać dzisiaj. Jeśli jutro wyruszę dostatecznie wcześniej...

Zastygłam, dodając do tamtego obrazu wgryzania się w kciuk realność rozplywających się wnętrzości. Owszem, moi drodzy, tak się z tymi narządami dzieje.

Po chwili jednak odetchnęłam z ulgą.

– Nie możesz. Jutro rano odwozisz Julię na dworzec. Podniósł torbę.

– Niech to szlag – rzucił z irytacją.

– Zresztą mógłbyś utknąć w korku...

– Nie, gdybym wyjechał o piątej.

– Albo złapać gumę...

– Dlaczego nie popatrzysz na to optymistycznie?

– Po prostu nie czułabym się dobrze, wiedząc, że czas cię goni...

Teraz aż tryskałam niecierpliwością. Tak intensywnie myślałam o Matthew, że aż dostałam gęsiej skórki. Jak Francis mógł nie odbierać tych wibracji? Widocznie ich jednak nie odbierał. Uśmiechnął się tylko na ten wyraźny przejaw mojego uczucia.

– To prawda – przyznał.

Zrobił dwa kroki do przodu. No idź już, idź już, idź już... A wtedy on znów postawił torbę. Tym razem położył mi dłonie na karku i jeśli miałam nadzieję, że oznacza to szybki pożegnalny pocałunek, to bardzo się myliłam. Wiadomo, że to nie będzie krótki pożegnalny pocałunek, skoro jedna dłoń wędruje z twojego karku na piersi, a potem tam, gdzie już jesteś na wpół gotowa, bo przecież oczekujesz przybycia kochanka. Francis był pod zbyt dużym wrażeniem tego, co znalazł, żebym się mogła wykręcić. Nie przestawałam myśleć o czasie. Podobnie jak oszustwo, kurewstwo przyszło mi łatwo. Sprawiałam sobie uciechę fantazjowaniem, że oto przybywa Matthew i przejmuje rolę Francisca, z czego ostatecznie skorzystał Francis. Byłoby to dość zabawne, gdyby nie było okrutne.

– Teraz włóż grzecznie ubranie – powiedziałam mu po wszystkim – i już się nie ociągaj. – Jakoś uszedł mi płazem ten mój nauczycielski ton, ze względu na delikatny, sadomasochistyczny podtekst, jak sądzę.

Starałam się, by głos mój brzmiał lekko, mimo że przepelniona byłam ciężkim lękiem. Jeśli zostanie, ja – byłam o tym przekonana – umrę.

Kiedy szliśmy do samochodu – ja znów na uginających się nogach – Francis obejmował mnie w pasie i pogwizdywał pod nosem.

– Polubiłbym chyba takie życie – oznajmił.

– Dojeżdż bezpiecznie – bąknęłam. I ruszyłam ścieżką w kierunku domku. Myślałam, że eksploduję.

Kiedy już odjeżdżał, zawołał:

– Aha... a co mam zrobić, kiedy zadzwoni twoja ciotka?

– Moja ciotka?

– Ciocia Liza.

– Ach. Cóż. Powiedz, że do niej napiszę. Zresztą zna numer mojej komórki.

Skinął głową i posłał mi całusa.

– Do zobaczenia w piątek – zawołał.

I znów rzucił mi to pożądlive spojrzenie. Jeezu! Całkiem przypadkowo natrafiliśmy na wręcz idealny dla niego układ małżeński. Żona w stanie ciągłej gotowości, w wiejskim domeczku, z różami wokół wejścia i z wanną na dwoje. Żona, która nie ma nic do roboty poza niemrawymi przymiarkami do pisania książki i czeka w weekendy na wizytę swojego pana. Prawdę mówiąc, brakowało jeszcze tylko pasa cnoty.

Nadal roztrzęsiona wzmianką o ciotce Lizie i tym małżeńskim zbliżeniem, a na dodatek lękiem, że mógłby nagle postanowić zawrócić, patrzyłam za zapalającymi się przed zakrętami światłami stopu, dopóki ostatecznie i definitywnie nie zniknęły mi z oczu. Jeszcze kiedy tak stałam, zadzwonił mój telefon komórkowy.

– Jestem po drugiej stronie Dorchester – oznajmił Matthew.

– Powinieneś poczekać, aż ja zadzwonię do ciebie – wykrztusiłam. – Tak się umówiliśmy.

– Wiem – odparł – ale nie mogę się już doczekać.

To jeszcze jedna rzecz związana z takim błyskawicznym przechodzeniem z objęć jednego mężczyzny w objęcia drugiego. Nie traci się tempa. Jest to rzekomo jedno z tych niezwykle seksownych przeżyć; ja wam jednak mówię, że nie ma w tym absolutnie nic seksownego, kiedy – ciśnienie krwi skacze jak u pozbawionej kondycji starszej osoby, zmuszonej do bardzo szybkiego biegu, bezpośrednio po dobrym lunchu w Ritzu. I jak już wcześniej odkryłam, istnieje duże niebezpieczeństwo mylenia imion.

Kiedy Matthew pojawił się, z naręczem kwiatów i butelek, byłam cała zaróżowiona po czternastu, jak mi się wydawało, kąpielach wziętych tego dnia, a mimo to wciąż zupełnie nie odprężona. Musiał się zastanawiać, co go czeka, kiedy zobaczył, jak chwyciłam jedną z butelek i natychmiast, ledwie cmoknąwszy go w policzek, rzuciłam się na nią z korkociągiem. Na pewno było coś podejrzanego w zachowaniu kobiety, która walczy uparcie z korkiem, podczas gdy wytęskniony mężczyzna stoi za nią i obsypuje pieszczotami.

Kiedy się wreszcie uspokoiłam, usiedliśmy na podłodze salonu i w coraz bledszym świetle zachodzącego słońca patrzyliśmy na ogródek, on gładził mnie tu i ówdzie, ja tu i ówdzie

gładziłam jego, a kiedy moje nieszczęsne, ogłupione ciało wreszcie zaczęło wracać do stanu równowagi i ponownie odczuwać pragnienie, on spytał znienacka:

– Robiłaś to?

– Oczywiście, że nie – odparłam, patrząc na księżyc, który pojawił się na ciemniejącym niebie gasnącego dnia. Księżyc spoglądał na mnie obojętnie. Tylu oszustw i zrad dopuszczono się w jego odwiecznym blasku, że na pewno by się dobrze zastanowił, zanimby zaczął kogoś krytykować.

Matthew westchnął z ulgą.

– Dziękuję – powiedział. – Na pewno nie było to łatwe. – Po czym w mgnieniu oka wyskoczył z dzinsów i T-shirta, prezentując niemowlęcą goliznę, a do tego satysfakcjonującą gotowość, zanim jeszcze zdążyłam sobie uświadomić, że teraz mój mąż nie jest już jedyną osobą, którą okłamuję. Okłamuję też tego, z powodu którego okłamuję męża, okłamuję... z powodu męża.

Nie pozostała mi ani odrobina energii na takie zagadki. Wiedziałam tylko, że nagle znów poczułam się niewiarygodnie szczęśliwa. Mojego szczęścia nie zepsuł nawet Francis, kiedy kilka godzin później zadzwonił z informacją, że dojechał bezpiecznie.

– Zajął mi to dwie godziny i pięćdziesiąt minut – oznajmił.

– No to jesteś na miejscu.

– A gdzie ty jesteś? – spytał swawolnie.

– W łóżku. – Wreszcie powiedziałam coś zgodnie z prawdą.

WCALE NIE Z DALA OD ZGIELKU

Jak mogłam przegapić taki oczywisty feler całego tego układu? Chyba musiał mi się mózg częściowo wyłączyć, żebym mogła przeoczyć coś tak oczywistego, i dopiero po przyjeździe Matthew przejrzałam na oczy. Jestem pewna, że Matthew o tym pomyślał, ale pewnie nie zaprzętał sobie tym głowy, choć nigdy go o to nie spytałam. Winą ponosiłam ja i tylko ja. Przekonałam i jego, i siebie, że wszystko jest samą doskonałością, a przecież nie ma róży bez kolców. Czy ktoś zwrócił uwagę na to przeoczenie? Po prostu: nie ma takiego miejsca na świecie, w którym można by zachować pełną anonimowość. Moja cudowna wizja, w której spacerowaliśmy, trzymając się za rękę, była kompletnie nierealistyczna. Zaczynałam odnosić wrażenie, że nawet gdybyśmy pojechali na kilka dni na pustynię Gobi, wcześniej czy później pojawiłby się nad nami jakiś sympatyczny facet w awionetce i zawołał: „Pani Holmes, prawda?”

Po jednej czy dwóch dobach spędzonych w domku na wszelkich możliwych domowych rozrywkach, łącznie ze śniadaniem w łóżku, z jajkami serwowanymi w uroczym koguciku i w uroczej kokoszce, zdecydowaliśmy się ruszyć na zewnątrz. Wędrowałam z nim ścieżkami Woodlynch i po poślubionym pradawnymi bruzdami, zarośniętym tarniną wzgórzu, a potem, z uczuciem, że mamy do wszystkiego prawo, wkroczyliśmy do Bridport. Był wtorek, pora lunchu i wokół kręciło się bardzo niewiele osób. Małe muzeum było chwilowo zamknięte i właśnie, przeczytawszy notkę z tą informacją, odchodziliśmy od drzwi, kiedy usłyszałam głos córki Hope’a:

– Teraz otwierają tylko we wtorki i czwartki. Nie stać ich na opłacanie personelu.

Może i kierowała te słowa do mnie, ale pełen zaciekawienia wzrok utkwiła w Matthew.

Matthew, człowiek uprzejmy, już miał się do niej odezwać, kiedy oznajmiłam bardzo stanowczo:

– No to do widzenia... – i pchnęłam go w plecy. Córka Hope’a nie dała się zbić z tropu.

– Więc pisze pani tu książkę? – spytała. Skinęłam głową.

– Mhm – mruknęłam, zastanawiając się, w jaki sposób te wiejskie tamtamy to odkryły, i ruszyłam do przodu.

– O czym?

– O świniach – odparłam. Bóg jeden wie dlaczego.

– O – zdziwiła się. – No to przyjechała pani w odpowiednie miejsce. W każdej chwili może pani spytać mojego tatę...

– Dzięki – powiedziałam, a ona wreszcie sobie poszła. Matthew wlepił we mnie zdziwione spojrzenie.

– Świnie?

– Tak mi się skojarzyło – wyjaśniłam. – Jej ojciec je hodował... w wiosce. Mieliśmy zwyczaj...

Położył palec na moich ustach.

– Nie mów mi o przeszłości – poprosił. – Nie teraz. Tak więc nasz wspólny pobyt na wsi nie zapowiadał się na tak łatwy, jak się wcześniej wydawało. Przygnębiło mnie to. Dowcip, że Matthew będzie się przez całe pięć dni ukrywał w moim łóżku, już tego samego popołudnia przestał być zabawny. Pogoda była piękna i chcieliśmy z niej korzystać. Robić razem zwyczajne rzeczy. Niedawno wystarczyłoby nam wspólnie spędzona noc. Teraz chcieliśmy spędzać czas poza domem, odgrywać role męża i żony... tyle że istniał problem prawdziwego męża, który też bardzo chciał grać swoją rolę.

Czwartkowego ranka, kiedy wyjeżdżaliśmy z Woodlynch w kierunku Dorchester, Matthew dosłownie musiał zanurkować pod deskę rozdzielczą auta, ponieważ córka Hope'a jak zawsze robiła coś w swoim ogrodzie. Pewnie zakładała skalniak. Była ona bez wątpienia osobą wścibską. Była również kobietą. Ale nie idiotką. Może Matthew nie był Adoniszem z marzeń, ale na pewno wydał jej się na tyle atrakcyjny że uznała, że nasz związek nie jest tak całkiem niewinny. Oczywiście on jej ewentualnymi podejrzeniami nie bardzo się przejmował. Tak więc ja musiałam być czujna za nas oboje.

Przynajmniej będziemy bezpieczni, kiedy wybierzemy się dalej. Był właśnie dzień targowy w Maiden Basset. Tam się udamy. Spędzimy upojną godzinę, oglądając przedmioty, na które nigdy byśmy nie spojrzeli w Londynie. Po prostu tak cudownie jest być razem. Odkrywać, jacy jesteśmy w świecie zewnętrznym. A potem ten głos tuż obok.

– Co za przypadek, że znowu was widzę razem. – Teraz przyglądała się Matthew z jeszcze większym zaciekawieniem. Podeszła bliżej. – Czego szukacie?

– Raymond potrzebuje czegoś do swojego weterana szos. Matthew uparcie wpatrywał się w stos starego żelastwa. Nagle podniósł jakiś przedmiot.

– No proszę, mamy coś – oświadczył.

Trzymał kopyto szewskie – rocznik około 1935, jak nas radośnie poinformował straganiarz.

– Aha, więc nie jest to jaguar model z 1938? – upewnił się Matthew bardzo poważnym tonem.

Mężczyzna pokręcił głową, zupełnie nie poruszony idiotycznym zachowaniem turysty.

– No trudno – oznajmił Matthew i obdarzywszy córkę Hope'a promiennym uśmiechem, odłożył kopyto i ruszył dalej.

– Do zobaczenia – rzuciłam, podążając za nim. Przez długi czas czułam jej wzrok skupiony na nas. Targ w którymkolwiek z okolicznych miasteczek jest bardzo ważnym wydarzeniem. Mogą nas tam nie znać, ale ktoś nas na pewno zobaczy.

– Diłys – powiedział później, kiedy wspinaliśmy się na Eggardon Hill – będziemy musieli po prostu zaryzykować. Ostatecznie, wkrótce i tak się dowie.

– Mhm. – Użyteczny pomruk, jak wściekłość i wrzask, nic nie znaczący. Przyrzekłam sobie wcześniej, że nie będę o tym myślała, i nie będę. Może i czasami mózg mi się wyłączał, ale głupia nie byłam. Kiedy minie ten miesiąc, jakiś kataklizm się wydarzy. To były już ostatnie dni spokoju.

Najlepszym sposobem, żeby zapobiec spotkaniu mojego męża z córką Hope'a i ewentualnym pytaniom w stylu: „A jak się ma ten sympatyczny młody człowiek, który mieszkał u żony... „, było nie dawać Francisowi w weekend ani jednej wolnej chwili. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Tego samego wieczoru zadzwoniłam do Petry i zaproponowałam, żeby przyjechała z Johnem i z dziećmi w najbliższą sobotę rano. Wcześniej rano.

– Nie mówcie Francisowi. To ma być niespodzianka.

Ucieszyło ją to zaproszenie. Już wcześniej przecież chcieli przyjechać i zupełnie nie rozumieli naszego braku entuzjazmu. Zazwyczaj z ogromną chęcią włączaliśmy ich we wszystko, co robiliśmy.

– Wspaniale – powiedziała uradowana. – Przywiozę trochę produktów z naszego sklepu.

– Świetnie – zgodziłam się. – Świetnie...

Po czym wślizgnęłam się do łóżka, żeby spędzić ostatnią noc z Matthew, zanim wymienię go na męża. To było jak prostacka wersja tych małych barometrów w kształcie domków, które się kiedyś kupowało. Jedna figurka wyskakuje, a druga wskakuje. W więcej niż tylko jednym znaczeniu.

Francis przyjechał w piątek dopiero około dziewiątej. Przywiózł różne smakołyki oraz kilka butelek szampana i przeprosił, że był tak irytujący przed wyjazdem. „Miałaś rację – przyznał. – Rozpoczęli roboty drogowe”. Oczy same mi się zamykały, ale byłam łagodna i bezkrytyczna. On tymczasem zaczął mi opowiadać, jak spędził tydzień, i kiedy robił w kuchni kawę, zasnęłam twardo pod wpływem wypitego szampana i wyczerpania. Ledwie pamiętam, jak prowadził mnie po schodach i pomagał się rozebrać, przypominam sobie jeszcze jak przez mgłę zapach świeżej bielizny pościelowej (tamta, tajemna, wcisnęłam głęboko do szuflady komody w pokoju gościnnym), a potem świadomość opuściła mnie na dobre. Nazajutrz, kiedy mówiłam, jak mi przykro, że tak szybko odpłynęłam, odparł, że też był zmęczony. I spytał, co ja wyprawiałam, że tak ścięło mnie z nóg.

– Świeże, wiejskie powietrze – wyjaśniłam pewna, że słyszy łomot mojego serca.

– Jak się miewa... mmm... – Spojrzał na mój brzuch.

– Bez zmian – odparłam krótko, zamykając ten temat. Nim zszedł na dół, by zaparzyć kawę, stanął przy otwartym oknie sypialni i spoglądał na piękny poranek.

– Nie ruszaj się – zarządził. – Przyniosę tacę. Leżałam, odczuwając skutki lekkiego kaca i zgnębiona bólem w dole brzucha, świadczącym, jak byłam przekonana, o opadaniu macicy. Co by mnie zresztą w ogóle nie zdziwiło, zważywszy, jak często ostatnio uprawiałam seks. W przeszłości ja i Francis kochaliśmy się dość rzadko – czasami mijały dwa czy trzy tygodnie okraszone jedynie niewinnym pocałunkiem na dobranoc. Ale w ciągu tych kilku minionych

tygodni Francis odnalazł gdzieś nowe źródło energii. Może był to instynkt pierwotny. A może moje feromony. Na dodatek ten domek też dostarczał mu nowej i ukierunkowanej energii. Jeśli były to kłopoty z macicą, to czekały mnie niezłe seanse poważnego łągania podczas ewentualnej wizyty u doktora Rowe'a. Można psychicznie czuć się jak dwudziestolatka, ale traktować swoje ciało, jakby rzeczywiście miało się tylko tyle lat, to już lekka przesada. Doktor Rowe nie był głupcem. Zatem kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa. A i tak wszystko mogło się potknąć o tę rozmamłaną blondynę, która mieszkała tam, gdzie kiedyś stał wioskowy chlew.

Francis wrócił z kawą i z rozbawioną miną. Na tacy leżały artystycznie rozrzucone kwiaty gwiazdnika i kapryfolium, co było bardziej wzruszające niż jakikolwiek zbiór szafirów. Nie pierwszy już raz w tym całym zamęcie poczułam, że jestem na krawędzi łąz. O czym też ja myślałam? On tymczasem z uśmiechem stawiał tacę.

– Nic dziwnego, że film ci się urwał – powiedział. – Tam na dole stoi sześć pustych butelek po winie...

O Boże. O Boże... Taka byłam ostrożna ze śmieciami, tak je pieczołowicie pakowałam i wywoziłam. Tymczasem ta tkwiąca we mnie solidna, ekologiczna gospodyni automatycznie odstawiła butelki, by wrzucić je później do odpowiedniego pojemnika. Za trudne to wszystko. Poczułam się znużona i marzyłam o kapitulacji – marzyłam, żeby zrobić to, czego tak jednoznacznie żądał Matthew, wyciągnąć do Francisa gotowe do skucia ręce i oznajmić: „Czyń swoją powinność, panie”. Kiedy jednak patrzyłam na jego twarz, gdy tak stał, wyglądając przez okno, i na tę tak dobrze znaną dłoń trzymającą filiżankę, po prostu nie mogłam.

– Nie wszystkie są moje – roześmiałam się. – Te inne zebrałam. Troszeczkę rysowałam. – Gładkie, gładziutkie kłamstewka.

Usiadł obok mnie na łązku.

– A więc zrezygnowałaś z pisania o aktach.

– Nie całkiem. Również rysuję.

– Cóż, zdecydowanie cię to uspokaja – oświadczył z ulgą. – Mógłbym je zobaczyć?

– Jeszcze nie. Nie są gotowe do pokazania. Komukolwiek. A co ze śniadaniem?

– Nie mogłem znaleźć kieliszków do jajek.

Nic dziwnego, skoro umyte wylądowały z powrotem pomiędzy majteczkami.

– Dla mnie wystarczy grzanka. Sama sobie zrobię. – Zaczęłam wygrzebywać się z łązka.

– W żadnym razie – oświadczył stanowczo i podszedł, żeby usiąść tuż przy mnie. Położył dłoń na moim ramieniu. – Jak ci minął tydzień? Tęskniłaś za mną?

I w tym właśnie momencie, zupełnie jak dźwięk towarzyszący pędzącej z odsieczą kawalerii, ze ścieżki przed domem rozległo się niecierpliwe buczenie dziecięcej trąbki.

– O ile się nie mylę, to wnuczka numer dwa daje nam do zrozumienia, że jest tutaj – zauważyłam. Uratowana przez trąbienie.

Francis spojrział na mnie.

– John i Petra – wyjaśniłam. Natychmiast podniósł się i podszedł do okna.

– Rzeczywiście – stwierdził i machnął do nich niemrawo, jak marionetka, której poprzecinano sznurki.

– Nie mogłam powiedzieć nie – skłamałam. Patrzył na mnie zdziwiony, niezadowolony, smutny, a ja patrzyłam na niego nieco przepraszająco.

– Owszem, mogłaś – oświadczył. *Fait accompli*.

Kiedy zobaczyliśmy córkę Hope'a, towarzyszył jej mężulek, Geoff, a my na szczęście byliśmy zajęci swoją liczną rodziną.

– Możemy sobie darować rozmowę z nimi? – zasugerowałam Francisowi, kiedy siedzieliśmy tego sobotniego wieczoru w przylegającym do pubu ogródku. – Przez cały tydzień nie mogłam się od nich odczepić.

Nie odwracając się ani nawet nie reagując skinieniem głowy na ich pozdrowienia, wzięłam na ręce Rosie, postawiłam ją na murku i zaczęłam jej opowiadać o niezapominajkach i o mleczach, i o wszystkich innych rosnących na polu kwiatkach, a za moimi plecami toczyła się uprzejma rozmowa, która zakończyła się propozycją obejrzenia ich domu. Francis, który normalnie, z czystej grzeczności, powiedziałby tak, tym razem oznajmił, że niestety musimy już zabrać dzieci do domu. Wtedy Petra wtrąciła swoje trzy grosze:

– Ależ nie ma takiej potrzeby. Na co Francis:

– Dilys? – Co z grubsza oznaczało: „Pomocy”.

– Mamy mnóstwo zdjęć świnek – przekonywała córka Hope'a.

Na co moje wnuczki ropuszki zareagowały okrzykami zaciekawienia.

– Dziękujemy bardzo – powiedziałam, wracając do naszej ławki i do rodziny – ale naprawdę chcę je teraz zabrać na Golden Cap.

– Może jutro.

Francis oprzytomniał i zawołał do dziewczynek, żeby ścigały się do furtki. Potem odwrócił się, powiedział bardzo stanowcze do widzenia i ujął mnie pod ramię.

– Jak idzie książka? – zapytała córka Hope'a. Trudno było się zorientować, co chce przez to powiedzieć.

– Nie najgorzej – odparłam.

– Powiedziałam o niej tacie. Ma mnóstwo starych zdjęć... nietypowych... które pewnie by panią zainteresowały.

– Dzięki – rzuciłam – zapamiętam to sobie.

Z tyłu dobiegły mnie pomruki Francis'a; rzucał pewnie coś w rodzaju: „A to zgrzybiały lubieżnik”. Z drugiej strony ogródka stary farmer Hope machał i uśmiechał się pełną gębą, całkiem nieświadom, że właśnie uznano go za zboczeńca.

– Zdjęcia, też coś – oburzał się Francis, pewnie zadowolony, że ma się na czym wyładować.

– Chodźmy – szepnęłam.

– Co to za książka, mamó? – spytał John.

– Och, nic takiego.

Petra, która kiedy tylko mogła, nawoływała: Kobiety, Zajmijcie Należne Wam Miejsce w Świecie (zupełnie jakby to takie jak ona, a nie takie jak ja to kiedyś wymyśliły), powiedziała:

– Och, przestań... nie bądź taka skromna. Co to jest?

– Myślałam o napisaniu książki o aktach. I tyle. Nastąpiła jeszcze jedna wymiana znaczących spojrzeń pomiędzy Petrą i Francisem. Ich oczy mówiły: „Bądźmy pobłażliwi. Teściowej, tej Dilys... z całą pewnością coś dolega”.

Francis był nie w sosie przez cały weekend. Nie okazał się zbyt troskliwym ojcem, kiedy John prosił go o radę dotyczącą strategii jakiejś planowanej przez niego kampanii Stowarzyszenia Ekologicznego, ani też szczególnie uszczęśliwionym dziadkiem. Prawdę mówiąc, kiedy przyjechali i zaczęli się wysypywać z obszernego kombi, wołając: „Niespodzianka, niespodzianka”, zrobił wyraźnie kwaśną minę, która nie zniknęła z jego twarzy do końca weekendu. Odmówił przyjęcia od Petry zdrowych czekoladek, nie spróbował jej fasolowej potrawy i bardzo ostentacyjnie nalał sobie dużą szklaneczkę szkockiej, podczas gdy my popijaliśmy gruszkowy cydr z naklejką ich sklepu na butelce.

– Myślałem, że mieliśmy cieszyć się tym miejscem i wolnym czasem we dwoje – wysyczał mi później w łóżku.

– Nie bądź taki samolubny – strofowałam go ostro, jak tylko hipokryta potrafi. – I nie zapominaj, jakie tu są cienkie ściany.

Podziałało. Z nimi wszystkimi – dziećmi upchanymi w pokoju gościnnym oraz Petrą i Johnem w saloniku na dole – oczywiście o żadnych igraszkach nie mogło być mowy. Skoro słyszeliśmy każdy głębszy oddech i chrapnięcie, i kasznięcie małych zza ściany, to nie muszę mówić, że nadużycie przez nas sprężyn łóżka obudziłoby cały dom. I nici ze wspólnych kąpeli. Podjęliśmy na nowo nasze role długoletnich małżonków i skończyły się sugestywne pocałunki. Tak więc spaliśmy. Co mnie zresztą było koniecznie potrzebne. A potem, kiedy już sobie pogratulowałam pomysowości, katastrofa.

Zdawało mi się, że Francis jest odrobinę zbyt dociekliwy, kiedy dokładnie wypytywał w sobotni wieczór Johna i Petrę, czy muszą być w domu w niedzielę wieczorem; gdy powiedzieli, że owszem, uśmiechnął się. Wkrótce dowiedziałam się dlaczego. W niedzielę, podczas gdy Petra i ja wyciągałyśmy dzieci z łóżek i je ubierałyśmy, Francis rozmawiał przez telefon. Po tej rozmowie wyglądał na niepokojąco zadowolonego z siebie.

– Julia bierze dzień wolnego – oznajmił. – Wobec czego pojedę do domu w poniedziałek wieczorem. Mam trochę papierów ze sobą i mogę popracować tutaj.

Pomyślałam sobie, że ten, kto wymyślił teczki na akta, zasługuje na rozstrzelanie. To, co myślałam dalej, w ogóle nie nadaje się do powtórzenia.

Próbowałam wyglądać na zachwyconą, ale czułam się, jakby ktoś oblał mnie zimną wodą prosto z węża. I coraz bardziej odczuwałam dolegliwości w dole brzucha. Kiedy udało mi się w końcu schować w kącie ogrodu i zadzwonić do Matthew, usłyszałam głos automatycznej sekretarki. Sekretarki? Przecież to był niedzielny ranek. Gdzie on się podziewał? Może nie wrócił

na noc do domu? Co oznaczało, że prócz obawy, iż może się tu pojawić z wesolutkim pogwizdywaniem, zrzucić odzienie natychmiast po przejściu przez próg i nadzieć się na Francisca wpatrującego się w jego osobiste wyposażenie, trapić mnie będzie jeszcze zazdrość – ten okropny potwór zielonooki. Natychmiast przypomniała mi się rozmowa, którą odbyliśmy w motelu w Oxfordshire. Może przestałam być kimś wyjątkowym. Nadal przecież od czasu do czasu widywał Jacqueline. Człowiek zawsze wybiera najgorszy scenariusz. Widziałam siebie porzuconą i w ciąży, podczas gdy on odchodził ku zachodzącemu słońcu z kimś nowym. Zostawiłam mu wiadomość.

„Gdzie się, do diabła, podziewasz? Francis zostaje na jeszcze jedną noc. Powtarzam. Francis zostaje na jeszcze jedną noc. Przyjedź we wtorek. Spróbuję zadzwonić do ciebie jutro. Mam nadzieję, że zachowujesz się przyzwoicie... „

Zupełnie nie oddawało to tego, co czułam. W takiej chwili mogłabym Francisca uśmiercić. Naprawdę ukatrupić. Był cholerną zawadą.

Och, jakaż byłam nieszczęśliwa. Zbolała. Gdzie się podziewa mój ukochany? Dlaczego nie czeka przykuty do telefonu? Dlaczego nie ma komórki jak wszyscy inni? Kochankom, szczególnie zaś potajemnym kochankom, komórki są wręcz niezbędne. Podejrzewam, że połowa będących w użyciu komórek należy do niegodziwych kochanków. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Matthew może mieć swoje oddzielne życie, że może funkcjonować zupełnie normalnie beze mnie. To ja musiałam mieć to drugie życie, ale on nie. Uświadomiłam sobie, że oczekuję od niego, iż będzie nieustannie siedział w swoim mieszkaniu, czekając, aż zadzwonię albo przyjadę, i poza tym nie będzie miał innego życia. A kiedy tak stałam w ogrodzie, dzwony wioskowego kościoła biciem wzywały uczciwych parafian do porannej modlitwy.

Kiedy natomiast wróciłam do domu, niepokój i wściekłość musiały malować się na mojej twarzy.

– Co się dzieje? – spytał bowiem mój mąż, teraz siedzący z promiennym obliczem w otoczeniu rodziny.

Przeniosłam wzrok z niego na Johna i Petrę, by stwierdzić, że cała trójka spogląda na mnie pytająco.

– Głowa mnie boli – wykrztusiłam. Petra i Francis wymienili spojrzenia.

Mówiły one jedno: „Patrzcie, staruszce znowu odbija szajba... „

– Chodź tutaj – odezwała się Petra – wymasuję ci stopy.

– Przecież nie bolą mnie żadne cholerne stopy – warknęłam.

Wytrzeszczyła na mnie swoje ogromne, ekologiczne oczy.

– Wiem – powiedziała łagodnie – ale Chińczycy znają te wszystkie punkty, na które należy naciskać. To pomoże. Każdy fragment stopy reprezentuje jakąś część ciała i dyskomfort odczuwany w stopie może nas poinformować, którą częścią ciała powinniśmy się zająć.

– No spróbuj – zachęcał John. – U mnie to się sprawdza.

– Wiecie co – powiedziałam – pójdę na górę i wezmę kąpiel, a potem możemy to

wypróbować.

I poszłam. Irracjonalnie wściekła na nich wszystkich. Szczególnie zaś na mojego kochającego, troskliwego, uważającego, istniejącego męża. Idąc na górę, pomyślałam – przez jedną chwilę – że chyba mogłabym zrozumieć te bohaterki książek Agathy Christie. Bo sama bym chętnie kogoś wykończyła.

Kiedy się rozebrałam do kąpieli, roześmiałam się z jakąś cierpką ulgą. No, no – w ciąży nie byłam, to pewnie. I żadnego bzykania dzisiejszej nocy. Poweselałam. Taka niktzemna i pokrętna się stałam: Zeszłam potem na dół, w szlafroku, cała w uśmiechach.

– Nie ma potrzeby zajmować się stopami – poinformowałam Petrę i wyjaśniłam dlaczego.

Potem, pochwywszy pytający wzrok Francisa, uśmiechnęłam się, skinęłam głową i powiedziałam bezgłośnie: „Mam okres”.

Wykrzywił się, jakbym podała mu truciznę.

Petra, choć sama jest wegetarianką, dzięki Bogu przygotowywała na lunch pieczeń jagnięcą. Kiedy się do tego zabrała, my całą resztą poszliśmy na spacer wzdłuż plaży. A ja jakoś się pozbierałam. Trzymałam Francisa za rękę, z nadzieją, że Matthew nie tkwi z lornetką gdzieś na występie skalnym. W każdym razie byłam w pełni przygotowana na to, że nie odebrał wiadomości ode mnie i pojawi się wieczorem, żeby roztrzaskać mój świat w drobny mak. Kiedy wróciliśmy ze spaceru, przestawiłam auto Francisa z ocienionego podjazdu na drogę, gdzie było znacznie lepiej widoczne. Przynajmniej, jeśli rzeczywiście przyjedzie, zobaczy je i zorientuje się, w czym rzecz. Francis, co rozumiałe, był zaskoczony moim kolejnym dziwactwem, dopóki, korzystając ze swojego nastawionego na oszustwo mózgu, nie poinformowałam go, że miejsce to będzie rano potrzebne ogrodnikowi. Przyjął to wyjaśnienie. Naturalnie będę musiała wymyślić coś innego, kiedy żaden ogrodnik się nie pojawi. Chyba że przyjedzie Matthew... przecież to on mógłby być ogrodnikiem. Czy należy się dziwić, że Francis podejrzewał, że mi odbija? Gdyby tak znał moje myśli. Ja je znałam.

Pochłonęliśmy wszyscy przygotowany przez Petrę lunch i po kieliszku czy dwóch dobrego wina byłam już w stanie razem z pozostałymi śmiać się ze zgrzybiałego lubieżnika Hope’a i jego kolekcji zdjęć niegrzecznych golasek. I z radością przytulać wnuczki. Jeśli nie podejmę rozsądnej decyzji, to pewnego dnia te proste przyjemności zostaną mi zabrane.

Francis wyjechał w poniedziałek, w porze podwieczorku. Przed odjazdem zwrócił się do mnie jak do męczącego dzieciaka:

– Proszę, nie zapraszaj już nikogo. Lat nam przecież nie ubywa i zasługujemy na trochę odpoczynku.

– Przepraszam – powiedziałam potulnie.

– A przy okazji, rozmawiałem z Virginią. Chce tu przyjechać.

O mało nie zemdlałam.

– Nie! – wykrzyknęłam, z potulnej zamieniając się w rozwścieczoną. – Nie, nie i nie...

– W porządku – uspokajał mnie ze śmiechem. – Powiedziałem jej, że jesteśmy oboje nieco

zestresowani i że to miejsce jest naszą małą kryjówką.

- Świetnie – ucieszyłam się.
- I tak ma zostać? . Skinęłam głową.
- Więc żadnych gości?

Miałam dziwne uczucie, że się ze mną bawi.

Kiedy byliśmy przy samochodzie, zobaczyliśmy, że ścieżką nadchodzi ku nam córka Hope'a w towarzystwie smutnookiego beagle'a.

- Teraz już wiesz, o co mi chodzi? – wyszeptalam. – Ładna mi kryjówka.

Zatrzymała się przy naszej furcie.

- Och, pan odjeżdża – skostatowała.

– Jak widać – odparł Francis uprzejmie. – Udaje mi się tu spędzać jedynie weekendy.

– Więc pani jest sama? – Patrzyła na mnie. – Proszę przyjść do nas na drinka któregoś wieczoru.

- No właśnie – oznajmił Francis, spoglądając na mnie niewinnie. – Dilys, czemu by nie?

Zdecydowanie wyczuwało się brzmiące w jego słowach zadowolenie z udanego trafienia.

– Wiesz, mój drogi, że nie mogę – powiedziałam słodziutko. – Przez całutki tydzień ćwiczę jogę. Tak jak mi przykazała Petra.

- A tak. – Pokiwał z powagą głową i przekreślił rozrusznik.

– Znaczy się, że ostatecznie to szewskie kopyto jest niepotrzebne – zauważyła córka Hope'a.

- Do widzenia – pożegnałam ją.

Francis spoglądał to na mnie, to na nią, wyraźnie nie mogąc się doszukać w tym wszystkim logiki.

- Do widzenia – powtórzyłam bardziej zdecydowanie. Odeszła.

– Spotkałam ją w muzeum – wyjaśniłam.

– Aha. – Wydawało się, że odetchnął z ulgą. Ale kiedy miał już odjeżdżać, wychylił się przez okno i powiedział: – Jeszcze jedno. Pod żadnym pozorem nie pozwól temu staremu farmerowi zbliżyć się do domku...

Biedny farmer Hope. Jego nazwisko na zawsze już zostało splamione.

Kiedy przyjechał Matthew, zapomniałam zupełnie o subtelnej sztuce uwodzenia oraz o tym, że pytania należy zadawać dopiero potem.

- Gdzie byłeś?
- Kiedy?
- W niedziele rano.

Zamilkł i rozglądał się wokół, jakby się zastanawiał. Moja zazdrość podpowiadała mi, że mam do czynienia z fantastycznym wprost pokazem sztuki aktorskiej.

- Byłem w kinie.
- Co, o dziesiątej rano?
- W Centrum Sztuki jest przegląd filmów Hitchcocka. Cztery seanse dziennie.

– Z kim?

Robił wrażenie zdziwionego.

– No cóż, jak zawsze z typkami podejrzanymi o zbrodnie...

– Pytam, z kim poszedłeś?

– Z kolegami. – Po czym dodał z jadowitym sarkazmem: – Może chciałabyś ich kiedyś poznać?

Rozplakałam się. Szlochałam i lkałam, i tak histeryzowałam, że on nagle zaczął się bardzo martwić... nie wiedział, co ze mną zrobić. To była reakcja. Reakcja na wszystko. I te słodziutkie, małe hormonki. Niemniej wystraszył się.

– To się musi skończyć – oświadczył.

Myślałam, że przestał mnie kochać. Podejrzywałam, że film Hitchcocka to pierwsza randka z kimś nowym. Co z oczu, to z serca, tak myślałam. W myślach zapakowałam ich nawet razem do łóżka, i nie było sensu, żebym mu to wszystko wykrzyczała i pytała, czy to prawda, ponieważ bez trudu mógł mnie okłamać. W końcu ja kłamałam. Przez cały czas.

A potem oznajmił:

– Kocham cię. – I powtórzył: – To się musi skończyć.

– Kocham cię – powiedziałam – i wiem, że musi. Przebywanie razem z dala od miasta nie sprawdziło się.

Stało się jeszcze bardziej oczywiste, że nie ma dla nas kryjówki. Nigdzie nie mogliśmy zachowywać się normalnie. Dlatego musiało się to skończyć. To szaleństwo, ten stres, to nieustanne oszukiwanie tylu ludzi nie mogło trwać dłużej.

– Pieprzyłaś się z nim w ten weekend, prawda? Przeżywszy tę chwilę lęku, że go stracę, uświadomiłam sobie, że on cierpi takie same męki jak ja.

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą. Na co on oznajmił:

– No cóż, to będziesz. Na co ja:

– Gdybyś tylko nadal używał telefonu komórkowego. Na co on:

– Przecież nie z zasiłku. Na co ja:

– Kupię ci – jakby to załatwiało wszystkie problemy.

– To przecież niczego nie rozwiąże – stwierdził. Nazajutrz zawarliśmy pakt. Potraktujemy resztę tego czasu jako okres zawieszenia. Żadnych trudnych pytań, żadnego ultimatum ani boczienia się. Żadnej też zazdrości. Będziemy się cieszyć tym, co mamy, tu i teraz. Zostały nam jeszcze trzy tygodnie. A ja mu przyrzekłam, że ten właściwy moment przyjdzie, kiedy wrócę do Londynu.

Przyzwyczailiśmy się z Francisem do tej rozsądnej, weekendowej rutyny i gdyby on sam nie był taką przykrą niedogodnością w moim życiu, to być może czerpałabym przyjemność ze spokoju, jaki wносиła jego obecność. Trzydziestoletnia przyjaźń sięga głęboko, a i sama tamtejsza okolica łączyła się z wieloma wspomnieniami. Wszystko to jednak skażone było strachem przed zdemaskowaniem... oraz niecierpliwą rozpaczą, jaką odczuwałam za każdym razem, zanim

nadszedł niedzielny wieczór. Niesmak wywołany informacją o kolekcji niezwyklej golasek powstrzymywał Francisca od wszelkich kontaktów – poza najbardziej oficjalną i chłodną wymianą pozdrowień – z farmerem Hope'em i jego rodziną, dzięki czemu ewentualne zagrożenie z tamtej strony oddaliło się. Zresztą z Matthew i tak bardzo niewiele spacerowaliśmy po najbliższej okolicy i nigdy już nie odwiedzaliśmy najbliższych wiosek ani miasteczek, ani nie trzymaliśmy się za ręce w promieniu dziesięciu mil od domku. Na szczęście pogoda była na tyle łaskawa, że pozwalała nam spędzać mnóstwo czasu na różnych plażach, a tego miejscowi nie mieli zwyczaju robić w ciągu tygodnia. Jeździliśmy do Lyme albo na wschód od Abbotsbury, do Weymouth i Poole, gdzie nietrudno było pozostać anonimowym. A kiedy chcieliśmy pospacerować w głębi łądu, zawsze mogliśmy wejść na Maiden Castle albo powędrować ciągnącą się skalnym urwiskiem ścieżką.

Wieczorami mogliśmy korzystać z intymności, jakiej dostarcza ogród, pod warunkiem że mówiliśmy cicho; w domku zasłony na oknach trzymałam zawsze zaciągnięte. Matthew parkował samochód na jednej z drózek ćwierć mili dalej, tak że nie było żadnego bezpośredniego znaku świadczącego o jego obecności. Jestem przekonana, że wszyscy o nim wiedzieli, ale nikt nic nie mówił, ponieważ ja nie spoufalałam się z nikim. To była ta najdziwniejsza zmiana ze wszystkich – ja, która zawsze się zatrzymywałam, żeby pogawędzić, i zawsze miałam dla wszystkich uśmiech, całkiem nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stałam się nieczuła i obojętna na świat. Ludzie nie byli mi potrzebni. To wszystko. Z Matthew czułam się doskonale spełniona i uśmiechy czy słowa innych były zbędne. Na pewno najbezpieczniej było trzymać się z dala od ludzi, zresztą nie byli mi oni do niczego potrzebni. Odgradziłam się od świata i bardzo mi ta sytuacja odpowiadała.

Niestety, Francis nie tylko zauważył, jak moje ciało nabiera coraz bardziej brązowego koloru, ale jeszcze mu się ono bardzo podobało, szczególnie zaś z rozrzuconymi rękoma i nogami na tle białej pościeli. Ostatecznie w pełni mu się poddałam. Nie miałam już ochoty wysilać mózgu na coś, co tak niewiele znaczyło. Kiedy tylko się dało, okłamywałam Matthew; kiedy było to niemożliwe, tłumaczyłam się okolicznościami pozostającymi poza moją kontrolą.

– Obiecałeś – mówiłam do niego – że pozwolisz, byśmy spędzili ten czas bez stawiania warunków... – Z czym, nawet jeśli niechętnie, przynajmniej się jakoś pogodził.

Francisa radowała moja pogłębiająca się opalenizna, którą uważał za oznakę tak wyczekiwanego odprężenia i – zapewne – powrotu jego wspaniałej małżonki. Śmiał się i oznajmił, że sądząc po kolorze mojej skóry, nie przyłożyłam się jeszcze do żadnego solidniejszego zadania. Owszem, przyłożyłam się, pomyślałam ze sporą dozą okrucieństwa.

Jeśli kiedyś krążyła mi po głowie niejasna myśl, że te kilka tygodni osłabi moją miłość do Matthew – a sądzę, że pewnie krążyła – to rzeczywistość okazała się całkowicie odmienna, one ją tylko pogłębiły. Powiedziałam mu to w ostatni weekend. Nigdy wcześniej nie byłam tak szczęśliwa, jak podczas tych czterech tygodni, nigdy też nie czułam się tak nadzwyczajnie pełna życia i taka młoda. Co było jednocześnie i złe, i dobre. Dla nas obojga. A przecież nie

potrafiłabym powiedzieć, o czym rozmawialiśmy, czym wypełnialiśmy czas, co robiliśmy i o czym myśleliśmy. Po prostu byliśmy nieustannie razem. Niezależnie od tego, czym może być chemia albo też tajemnica miłości, my ją odkryliśmy.

– A jak to jest z tobą? – spytałam. – Czy wyleczyłeś się ze mnie? – Zadawałam to pytanie z pozycji osoby pewnej swego. Wiedziałam, że tak nie jest. A to oznaczało, że ta bomba nadal pozostawała nie rozbrojona i nadal będzie grozić wybuchem, kiedy już skończy się ten ostatni weekend.

Gdy byłam z Matthew, moja odwaga była nieskończona. A skoro tak jest, to tak musi zostać. Tego ostatniego wieczoru poszliśmy nawet na spacer pod górę, stokiem wzgórza za Carey House, i stamtąd spoglądaliśmy na wioskę i pomachaliśmy w kierunku siedziby Hope'ów, choć córki Hope'a w ogrodzie nie było. Zresztą, nawet gdyby była, nie miałoby to większego znaczenia. Mogła wrzeszczeć o nas ze wszystkich dachów, jeśli miała taką ochotę. To już teraz nie miało znaczenia.

Naszego ostatniego ranka dałam mu te śmieszne kieliszki do jajek.

Śmiał się, kiedy je pakował.

– Pamiątki – żartował.

– Symbole – poprawiłam go. – Umieść je w bezpiecznym miejscu.

Ponieważ to ja je kupiłam, wyobrażałam sobie, że nawet jeśli Francis może mnie mieć, dotykać, to nigdy nie będzie miał ani dotykał tych zabawnych, porcelanowych drobiazgów, a więc tak w pełni nie będzie miał i mnie.

Matthew, usłyszawszy to wyjaśnienie, pokręcił głową.

– Kobięca logika – podsumował. – Nie będzie cię miał jedynie wtedy, maleńka, kiedy odejdiesz.

Jak by to ujął Vonnegut: Zdarza się...

BRAKUJE JEDNEJ Z NASZYCH SĘDZIWYCH CIOTEK

Obserwowałam moją bledną opaleniznę, jakby to był jakiś talizman. Kiedy zniknie do końca, mówiłam sobie, znów będę szczęśliwa. A jeśli nie szczęśliwa, to przynajmniej zadowolona. A jeśli nie szczęśliwa i nie zadowolona, to przynajmniej spokojna i pogodzona. Bo zajdą zmiany, pojawią się odpowiedzi.

Był początek sierpnia i nic się jeszcze nie wydarzyło. Granica między opalenizną i jej brakiem była nadal całkiem wyraźna. Skóra świeciła ostrą bielą wszędzie tam, gdzie wcześniej okrywało ją moje bikini. Ze względu na Francisa, starałam się teraz dokładnie okrywać ciało. Częściowo, jak sądzę, dlatego, że Dorset wydawało się tak nierealne – istna kraina marzeń – i to, że uprawiałam tam seks z Francisem, praktycznie nie miało znaczenia; tu, w Londynie, była rzeczywistość i tutaj nie potrafiłam znieść jego dotyku. Odbierałam to tak, jakby mówił: „To moja własność: znów muszę ją oznaczyć swoim zapachem... i to szybko”. Zupełnie jakbym ja sama nie miała nic do powiedzenia. Chyba widzi, co czuje? – myślałam. Chyba potrafi odczytać moje myśli i wie, że zaczęłam go nienawidzić?

Zdaniem Francisa ten miesiąc na wsi był „wielkim skokiem” w naszym małżeństwie. Miało to wynikać z mojego zachowania przykładowej żony: wspólnych kąpieli w jednej wannie, od czasu do czasu, kochania się, od czasu do czasu, raz nawet na porośniętym kukurydzą polu. To ostatnie przypominało mu początki naszego małżeństwa i oznaczało dodatkowe punkty. Ale ja nie pamiętałam. I było mi to obojętne. Co nie było zresztą trudne. Tak właśnie mówią szanowane i kompetentne prostytutki. To łatwe. Po prostu robię swoje. Ja potrafiłam się do niego uśmiechać, a on nawet się nie domyślał, że przez cały czas jestem zupełnie gdzie indziej. Dla mnie było to równie nieistotne jak nasze gry w scrabble czy piwo wspólnie wypite w pubie.

Francis był jednak zachwycony. Opowiadał o tak zwanej idylli na uroczystych kolacjach w gronie obcych ludzi, na pewno mówił o tym swojej sekretarce oraz ludziom, z którymi miał na co dzień do czynienia. Umyślnie i zupełnie dla siebie nietypowo zachowywał się jak męski szowinista, prowokując mnie do okrzyków protestu. „Jeśli chcecie podładować akumulatory, wynajmijcie sobie na miesiąc domek na wsi i zakotwiczcie tam żonę. W naszym przypadku to się sprawdziło... „ Po czym nachylał się ku mnie, by ucisnąć moją rękę albo pogłaskać kolano, żeby tylko słuchający nie mieli wątpliwości, o czym mówi. Dla mnie było to obrzydliwe.

Dom stał się parodią domu, a bliscy jedynie drażnili. Wszyscy za bardzo chcieli, żebym była matką, babcią, teściową, podczas gdy ja chciałam być jedynie tą niemal dzieckiem, którą tak niespodziewanie uczyniła mnie miłość. Argumentując rzecz koniecznością zmiany scenerii – co dość Francisa zaskoczyło, jako że przebywałam w Londynie niewiele ponad tydzień –

pojechałam na kilka dni do Julii. Przynajmniej po niej mogłam się spodziewać, że nie będzie ze mną rozmawiać, ściskając jednocześnie jeden z moich cyczków. Albo oba. Czułam się pogiębiona przez własne ciało. Byłam niewyobrażalnie nieszczęśliwa i całe moje ciało cierpiało męki; zdawało mi się, że każdy jego fragment jest pod stałą obserwacją, pozbawiony wszelkiej prywatności. Obnażono mnie, otwarto. Teraz zaś chciałam się ponownie zamknąć. A Francis mi na to nie pozwalał. Nie, żeby stosował jakikolwiek nacisk. Chodziło raczej o to, czego nie robił, o jego milczące życzenia i o moją milczącą odmowę. Niewątpliwie wiele małżeństw trwa jakoś, albo nawet nieźle prosperuje, w podobnych okolicznościach; ja i bez tego miałam nieczyste sumienie, więc ta sytuacja pogarszała jeszcze moje samopoczucie. Zwrot „szczęśliwa emerytura” brzęczał bez ustanku w moim mózgu; Francis czekał niecierpliwie na szczęśliwą emeryturę, gdy tymczasem ja, dość niespodziewanie, miałam wrażenie, jakbym się dopiero urodziła. Wyjazd był najlepszym rozwiązaniem. Julia i to cholerne Hove pomogą mi przypomnieć sobie, że przecież kobietę może spotkać gorszy los niż miłość męża, której nie potrafi odwzajemnić. I miłość kochanka, którą odwzajemnia z nawiązką. Julia, podobnie jak wszyscy inni, nie omieszkała napomknąć, że młodo wyglądam. I zdrowo. Ona – lojalna siostra – kładła to na karb mądrości Francisca. Nie był dość mądry, pomyślałam, kiedy leżałam ukryta wśród wydm nieopodal plaży Hove, pieprząc się z kochankiem. Nikt nie był teraz dość mądry, żeby mnie przechytrzyć. „Idę na długi spacer, żeby napawać się zachodem słońca, Julio”. A tam już czekał Matthew; stał przy kikutach pali starego falochronu, na pół skryty w ich cieniu. Ostatecznie z Londynu do Hove to krótka przejażdżka samochodem. Te kilka dni zamieniło się w tydzień. Francis z niecierpliwością oczekiwał mojego powrotu. Julię cieszyła moja obecność. Tymczasem, pewnego wieczoru, kiedy raczyliśmy się piwem w niezbyt zresztą sympatycznym pubie, Matthew powiedział coś, co zabrzmiało dziwnie konwencjonalnie i po domowemu.

– W przyszłym tygodniu trzeba zapłacić podatek drogowy – oświadczył.

– Tak?

– Auto musi przejść przegląd.

Rozmowa o samochodach była zupełnie nie w jego stylu, czego jednak się nie robi, żeby zadowolić ukochanego.

– A ile ma lat?

– Trzydzieści.

– Czas na wymianę?

Obdarzył mnie spojrzeniem, które w przybliżeniu mogło oznaczać: „I co ja mam z tobą zrobić... „

– Będę się musiał go pozbyć.

– Jak to?

– Chodzi o to, że na przeglądzie wyjdzie mnóstwo rzeczy, które należy zreperować... To będzie kosztowne.

– Spróbuj w naszym warsztacie... może być taniej... – Nadal bujałam w obłokach. – Nie

możesz się go pozbyć. Jak byśmy się spotykali?

Popatrzył na mnie, pokręcił lekko głową.

– Utrzymywanie samochodu nie całkiem mieści się w zasiłku – oznajmił. – Myślę, że przyszedł czas na jakąś posadę. I to akurat teraz, kiedy tak się wciągnąłem w ten nadawany w południe serial.

Niepotrzebna mi była kryształowa kula, żeby zauważyć, że wkrótce nie będzie już czasu na odwlekanie.

– Rozumiem – powiedziałam.

Francis groził, na wpół żartobliwie, że po mnie przyjedzie. Wnuczki przysyłały karteczki z wymalowanym jaskrawymi kredkami tekstem: „Gdzie jesteś, Babciu?”

Zgodziłam się zatem wrócić do Londynu.

Matthew tymczasem pozbył się auta i na nasze ostatnie spotkanie na plaży przyjechał, co zrobiło na mnie wrażenie, pociągiem. Nie mogłam go odwieźć, bo przyjeżdżała moja rodzina, żeby spędzić tu następny dzień. Zawiozłam go więc tylko na stację, w środku nocy, żeby mógł złapać ostatnie połączenie do Londynu. Ciepła noc, rozgwieżdżone niebo. Dworzec cichy, niemal widmowy, jeden zaledwie wyrostek wyczekujący na odległej ławce, nieszkodliwy, bo samotny. Nie było żadnego dworcowego bufetu, nic z tych rzeczy, ale znów ogarnęła mnie atmosfera *Spotkania*. A kiedy pociąg wjechał na peron i Matthew do niego wsiadł, i zamknęły się za nim drzwi, wydało mi się to wszystko takie ostateczne, jakby on rzeczywiście udawał się do jakiegoś odległego zakątka Imperium, a ja miałam go już nigdy nie zobaczyć. Kiedy zaś pociąg ruszył, on był szczerze zaskoczony widokiem łez w moich oczach i posyłał mi zza szyby jakieś bezradne spojrzenia, dopóki nie zniknął w oddali. Zadzwoiłam do niego i zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce tylko po to, żeby mu powiedzieć, że nie ma się martwić. Że ja po prostu tak bardzo go kocham.

Kiedy kilka dni później wróciłam do Londynu, natychmiast udałam się do sklepu i kupiłam mu telefon komórkowy. Brał go ode mnie z wahaniem, ja jednak wcisnęłam mu go mocno do ręki.

– To dla mnie – oświadczyłam. – Muszę wiedzieć, że go masz.

– Może jeszcze bardziej, niż myślisz – oznajmił, jak na mój gust nieco za ponuro.

Bo tymczasem zaproponowano mu posadę. – Od kiedy?

– Od początku listopada.

– Gdzie?

– Sheffield.

– Sheffie? Pojedziesz?

– A ty?

– Myślałam, że taka sytuacja ci odpowiada – oświadczyłam bezradnie.

– Wkrótce minie dziewięć miesięcy od mojego wyjazdu z Sheldon. Czas, żeby znów zmierzyć się z rzeczywistością.

Świetnie to rozumiałam. Matthew nie zamierzał stawiać mi pustego ultimatum... jego ultimatum musiało być wypełnione po brzegi.

Byliśmy w Kew, nieopodal rzeki. W letni dzień niebezpieczny to teren; tak blisko domu. Zmęczyło mnie już jednak ciągle powtarzanie: „Lepiej nie...” jakby był niegrzecznym dzieckiem. W każdym razie mieliśmy sierpień i znad rzeki wiał lekki, orzeźwiający wiaterek – całkowite przeciwieństwo warunków klimatycznych Paddington Green. Scena jak ze współczesnego Seurata. Ludzie pchali wózki spacerowe, jedli lody, żaglówki i skiffy przepływały z pluskiem tuż obok nas i wszędzie wokół słychać było pstrykanie japońskich aparatów fotograficznych. Po prostu bardzo zwyczajnie. Normalność, której łaknęłam.

Mniej więcej w tym czasie przeczytałam o pewnej młodej Żydówce, którą podczas wojny wysłano na odległe gospodarstwo w Niemczech i dano całkowicie nową tożsamość. Powiedziano jej, że ma zapomnieć o swojej przeszłości i żyć i oddychać tą nową aryjską osobowością – ma nawet śnić po aryjsku. Przez długi czas jej się to udawało, włącznie ze snami, pewnego dnia jednak wsiadła na rower i pojechała jak najdalej, na pola rozciągające się aż po horyzont, gdzie nie było żywej duszy, i tam dopiero zaczęła wrzeszczeć ze wszystkich sił: „Mam na imię Elsa, mam na imię Elsa...” Krzyczała tak i krzyczała, nim ponownie wróciła do kłamstwa... Przypomniało mi się to z całą ostrością, kiedy patrzyłam, jak wszyscy wokół nas wiodą takie zwyczajne życie. Tkwić w oszustwie jak w pułapce – nawet jeśli oszustwo nie wynika z zagrożenia życia – to ciężkie brzemię. I to ja je dźwigałam, wyłącznie ja, niezależnie od tego, czy Matthew to zauważał czy nie. Sądząc po dalszych jego słowach, nie brał tego w ogóle pod uwagę. Nie dość mu było zaproponować mi wyjazd do Sheffield, musiał jeszcze zacząć roztaczać przede mną wspaniałe perspektywy z tym związane.

Pomimo bliskości rzeki oraz lekkiej bryzy tego konkretnego sierpniowego dnia powietrze było ciepłe, wilgotne i ciężkie, teraz jeszcze zawisło w nim coś złowróżbnego. Pojedziesz? A jakże. Też coś. Nie czekał na odpowiedź; po prostu zatrzymał się, zwrócił ku mnie twarz i oznajmił:

– Zanim podejmę tę pracę, chcę zrobić coś jeszcze... chcę, żebyśmy my zrobili coś jeszcze. Teraz, kiedy już mogę sobie pozwolić na naruszenie oszczędności.

Oszczędności. Cóż to takiego te oszczędności? Brzmiało to tak niewinnie. Zupełnie jakbym patrzyła na chłopczyka ze skarbonką.

Przez chwilę wyglądał na zażenowanego.

– Mogłabyś naruszyć swoje i pojechać ze mną?

– Dokąd?

– Wiesz dokąd. Do Indii.

O Boże. Moja twarz pozostała nieruchoma.

– Ty nigdy nie widziałas prawdziwych Indii... wiesz, jak bardzo pragnę tam wrócić. I to wrócić z tobą. Wrzesień to dobry miesiąc na taką podróż i gdybyśmy polecieeli przez Amsterdam, nie kosztowałoby to drogo. – Roześmiał się. – Nie rób takiej żałobnej miny – zadrwił, huśtając

moją ręką. – Już od dawna jesteś martwa.

Ta podeksycytowana część mojej osoby wpadła w zachwyty. Jasne, że chciałam jechać. Jasne, że bym pojechała. Powrót do egzotyki Indii, tym razem z nim. Natomiast ta racjonalna część pomyślała: Cóż, należą mu się wielkie dzięki – stokrotne dzięki – za ten pomysł, który mogę tak łatwo wprowadzić w życie. Już widziałam siebie, jak składam oświadczenie – może w którąś niedzielę podczas spaceru w parku Cannizaro: „Słuchajcie wszyscy... może jestem żoną i matką, ale spieprzam do Indii... na kilka tygodni... Och nie, z nikim, kogo znacie. W porządku? Aha, Francis... podejmuję też sporą sumę z naszego wspólnego konta, nie musisz mnie odprowadzać, pizza jest w zamrażarce... „

Jednak zamiast mu to wszystko wygarnąć, zachowałam się tak, jakbym chciała zdobyć złoty medal w miłości, nie tyle mądrej, ile gorącej, i oznajmiłam, że potrzebuję trochę czasu na przemyślenie – na opracowanie planu. Jaki ty jesteś sprytny, pomyślałam, patrząc na jego uśmiechniętą twarz. Mógł przecież powiedzieć: „Zostaw go, bo jeśli nie... „, mógł też powiedzieć: „Gdybyś naprawdę mnie kochała... „, a on tymczasem oferował mi prawdziwe radości – klejnoty, nie świecidełka, nieodparte możliwości. To nasza przyszłość i nie wolno mi jej odrzucać. Matthew znów się uśmiechnął, robił wrażenie uszczęśliwionego.

– Uwielbiam w tobie to – przemówił do nieba, drzew i w ogóle do świata – że jesteś taka na wszystko otwarta. Ja pytam: „Zrobimy to?” A ona odpowiada: „Tak”. I dopiero potem martwi się o ewentualne trudności.

Jakoś zdołałam się uśmiechnąć... chociaż w rzeczywistości miałam związane ręce, związane nogi i znów jechałam na szafot. Jeśli on uważał, że wywrócenie do góry nogami całych moich ostatnich trzydziestu, a nawet więcej lat to „ewentualne trudności”, to faktycznie byłam w tym wszystkim osamotniona. Cóż, powiedziałam kiedyś „tak”. I to „tak” traktowałam serio.

Matthew tymczasem zaczął mówić o szczepieniach ochronnych i o wizycie w ambasadzie Indii i porównywał Bombaj z Delhi, zupełnie jakbyśmy już jechali. Zamierzaliśmy uciec... tak, to właśnie zamierzaliśmy zrobić. Jezu, ciekawe, co by powiedzieli na to moi synowie? Czy dla mężczyzny po dwudziestce ucieczka matki z obcym facetem będzie szokiem?

Jednakże los to kapryśna zdzira. Kiedy Matthew emocjonował się perspektywą wyjazdu, z pomocą przyszła śmierć. Zmarła ciotka Cora. Ja wróciłam do domu oszołomiona indyjską bombą, a Francis już tam na mnie czekał.

– Nie sprawdzałaś, czy masz jakieś wiadomości – oświadczył. A potem powiedział, że dzwoniła moja pogrążona w rozpacz kuzynka.

Dobrze było znaleźć się w jego objęciach... miałam świadomość ulotności tak wielu spraw w moim życiu, a on teraz dawał mi poczucie czegoś solidnego. Miło też było, dla odmiany, poczuć go blisko siebie, ostatnio przecież robiłam, co mogłam, żeby odsunąć go jak najdalej.

– Nie zaszkodziłaby mi szklaneczka dżinu – oznajmiłam.

Francis założył, że to z powodu wiadomości o tej śmierci – gdy ja tymczasem żonglowałam myślami dotyczącymi pogrzebu, wiz, tabletek przeciw malarii, szczepień przeciw żółtaczce typu

B, zastanawiałam się, czy należy oddać nasze czarne ubrania do czyszczenia itd. – okazywał mi więc serdeczność i troskliwość. Co znów spowodowało, że poczułam się fatalnie.

Przykro mi było z powodu śmierci Cory, ale w ferworze romansu człowiek rzadko zaprzęta sobie głowę innymi sprawami, dlatego nie miałam się wystarczająco na baczności, kiedy rozmawiałam z kuzynką Lucy. Powiedziałam wszystko, co wypadało powiedzieć, i zgodziłam się, że serce może odmówić posłuszeństwa w każdej chwili i nikt nie ponosi za to winy – w końcu dobrze przeżyła swoje życie etc, etc. i nawet kiedy przyszedł koniec, miło spędzała czas. Brodziła sobie w morzu w Hunstanton, co było przecież urocze, aż nagle zasłabła i umarła.

– Można by sobie życzyć takiej śmierci – oświadczyłam, wygłaszając zresztą ten tekst w poczuciu bezpieczeństwa, jako że nigdy wcześniej nie czułam się tak pełna życia.

– Pewnie tak – zgodziła się Lucy.

W czasie tej całej pogawędki moje myśli krążyły wokół Indii i Matthew. Ponieważ Cora nigdy nie chorowała na serce, mieli przeprowadzić sekcję zwłok, co oznaczało, że pogrzeb się opóźni. A potem wybuchła bomba, która zmiotła z powierzchni ziemi Delhi, Agrę, Bombaj, no i pralnię chemiczną.

– Aha – powiedziała moja kuzynka – chcielibyśmy, żeby ciotka Eliza przyjechała na pogrzeb. Ona przecież mamę znała... nawet jeśli nie zawsze się ze sobą zgadzały. Ostatecznie były szwagierkami. Wypada więc...

– Tak – przyznałam, zapominając, w której jestem rzeczywistości. – Wiesz, gdzie ona mieszka?

Zapadła krótka chwila milczenia i poczułam, jak cień zakrywa słońce.

– Nie – odparła Lucy – ale wiem, że ty wiesz. Od Francisa. Proszę, dyktuj... mam w ręku ołówek...

Pamiętam dwie rzeczy. Pierwsza, to wrażenie, jakby z salonu wyszło nagle całe powietrze i zapanowała głucha cisza. Druga, to twarz Francisa, spoglądającego na mnie z kanapy po przeciwnej stronie pokoju: w jednej ręce szklaneczka whisky, w drugiej plik papierów. Co miałam robić? Powiedzieć Lucy, że to wszystko to jedna gigantyczna farsa? Że ciocia Liza w ogóle nie istnieje. Albo istnieje, prawdopodobnie, ale ja nie mam pojęcia, gdzie się podziewa? A może ona też przeniosła się na tamten świat? Pokrętna pani kłamstwa trwała jednak na posterunku.

– Posłuchaj – powiedziałam – ona jest już dość krucha i nie bardzo lubi spotykać się z ludźmi, więc może lepiej by było, gdybyś podała mi szczegóły, wszystko jej przekażę, a wtedy ona...

Lucy przerwała mi; było w tym wyraźne podobieństwo do zachowania obrażonej Virginii.

– Sugerujesz, że ona nie zechce ze mną rozmawiać?

– Ona nawet nie chce widzieć Francisa. Wiesz, jacy dziwacznymi bywają starsi ludzie.

– Francis mówi, że ona mieszka gdzieś w Paddington. To dość dziwne.

Lucy mieszkała w Bexley Heath, pewnie dlatego Paddington brzmiało dla niej obco i

egzotycznie.

– Aaa – wyjąkałam – przeprowadza się.

– Kiedy?

Widziałam, że Francis odłożył gazetę i popija whisky, słuchając z napiętą uwagą.

– Teraz – rzuciłam rozpaczliwie. – I nie dała mi nowego adresu. Ona jest bardzo dziwna, Lucy.

– Nie musisz mnie o tym przekonywać... naprawdę, w ubiegłym roku mama też robiła różne dziwne rzeczy... – Głos znów jej się załamał. – Przepraszam – powiedziała przez łzy.

– Słuchaj, nie przejmuj się cicią Lizą. Zdobędę dla ciebie ten nowy adres. Skoncentruj się teraz na sobie. To przecież taki wstrząs.

Pociągała nosem, ale się uspokoiła.

– Cóż, na razie nie możemy jej pochować. Frank wybiera się do miasta, więc jeśli nie będziemy mieli od ciebie wiadomości, to zajrzy pod jej stary adres, może w ten sposób uda się ją odszukać.

Poskramiając ogromną ochotę, żeby wrzaskiem powitać tę oczywistą przemianę mojej kuzynki z osoby przygniecionej brzemieniem bólu i żalu w kogoś bardzo przypominającego pannę Marple, oświadczyłam, że zrobię, co w mojej mocy. Żaden problem. Zwykła przysługa, jaką mogę wyświadczyć w tej chwili bolesti. I odłożyłam słuchawkę. Francis wciąż miał zaciekawioną minę. Wyciągnęłam ku niemu swoją szklaneczkę.

– Wypiję jeszcze jedną – oznajmiłam.

Biuro pana Merricka jak najbardziej odpowiadało wyobrażeniom o siedzibie prywatnego detektywa. Mieściło się na najwyższym piętrze budynku znajdującego się w tej gorszej części Chelsea, miało brudne okna, dwa biurka, oba przykryte papierami, drzwi z tabliczką informującą, że ten interes należy do pani i pana Merricków; po pani Merrick nie było widać najmniejszego śladu, za to kłębił się tam papierosowy dym. Samemu panu Merrickowi daleko było do Roberta Mitchuma w chandlerowskim stylu; był mężczyzną o dość rzadkiej, szpakowatej czuprynie, nosił okulary w brązowej oprawie, gruby, wielokolorowy sweter, z gatunku tych, jakie sprzedają na straganach niższej klasy targowisk, i miał szerniałe zęby.

Założył, że chce znaleźć swoją starą ciotkę, bo ta mogła mi coś zapisać w testamencie. Oburzenie – to, jakim pała człowiek tak pogrążony w grzechu, że wszystko go obraża – wezbrało we mnie, by opaść natychmiast, kiedy Matthew dotknął mojego ramienia. Przez calutką drogę do Imperium Merricka przypominał mi, że ten człowiek z pewnością zdążył już poznać wszystkie aspekty ludzkiej natury i że wrażliwość na pewno nie jest jego mocną stroną. Jest nią natomiast skuteczność.

Siedzieliśmy naprzeciw pana Merricka, podczas gdy on robił notatki. Przez brudne okno za jego plecami widać było dachy Chelsea, iglicę Św. Olafa oraz parę znajomych budynków, ale nic z tego nie wpływało na poprawę mojego nastroju. Miałam około tygodnia na odszukanie cici Lizy – a raczej miał ten bardzo nieprzyjemny typ z drugiej strony biurka; i pomimo zapewnień

Matthew, że jest on dobry w swoim fachu, odnalazł już bowiem wiele zagubionych dzieci i niesfornych rodziców, wątpliwości mnie nie opuszczały. Matthew nieźle się bawił tą całą historią z poszukiwaniem ciotki Lizy i zaproponował, że jeśli się nie znajdzie, to on może odegrać jej rolę.

– Widziałem *Ciotkę Charleya* – wyjaśnił. – Daj mi *pincenez* kapelusza z piórkiem, a będę wyglądał, jak trzeba.

To wcale nie było zabawne. Maleńka cząstka we mnie, być może ta, którą nazywamy fatalizmem, pomyślała, że, kto wie, może się to okazać konieczne.

Mógł sobie pozwolić na nonszalancję, skoro myślał o zamęcie, jaki mnie czeka, w kategoriach „ewentualnych trudności”, bo miał pewność, że prędzej czy później o wszystkim Francisowi powiem. Obecna sytuacja była jedynie krótką przygodą; bardziej zajmowała go piękna wizja podróży do Indii. A ja coraz więcej spraw odkładałam na później.

Jakby tego wszystkiego było mało, w związku z pogrzebem Francis oświadczył zniechęcająco:

– Cóż, kiedy to się skończy, pomyślimy może o wspólnych wakacjach? Miło byłoby spędzić kilka tygodni w Akwitani.

Przed czy po moim wypadzie do Radżasthanu, skarbie?

Absolutnie nie wierzyłam, że nasz detektyw odnajdzie ciotkę, co jedynie pokazuje, że już nigdy więcej nie powinnam sądzić po pozorach. Pan Merrick odnalazł ją w trzy dni. I dzięki Bogu, nie mieszkała na Księżycu, ale w Lichfield. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co jej powiem, kiedy się tam zjawię. Jak rodzina Dariusza zdam się całkowicie na jej łaskę. Zresztą może jest całkiem zdziwiona. Nie chciałam się przyznawać – nawet przed sobą samą – że taką miałam nadzieję.

Francis okazywał wielkie zainteresowanie, a ja starałam się w tej sprawie robić wrażenie pełnej nonszalancji.

– Pewnie zostanę tam na noc – powiedziałam, jak zwykle rozważając możliwość spędzenia całej nocy z Matthew. – Zadzwoń.

– Szkoda, że nie mogę jechać z tobą – stwierdził z żalem Francis. – Nigdy nie widziałem katedry w Lichfield. Są w niej te ewangelie z ósmego wieku.

– Cóż, może następnym razem – odparłam. Poczulałam, jak łzy napływają mi do oczu; łzy frustracji oczywiście, tyle że opacznie odczytane przez Francis'a. Popatrzył na mnie pytająco, potem podszedł i objął mnie, jakby chciał powiedzieć, że mu przykro, bo zapomniał, że to coś więcej niż tylko towarzyska wizyta. Współczująco uściśnął moje ramię. Rzecz w tym, że dzień wcześniej odwiedziłam przychodnię i ramię bolało mnie po szczepieniu. Wrzasnęłam z bólu i skoczyłam jakiś metr w górę...

– Dilys, na miłość boską... co się z tobą dzieje?

– Pszczoła mnie użądliła – odparłam.

Pokrętna pani kłamstwa, pomyślałam, musi już być bardzo zmęczona. Łatwowierność Francis'a też miała swoje granice.

– Użądliła ją pszczoła – mamrotał pod nosem, idąc do łazienki, żeby wziąć kąpiel. Samotnie.

ŁOWY NA CIOTKĘ

Matthew zostawiłam w mieście. Był całkiem zadowolony, że może pospacerować, rozejrzeć się, a potem zamówić w naszym hotelu stół na ósmą. Żebyśmy mieli jeszcze trochę czasu na małe barabara przed kolacją. Powiedziałam mu, że nie wiem, czy po tym, co mnie czeka, będę w nastroju do barabara, na co odparł, że na pewno będę, bo zawsze jestem.

– Zresztą, teraz już nieprędko zatrzymamy się w takim wytwornym miejscu – powiedział. – Wykorzystajmy więc w pełni tę okazję.

Pocałowaliśmy się na pożegnanie, a ja poprosiłam go jeszcze, żeby zapalił w mojej intencji świeczkę w katedrze.

Budynek, w którym mieszkała ciocia Liza, był własnością prywatną, w żadnym razie nie komunalną, z czym koniecznie musiała mnie zapoznać jeszcze przed powitalnym cmoknięciem. Stał na skraju miasta, otoczony smętnymi sklepikami i ponurymi domostwami, odległy od tej wspaniałej katedry, dźwięku jej dzwonów oraz uroków pokrytego patyną czasu katedralnego dziedzińca. Byłam rozczarowana. Wyobrażałam ją sobie w jakimś domku w stylu georgiańskim, usytuowanym w bezpośrednim sąsiedztwie katedry, a nie w budynku przyklejonym do najdalej wysuniętego fragmentu głównej ulicy Lichfield. Posesja była jednak dobrze utrzymana, a w ogrodzie na równo przystrzyżonych trawnikach rosły krzewy wawrzynu i hortensji. Wszystko schludne i bez charakteru.

Powietrze w niewielkim mieszkanku wypełniała różnorodność niezmaconych zapachów; ta charakterystyczna, leciutko stęchła, choć nie nieprzyjemna, atmosfera miejsca, z którego rzadko się wychodzi i które rzadko bywa odwiedzane. Wyczułam tam woń eukaliptusa oraz zapach, jaki pamiętałam z dzieciństwa i z tych rzadkich okazji, kiedy pozwalano mi wejść do pokoju babki. Kombinacja wody różanej i lawendowej z lekką nutką zapachu starszej pani.

Ciocia Liza miała na drugim piętrze dwa pokoje, małe i kwadratowe, z maleńką kuchnią i łazienką, z wąziutkim, bezużytecznym balkonikiem, na którym z trudem mieściło się kilka doniczek bardzo zadbanych roślinek. Okna wychodziły na tyły. Na co nie omieszkała się poskarżyć z westchnieniem natychmiast po moim przyjściu.

– Zawsze lokują mnie od tyłu, moja droga – oznajmiła. – Całe moje życie. Zawsze. Siadaj. – Zbliżyła twarz do mojej i przyjrzała mi się uważnie. – No, no – skomentowała. – Wyglądasz na młodszą, niżby wynikało z metryki. Ja też zawsze wyglądałam młodo jak na swój wiek... – Po czym dodała smętnie: – Tak mówiono.

Mieszkanie było tak czyste, jak tylko czyste może być mieszkanie należące do staruszki, którą zawodzi wzrok, zawalone fotografiami, bibelotami, tandetnymi pamiątkami przywiezionymi z wakacji przez wnuczeta – małe osiołki ze słomy, miniaturowe greckie domki,

malowane drewniane pudełka. Był tam też duży, atrakcyjny posążek Horusa z brązu, kilka ładnych drobiazków ze szkła i porcelany oraz zdecydowanie zbyt wiele stoliczków.

Podłokietniki pluszowej kanapy w zielono-brązową kratę i takiegoż fotela, kupionych zapewne czterdzieści lat wcześniej w sklepie spółdzielczym, ochronione były płowymi, lnianymi płachtami. Mieszkanko pamiętało lepsze czasy, podobnie jak siatki w oknach... prawdę mówiąc, podobnie jak wszystko inne. Robiło takie samo wrażenie jak to, które zapamiętałam z innych domów, domów cioc i wujków dożywających sędziwego wieku. Wszystko na pograniczu kiczu i wszystko, co było kiedyś białe, pożółkłe ze starości. Pozwoliło mi to uświadomić sobie, jak bardzo oddaliłam się od własnych korzeni. W każdym razie podobał mi się ten Horus. Dziwnie do tego miejsca nie pasował.

Ciocia Liza siedziała wyprostowana w fotelu, ukazując ciągle jeszcze zgrabne nogi; jasne, posiwiałe włosy miała wyraźnie niedawno ułożone. Była drobna i delikatna, a nie pomarszczona i zasuszona; jej twarz przypominała obsypane mąką, różowe, dobrze wyrośnięte ciasto. Ładnie się zestarzała. Jedyne to dalekie, lekko nieobecne spojrzenie świadczyło o słabym wzroku. Kiedy pomagałam jej przygotować kawę, przesuwiała palcami po brzeżku każdej filiżanki i radziła sobie ze wszystkim wręcz doskonale.

– Obawiam się, że mam tylko rozpuszczalną – oświadczyła, wymawiając starannie każdą głoskę, jak to zawsze robiła – ale teraz nie mogę sobie pozwolić na więcej.

Kawa okazała się paskudnie słaba. Przypomniałam sobie, że kiedyś nazywała ją „kawą z błyskiem”. Kiedy częstowała moją matkę, ta zazwyczaj komentowała: „Bo trzeba błyskiem dosypać jeszcze jedną łyżeczkę”. Z kolei podawana przez ciotkę herbata znana była w całej rodzinie jako „siki Weroniki”.

Kiedy wniosła tackę do pokoju i bardzo ostrożnie postawiła ją na stoliku, zasiadła w fotelu i powiedziała:

– Gdybyś zechciała usiąść tam – wskazała mi kanapę, palcem, na którym ciągle pobłyskiwał pierścienek zaręczynowy oraz ślubna obrączka – bo całe światło właśnie tam pada i będę cię lepiej widziała. – Przechyliła głowę na jedną stronę i wpatrzyła się we mnie. – No cóż, wyrosłaś na atrakcyjną kobietę – oświadczyła. – Ładne ubranie. Czym się teraz zajmujesz, moja droga?

– Pisuję sporadycznie o sztuce. Organizuję wystawy.

– No proszę. Brzmi interesująco.

– Bo jest interesujące.

– Wyszłaś za męża?

– Owszem, za prawnika. Odchyliła się wygodnie do tyłu.

– Właśnie coś takiego powinnam była zrobić – oświadczyła. – Ojcu by się to spodobało. Tyle że, jak wiesz, stracił wszystkie rodzinne pieniądze podczas Wielkiego Kryzysu. A ja poznałam Arthura.

– Tak – przytaknęłam.

– A byłam całkiem utalentowana. To ja wiedziałam, jak zdobywać zamówienia. On

zajmował się stroną czysto zawodową.

– Tak – powtórzyłam. – Pamiętam, że w twoim domu zawsze były pięknie dobrane kwiaty.

Nachyliła się ku mnie, dotknęła mojej twarzy. Wyglądała na bardzo smutną.

– Mam osiemdziesiąt pięć lat – oświadczyła – a do ubiegłego roku miałam przyjaciela. Miał siedemdziesiąt sześć lat, biedaczek, i myślał, że jestem jego równolatką. – Figlarny uśmiezek rozświetlił na moment jej twarz. – W każdym razie ni stąd, ni zowąd odszedł i ożenił się z inną. – Po jej policzku spłynęła łza. – Ot, niestałość.

– Tak mi przykro – powiedziałam.

– Cóż, to pewnie dla mnie odpłata. Wiesz chyba, że za wszystko w życiu trzeba zapłacić.

Sposób, w jaki wypowiedziała te słowa, oraz towarzyszące im spojrzenie wilgotnych oczu były bardzo wymowne, ja jednak nie zamierzałam zbaczać z wytyczonego szlaku.

– Ciociu Lizo – zaczęłam – niestety kilka dni temu zmarła Cora i przyjechałam, żeby spytać, czy nie wybrałabyś się na jej pogrzeb. Lucy, jej córka...

– Tak, tak – przerwała dość ostro. – Wiem, kto to Lucy. Nigdy jej nie lubiłam. Żadnej klasy. Wyszła za sklepikarza. Zatem Cora odeszła. To ci dopiero była herodbaba. – I jakby chciała zmienić temat, sięgnęła po upominek i kwiaty ode mnie; cmokała przy tym i powtarzała, że nie powinnam była. Widziałam, że jest zadowolona. – Długą drogę przebyłaś, moja droga – oświadczyła, mocując się z opakowaniem. Przez moment myślałam, że zamierza mówić dalej, dokopać się do jakiegoś brudu, jednak nie. Możliwe, że czas nauczył ją nieco pokory.

Wzruszyła się na widok jedwabnego szala i zarzuciła go sobie na ramiona. Potem gruchała nad kwiatami, przesuując po płatkach opuszkami palców.

– Śliczne róże, z gatunku Emerald – stwierdziła. – I do tego jeszcze te lilie. Wspaniałe.

Włożyłam je, jak mi poleciła, do zlewozmywaka.

– Później się nimi zajmę – zawołała. – Teraz chodź tutaj, siadaj i opowiadaj.

Jej polecenia brzmiały jak przesadne ćwiczenia dykcji. Miała tak afektowany głos, że trudno było powstrzymać się od śmiechu. Wróciłam i usiadłam. Nie mogłam tak po prostu przejść do sedna, wobec czego spytałam ją o córkę, o moją nadętą i przemądrzałą kuzynkę.

– Och, Alison odwiedza mnie, kiedy może – odparła ciocia Liza – tyle że obecnie mieszka w Kidderminster. To daleko. O ile jesteś od niej starsza, moja droga?

– Dwa czy trzy lata – odpowiedziałam. Skinęła głową.

– Ally urodziła się tego samego roku, w którym koronowano Elżbietę. – W jej zamglonych oczach zabłysło światełko. Uśmiechnęła się, jakby coś sobie przypomniała, i powiedziała: – To zabawne. Ty byłaś ostatnią rzeczą, jakiej wtedy potrzebowała twoja matka, a ja czekałam tyle lat. Tak, Ally kazała na siebie długo czekać...

– A jak się ona miewa?

Niełatwo mi było mówić o niej entuzjastycznie. Nigdy tej dziewczuchy nie lubiłam. Zawsze chępliwa się swoimi edukacyjnymi zabawkami i nauką gry na pianinie, podkreślając w ten sposób, jacy to my jesteśmy biedni. Wydawało jej się, że biedny znaczy tyle co głupi. Poza tym

przechwalała się, bo miała ojca, istniejącego, który był taki ważny i szanowany.

- Jest okropnym ponurakiem! – wrzasnęłam kiedyś do niej.
- To lepsze niż być pijakiem – odcięła się.
- Mama mówi, że on się zachowuje, jakby wiecznie miał hemoroidy...
- Co to są hemoroidy?

Ponieważ żadna z nas nie wiedziała, zrezygnowaliśmy z dalszych obelg.

W każdym razie ze wszystkich znanych mi tatusiów wuj Arthur był tym ojcem, którego najmniej zazdrościłam. Jeśli przejawiał jakieś poczucie humoru, to jedynie sardoniczne, a wszelkie jego rozmowy ze mną zdawały się mieścić w poleceniu: „Bądź dobra dla matki”. Bez ustanku trzął się nad swoją Alison, co obserwowałam nie tyle z zawiścią, ile z niejaką fascynacją. Jak to jest, kiedy ktoś się rozplywa w uśmiechach, ledwie wejdiesz do pokoju? Alison chyba tego w ogóle nie zauważała. Często zachowywała się bardzo niegrzecznie albo okrutnie w stosunku do obojga rodziców. A oni wciąż wpatrywali się w nią jak w obrazek. Obserwowanie tego było fascynujące. Poza tym uważałam, że to nieco niemądre, że mnie, która zawsze zachowuje się grzecznie wobec swojej matki, wujek Arthur musi pouczać, podczas gdy jego własna córka jest taka okropna.

- Domyślałam się – dodałam pogodnie – że doskonale się jej powiodło.

Kokieteryjny, ale i przebiegły uśmiezek wypełził na twarz ciotki, która tymczasem zaczęła skubać rąbek spódnicy.

– I owszem. Dobrze jej się powiodzi. Rozwiodła się z tym bogatym, młodym Egipcjaninem królewskiej krwi, którego poślubiła... on ją oczywiście uwielbiał, ale te problemy kulturowe okazały się dla niej nie do zniesienia. Ma dwoje uroczych dzieci, oboje są już teraz dorośli. – Zamilkła, a potem dodała: – Chłopca i dziewczynkę. Oboje mają bardzo angielski wygląd... – dorzuciła szybko.

– Czy założyli już rodziny? Czy ma już ciocia prawnuki? – Te uprzejmości zdawały się nie mieć końca.

Czekałam na potok pochwał i zachwytów, tymczasem cisza. Twarz skurczona, niknący uśmiech, żal.

– Moja wnuczka, ma teraz dziewiętnaście lat, oczekuje dziecka. Nie wyszła za mąż. Wszystko już zaplanowane i w ogóle, tak twierdzi.

Siedziałyśmy w milczeniu, przetrawiając tę informację. Potem ciotka odezwała się już swoim zwykłym głosem:

- Małżeństwo nie jest dziś chyba zbyt ważne dla dziewcząt, prawda?

– Myślę, że niektóre uważają je za niekonieczne w dzisiejszych czasach – odpowiedziałam ostrożnie. Zważywszy na to, o co zamierzałam poprosić, nie mogłam przecież jednoznacznie stawać po stronie małżeństwa.

– Tak. Rozwód Alison był niezbyt przyjemny. Teraz zesła się z jakimś gościem bez perspektyw i zamieszkali razem. Wygląda na to, że taka panuje obecnie moda. Arthur i ja

byliśmy małżeństwem przeszło pięćdziesiąt lat. Na dobre i na złe. Cieszę się, że twoja babka nie może już tego oglądać. To znaczy babka Smart. Moja matka, oczywiście, przyjęłaby to ze spokojem. Ona nigdy nie chciała, żebym wyszła z domu. Jak długo, moja droga, jesteś żoną tego swojego prawnika?

– Przeszło trzydzieści lat.

Z rozmachem klepnęła się otwartymi dłońmi w kolana.

– Naprawdę? Dopiero by się twoja matka cieszyła. Masz to szczęście, którego ona nigdy nie zaznała. Niech jej Bóg wynagrodzi. Zawsze była dla mnie dobra. A miała okropnego pecha, jeśli idzie o mężczyzn, okropnego. – Wpatrywała się przez chwilę w ścianę, jakby ją tam widziała. – Ba, ale jaka ona kiedyś była odważna. Czy wiesz, że jako pierwsza z całej ich dziesiątki ośmieliła się otworzyć swoją kopertę z wypłatą? Kupiła sobie jedwabne pończoszki. Twoja babka nigdy jej tego nie wybaczyła. – Ciotka roześmiała się w zaskakująco prostacki sposób. – Neli i ja postępowałyśmy podobnie. Ja zachowałam w tajemnicy swoją pierwszą podwyżkę płacy. Pracowałam w bardzo wytwornej księgarni i tak jak Nellie lubiłam ładne rzeczy. Och, jak na tamte czasy, była z niej prawdziwa strojnisia. Ze mnie zresztą też. – Oczy ponownie jej zwilgotniały, ale nie przejęła się tym. – Och, ta twoja kochana mama. Muszę przyznać, że na twoim ślubie wyglądała tak, jakby wróciła do dawnej formy. Jej zgubą byli mężczyźni, rzecz jasna i oczywista. Była zbyt łatwowierna. Niezwykle uczciwa. – Zamilkła i uśmiechnęła się do mnie. – Z wyjątkiem sytuacji, kiedy to się naprawdę liczyło. – Przez chwilę bawiła się rąbkiem szala, ponownie na mnie spojrzała i dodała: – Wiesz, nie zasłużyła sobie na to. Kiedy ty się pojawiłaś, rozpętało się piekło.

Zalała mnie raptownie fala smutku i współczucia dla matki, która była kiedyś strojnisią i miała wyższe aspiracje.

– Była zadowolona z tego, że Virginii i mnie powiodło się w życiu – oznajmiłam. – I naprawdę czerpała wiele radości z wnucząt. Wynagrodziły jej te trudne chwile. I cieszyła się, że mam sporo pieniędzy.

– A masz, moja droga?

– Owszem. – Nagle zapragnęłam, żeby zblizniły się pozostałości ran z mojego dzieciństwa.

– Mojemu mężowi doskonale się powiodło. Jesteśmy zamożni.

– Cóż, to miłe – stwierdziła ciotka. – I całkiem niespodziewane.

Popijałam swoją kawę, ona popijała swoją, zegar tykał, a ja zastanawiałam się, jak się wyrwać z tych pełnych rezerwy uprzejmości i poprosić ją, żeby zechciała skłamać w sprawie mojego życia seksualnego.

– Często ciocia wychodzi? – spytałam.

– Cóż, wychodziłam, z moim przyjacielem, dwa razy w tygodniu. Ale teraz już nie. Opuściła mnie energia.

Tu dostrzegłam swoją szansę.

– Pewnie nadal czuje się ciocia zraniona?

– Co jest dość niemądre w moim wieku.

– Zdarza się w każdym wieku.

Popatrzyła na mnie przez chwilę, jakby rozpoznała w moim głosie nowy, poważniejszy ton, ale jeśli nawet tak było, nie zamierzała dochodzić jego znaczenia.

– Och, nie ma jak rodzina, kiedy się człowiek starzeje, moja droga – oświadczyła. – Nie wiem, co bym teraz robiła bez mojej najmilszej Ally.

Zaczęła się podnosić, trzeszczało jej w kolanach.

– Te cholerne nogi – niecierpliwiła się. – Kiedyś były moim atutem... – Wymacała stojącą na stoliku fotografię w ramce, podała mi ją. – Tak długo kazała na siebie czekać.

Spojrzałam na zdjęcie. Zobaczyłam na nim swoją kuzynkę, mniej więcej pięcioletnią, stojącą u boku ojca. Ten miał na sobie strój piłkarza, a za nim stała cała drużyna złożona z chłopców w wieku dziesięciu, jedenastu lat. Już nawet jako pięcioletka moja kuzyneczka miała grube rysy – bulwiasty nochal i zbyt blisko osadzone oczy. Nic ze śniadego, całkiem przystojnego ojca czy jasnej, pełnej wdzięku matki. Odziedziczyła po niej tylko blond loczki. Kiedyś słyszałam, jak ciotka nazwała ją brzydulą i jak powiedziała do mojej matki:

– Nie przypomina twoich córek, Neli. Ładne jak malowanie.

Na co matka odparła:

– Wielki z tego pożytek.

Ja jednak trzymałam się mocno koncepcji „ładna jak malowanie”.

Oddałam jej fotografię, a ona wzięła następną. Ta ukazywała ją oraz wuja Arthura – bardzo młodych – siedzących razem na kanapie; on obejmował ją ramieniem. Za nimi stała świąteczna choinka.

– Zawsze trochę się go wstydziłam i trochę bałam – powiedziałam.

– Przepadał za piłką nożną – oświadczyła ciotka z dumą. – Zawsze był razem z chłopcami, aż do samego końca. To znaczy, dopóki rak go nie dopadł. Należał też do rotarian. – Z westchnieniem odłożyła fotografię. – A teraz – poprosiła – powiedz mi o Córce. Naturalnie, że pójdę na jej pogrzeb, chociaż ona mnie nigdy nie lubiła. Język miała ostry jak jej matka. Większość była taka, kiedy o mnie chodziło. Nie podobało im się, że należę do innej klasy. – Pochyliła się ku mnie i dotknęła mojego kolana. – Podobnie jak twój ojciec, moja droga. Z klasy oficerskiej. Wiesz, z nim nie miałam najmniejszych problemów. Doskonale się rozumieliśmy. O tak, ty jesteś do niego podobna. W tobie też widać tę klasę. Domyślam się, że twoje dzieci chodziły do prywatnej szkoły? Bo wiesz, ja chodziłam.

Wyglądało na to, że zapomniała już o Córce. Wobec czego opowiedziałam jej o swoich synach, skoro pytała; wspomniałam też, gdzie mieszkam.

– My na koniec wyładowaliśmy w Finchley – oznajmiła. – Bardzo żydowska dzielnica.

– Pamiętam. Jechało się długo metrem.

– On trenował chłopców i prowadził skauting w Golders Green. Wiesz, że poszliśmy na pogrzeb Ralpa Readera¹? On bardzo się nimi zajmował. Skautami.

Sięgnęła ku mnie, zupełnie jakby nie była w stanie się powstrzymać, i dotknęła brzegu mojej spódniczki.

– A to skąd, moja droga?

– Chyba od Jaegera.

– Kto by pomyślał? – skomentowała kwaśno. To już bardziej przypominało mi ciocię Lizę, jaką zapamiętałam.

Skinęłam głową.

– Miałam dużo szczęścia. – I znowu ten cień Marii Antoniny.

– Ale szczęśliwa nie jesteś? – zapytała ostro. Wcale nie było to dziwne pytanie, zważywszy na moją minę.

I to był ten właściwy moment.

– Ciociu Lizo – zaczęłam. – Chcę cię poprosić, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Co takiego, moja droga?

Jak to powiedzieć? Tej szacownej staruszce, mężatce przez ponad pięćdziesiąt lat, która pomimo docinków oraz plotek powinowatych, niewątpliwie była przykładną żoną.

– Jeśli pójdziesz na pogrzeb Cory i spotkasz tam mojego męża, Francisca, chcę, żebyś skłamała ze względu na mnie.

Zamrugła; jej oczy rozjaśniły się na krótką chwilę.

– Skłamała? – spytała. – Twojemu mężowi? – Raczej delektowała się tą sytuacją, niż się dziwiła... zupełnie jakby rozcierała te słowa na języku, żeby wydobyć ich smak. Czekałam, niezdolna wymyślić następnego zdania, bałam się, że każe mi wyjść.

Sierpniowe powietrze było ciepłe i ciężkie, tymczasem wszystkie okna w mieszkaniu pozostawały zamknięte, z wyjątkiem tego małego w łazience, które przedtem otworzyłam, na ile się dało. Jakbym przewidziała, że tak bardzo będę potrzebować świeżego powietrza. Była naiwna, sądząc, że powodem moich odwiedzin jest rodzinna uprzejmość. Tymczasem, mało że poinformowałam ją o śmierci i o pogrzebie, to jeszcze zamierzałam przedstawić jej opowieść o zdradzie, której zapewne nie umiałaby mi wybaczyć, a cóż dopiero się z nią identyfikować. Możliwe, że powinnam na tym poprzestać. Moją kiepską wymówką było to, że nie chciałam zakłócić uroczystości żałobnych, a Francisowi i tak kiedyś będzie trzeba powiedzieć. Koszula zawsze jest bliższa ciału. Synowie by mi wybaczyli. Jeśli nie od razu, to za jakiś czas. A ja nie mogłam żyć w ten sposób bez końca. Tak bardzo kochałam Matthew. Już teraz, mimo niezręcznej sytuacji, zaczęłam myśleć o chwilach, które spędzę z nim w hotelu. Proste, prawda? Tyle że nieprzyzwoitością byłoby zakłócić ten pogrzeb. Zatem, zaraz po nim. Tymczasem, zgodnie z planem, trzeba powiedzieć cioci Lizie.

– Co chcesz, żebym powiedziała? – spytała całkiem radośnie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Zaczęłam mieć wątpliwości.

– Rozmyśliłam się – oświadczyłam. – W żadnym razie nie mogę cię o to prosić.

– Widzę, że to coś ważnego – zauważyła.

– Nie dość ważnego.

– Postarałaś się, żeby ci się powiodło. Podziwiam to. Nie chciałabym, żebyś teraz to utraciła. Jeśli potrafię jakoś pomóc. – Nadal spoglądała na mnie pytającym wzrokiem.

Żebym tylko przebrnęła przez ten pogrzeb, pomyślałam. Żebym tylko miała trochę czasu na zastanowienie.

– Czy to... ma coś wspólnego z twoim małżeństwem, moja droga?

Skinęłam głową.

– No, no. Kłamstwa – dodała, kręcąc głową.

– Naprawdę ciocia nie musi...

Ona tymczasem robiła wrażenie, jakby była z czegoś zadowolona. Można by wręcz powiedzieć, że raptownie przybyło jej zwałości. Nachyliła się ku mnie i poklepała mnie po kolanie, potem wstała z fotela i po omacku przeszła przez pokój. Wysunęła dolną szufladkę ślicznego, orzechowego biureczka – które pamiętałam jeszcze z ich domu w Finchley – i macając, szukała czegoś w głębi, przy tylnej ścianie. Wyjęła szarą, papierową torbę, starą, pogniecioną, zaciśniętą gumką. Gumka ta, skruszała ze starości, pękła, kiedy usiłowała ją zdjąć.

– Proszę – powiedziała, podając mi torbę. – Skoro już mówimy o kłamstwach. I o małżeństwach.

Otworzyłam ją. Wewnątrz znajdował się – zwinięty i zabezpieczony gumką – wygnieciony podobnie jak torba magazyn z czarnobiałymi fotografiami. Położyłam go sobie na kolanie, wyprostowałam, przesuwając po nim dłonią, i przewróciłam kartkę. Zobaczyłam dwóch młodych mężczyzn, z fryzurami przyciętymi w stylu lat trzydziestych; jeden z nich, z twarzą wykrzywioną głupim uśmiechem, spoglądał prosto w obiektyw. Chłopciami ramionami obejmowali się w pasie, po koleżeńsku. Słońce błyskało na ich nienagannych, jasnych czuprynach. Za nimi widoczne było pole kukurydzy, oni zaś stali oparci o białą furtkę, niedbale rzucone plecaki spoczywały u ich stóp w solidnych butach. Oprócz tych butów do pieszej wędrowki oraz skarpetek z grubej wełny wywiniętych porządnie na cholewki nie mieli na sobie nic, zupełnie nic. Byli nadzy. A ten, który nie szczyrzył się do obiektywu, głupawo wpatrywał się w genitalia swojego towarzysza... które najwyraźniej już od jakiegoś czasu gładził.

– Kłamstwa, moja droga? – spytała tak słodkim głosem, jakby mi pokazywała album ze zdjęciami ślubnymi. – A może wprawdzie odrobina prawdy? – Podeszła do kredensu i wyjęła z niego butelkę sherry. – Przynies kieliszki, są w kuchni – poleciała.

Kiedy wróciłam, magazynu już nie było. Zastanawiałam się, czy go sobie przypadkiem nie wymyśliłam.

Dotknęła palcami brzegów obydwu kieliszków, po czym nalała sherry. Trzęsącymi się, starczymi dłońmi całkiem fachowo umieściła nakrętkę z powrotem na miejscu, mocno ją zakręciła i przytknęła do ust kieliszek, nie przestając mi się przyglądać.

– Kłamstwa, moja droga? – powtórzyła. – Och, twoja stara cioteczka wie na ich temat

wszystko. – Upiła kolejny łyk, postawiła ostrożnie kieliszek i usiadła wygodniej. – Na początek jednak krótka historyjka dla ciebie. Tak między nami.

BĄDŹMY NIEUCZCIWI NA SERIO

Kiedy Eliza Battle miała dwanaście lat, jej ojciec włożył cały zaoszczędzony przez lata znaczny kapitał w zarekomendowane mu przez jego bank różnorodne akcje. Bank ten kredytował również jego rzeźniczy interes, a skoro tak, ojciec wziął jeszcze jeden kredyt i kupił następną rzeźnię, w Pinner. Wyrastało tam coraz więcej domów dla ludzi z lepszego towarzystwa, zatem, jak już tak się rozpędził, wziął jeszcze pożyczkę hipoteczną na zakup nowego domu dla siebie. Euston Road nie było już odpowiednim miejscem do stałego zamieszkiwania, niemniej zostawili tam sobie mieszkanie na parterze i wynajęli je... tak na wszelki wypadek.

– Człowiek się wspina po tej społecznej drabinie – rzucił do pani Battle i pogładził pokrytą blond lokami główkę córki. – Któregoś dnia będziesz mogła poślubić księcia – zażartował.

Eliza pomyślała, że to zupełnie możliwe, i zaczęła się zachowywać stosownie do tego przekonania.

Skrupulatne oszczędzanie i ostrożne wydawanie pieniędzy, w połączeniu z dużymi, wojennymi zyskami – produkcja mięsa była wszak potrzebna zarówno cywilom, jak i wojsku – oznaczało bardzo pomyślne lata dla państwa Battle. Teraz już pan Battle nosił do pracy garnitur i melonik. Pracowało dla niego pięć osób, nowa rzeźnia przynosiła dobry dochód, a żniwo z tego wszystkiego miała zebrać córka. Eliza rozpoczęła naukę w niewielkiej, ekskluzywnej szkole, gdzie miała się uczyć francuskiego, gry na pianinie oraz sztuk pięknych. Razem z Molly, córką mieszkającego w sąsiedztwie właściciela magazynu tekstylnego, jeździła do szkoły autobusem. Nie musiała przecież oszczędzać na biletach.

W semestrze zimowym nosiła marszczoną, aksamitną sukienkę, ozdobioną białymi, koronkowymi kołnierzykami, w klasie ochraniała plisowanymi, płóciennymi fartuszkami. Latem nosiła bawełniane, krochmalone sukienki z koronkowym karczkiem. Do zimowego palta zażądała – i dostała – małej futrzanej pelerynki, a do wiosennego żakiecika najmodniejszej flanelki w gołębiym kolorze. Jednym słowem, była pierwsza klasa, jak uważali oboje rodzice, którzy patrzyli na nią, kiedy oddalała się ulicą pod rękę ze swoją przyjaciółką Molly. A pan Battle myślał o tym, jak daleko zaszedł od tamtego czasu, gdy jako chłopiec pedałowal na rowerze ulicami Barnsbury i Islington, dostarczając ociekające krwią półcie mięsa pod kuchenne drzwi domów tamtejszych kupców.

Eliza nie była błyskotliwą uczennicą, niemniej doszła do zadziwiającej wręcz wprawy w układaniu kwiatów; z radością nauczyła się łacińskich nazw – podobnie zresztą, jak i tych pospolitych – tylu gatunków i odmian kwiatów, że mało kto mógł tyle zapamiętać. Krótko mówiąc, nim jeszcze zaczęła strzyc na Marlenę Dietrich te swoje jasne, kręcone włosy, już widać

było, że jej przeznaczeniem jest wyjść dobrze za męża. Chociaż nie była piękną, była ładna na swój zwiewny i delikatny sposób, a nogi miała zgrabne, o kształtnych łydkach i wąskie w kostkach. W swoje piętnaste urodziny włożyła sięgającą do połowy łydki sukienkę z błękitnego krepdeszynu, skrojoną ze skosu, tak że brzeg marszczył się i falował, kiedy chodziła. Była tym uszczęśliwiona.

A potem... katastrofa. W rezultacie wielkiego krachu z dwudziestego dziewiątego roku i związanego z nim gwałtownego spadku kursów akcji cofnięto kredyty, oprocentowanie kredytów hipotecznych poszybowało w górę, a ceny wszystkiego, włącznie z mięsem pana Battle, gwałtownie spadły i – kilka tygodni po piętnastych urodzinach Elizy – trzeba było sprzedać dom w Pinner. Ze stratą. Szkoła Elizy zamknęła swoje podwoje i nagle sprawą nadrzędną stało się znalezienie pracy.

Pan Battle wyrzucił lokatora z Euston Road i rodzina wróciła do tamtego mieszkania. To było w tym wszystkim dla Elizy najtrudniejsze. Okna jej pokoju wychodziły na pozbawione światła podwórko-studnię na tyłach domu. Jednak ani marszczenie nosa, ani też skargi, wykwinicie artykułowane, nie przynosiły rezultatów. Kiedy jej sukienki robiły się za ciasne – urosły jej bowiem całkiem dorodne piersi – pani Battle kazała jej wszywać wstawki albo popuszczać szwy.

– Przecież to będzie widać – wołała.

– To włóż na wierzch rozpinany sweter – oświadczała stanowczym głosem matka zza obłoku bażanciego puchu.

W tych trudnych czasach wkładanie swetra, żeby coś zasłonić, wydawało się oczywistym rozwiązaniem. Ledwie wiązali koniec z końcem, jak oświadczył, bardzo żałobnym tonem, pan Battle nad szklaneczką mocnego piwa, ponownie wypijanego Pod Bukłakiem. „Koniec z końcem, stary – mówił do Collinsa, księgarza – i to z ogromnym trudem”.

Pan Battle znów był dostawcą mięsa na skalę domową, a pani Battle znowu siedziała w kuchni, skubiąc ptactwo na stoły tych, do których kiedyś chciała dołączyć. Dochody jednak były zbyt małe, żeby utrzymać z nich także Elizę.

– Będiesz musiała na siebie zarobić – oświadczyła jej matka – jeśli zamierzasz tu zostać. Molly pracuje u windykatorów długów. Też mogłabyś to robić.

Eliza była przerażona.

Pan Battle rozpytywał wszędzie wokół.

– Mam dla niej posadę – powiedział stary Collins. – Oczy mnie już zawodzą i z takim wzrokiem nie da się kupować i sprzedawać książek.

Książkami najwyraźniej nadal jakoś handlowano, na dodatek pojawiła się ich cała masa z drugiej ręki; ludzie, którzy zgromadzili je w okresie ożywienia gospodarczego, teraz się ich pozbywali z powodu kryzysu.

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby robić coś, co nie wymagało używania rękawiczek, tymczasem to, co pozornie było niemożliwe, stało się rzeczywistością. Eliza przyjęła posadę

ekspedientki w księgarni przy Clerkenwell Road. Maniery damy, którymi nasiąknęła w szkole, zniknęły z jej życia. Była taka sama jak inne dziewczęta z okolicznych sklepów – jej francuski, gra na pianinie i kwiaty nic nie znaczyły. Studentom podawała książki o kartkach z oślimi uszami, starszym panom w okularach oprawne w skórę tomy, rzucającym ukradkowe spojrzenia kobietom szmiry za trzy pensy, a pogwizdującym młodzieńcom powieści przygodowe.

Stary Collins obsługiwał już tylko naprawdę ważnych klientów. Na zapleczu sklepu miał dwie półki swoich najdroższych książek: rzadkich egzemplarzy antykwarycznych i egzotyków. Potencjalnymi nabywcami zajmował się osobiście, a podczas tych rozmów drzwi jego gabinetu zawsze pozostawały zamknięte. Mężczyźni, którzy przychodzili po egzotyki, czy to wchodząc, czy wychodząc, przemykali się obok jej lady ze wzrokiem wbitym w podłogę. Zastanawiała się, czym są owe egzotyki, jednak stary Collins oświadczył, że nie jest to coś, czym miałyby sobie zaprzętać głowę.

Niektórzy z młodych ludzi przychodzących regularnie po powieści przygodowe byli dla niej uprzejmi, próbowali rozmawiać z nią, mówili czasem, że jest ładna, a inni pytali, co porabia w sobotnie wieczory. Ona jednak zadzieriała wysoko nosa, obsługiwała ich uprzejmie i nic poza tym. Nadal miała poczucie, że jest stworzona do wyższych celów.

Mimo to raz zdarzyło jej się umówić na spotkanie. Molly przysłała do księgarni młodego człowieka z agencji rewindykacyjnej, niejakiego Harolda Binnsa, a ten poprosił ją, żeby wybrała się z nim, Molly i jej chłopakiem do wesołego miasteczka w Battersea. Zgodziła się. Ale kiedy odprowadził ją do domu i w zapadającym zmroku próbował ją pocałować i nie tylko – jego oczy zmieniły się, twarz nabrała jakiegoś szczególnego wyrazu i w ogóle zaczął sapać jej w kark – natychmiast ją to do niego zraziło. Poza tym miał niezbyt czyste paznokcie i mankiety koszuli. Dla niej były to wyraźne oznaki przynależności do klasy niższej i więcej się już z nim nie spotkała.

Z kolei mężczyźni, którzy przychodzili do sklepu w eleganckich ubraniach, którzy nosili rękawiczki, wyrażali się w bardzo dystyngowany sposób, ale rzadko zwracali na nią uwagę. A przecież, kiedy matka zaczęła mówić o przyszłości i zamążpójściu, to Eliza wyobraziła sobie, że właśnie z którymś z takich mężczyzn stanie przed ołtarzem. Nawet ekspedientki mają wymagania. Widziała to na filmach.

Kiedy miała osiemnaście lat i dostała kilka szylingów podwyżki, zatrzymała te dodatkowe pieniądze dla siebie.

Wydawała je na koronkowe chusteczki, na świecidełka i na kwiaty, które przynosiła do swojego ponurego pokoju. Jedna pachnąca gardenia czy frezja wprowadzała inny nastrój. Czasami dostawała jakąś roślinę. – eukaliptusa, paprotkę, wawrzyn – od młodego człowieka, który trzy domy dalej otworzył właśnie kwaciarnię. Nazywał się, jak przeczytała na fasadzie sklepu, Arthur Smart. Wpadał raz po raz do księgarni i przeglądał książki, od czasu do czasu którąś kupował – zazwyczaj o rozrywkach na świeżym powietrzu, o prawdziwych przygodach, o sprawach związanych ze skautingiem albo też zbiory piosenek biwakowych. Rzadko ze sobą

rozmawiali, bo oboje byli jednakowo nieśmiali.

Był najmłodszym z braci w wielodzietnej rodzinie, w której matka nie tolerowała żadnych fanaberii. Rodzina uważała go za nadwrażliwego i nieco skrytego; zresztą nie pochwalił się pani Smart znajomością z Elizą Battle. Pani Smart coś niecoś wiedziała o rodzinie Battle'ów: Elizę nazywała niemądrą dziewczuchą bez zasad; panią Battle głupią i napuszoną, a pana Battle grubianinem i durniem, a do tego jeszcze strugającym waźniaka. Tak więc cała ta rodzina znajdowała się poza sferą zainteresowania skrzących Smartów, przedstawicielei klasy pracującej, których siłą napędową był awans społeczny.

Arthurowi Smartowi udało się kupić kwiaciarnię w tak przyzwoitej części miasta dzięki zbiegowi okoliczności. Dostarczał kiedyś na rowerze kwiaty do hotelu w Bloomsbury i potrafił go omnibus, który na Southampton Row z niewiadomego powodu znalazł się nagle po niewłaściwej stronie ulicy. Tak się złożyło, że akurat w tym czasie jedna ze starszych sióstr Arthura spacerowała z młodym policjantem i ów funkcjonariusz był świadkiem całego zdarzenia. Bloomsbury było zresztą jego rejonem. Sprawy pewnie by zatuszowano, zważywszy na potęgę firmy transportowej i jej prawników, ale starsza siostra Arthura była wielce ponętną, a do tego bardzo oburzoną osobą. Dlatego młody policjant trzymał się twardo swojej wersji wydarzeń. Bezpośrednio po wypadku, jak oznajmił podczas śledztwa, stwierdził, że od kierowcy, który wytoczył się na jezdnię, czuć było mocno alkoholem. Za przeżyty wstrząs, złamaną rękę i złamany palec – to ostatnie szczególnie utrudniało pracę kwiaciarza – Arthur otrzymał odszkodowanie, dzięki któremu, doszedłszy do zdrowia, otworzył własną firmę: Wytworną Kwiaciarnię Arthura Smarta¹.

Arthur nigdy nie był zbyt towarzyski – szczególnie dotyczyło to młodych kobiet, z których większość najwyraźniej się nim interesowała. Siostry droczyły się z nim, że taki z niego przystojniak. Bracia natomiast utyskiwali, że cała ta uroda idzie na marne. Oprócz skautingu oraz pieszych wędrówek przy sprzyjającej pogodzie, dla rozrywki Arthur czytał książki, kibicował drużynie piłki nożnej Arsenal i uczęszczał na kurs stolarki. „Nigdy nie spotkasz tam żadnej dziewczyny, Artie”, pouczał go starszy brat, Dickie. On jednak nie brał sobie tego do serca. Z klientami radził sobie całkiem nieźle, ale matka i tak nieustannie powtarzała, że z pomocą żony radziłby sobie znacznie lepiej. Arthur jedynie się rumienił. Poprosił o radę swoją ulubioną siostrę, Neli, która pracowała w sklepie z ubrankami dla niemowląt i stąd znała dziwactwa klientów. „Tak naprawdę potrzebna ci jest – oznajmiła – nie żona, ale ekspedientka”. A potem roześmiała się i dodała: „A jeszcze lepiej obie”.

Arthur wydawał się dobrą partią. Przez cały rok tak ciężko pracował przy rozwijaniu swojego interesu, robiąc wszystko bez niczyjej pomocy, że zupełnie nie miał czasu czuć się zażenowany czy szczególnie nękanym tymi nieustannymi aluzjami sióstr i matki do sprawy małżeństwa. Ostatecznie był przecież młody, miał jeszcze mnóstwo czasu. Wstawał codziennie o czwartej rano, a o czwartej trzydzieści był już swoją czerwoną furgonetką w Covent Garden. Kupował, co było mu potrzebne, i robił przerwę na śniadanie, które, z nosem utkwionym w

gazecie, jadł samotnie w zatłoczonym barze przy targowisku. Czasami spoglądał tęsknie w kierunku tragarzy, tak łatwo nawiązujących rozmowy, dowcipkujących i częstujących się kuksańcami, trzymał się jednak od innych ludzi z daleka. Kiedy gwizdali i żartowali z niego, odwracał głowę.

Zatrudnił chłopaka, którego poznał na spotkaniach skautów, do cięższych prac i do dostarczania zamówień, ale tamten okazał się zbyt zuchwały i impertynencki. Irytowało go to bezczelne spojrzenie z drugiego końca sklepu, zwłaszcza kiedy przygotowywał szczególnie elegancką wiązanekę czy bukiet. Pewnego dnia kazał młodemu człowiekowi odejść. Tamten stuknął zawadiacko kciukiem w daszek czapki i poprosił o tygodniówkę, jako rekompensatę za zwolnienie. Otrzymał ją. Arthur nie chciał psuć atmosfery w skautowskim środowisku. Przyszedł następny, trochę młodszy – zaledwie czternastoletni – ale ten również nie okazywał mu szacunku i też miał zwyczaj opierać się o ladę i gapić na niego. Zatrudnił dziewczynę, ta jednak okazała się nijaka i, jak to nazwała jego matka, śnięta. Wziął następną, ale ta z kolei była zbyt rozbawiona, zbyt aroganka, a do tego nadużywała perfum, które tłumili naturalną woń kwiatów.

Czegokolwiek się dotknie, mówił matce, to spartoli.

– Bo tobie potrzebna jest żona – powtórzyła matka.

– Być może – przyznał i tym razem się nie zarumienił.

A potem, pewnego dnia – kiedy usiłował przygotować pięćdziesiąt goździków do butonierek i ułożyć bukiet dla panny młodej – do sklepu wbiegł jakiś mężczyzna i oznajmił, że musi mieć dla swojej żony przypinany do sukienki bukiet... i to natychmiast. Zapomniał bowiem o rocznicy ślubu, a żona czeka właśnie na niego w galerii Corner House. Gestykulując z przejęciem, mężczyzna strącił na podłogę karton z goździkami. Arthur nie wiedział, czy ma płakać, czy też rzucić się na tamtego z pięściami. Nie zrobił jednak żadnej z tych rzeczy. A to dlatego, że dziewczyna z pobliskiej księgarni, czekająca dotąd cierpliwie, teraz uklękła i z wielką starannością zbierała wszystko, co upadło.

– Mam przerwę na lunch – odezwała się z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer.

– Pozwól, że ci pomogę.

Kłęcząca wśród kwiatów w wyblakłej, niebieskiej sukience, która szeroko i faliście rozłożyła się wokół niej, a on pomyślał, że dziewczyna wygląda uroczo, czysto, niczym obrazek. Serce wypełniła mu wdzięczność.

– Zawsze byłeś dla mnie taki uprzejmy – powiedziała bardzo stosownie. – W ten sposób mogę ci podziękować.

Stopniowo, coraz częściej, a wreszcie regularnie, zaczęła mu pomagać w czasie swojej przerwy na lunch. Wiedziała dużo na temat układania kwiatów; potrafiła też błyskawicznie zsumować kolumnę liczb. Raz, kiedy ich dłonie przypadkowo się spotkały, cofnęli się oboje oblani rumieńcem. Koledzy ze skautowskiej drużyny oskarżali go o umizgi i kiedy byli na biwaku, dowcipkowali sobie grubiańsko. Arthur włączał się w śpiewy przy ognisku z większą ochotą niż przedtem, żeby im pokazać, że za nic ma te żarty i wygłupy.

Jego matce nie podobała się Eliza Battle.

– Usiłuje się tutaj wślizgnąć – oświadczyła, kiedy jej wreszcie opowiedział o dziewczynie i o tym, jak była mu pomocna w ciągu ostatnich kilku miesięcy i jak bardzo chciałby ją zaprosić do domu na herbatę.

Matka Arthura pragnęła zachować nad wszystkim kontrolę, nie mówiąc już o tym, że upatrzyła sobie dla niego Maudie Harper. Pełna życia Maudie stanowiła znakomite towarzystwo, a jej ojciec prowadził solidny interes obuwniczy i dobrze zarabiał. I jak oznajmiła Córce: „Buty i pantofle to nie rzeźnictwo...”, Arthura trzeba było odrobinę rozruszać. Tak więc na herbatę przysłała Maudie. Ale za każdym razem, kiedy pani Smart udało się doprowadzić do tego, że tych dwoje było razem, Arthur milczał przez cały czas i miał obrus albo też nieustannie mówił o interesach.

– Słyszałam, że zajmujesz się stolarką, Arthurze – zagadnęła go Maudie, prezentując, najlepiej jak umiała, dołeczki w policzkach.

– Nie – odparł ponuro. – Rzuciłem to.

Nawet jeśli Maudie była przebojowa, to była też jednocześnie niecierpliwa. Pragnęła co prawda męża z perspektywami, niemniej ta sytuacja powoli zaczęła ją nużyć. Kiedy szli na spacer, zatrzymywała się pod malowniczo zwisającą gałęzią i wystawiała ku niemu policzek w oczekiwaniu pocałunku, a wtedy on robił unik i odchodził, wskazując dłonią maki, których intensywnej czerwieni nie dorównywał żaden kwiat.

– Coś podobnego – mówiła do siebie Maudie i biegła, żeby go dogonić. – Usiądźmy na chwilkę w zbożu – zachęcała. Kiedy jednak ujmowała jego rękę i kładła ją na swoim ramieniu, całkiem bliźutko piersi, jego dłoń pozostawała nieruchoma. Pozwalała, żeby sukienka odsłoniła nogę wysoko, nad kolanem, ale i to nie prowadziło do żadnych prób z jego strony. Doszła zatem do wniosku, że jest on dżentelmenem, to wszystko.

A potem, pewnego dnia, w porze lunchu, przysłała do jego sklepu i zobaczyła, że Arthur pracuje w towarzystwie jakiejś drobnej, jasnowłosej dziewczyny w niemodnej sukience.

– Zostaw ją samą – powiedziała władcym tonem – a my pójdziemy coś przekąsić.

– Pójdiesz z nami? – spytał Arthur blondynkę. Ta zarumieniła się. A to zirytowało Maudie.

– Już jadłam lunch – oświadczyła jasnowłosa dziewczyna. – Jeszcze trochę nad tym popracuję. Potem muszę wracać do księgarni.

Maudie zaczęła złośliwie przedrzeźniać jej sposób mówienia.

Arthur się nie śmiał. Blondynka wyglądała na zdenerwowaną.

– Uważam, że powinnaś przeprosić – Arthur zwrócił się do Maudie.

Maudie, amatorka wszelkiej hecy, odparła:

– To mnie zmuś.

Na co Arthur oświadczył, że nie jest już głodny, i Maudie, sycząc i miotając przekleństwa, opuściła kwiaciarnię. Udała się prosto do pani Smart, która wzruszyła ramionami.

– Cóż można na to poradzić?

– Widać, że tamta mała wbiła już w niego swoje szpony – oświadczyła Maudie z ponurą satysfakcją. – Stuknięta żebraczka.

Pani Smart pohamowała jej zapędy.

– W każdym razie tobie się to najwyraźniej nie udało – oświadczyła.

Wkrótce Maudie zaręczyła się z kimś innym.

Eliza pomagała mu przy kwiatkach na ślub Maudie, a on żartował sobie, że tak niewiele mu brakowało. Eliza rumieniła się i chichotała. Ponieważ miała taki duży udział w przygotowaniach do tego konkretnego ślubu, zabrał ją na wieczorne tańce. Pani Smart dotrzymywała im towarzystwa przy stoliku. Eliza powiedziała, że jej rodzinie gorzej się wiedzie z powodu kryzysu. Pani Smart zapytała ją ostentacyjnie, czy jest spokrewniona z Battle'em rzeźnikiem, na co Eliza odparła, że owszem, i zamilkła. Pani Smart wiedziała, że dała tej małej do zrozumienia, co o niej myśli.

– To córka rzeźnika – tłumaczyła Arthurowi.

– Zna się na układaniu kwiatów – powtarzał z uporem. I ani myślał ustąpić.

Pani Smart ostrzegała, że powinien uważać na tę dziewczynę z księgarzki, bo jest bez zasad. Odparł, że to jego sprawa. Neli współczuła Elizie. Sama była bowiem kimś w rodzaju buntowniczką, bo spotykała się z niejakim Fredem, o którym matka też nie miała najlepszego zdania. Czuła, że oboje są traktowani niesprawiedliwie, i dlatego zawiązała z Arthurem sojusz.

– Zabierz gdzieś Elizę – radziła. – Tak jak trzeba.

– Niby jak? – pytał nerwowo.

– Gdzieś, gdzie moglibyście porozmawiać... poznać się trochę... gdzie mógłbyś jej pokazać, że ją lubisz... – Neli trąciła go łokciem. – Bo przecież ją lubisz, prawda, Arthurze?

Arthur starał się pokonać swój lęk; długo się zastanawiał. Chciał zrobić to, co sugerowała Neli, ale na myśl o sam na sam z Elizą stawał się bardzo niespokojny. W końcu zaproponował:

– Chodźmy dziś wieczorem na kolację. Ja zapraszam. Mój brat prowadzi w Hampstead zespół bandzistów, świetną grupę.

Przyjęła zaproszenie. Zanosilo się co prawda na dość prostacką rozrywkę, jednak jej rodzice zgodnie oświadczyli: „Prostakiem jest ten, kto się prostacko zachowuje”, a on przecież robił przyzwoite wrażenie. Eliza zdawała sobie sprawę, że staje się dla rodziców ciężarem, i nie dawało jej to spokoju.

Przyszedł po nią w porządnym garniturze, czystej koszuli, dyskretnym krawacie z windsorskim węzłem, ze stosownym kapeluszem oraz bukietami konwalii dla niej i dla jej matki; ta druga przyjęła kwiatki z wielką łaskawością, myśląc sobie w duchu: Będzie odpowiedni. Dickie, brat Arthura, przeszedł tego wieczoru sam siebie – uradowany widokiem młodszego brata w towarzystwie przyzwoitej dziewczyny – a Eliza, chociaż nadal nie całkiem pewna, czy jest to rozrywka w dobrym guście, śmiała się i klaskała, i tańczyła; świetnie się bawiła. Zarumieniona wyglądała ślicznie; a co i jak było dalej – wiadomo. Arthur odprowadził Elizę do domu i pozostawił skromnie na progu, obdarzając zaledwie króciutkim, przelotnym

pocałunkiem w policzek. Ona z kolei odczuła ogromną ulgę, że nie próbował niczego więcej, i uznała, że to on może być tym właściwym. Matce oświadczyła, że to pierwszy młody człowiek, którego towarzystwo sprawia jej przyjemność. A pani Battle powtórzyła: „Będzie odpowiedni”.

Również Arthur odczuł ulgę, że ona niczego nie próbowała i niczego od niego nie oczekiwała. Policzek miała taki miły w dotyku i zupełnie inaczej niż Maudie, pachniała cytryną – świeżutko i uroczo. Wspierany przez Neli stawiał czoło matce. Pani Smart oznajmiła, że Neli zupełnie się nie zna na ludziach, wywołując tym płacz córki... i jeszcze większą determinację Arthura.

Pobrali się. Eliza niepomrotnie zirytowała Smartów naleganiem, by suknię ślubną uszyła jej jakaś krawcowa z West Endu, a nie siostra Arthura. Miała tylko dwie drużny, Molly jako pierwszą i Neli. Nie obyło się zresztą bez dłuższej dyskusji na ten temat, bo Molly była w szóstym miesiącu ciąży i Smartowie uważali, że jest to w złym guście. Tymczasem Eliza przeczytała kiedyś w magazynie dla panien młodych, że jeśli pierwsza drużna spodziewa się dziecka, dla państwa młodych jest to dobra wróżba. Była przekonana, że to prawda. Bo dzieci pragnęła najbardziej ze wszystkiego na świecie.

– Nic dobrego z tego nie wyjdzie – oświadczyła pani Smart.

Wszystko jednak poszło dobrze. Śniadanie po ślubie było chwilą największej chwały dla pani Battle. Oskubała tyle kurczaków i kaczek, że potrawami, które z nich przygotowała, można by nakarmić całą armię. Pani Smart prychała pogardliwie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała. I w ogóle nic nadzwyczajnego, skoro to wszystko kupuje się po cenie hurtowej.

Neli i Dickie zaopiekowali się kwaciarnią, podczas gdy młoda para udała się wieczornym pociągiem odchodzącym ze stacji Liverpool Street na długi weekend do Lowestoft. Eliza i Arthur siedzieli obok siebie, strzepywali sobie nawzajem confetti z ubrań, obdarzani dobrotliwymi spojrzeniami współpasażerów. Kiedy tak siedzieli oboje sztywno, z wyprostowanymi plecami, przyszło jej do głowy, że nie licząc tamtej sytuacji przed ołtarzem, Arthur dotąd jeszcze jej nie pocałował. W każdym razie na pewno nie w usta. Pozwoliła sobie pomyśleć o czekającej ją nocy. Odśloni się tajemnica wszystkiego, tak rzecz ujmowała w myślach. W przeddzień ślubu, kiedy spytała oto matkę – czymkolwiek owo to było – matka ściągnęła jedynie usta i oświadczyła mgliście, że Arthur jest dżentelmenem i człowiekiem łagodnym i będzie wiedział, jak postąpić. Nie drażyła dalej tego tematu.

– A jak to jest z dziećmi? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Pojawią się, kiedy zechcą – odparła matka. I poszła sprawdzić blachy z ciastem.

Pokój mieli zamówiony w prawdziwym hotelu, a kiedy młoda pani Smart go ujrzała, z pomalowanym na bladożółto tynkiem i galeryjkami z kutego żelaza, była oczarowana. Hotel miał klasę. Nad ich głowami latały mewy, pachniało czyste rzeńskie powietrze, a ona była mężatką, poślubioną zgodnie z wszelkimi regułami. Wysunęła rękę spod ramienia męża, poprawiła swój drogi, marynarski kapelusik i weszli do środka. Uśmiechnięci właściciele powitali ich kieliszkiem portwajnu, było już bowiem wpół do ósmej, przyjechali nieco spóźnieni na kolację.

Podano im ją osobno; składała się z miejscowej ryby i smażonych ziemniaków. Żadne z nich nie miało wielkiego apetytu; przez większą część posiłku unikali też swoich spojrzeń. Kiedy sprzątnięto ze stolika, nowożeńców zaprowadzono do ich pokoju. Jego okna wychodziły na morze; przy pokoju była toaleta z małą umywalką. W toalecie Eliza Smart, z domu Battle, spędziła znaczną część tej nocy.

Nie wiedziała, czego ma oczekiwać, kiedy umywszy się, wróciła do pokoju w brzoskwiniowej, atlasowej nocnej koszuli i wślizgnęła do łóżka, obok Arthura. Miał na sobie piżamę w paski z szorstkiej bawełny, w dotyku podobną do tej, w jakiej sypiał jej ojciec. Potem zaczęło się to. Najpierw Arthur zgasił światło i przez chwilę leżeli oboje nieruchomo jak kukły. Potem obrócili się przodem do siebie i zderzyli nosami przy próbie pocałunku. Rozśmieszyło ich to, zaczęli chichotać, trochę się przy tym rozluźniając. Arthur przylgnął zaciśniętymi wargami do jej ust i tak zastygł. W końcu pomyślała, że się udusi, wobec czego otworzyła usta, a jej język sam wysunął się do przodu i zaczął naciskać zaciśnięte usta męża. Ten bardzo powoli, stopniowo, uchylał wargi i ich języki się zetknęły, tak jak w znanej im obojgu z dzieciństwa zabawie. Nie było to uczucie nieprzyjemne.

Eliza przywarła mocniej do męża, czując przyjemne mrowienie w piersiach i nie tylko. Mąż wyciągnął ramię i objął ją mocno na wysokości łopatek; ona wyciągnęła rękę i – zupełnie niespodziewanie dla samej siebie – zaczęła mówić jakieś niedorzeczności i gładzić go po policzku, on zaczął się o nią ocierać, a coś, co wzięła za węzeł przy pasku jego piżamy, zaczęło uciskać jej podbrzusze. Opuściła rękę, żeby usunąć to coś z drogi, i kiedy jej dłoń się na to natknęła (a na pewno nie był to pasek od piżamy), oczy jej męża rozwarły się bardzo szeroko i wpatrzyły w nią, twarz zaś przybrała wyraz, jakiego u niego nigdy nie widziała, a za to widziała kiedyś u Harolda Binnsa, po czym, bez słowa, obrócił ją na brzuch i zwałił się na nią. Przez chwilę, rozplaszczona pod jego ciężarem, myślała, że głównym celem nocy poślubnej jest pozbawianie kobiety tchu. A potem poczuła wściekle palący ból między pośladkami: „Przestań, przestań... „, prosiła. On jednak nie przestawał. Wyglądało na to, że nie wie jak. Wykręciła szyję, ale zobaczyła jedynie jego oddalające się i zbliżające zamknięte oczy, a potem nie mogła już dłużej tego znieść i zemdląca.

Kiedy odzyskała przytomność, wciąż leżała na brzuchu, a pomiędzy nogami czuła wilgoć. Arthur leżał na plecach i przy świetle dochodzącym z esplanady zobaczyła, że oczy ma otwarte, a na policzkach łzy. Sięgnęła, żeby dotknąć jego wyciągniętego ramienia, on jednak cofnął je szybko, unikając przy tym jej wzroku. Jednocześnie wydał z siebie dźwięk podobny do szlochu. Wstała zatem bardzo powoli i odczuwając wielką słabość, powlokła się do miniaturowej łazienki. Kiedy przesunęła myjką pomiędzy nogami, zobaczyła, że ta pokryta jest krwią. Gdzieś kiedyś słyszała, że młode małżonki krwawią, zatem musiało to być właśnie to. Jakże to straszne. Zastanawiała się, czy istnieje możliwość, że zaszła w ciążę.

Nigdy później nie wspominali tej nocy. Ani łez, ani bólu, ani łkań Elizy w toalecie, ani jej ostrożnego wślizgnięcia się do łóżka o świcie, kiedy Arthur już zdążył zasnąć. Nie próbowali już

tego więcej podczas podróży poślubnej; mówili natomiast głośno i radośnie o miejscu pobytu, o widokach i o miłej obsłudze. Kiedy wyruszyli pociągiem w powrotną drogę, ona ogarnęła ostatnim spojrzeniem uciekające do tyłu miasteczko, jego oświetlone słońcem budynki i poczuła przytłaczający smutek. Zupełnie jakby, pomyślała, przejęła całe zło tego świata. Dickie i Neli powitali ich w tak naturalny sposób, jakby byli największymi szczęściarzami spośród wszystkich żyjących nowożeńców, więc zachowywali się stosownie do tego wyobrażenia. Arthur objął nawet Elizę, jakby chciał powiedzieć: „Popatrzcie, jaka to z nas dobrana para”, a Neli była zbyt zajęta zaparzaniem herbaty i paplaniną, żeby zauważyć cienie pod oczami Elizy.

Nigdy więcej już nie całowali się w łóżku, ot zaledwie cmoknięcie w policzek przed udaniem się na spoczynek, zresztą nawet i wówczas, jeśli chciała tę chwilę przedłużyć, odnosiła wrażenie, że Arthur się wzdraga. Zdawała sobie sprawę, że taki stan rzeczy jest haniebny, i była pewna, że to ona ponosi winę. To ona musiała znosić nieustanne komentarze teściowej na temat braku potomstwa oraz tego, że przyczyną takiego stanu rzeczy może być jej zadzieranie nosa. Czowała się nieszczęśliwa, winna i w ogóle nieudana. Jej jedyny sprzymierzeniec, szwagierka Neli, snuła plany dotyczące własnego małżeństwa z Fredem i Eliza dowiedziała się tylko, że tych dwoje jeszcze niczego ze sobą nie próbowało. Najwyraźniej Fred nawet nie chciał o niczym takim słuchać, a Neli oburzała sama myśl o czymś podobnym. Eliza przeprosiła, że osmieliła się pytać. Nie miała z kim porozmawiać. Po jakimś roku Molly, która miała właśnie urodzić drugie dziecko, stwierdziła, że może Eliza powinna być zadowolona, że Arthur zostawił ją w spokoju. A skoro pojawiła się krew, to znaczy, że zrobił, co do niego należało.

Arthur pograżył się w sprawach kwaciarni, a dla rozrywki nadal działał w skautingu. Był teraz szanowany; jako odnoszący sukcesy handlowiec, mężczyzna żonaty, miał odpowiednią pozycję w społeczeństwie. Zajmując się sklepem i skautingiem, i piłką nożną, miał niewiele czasu, żeby się zastanawiać, co jest nie tak z jego małżeństwem. Również Eliza znalazła sobie czasochłonne zajęcie; przyjmowała coraz więcej wymyślnych zamówień dla hoteli, restauracji i różnych instytucji. Kiedy czasami Arthur podniósł wzrok na swoją żonę, napotykał jej smutne spojrzenie... a w nim pytanie, bolesne pytanie, na które nie znalazł odpowiedzi. Kiedy natomiast leżała obok niego w łóżku i przypadkiem obróciła się we śnie tak, że obnażyła przy tym pierś, albo gdy go przez sen dotknęła, choćby ręki czy kolana, cofał się gwałtownie. Podobnie jak Eliza, nie zwierzył się nikomu. Wydawało się, że z ulgą przyjmuje ten spokój.

Tymczasem Eliza chwilami odczuwała ogromną tęsknotę; pragnęła wyciągnąć rękę, dotknąć jego ciała i być przez niego obejmowana. Nic z tego. Pani Smart wciąż przycierała jej nosa, kiedy tylko Eliza wspomniała o lunchu czy o interesie papy, czy o tym, że na uroczystej kolacji kwaciarzy posadzono ją i Arthura przy głównym stole. Pewnym sposobem na zamknięcie Elizie Battle ust było przypomnienie jej, że Dora, która po niej wyszła za mąż, ma już piękną, pełną animuszu córeczkę. I że Cora urodzi na Boże Narodzenie.

– Mojej rodzinie niczego nie brakuje – mówiła pani Smart znacząco.

O tak. Bez trudu zamykali jej usta.

A potem przyszła wojna i w życiu Elizy nastąpiło kilka znaczących wydarzeń. Arthur wstąpił do lotnictwa i wyjechał. Mąż Neli, Fred, wstąpił do wojska i wysłano go na szkolenie. Nabawił się gruźlicy i po sześciu miesiącach zmarł. Neli powiedziała jej o swoim ostatnim spotkaniu z mężem, krótko przed jego śmiercią. Chociaż był bardzo chory, postanowili pójść na spacer do lasu, z dala od sanatorium. Obowiązywał ścisły zakaz zabierania pacjentów poza teren przyległy do sanatorium, nawet jeśli pacjent był mężem, ale oni nie zamierzali się mu podporządkować. Położyli się pośród paproci i kochali się z zamysłem poczęcia potomka. Trzy tygodnie później Fred nie żył. No i proszę, powiedziała Neli po jego śmierci, nie wystąpiło u niej to, co nazywała „objawem”. Nie pojawiło się też następne miesiąca. Ani kolejnego.

– A ja się zastanawiałam, skąd u ciebie tyle radości – powiedziała Eliza.

Arthur, który miał właśnie wrócić do swojej ćwiczebnej eskadry, zasugerował, by Neli przeniosła się do Elizy i pomogła jej w kwiaciarni. Elizie bardzo podobał się ten pomysł. Neli była też zadowolona i planowała sobie, że potem, po urodzeniu dziecka, zamieszka w jakimś miłym miejscu. Ostatecznie będzie przecież miała zasiłek dla wojennych wdów i coś jeszcze dla dziecka. Wprowadziła się zatem do Elizy i jak na osobę dopiero co owdowiałą miała całkiem niezły humor. To już raczej Elizie zdecydowanie go brakowało. A potem, pewnego ranka, jakiś tydzień po tym, jak Neli zaczęła pomagać w sklepie, jej marzenia zostały przekreślone. Krwawiła.

Lekarz oznajmił, że to dość naturalne, iż wdowy przestają miesiączkować, nie było żadnej ciąży. Zrozpaczona Neli powtórzyła jego słowa Elizie, a ta zaczęła się zastanawiać, skąd lekarz to wszystko wie. Jednak nie bardzo chciała się dopytywać, bo Neli nie była w nastroju do takich rozmów.

Pracowały razem przez następne dwa lata, aż do chwili, gdy poproszono Neli o podjęcie pracy w Archiwum Wojennym. Nastąpiła w niej jakaś odmiana. Przestała być pełną nadziei, lubiącą zabawy naiwną istotą, a stała się elegancko ubraną, niemalże beztroską – podziwianą, jednak nie przyjmującą żadnych umizgów ze strony młodych mężczyzn damą. Chciała czegoś lepszego, oznajmiła Elizie, a Eliza ani trochę jej za to nie winiła.

Wojna ukazała Neli swoje inne oblicze. Wdowa zrzuciła żałobę i zaczęła żyć chwilą, a życie chwilą obejmowało również mężczyzn. Wszystko, co poniżej pasa, oddzieliła linią graniczną, jak oznajmiła Elizie, która starała się sprawiać wrażenie, że wie, o czym Neli mówi. Neli zaś używała tych samych powiedzonek, które były w tym czasie na ustach wszystkich. „Jutro możemy być rozerwani na drobne kawałki... „ „Żyj chwilą. Od dawna już jesteś martwy... „ „Korzystaj ze szczęścia tak długo, jak możesz... „ Było w nich sporo prawdy. Ludzie rzeczywiście byli rozrywani na strzępy – wychodzili rano z domu i już do niego nie wracali – albo wracali do domu po to, żeby stwierdzić, że nie mają już domu ani rodziny. W mgnieniu oka wszystko mogło przestać istnieć. Wszystko? – zastanawiała się Eliza. Jakie wszystko?

Jedynie kiedy pani Smart przychodziła z wizytą, Neli nie ruszała się z domu i starała się zachowywać w miarę pokornie. Już nie z lęku; dotrzymywała matce towarzystwa, bo pani Smart

dwukrotnie została zbombardowana i Neli było jej żal. Elizie przyszło do głowy, że w kwestii przyzwoitego zachowania ona sama nie ma żadnego wyboru, niemniej zaczęła z zazdrością spoglądać na błyszczące oczy i zarumienione policzki szwagierki oraz na drobne prezenty, jakie ze sobą przynosiła, kiedy nad ranem tanecznym krokiem wracała do domu.

A potem, kiedy Arthur miał już wyjechać, po swoim pierwszym, prawdziwym urlopie, i rodzina urządziła dla niego małe przyjęcie, podczas którego dzieci biegały wokół albo raczkowały na dywanie, albo spoczywały słodko w ramionach matek, Eliza poczuła, że narasta w niej straszny gniew, rezultat jej wszystkich zawiedzionych nadziei. I pomyślała, że skoro nie może mieć tego, to będzie mieć coś innego.

Spytała Neli, czy mogłaby pojechać do zachodniej dzielnicy razem z nią oraz z jej przyjaciółką z Archiwum, Dolly. Neli i Dolly zamówiły jej koktajl w Cafe Royal, gdzie grało Dance Combo Dickiego. Koktajl wydał jej się obrzydliwy i kiedy nikt nie patrzył, wylała go do donicy z palmą, ale podobało jej się zarówno samo to miejsce, jak i panująca w nim beztroska atmosfera. Nie potrzebowała koktajlu, żeby zachować się brawurowo. Neli tańczyła. Dolly tańczyła. Po krótkim wahaniu Eliza również zatańczyła. Zabrakło jej tchu, ale nie było to niemiłe uczucie, kiedy wysoki nieznajomy, o jasnych włosach i z uśmiechem na ustach, przedstawiony jej jako Rodney, przyciskał dłoń do jej pleców i przytulał ją mocno do swojego wyginającego się w tańcu ciała. Tej nocy wielokrotnie zmieniała partnerów do tańca. Wysłuchiwała słodkich słówek, czuła, jak czyjaś dłoń ściska jej dłoń, błądzi po ciele, dotyka uda. Wszyscy zachowywali się beztrosko i Elizie udzielił się ten nastrój. O wpół do pierwszej z twarzą zaróżowioną przyjemną zabawą wyszła z lokalu w noc; podśpiewywała zasłyszane melodie, kiedy pieszo wracała do domu z Neli. W ciemności przesunęła dłońmi po własnym ciele, próbując wyobrazić sobie, co tamci mężczyźni mogli czuć pod swoimi palcami. Szczupła, pomyślała, ale z wypukłościami we właściwych miejscach, dokładnie tak, jak szeptał jej do ucha jeden z mężczyzn.

Sześć miesięcy później Neli spotykała się z Gordonem, dziarskim, rudowłosym oficerem z korpusu medycznego, i jak zwierzyła się Elizie, pozwoliła, by sprawy zeszyły poniżej pasa. „Jest bardzo sympatyczny – oznajmiła stanowczym tonem, co nie przeszkodziło jej położyć palca na wargach Elizy i poprosić: – Matce ani słówka”.

A potem wydarzyła się ta poważna i niedobra sprawa. Na jedną z randek, na którą Neli umówiona była z Gordonem, a Dolly ze swoim kłarnecistą, Gordon przyprowadził swojego brata, Johnniego. Dla Elizy. A ją natychmiast oczarowały jego żarty, droczenie się oraz ciemne, roześmiane oczy. Były one całkowitym przeciwieństwem zawsze czujnych i posepnych oczu Arthura.

Johnnie był wytrwały. Pozwalała mu na zbyt dużą bliskość podczas tańca, a chociaż czasami odsuwała jego natarczywą dłoń, to przecież robiła to z coraz większym żalem. Johnnie twierdził, że jej nogi są równie zgrabne jak nogi Betty Grabie.

– Prawdę mówiąc – oświadczył – są lepsze od nóg Betty Grabie. A wiesz dlaczego?

– Dlaczego? – spytała.

Podciągnął brzeg jej spódniczki powyżej kolana.

– Bo są tutaj.

Pani Smart o niczym nie wiedziała. Dickie trzymał buzię na kłódkę. Był nie tylko oczkiem w głowie mamusi, ale także idolem dla półtuzina różnych dzieciaków i nie miał ochoty nikomu się narażać. Arthur przyjechał na urlop i ponownie wyjechał, a Elizę ogarnęła wściekłość, kiedy teściowa zaczęła swoje tradycyjne „Ojej, ojej... znowu nic z tego?”, powtarzając, że wina na pewno nie leży po stronie jej rodziny. Kiedy tak siedziała, raz jeszcze wysłuchując, że się nie sprawdza jako potencjalna matka, zbuntowała się nagle, zerwała i wpadła do kuchni. Podniosła czajnik i dołała sobie wody do filiżanki.

– Chyba nie masz nic przeciwko? – odezwała się śmiało do pani Smart. – Ten twój napar jest tak mocny, że aż gęsty. A poza tym mamy wojnę.

I ponownie usiadła na swoim miejscu.

Pani Smart osłupiała, szybko jednak doszła do siebie. Żadna córka rzeźnika za ćwierć pensa nie będzie się rządziła w jej kuchni.

– Odrobina esencji dodana do wrzątku być może rozgrzałaby ci trochę krew, moja córko...

Eliza tylko się uśmiechnęła. Już postanowiła. Siedząc tam przy kuchennym stole w towarzystwie zionącej nienawiścią teściowej, już wiedziała, że pozwoli Johnniemu na to, czego on pragnie. Przez wiele nocy nie myślała o niczym innym. Herbata to nie jest sposób na rozgrzanie. Tyle wiedziała. Rozgrzać może ją Johnnie.

Nie powiedziała mu tego od razu. Postanowiła, że to ona będzie miała nad wszystkim kontrolę. Padnie mu w ramiona i pozwoli się obsypać pocałunkami, czego tak pragnął, kiedy to ona będzie gotowa. Odkryła bowiem, że w oczekiwaniu jest coś urzekającego. Arthura nie ma, mogą mieć dla siebie to podwójne łożo, a Neli na pewno przymknie oko. Wszystko było przygotowane. Może dzisiaj, może jutro... w każdym razie już wkrótce, na pewno wkrótce. I wtedy Johnnie zginął podczas nalotu.

Była poruszona tym, że czuje większe rozczarowanie niż ból. Neli oznajmiła, że wojna czyni ludzi twardymi. Tymczasem Eliza stała się nerwowa. Miała nocne koszmary, w których widziała, jak zmasakrowana twarz Johnniego przeobraża się w twarz Arthura. Zaczęła cierpieć na bezsenność, co podczas wojny było powszechną przypadłością; przestała też miesiączkować. Przynajmniej wiedziała, że to nie z powodu ciąży. Za radą Neli udała się do lekarza. Lekarz jej powiedział, że ma za mało żelaza we krwi, co nie było niczym dziwnym w czasach racjonowania mięsa. Natomiast to, co powiedział później, wstrząsnęło nią do głębi.

– Pani Smart – oznajmił lekarz – pani wciąż jest dziewicą.

– Dziewicą? – powtórzyła, a potem oblała się rumieńcem gniewu i wstydu.

– Pani Smart, pani błona dziewicza wciąż jest na swoim miejscu. Nie uszkodzona... – Westchnął. – Nie robiliście z mężem tego, co powinniście. Jest pani nietknięta jak nowo narodzone dziecko.

Wpatrywała się w lekarza, usiłując pojąć sens jego słów. Uśmiechnął się do niej smutno, co było jeszcze gorsze niż słowa. Tyle lat po ślubie, a ona jest nietknięta?

– Ale przecież była krew – zaprotestowała. I powiedziała lekarzowi, że „on naprawdę włożył – to – w nią” i – tak – „naprawdę pojawiła się krew”.

Lekarz pokręcił głową i wyjaśnił, w sposób jak najbardziej okrężny, kilka konkretnych faktów dotyczących fizjologii. Dodał też, w formie niewinnego dowcipu, że jeśli jej mąż nie mógł odnaleźć właściwej drogi, to może ona sama powinna wyrysować mu mapę i pokazać, jak ma trafić. A później, już poważniejszym tonem, oświadczył:

– Bo tamto jest dla otumanionych młodzieńców, a nie dla kulturalnych, normalnych, ludzi. – Znów się uśmiechnął. – Wyjąwszy Greków, ale to było bardzo dawno temu.

W głowie Elizy zaczęły wirować jakieś obrazy. Coś, co widziała dwukrotnie. Raz w książkach z działu egzotyków, na zapleczu księgarni starego Collinsa. Niezrozumiałe zbliżenie nagich ciał, których intymne miejsca w niczym nie przypominały jej własnych, i teraz już wiedziała, że są męskie. Podpis brzmiał „Nasi urodziwi greccy Ganimedesowie”. I jeszcze to, na co natknęła się drugi raz, upchnięte z tyłu szufladki mieszczącej kołnierzyki i spinki jej męża. Fotografie chłopców i mężczyzn, nagich pośród zboża albo stojących pod oświetlonym słońcem drzewem, albo leżących, jak we śnie, z rozrzuconymi nogami, w paprociach. Odłożyła wówczas magazyn na miejsce, przekonana, że ma związek ze skautingiem i nie odezwała się słowem na ten temat.

Kiedy opuściła gabinet lekarski, szła do domu wolnym krokiem, z pięściami zaciśniętymi w kieszeniach płaszcza, powłócząc nogami po nierównej, podziurawionej nawierzchni ulic. Naloty były coraz gorsze – wszystko się mogło wydarzyć, tak jak w przypadku Johnniego – a jej nagle przyszło do głowy, że do tej pory jeszcze tak naprawdę nie żyła. Widziała ogromną różnicę między tym, co działo się z Neli, a tym, co działo się z nią samą. Odczuwała głęboką i bolesną zazdrość, obserwując, jak tamta rozkwita, podczas gdy ona sama więdnie. Coś, myślała sobie, kiedy tak szła powoli do domu, coś trzeba z tym zrobić.

Gordon szedł na wojnę, wobec czego wzięli z Neli ślub. Arthur nie mógł przyjechać, z czego Eliza była zadowolona. Kilku kolegów Dickiego przyszło na wieczorne tańce, a ona, przytupując w rytm muzyki, odślaniała kolana. Nie umknęło uwagi pani Smart, że Eliza pokazuje nogi dość wysoko i że fakt ten przyciąga chłopców. Sama Eliza też to zauważyła. Był początek października, ale ona skarżyła się na upał i pozwoliła Tommy’emu Wilkinsowi wyjść z nią na zewnątrz. Pozwoliła mu też na więcej. Nie na tyle, ile on sobie życzył, ale na dość, by złagodzić własny gniew. Dość, by stwierdzić, że jej ciało reaguje właściwie.

Wróciła na salę z błyszczącymi oczyma, paląc prowokacyjnie papierosa. Śmiało spojrzała na teściową. Teściowa nie pozostała jej dłużna. Jeszcze jedno porto z cytryną, a być może coś by tamtej powiedziała, jednak usiadła tylko, omdłym ruchem założyła nogę na nogę, dostarczając przy okazji niezłego widoku Tomowi. A potem, kiedy zaczął padać śnieg, a pustka Bożego Narodzenia doprowadzała ją do płaczu, wpuściła Toma do swojego łóżka. I zrozumiała, że

mężczyzna i kobieta mogą odnaleźć wspólną przyjemność i że nie ma w tym nic obrzydliwego. Nic, co by zmuszało do płaczu leżącego obok mężczyznę. Mimo krwawienia i niewielkiego bólu w żaden sposób nie przypominało to jej nocy poślubnej. Zdumionemu Tomowi powiedziała, że to pewnie okres. Bo to był prawdziwy powód jej wstydu. Że wciąż była dziewicą. Cóż, pomyślała sobie radośnie nazajutrz, już nią nie jestem.

Tommy handlował węglem, ale czy to było ważne? Dla niej liczyło się jedynie, że było to zajęcie szczególnego rodzaju, że z jego powodu nie mógł być wzięty do wojska i że pomimo wojennych zniszczeń, przerw w ruchu i nalotów zawsze udało mu się znaleźć dla niej godzinę czy dwie. Wszystko układało się doskonale i w rezultacie Eliza rozkwitła. Sama czuła, że rozkwita, jak niegdyś Neli, pod wpływem uczucia, jakim ją obdarzano. Szybko nauczyła się czerpać z tego przyjemność. Wiedziała, że rodzina i przyjaciele zastanawiają się, skąd u niej taka zmiana, nie miała jednak żadnego poczucia winy, w tym dogadzaniu sobie czuła się wolna. Nie zamierzała zresztą robić więcej niż to właśnie, a poza tym swoje obowiązki małżeńskie wypełniła z nawiązką.

Kiedy przyszedł na to czas, Tommy wrócił do domu, do Hoxton, żeby poślubić swoją narzeczoną, Myrę, która odrobiła już wojenną służbę przy pracach rolnych. Nie doszło między nim a Elizą do żadnych zgrzytów, nie mieli do siebie żadnych pretensji. Tego związku i tak nie należało już przedłużać. Pani Smart nie była idiotką i zdążyła już skomentować, jak to ciało Elizy się zaokrągliło w czasie, kiedy inni cierpią niedostatek i są chudzi jak szczapy. Jako przestroga przed tym, co mogłoby spotkać Elizę, najmłodsza siostra Arthura, Daff, wróciła do rodzinnego domu okryta hańbą – zaszła w ciążę z żonatym mężczyzną.

Zatem Eliza pożegnała Tommy'ego, nie pisnęła nikomu słówka i powitała wracającego z wojny męża. Była przekonana, że w głębi, pod tą zewnętrzną otoczką wydarzeń, nadal pozostaje godną szacunku kobietą. Całym sercem zazdrościła Neli udanego małżeństwa, uroczej córeczki i dziarskiego, czarującego Gordona, który wyglądał tak elegancko i zachowywał się tak szarmancko. Eliza dobrze się czuła w jego towarzystwie; ostatecznie należał do klasy oficerskiej.

Eliza była teraz zupełnie inną żoną – bardziej dojrzałą i niezależną. Zatrudniła w kwiaciarni dziewczynę – nie pytając o zdanie Arthura – i kazała przemalować fasadę sklepu. Znad wejścia zniknął napis „Wytworna Kwiaciarnia Arthura Smarta”, a w jego miejsce pojawił się nowy: „Wytworna Kwiaciarnia Smartów”. Jej spojrzenie wyraźnie mówiło: Spróbuj tylko się odezwać. „Dziewczyna była mi potrzebna po tym, jak Neli odeszła, żeby zająć się dzieckiem”. Wypowiadając to zdanie, patrzyła mu prosto w oczy. Odwrócił wzrok.

Pani Smart przeprowadziła się do Neli, która mieszkała z córeczką na przedmieściu, panią Smart bowiem, jak to sama ujęła, bombardowano na okrągło. Obdarzyła ona szczególnym uczuciem małą Virginie. Dawno już wychowała własne dzieci, miała inne wnuczeta, ale teraz dopiero znalazła czas, żeby wykrzesać z siebie tyle miłości do małego dziecka. Szyła dla niej ubranka, wiązała kokardy na jej złocistych włosach i mówiła, że jest śliczna i słodziutka. Zdumiewała tym nawet samą Neli, chociaż ta uwielbiała przecież córeczkę i dawała jej wszystko,

co najlepsze.

Dziarski oficer Gordon nie zachowywał się dobrze zbyt długo. Albo Neli wydawała lwią część pensji męża na głupstwa – jak brzmiała jego wersja – albo też on wydawał lwią część własnej pensji na alkohol i hazard w kantine oficerskiej, a za brak pieniędzy obwinał ją – jak brzmiała wersja Neli. Nieważne, jaka była prawda, skończyło się tym, że Gordon jej przyłożył, a potem pomachał książeczką czekową przed nosem protestującej pani Smart, wykrzykując, ile to jej córka wydała pieniędzy. Zalana łzami Neli zaprzeczała. Przeprosił panią Smart za uderzenie jej córki, tłumacząc się, że sytuacja doprowadziła go do rozpacz. Wszyscy tłumaczyli sobie to jego gwałtowne zachowanie kłopotami z przystosowaniem się do nowej, powojennej rzeczywistości. Pani Smart nie wyprowadziła się, bo nie tylko oszczędzała w ten sposób na czynszu, ale też mogła być blisko uwielbianej wnuczki. Ba, kiedy wybuchła kolejna awantura i doszło do następnej demonstracji siły, pani Smart zabrała Virginie do domu swojej drugiej córki, co małej się bardzo podobało, a tymczasem Neli z mężem rozwiązywali swoje problemy. Było oczywiste, że Gordon posunął się znów do rękoczynu.

Kiedy sytuacja się uspokoiła, pani Smart wróciła z małą Virginie w jej trzecie urodziny i życie potoczyło się w miarę gładko. Przez rok czy dwa Gordon miał dobrą posadę, dom zapełniał się nowymi, kupowanymi na raty meblami i Neli postanowiła, jak powiedziała Elizie, zapomnieć o tamtych nieporozumieniach. Arthur bacznie przyglądał się temu, co działo się w domu siostry. Eliza zazdrościła jej córeczki, ale jeszcze bardziej męża, który ją przytulał i obdarzał takim szczególnym uśmiechem. Bo cóż z tego, że zdarzało się to, kiedy Gordon był po paru głębszych; przynajmniej się zdarzało.

Szczyście Neli trwał jakiś czas. Potem jednak Gordon raz jeszcze je zakłócił. Najpierw oświadczył teściowej, że ma się wyprowadzić; pani Smart zadarła głowę i się wyniosła. Potem, kiedy Neli skarżyła się, że żaden z rachunków nie został zapłacony i że wkrótce odetną im prąd, poszedł do pubu, a po powrocie przyłożył jej mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Co gorsza, ośmielił się nawet uderzyć uwielbianą Virginie, kiedy ta się rozplakała. Eliza powiedziała o tym Arthurowi i Arthur porozmawiał z Gordonem. Gordon był lodowato uprzejmy, ale nie zamierzał już dłużej wysłuchiwać szwagra. „Nie twoja sprawa, co robię w moim domu” – oświadczył.

Neli zwierzyła się Elizie, że jest w ciąży. I to właśnie było przyczyną gniewu jej męża. Jeszcze jedna gęba do wykarmienia. Jeszcze jedno wrzeszczące niemowlę. A Eliza odczuwała coraz większą zazdrość i coraz większą pustkę. Cóż z tego. Za każdym razem, kiedy usiłowała dotknąć męża – jego ramienia czy dłoni – on cały sztywniał.

Rodzina, choć rozdarta, do sprawy Neli demonstrowała podobne podejście. Może powinna nieco spuścić z tonu. Zawsze uważała się za lepszą od innych... Nie zaszkodziłoby jej, gdyby przestała się chełpić mężem oficerem i przestała kupować dywany z przesadną ilością frędzli, i zaczęła wreszcie zachowywać się normalnie. Ale mimo wszystko... bicie. I jeszcze ten incydent z buteleczką aspiryny. Incydent, po którym mała Virginia już nigdy nie była taka jak przedtem. To ona znalazła matkę z buteleczką. To dumne zachowanie Neli mogło człowieka doprowadzić do

furii, ale na to przecież sobie nie zasłużyła. Szczególnie teraz, kiedy spodziewa się dziecka.

Arthur zawiózł matkę i żonę do siostry i szwagra. Pani Smart miała zostać tam na tydzień lub dwa, żeby pilnować spokoju i zatroszczyć się o Virginie. Podczas jazdy pani Smart wygłosiła uwagę, że skoro Neli przy takim mężu jak Gordon udało się zająć w ciąży, to czy Eliza nie może się bardziej postarać? Arthur skupił uwagę na prowadzeniu samochodu. Eliza nie chciała wywoływać awantury. Później, kiedy Neli zaoferowała jej drugą szklaneczkę dzinu ze słodkim wermutem, nie odmówiła. Podczas gdy pani Smart i Arthur omawiali sytuację z Gordonem w frontowym pokoju, Neli i Eliza zasiadły w pokoiku od podwórza, popijały dzin i rozmawiały. Neli zapaliła papierosa i oznajmiła:

– Kiedy mama się wyprowadzi, od nowa zacznie się podbijanie oczu.

– Twoja matka... – zaczęła Eliza i umilkła. – Och, nieważne, Nellie... dość masz kłopotów.

– Żałuję, że do tego dopuściłam – powiedziała Neli, klepiąc się po brzuchu. – Gdybym mogła, tobym się tego pozbyła.

Eliza rozplakała się. Życie było takie niesprawiedliwe.

– Nie pozwól, żeby dotykały cię aluzje mamy na temat dzieci – pocieszała ją Neli i ponownie poklepała się po brzuchu. – Nie jest to znowu taki cymes, jak się opowiada, a poza tym, cóż, skoro już się przydarzy, to się przydarzy...

Eliza musiała się komuś zwierzyć. Neli też nie miała już lekkiego życia, więc było jej łatwiej z nią rozmawiać. Nie powiedziała nic na temat tamtych fotografii ani szczegółów nocy poślubnej. Powiedziała tylko, że Arthur nie jest w stanie spełniać męzowskich obowiązków. Przyznała się do „współżycia” – słowo to powiedziała szeptem – z kimś, stąd wiedziała, jak należy robić to we właściwy sposób.

– I sprawiło mi to przyjemność, Nellie – oświadczyła wyzywająco.

– No cóż, nic dziwnego – przyznała Neli. – Tylko nie pozwól, żeby Arthur się dowiedział. Nawet on mógłby cię pobić. A to żadna przyjemność, możesz mi wierzyć. – Poglądziła się po posiniaczonym policzku, demonstrując go jako przykład.

– Sądysz, że było mi przyjemnie usłyszeć od lekarza, że po paru latach małżeństwa jestem dziewicą? – Eliza też potrafiła wyrazić odczuwaną gorycz. Była zadowolona, że alkohol rozwiązał jej język. Spadł jej z piersi ogromny ciężar, gdy zwierzyła się Neli.

Neli wpatrywała się w nią zdumionym wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy? – Otworzyła szeroko usta – Nigdy – potwierdziła stanowczo Eliza.

– A w podróży poślubnej?

– Nigdy.

– Rzeczywiście – przyznała Neli – w porównaniu z tym rękoczynem mojego męża wydają się mniej przykre.

– Mnie się po prostu wydaje, że już dłużej nie ścierpię docinków twojej matki – tłumaczyła Eliza.

Neli, nadal pełna werwy, mimo podbitych oczu i siniaków, zapaliła jeszcze jednego weightsa – kiedyś był to senior service albo capstan w szylkretowej cygarnicze – i oznajmiła:

– Jasne jak cholera. Czemu jej nie powiesz? Powinnaś jej rzucić, że to nie ty, tylko jej ukochany synek. – Neli wyrażała się teraz pogardliwie o bracie, który ośmielił się przy jakiejś okazji wygłosić jej kazanie w stylu: „Jak sobie pościeliłaś, Nellie, tak się wyśpisz”. Nie powiedziała mu nawet, że czasami jest z tego posłania wykopywana i musi spać w ogrodzie.

– Nie mogę – zaliła się Eliza. – Arthur już nigdy by się do mnie nie odezwał. Przecież mamy podwójne łóżko tylko po to, żeby twoja matka niczego się nie domyśliła. Arthur nigdy by mi nie wybaczył.

– No cóż, jeśli go nie zmusisz do działania, nigdy nie doczekasz się dzieci – oświadczyła Neli. – Musisz się bardziej postarać.

Eliza zabrała się do dzieła. Zrobiła sobie trwałą, podśpiewywała w sklepie i w domu, znów była potulna i uległa, okazywała mężowi szacunek. Robiła, co mogła, żeby był zadowolony. Gotowa była zastosować wobec Arthura wszystko to, czego nauczyła się od Tommy’ego. Na przykład, że wspólne kąpiele mogą zachęcić do działania obie strony. Że można zacząć od niewinnego namydlenia pleców, a potem mydło upuścić, a potem jeszcze nie móc go znaleźć, a potem, a potem... Wypróbowała to, ku zaskoczeniu i przerażeniu męża. Tym razem jednak była mądra. Wycofała się. Przez cały następny dzień trzymała się z daleka, ale była miła. Przystał się jeżyć. A ona, dzięki tej kąpieli, zorientowała się, że nawet niechętnego mężczyznę można podniecić. Na jego twarzy co prawda malowało się przerażenie, ale to, na co niby przypadkiem natrafiła, pod warstwą piany – przerażone nie było. Czegoś się dowiedziała. I choć w łóżku nadal jej nie dotykał, to przecież okazywał jej znacznie więcej ciepła. Podawał ramię, kiedy szli ulicą, i pozwalał jej dla zabawy na robienie mu modnej fryzury. Ta odrobina ludzkiego ciepła wywoływała u Elizy tęsknotę za czymś więcej.

Dzięki niej Arthur mógł zapomnieć o swoim niskim pochodzeniu. On też zasmakował w elegancji, a ich mieszkanie nad kwiaciarnią było jak z obrazka. Eliza kupiła najnowszy model kuchenki, nowe meble do jadalni i stosowne dywany z długimi frędzlami (odkupione od Nellie, zanim weszli do niej komornicy). Lubiła się pochwalić, jak daleko zaszła. Kiedy Neli karmiła piersią dziecko w tej ładnej ciepłej kuchni, Eliza przesuwała palcem po nieskazitelnej, kremowej lodówce i pokazywała szwagierce pokręta przy nowej kuchence. Jednak cały czas nie o to chodziło.

– Mogłabyś sobie wziąć tę małą – zaproponowała Neli, nie całkiem poważnie. – Nakryliśmy Virginie, jak niosła ją kiedyś do pojemnika na śmieci. Powiedziała, że to dlatego, że nikt z nas tak naprawdę jej nie chce. One wszystko zauważą, te dzieciaki. Mama nawet jej nie przytuli. Powtarza, że nic, tylko same kłopoty, odkąd się Dilys pojawiła. Jesteś pewna, że jej nie chcesz? – dodała lekko.

Nie tego jednak chciała Eliza. Pragnęła własnego dziecka.

A potem, na Festiwalu Brytyjskim², na który poszła z Córá i córeczkami Neli, Eliza natknęła

się na Tommy'ego Wilkinsa. Towarzyszyła mu zmęczona, zaniedbana żona i trzech synowie. Nadal wygląda, pomyślała Eliza, jak tamten chłopak. I kiedy oboje stanęli w kolejce po herbatę, szybko się umówili. Tym razem bez zastanowienia. Tommy zaczął ją odwiedzać w domu, kiedy Arthur szedł na te swoje skautowskie zbiórki, albo spotykali się w jakimś innym miejscu. Wyczerpana, wymizerowana pani Wilkins i jej synowie codziennie szli spać o wpół do dziewiątej. Eliza i Tommy nadrabiali stracony czas. Ona, która czuła się już stara i zwiędła, ponownie rozkwitła. Tommy, leżąc obok niej, pieszcząc dłońmi i wzrokiem jej ciało, mówił, że mogło spotkać ją coś gorszego niż brak dzieci, że to właśnie dzieci wykańczają kobietę.

Nastrój Arthura poprawiał się wraz z poprawą nastroju żony. Skoro ona była szczęśliwa, on też mógł być. A potem wydarzyło się to niewyobrażalne. Jakby na przekór sobie i teściowej, Eliza zaszła w ciążę. Wypadł jej jeden „objaw”, na co w ogóle nie zwróciła uwagi, aż do chwili, kiedy kilka dni później Tommy, który spędzał z nią noc, zaczął ścisnąć i ssać jej piersi. Z bólu omal nie wylądowała na ścianie. Tommy popatrzył na nią i odgadł, w czym rzecz.

– Ależ ty, moja kaczuszk, jesteś nadmuchana. – Wpatrywała się w niego, nie pojmując. Wyciągnął rękę i bardzo delikatnie ścisnął jej sutek. Zabolało, cofnęła się gwałtownie. – Już ja się na tym znam – westchnął.

Jakaś jej część była zachwycona, inna przerażona. Całość pragnęła dziecka. Tommy zasugerował aborcję; jego żona raz się na to zdecydowała i dlatego wiedział, za ile i gdzie. Eliza wolałaby raczej umrzeć. Chciała tego dziecka i zamierzała je urodzić. Tyle że Tommy był zaledwie drobnym handlarzem węgla, z jednym wozem i dwudziestoma pięcioma szylingami tygodniowego dochodu. Dostawcą z jednym koniem, nic więcej. Eliza była przyzwyczajona do wygód. Ładnych ubrań, ładnych mebli – wygodnego miejsca w świecie. Gdyby odeszła od Arthura, popadłaby w ubóstwo. Byłaby również matką nieślubnego dziecka, gdyby Tommy się nie rozwiódł. Sama myśl o tym wszystkim była nieznośna. Liczyło się wyłącznie dziecko. Dla niego chciała tego, co najlepsze. Córeczki Neli, kiedy były u niej ostatnim razem, miały wszy i bieliznę, której nawet strach na wróble by się wstydził. Nie chciała się narażać na coś takiego. Niemniej pozostawało faktem, że Arthur nie był i nie mógł być ojcem.

Nagle ogarnął ją lęk. Powszechnie uważano, że Arthur postępował zgodnie z normami moralnymi, i w tej części Londynu był osobą dość dobrze znaną. Po rozwodzie wylądowałyby na ulicy i nie byłoby nikogo, kto by jej pomógł. Składając bieliznę, pogładziła jedwab, z którego była uszyta, przesunęła dłonią po pianinie stojącym w saloniku nad sklepem, zobaczyła, że po wizycie u fryzjera jej jasne włosy falują i układają się jak u gwiazdy filmowej. Pomyślała, z jakim szacunkiem odnoszą się do niej sąsiedzi oraz inni kupcy. Nie mogła zrezygnować, nie zrezygnuje z tego wszystkiego.

– Tommy – odezwała się – nie będziesz się gniewał?

– Moje, prawda?

– Nie – odparła twardo. – Moje.

Raz jeszcze zwierzyła się Neli, przygnębionej, ochryplej Neli, wyniszczonej pracą, która

ledwie dostarczała środków na przetrwanie. Gordon bowiem, podejrzany o malwersacje, zawieszony został w swoich obowiązkach na czas śledztwa. Pani Smart, która zajmowała dwa najlepsze pokoje od frontu, nie kryła dezaprobaty, a w weekendy zamykała na klucz swoje drzwi i wyjeżdżała do krewnych należących do lepszej klasy.

– Wyobraź sobie – skarżyła się Neli – zamyka na klucz drzwi w moim domu, a płaci zaledwie dziesięć szylingów tygodniowo. I malutkiej nie chce tam wpuszczać. Tylko Ginny. Zachowuj się, jakby to był Pałac Buckingham.

Była w odpowiednim nastroju, żeby wysłuchać nowości Elizy.

– Nie wahaj się – radziła jej Neli. – Zrób to tak, jak chcesz, a będziesz miała to, czego chcesz. Bo jak nie, to skorzystają na tym inni dranie.

– Ale Arthur zorientuje się, że to nie jego. Przecież nigdy się do mnie nie zbliża.

– To go do tego sprowokuj.

– Próbowałam.

– To go upij.

– Zawsze mówiłaś, że Gordon traci przytomność, kiedy się upije.

– Możemy nie wspominać tego bigamisty? – zareagowała Neli.

– Och, Nellie, tak mi przykro.

– Nie ma powodu – uspokoiła ją Neli. – To przecież oznacza, że sprawa rozwodu szybko się rozstrzygnie. Ha! Bo go w ogóle nie będzie. W każdym razie jego niedługo zamkną i tyle.

– Powiesz dzieciom?

– Broń Boże. Chociaż wydaje mi się, że Ginny coś już tam wie. Jest bystra. A on czasami wraca po nocy i wywrzaskuje swoje pretensje. – Westchnęła. – Ale już niedługo. – Przeczesała palcami siwe już włosy i Liza zobaczyła pasmo ciemnych sińców na jej ramieniu. Poczula ciarki na plecach. Arthur przynajmniej był kulturalny. – W każdym razie, jak pamiętam z dawnych czasów, niewielka ilość alkoholu dodawała mu animuszu. Bylebyś nie przesadziła, bo straci przytomność. – Uśmiechnęła się ponuro. – Bo jest dość wąska granica pomiędzy wesołym pijaczkiem a brutalnym, paskudnym ochlapusem.

– Cóż – oznajmiła Eliza – nic z tego nie wyjdzie. Bo on nie pije. Czasami piwo. Nic mocniejszego. Lubi być w formie.

Neli wybuchnęła śmiechem.

– Po co?

Eliza zacisnęła mocno usta.

– No dobra, nieważne... zawsze możesz mu dolać trochę tego rosyjskiego produktu do oranżady.

– Jakiego rosyjskiego produktu?

– To ostatni krzyk mody. Wódka. Podobno nie da się tego wyczuć. W którym jesteś tygodniu?

– Mniej więcej w siódmym.

– No to się pośpiesz. Zrób to w Boże Narodzenie, kiedy będzie u ciebie mama. Nie wybiegnie przecież z wrzaskiem z sypialni, jeśli ona będzie w pokoju obok. Zawsze możesz potem powiedzieć, że to wcześniak. Jak Dilly.

– Biedne maleństwo – odezwała się współczująco Eliza.

– Szkoda, że się w ogóle urodziła – oznajmiła Neli głosem pozbawionym wszelkiego uczucia.

Eliza doszła do wniosku, że najlepszy będzie drugi dzień świąt. Wszyscy są wówczas bardziej rozluźnieni. Tak solidnie przyłożyła się do stroju oraz makijażu, że nawet teściowa pochwaliła jej wygląd. Kiedy usiedli na kanapie do fotografii, Arthur ją objął i wtedy pomyślała, że lepszej sytuacji już nie będzie. Wieczorem drugiego dnia świąt, kiedy wszyscy już byli zmęczeni i pani Smart oznajmiła, że o dziewiątej pójdzie spać, Eliza przygotowała imbirowy poncz tylko dla siebie i dla Arthura; wypili go, siedząc przed kominkiem. Wcześniejsze eksperymenty wykazały, że imbir najlepiej ze wszystkiego maskuje smak alkoholu. Podziałało. Oboje się rozchichotali, a potem ona pociągnęła go na górę, rozebrała i kiedy się położyli, łechtala go pod pachami, ostrzegając, żeby się nie śmiał za głośno, bo obudzi matkę. Zachowywali się jak dzieciaki, przetaczając się w tę i w tę po podwójnym łożu, dusząc śmiech, a Eliza co chwilę, niby przypadkiem, dotykała tego, czego wiedziała, że dotykać powinna. Odniosła sukces. Podniósł się, jak trzeba, a ledwie się podniósł, wsunęła go w siebie – szybka jak błyskawica – a ponieważ dobrze wiedziała, co robić dalej, z resztą nie miała już najmniejszych problemów.

Tylko przez jedną krótką chwilę patrzyła w otwarte, zakłopotane oczy Arthura, bo ten zaraz je zamknął i jęknął, i wzdrygnął się. Ale było już po wszystkim. Pozwoliła mu stoczyć się na bok, ale zanim zdążył zasnąć, szepnęła mu do ucha, że było rozkosznie... Po prostu rozkosznie...

I na tym poprzestała. Nazajutrz Arthur wyszedł z domu, a kiedy wrócił, zachowywał się tak, jakby nic pomiędzy nimi nie zaszło. Eliza była całkiem zadowolona z takiego obrotu spraw.

– A niech mnie wszyscy diabli – oznajmiła pani Smart. – Więc... wreszcie jej się udało.

Wyciągnięto butelkę porto i pani Smart wypila kieliszek, łamiąc swoje zasady. Nawet Arthur dał się namówić, chociaż, jak oświadczył członkom rodziny zebranych przy stole, zazwyczaj nie pija mocniejszych trunków.

– A powinieneś, Arthurze – zauważyła promieniejąca Eliza. – Uważam, że to jest bardzo męskie.

Neli, która ostatnio rzadko się śmiała, dała nura pod stół, żeby podnieść upuszczoną serwetkę, i dość długo stamtąd nie wychodziła. Kiedy wreszcie się wynurzyła, mrugnęła do Elizy i posłała jej szeroki uśmiech.

– Cóż, to naprawdę miłe – oświadczyła, podnosząc w górę kieliszek. – Następne dziecko w drodze.

Arthur nie krył zadowolenia.

– Będzie chłopak – oświadczył. Najwyraźniej planował już mecze i biwaki.

– Zdrowie pierwszego z całej gromadki – zaproponowała pani Smart.

Eliza milczała.

Dziewczynka urodziła się w początkach sierpnia i nikomu nie przyszło do głowy sprawdzać daty, a już szczególnie Arthurowi, który był dosłownie urzeczony w momencie, w którym wziął małą na ręce. Miała skrzywioną, pospolitą twarzyczkę, nawet już wówczas wydatny nosek i jasne włoski. Te jasne włoski były po matce, a twarz, jak Eliza szepnęła Neli, zdecydowanie po ojcu. To nie przeszkodziło pani Smart widzieć w małej, wyraźnie jak na dłoni, cech jej własnej rodziny.

– Zupełnie jak nasz Arthur – mówiła podczas chrztu. – Następny będzie chłopiec. Jestem pewna, że bardzo by go to ucieszyło.

Wbiła w Elizę bazylijski wzrok.

Eliza uśmiechnęła się słodziutko.

I honor wszystkich został uratowany.

Czego oko nie widzi, pomyślała, tego sercu nie żal. W każdym razie teraz wiedziała już więcej o świecie i rozumiała, co oznaczały fotografie, które znalazła kiedyś w szufladzie męża.

Tommy zmarł w 1976 roku na marskość wątroby. Smartowie wcześniej pojechali odwiedzić go w szpitalu Króla Alfreda – był to pomysł Elizy – i biedak nie przedstawiał sobą przyjemnego widoku. Kiedy wyszli ze szpitala, Eliza wsunęła rękę pod ramię męża i pomyślała, że szanowana kobieta w jej wieku i tak już pewne sprawy może pozostawić za sobą. Miała dobrą passę. I miała uroczą, dorastającą córkę, istne oczko w głowie Arthura. Mocniej przycisnęła ramię męża. W tym eleganckim tweedowym płaszczu i butach od Churcha był wytworny nie tylko z nazwiska, ale również z charakteru. I w przeciwieństwie do Tommy'ego, nie tykał alkoholu. Było im ze sobą zupełnie niezłe.

Schodami w górę szła akurat Myra Wilkins z dwoma synami. Jak to dobrze, że nie ma tutaj Alison, pomyślała Eliza, ponieważ jej podobieństwo do przyrodnich braci było uderzające. Myra nadal mieszkała w budynku komunalnym. Elizę wstrząsnął dreszcz, kiedy pomyślała, że jej też mogło się to przytrafić. Zatrzymali się na schodach, żeby wymienić kilka zdań, jedna kobieta pocieszała drugą, podczas gdy skrzepowani mężczyźni stali obok. Tommy, jak powiedziała Myra, teraz już w każdej chwili może odejść. Nic nie da się zrobić. Dlatego ona niesie mu pół butelki whisky, o którą prosił, i chciałaby wiedzieć, co Eliza o tym sądzi. Gdyby lekarze to odkryli... Eliza uspokoiła ją, mówiąc, że nie widzi w tym nic złego. Dlaczego nie miałyby dostać trochę, tego, za czym przepada... pewnie mu dobrze zrobi.

– I tak już za późno, żeby mogło mu zaszkodzić – pociągała nosem Myra.

Kiedy Tommy umarł, Eliza, która już wtedy w kwaciarni nie pracowała, poszła tam specjalnie, żeby zrobić dla niego piejmy wieniec. Przynajmniej tyle, pomyślała, może dla niego uczynić. Arthur był trochę zdziwiony jej szczodrym gestem, przyjął jednak do wiadomości wyjaśnienie, że gdyby nie węglarz Tommy, to Bóg jeden wie, jak po wojnie byłaby się w stanie ogrzać.

Wraz ze śmiercią Neli, mojej matki, pochowana została tajemnica życia seksualnego Elizy. Odkopałam ją w dniu, w którym odnalazłam ją w Lichfield i poprosiłam, żeby dla mnie skłamała. I gdyby kiedyś potrzebne było potwierdzenie prawdy, że z wiekiem pamięta się lepiej to, co wydarzyło się kiedyś, niż to, co się stało przed chwilą, to opowieść mojej cioteczki Lizy stanowiłaby tego koronny dowód. Bo ona bez wątpienia czekała bardzo długo, żeby ją opowiedzieć.

– Jakoś mi lżej, kiedy ci to opowiedziałam – oznajmiła. Kładąc dłonie na kolanach, popatrzyła mi prosto w oczy i dodała: – Skłamać dla ciebie, moja droga? Jestem w tym mistrzynią.

Powiedziałam jej więc, co takiego zrobiłam i czego od niej oczekuję. Nie skomentowała mojej opowieści, skinęła tylko głową i wyraziła zgodę.

– Tak, tak – rzuciła całkiem neutralnym tonem. – Przecież jesteś córką Nellie. Rodzina to rodzina. Wszyscy potrzebujemy rodziny. Jak się miewa ta twoja najeżona siostrunia?

– Jest nie do wytrzymania.

– No cóż... swoje widziała.

– Nic o tym nie wiem.

– Lepiej pozostawić to w spokoju.

– I tak nie chciała o tym rozmawiać.

– Człowiek opowiada o wszystkim, kiedy się zestarzeje. Popatrz tylko na mnie. – W jej zmatowiałych, starczych oczach pojawił się uśmiech. – Dobrze było zrzucić z siebie ten ciężar – oświadczyła. – Zachowaj to, co usłyszałaś, dla siebie. Ja zachowam dla siebie to, co usłyszałam od ciebie... – Wstała. – Choć uważam, że postępujesz głupio.

Odprowadziła mnie do wyjścia, stanęła w skromnych drzwiach budynku, a potem, mrugając na pół widzącymi oczyma w ostrym świetle zachodzącego słońca, położyła mi dłoń na ramieniu.

– Dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo – powiedziała. – Rozumiesz, że po prostu nie mogłam tego zrobić.

– Nie mogłaś, skoro nie dość go kochałaś.

– Kochałaś? – spytała, ściskając moje ramię. – Miłość? Wiesz, gdzie Myra skończyła?

Pokręciłam głową.

– W brudnej, starej ruderze w Lewisham. Raz poszłam ją tam odwiedzić. „Wyrwij mnie stąd”, tak mi powiedziała. Oczywiście nie byłam w stanie nic zrobić. Synowie nie przyjeżdżają? „Nie”, odparła, „jeden jest w Australii, drugi nurza się w alkoholu, a gdzie trzeci, nikt nie wie... „Więcej jej już nie odwiedzałam. Widzisz więc... miałam rację. W końcu każdemu potrzebna jest rodzina.

Pomacała mój zakiet, potarła dłonią tkaninę. Przez chwilę znów była moją dawną, snobistyczną ciotką Elizą.

– Niezła jakość – stwierdziła. – Kto by się spodziewał po takiej umorusanej smarkuli, jaką kiedyś byłaś.

Pocałowałam ją i poszłam do samochodu.

– Możesz być pewna – zawołała, machając do mnie – że warto było. Niczego nie zmieniać. –
A potem przyłożyła palec do ust. – Ani mrumru – dodała i weszła do środka.

NIE CZAS NA TAŃCE...

Kiedy skończyłam opowiadać mu całą tą historią, Matthew wciąż leżał nieruchomo, oparty na poduszce, z rękoma pod głową. Ja zaś leżałam na boku, zwinięta w pozycji embrionalnej, dla otuchy mocno do niego przyciśnięta. Poczulałam, jakby przepłynął nade mną jakiś ogromny, zimny cień.

– Wy, kobiety, jesteście niesamowite – oświadczył. – Nie tylko, że możecie wywierać wrażenie swoim ciałem, to jeszcze potraficie przemyślnie wykorzystywać ten fakt. Mężczyzna nie wymyśliłby niczego nawet w ćwierci tak pokrętnego. – Roześmiał się. – Dzięki Bogu, że nie mam dzieci. Cóż za kapitalny kawałek teatru.

– Życia – zauważyłam. – Faktycznie, szokujący. Niektóre rodziny trzymają w szafie filigranowe trupki, a inne prawdziwe giganty.

Nie dodałam, że ja też wnoszą swój wkład do nieskończonego cyklu rodzinnych zdrad i oszustw. Nazbyt to było przygnębiające. Poza tym usiłowałam przetrwać historię ojca i matki, siostry i wreszcie siebie samej. Zupełnie jakbym do tej pory żyła w szkicu ołówkiem, a teraz odnalazła skończony olej. Odłożyłam to wszystko pod rozwagę na później. Kiedy byłam z Matthew, nie starczało już miejsca na nic innego.

– Pragmatyczki, takie jesteście – oznajmił z zadumą. – Realistki.

– Pewnie tak. Bo ledwie ciotka skończyła mi opowiadać tę swoją historię, westchnęła i oświadczyła: „Cóż, trzeba było brnąć dalej. Poza tym, jak bym sobie poradziła przy tym, ile zarabiał Tommy? To było dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo”. I tyle.

– Nieszczęsna łajza – odezwał się po dłuższej chwili.

– Kto? – spytałam oburzona. – Moja ciotka?

– Nie ciotka – odparł, równie oburzony jak ja, i aż usiadł. – Wuj. Wyobraź tylko sobie: jesteś gejem i nie możesz się z tym ujawnić.

Oślupiałam na moment. Przecież to ona przechodziła udrękę i nie miała żadnego wyjścia. A on, przy całym swoim cierpieniu, jakiś wybór miał, nawet jeśli trudny.

– Ale wiedząc to, co wiedział, nie powinien był się w ogóle żenić...

– Ba... ale czy rzeczywiście wiedział? Miałem w ośrodku chłopaków szesnasto – i siedemnastoletnich, którzy nie wiedzieli, co z nimi jest nie tak... a przecież od tamtych czasów minęło już sześćdziesiąt lat.

– Cóż, musiał przynajmniej wiedzieć, że szukanie przyjemności w oglądaniu zdjęć nagich chłopców nie jest czymś zwyczajnym.

– Pewnie uważał, że małżeństwo go wyleczy. Nadal niektórzy uważają, że to możliwe, ale

tak nie jest. Zresztą, przecież nic takiego się nie stało. Kobiety to świetne manipulantki.

Żachnęłam się.

– Niezbyt to miłe.

– Co niby?

– Że takie z nas manipulantki.

– Skoro wolisz eufemizmy – roześmiał się. – Dobrze w kierowaniu sprawami? Nie ma w tym nic złego? Zastanawiam się, czy mogę się z tobą wiązać, skoro w twoich żyłach płynie krew tej ciotki...

– Ona jest moją powinowatą, a nie krewną – odparłam i próbowałam zbyć rzecz śmiechem. Niemniej chłód wywołany tamtym cieniem pozostał. Poczułam, jakbym znalazła się po drugiej stronie lustra, w czymś życiu, które, widziane z tej strony, było zwyczajne i całkowicie poprawne. Takie było do niedawna moje życie.

– Chodźmy już – ponaglał. – Zjemy coś.

I kto teraz jest pragmatyczny? – pytałam w duchu.

Podczas gdy Matthew brał prysznic, zadzwoniłam do Francisa. W brzmieniu jego głosu było coś bardzo uspokajającego. Coś, co na chwilę czyniło rzeczywistość zwyczajną i jednoznaczną.

– Jak było? – spytał.

– Och, nieźle. Zgodziła się przyjechać.

– Cieszę się, że ją wreszcie poznam. Słyszę w twoim głosie zmęczenie.

– Bo dzień był męczący. Ciocia postanowiła się trochę pozwierać i godzinami snuła opowieści. To było dość nużące.

– Trupy w szafie?

Co za intuicja, pomyślałam.

– Wiele trupów – odparłam.

– Wszyscy je mamy.

Słowa zawisły w powietrzu, a moje serce zaczęło nieprzyjemnie kołatać.

– Naprawdę? – wykrztusiłam w końcu.

– Pokażę ci moje, jak mi pokażesz twoje.

– Lepiej z tym ostrożnie – rzuciłam lekko.

Jednak wiedziałam, że on nie ma żadnych. Przynajmniej nic rzeczywiście istotnego. On zresztą podobnie myślał o mnie. Bo jego głos był pełen ufności. Poczucie winy znów wypelzło. W połączeniu z jakimś nagłym poczuciem bliskości. Raptownie nabrałam ochoty do rozmowy.

– W takim razie, pięć minut – oznajmiłam ze śmiechem. I opowiedziałam mu tyle, ile mogłam: o wuju, który najwyraźniej był gejem, i jak to ciotka dała sobie radę, oszczędziłam mu jednak pikantnych szczegółów. Zaletą posiadania męża prawnika jest to, że on właściwie widział i słyszał wszystko. Gdybym powiedziała Francisowi, że ciocia Liza lubi odgryzać głowy fretkom, pewnie nieco by się zdziwił, ale na pewno nie zatkałoby go z wrażenia.

Wysłuchawszy mojej opowieści, oznajmił:

- Wy, kobiety, jesteście pragmatyczkami... to my, biedni durnie, jesteśmy romantykami.
- To właśnie M... – Omal tego nie powiedziałam.
- Co właśnie? – spytał Francis.

Naprawdę chciałam wymówić imię Matthew. Naprawdę chciałam powiedzieć Francisowi: „To właśnie Matthew powiedział”, ponieważ to było tak niezwykle... to podobieństwo pomiędzy nimi dwoma. Moje poczucie winy wzmożło się, kiedy o tym pomyślałam.

Prysznic ucichł, zachlupotała woda w toalecie. Ziewnęłam.

– Moja ciotka – dokończyłam znów czujna – to właśnie powiedziała. – Co, w jakimś sensie, było prawdą.

– Ciekawe, dlaczego opowiedziała ci o tym teraz? – zapytał. – Przecież nieraz miała okazję, kiedy się spotykałyście.

– Pewnie pod wpływem śmierci Cory. – Zupełnie to przeoczyłam; przecież już dawno powinnam była poznać całą przeszłość mojej ciotki! – Poza tym – dodałam szybko – ona mnie lubi. Snobka, która w niej tkwi, podpowiada, że jestem owym lukrem na naszym rodzinnym torcie... skoro poślubiłam takiego wziętego adwokata.

– I słusznie – oświadczył na to.

Otworzyły się drzwi łazienki.

Matthew wkroczył do pokoju, nagi i mokry.

– Porozmawiamy jutro – rzuciłam i odłożyłam słuchawkę. Poczucie winy ulotniło się, krew zaczęła pulsować jak trzeba i jedynie to było ważne.

Nazajutrz, kiedy zaczęliśmy się pakować, Matthew oznajmił, że wykazałam się niezłym sprytem, skoro udało mi się przekonać ciotkę, żeby mnie nie zdemaskowała. Już miałam przybrać dumną pozę, kiedy dotarło do mnie, że w sposobie, w jaki to powiedział, zabrzmiał delikatny ton nagany. Nie myliłam się.

– Po pogrzebie, kiedy wyjedziemy, będziesz musiała podjąć decyzję. Nie czy, ale kiedy. Bo marnujemy tylko cenny czas. Mam tych wybiegów i forteli po dziurki w nosie.

– Mnie one też nie sprawiają przyjemności – wyznałam.

– Nie? – spytał ostro.

– Nie – odparłam.

Jego mina sugerowała coś w stylu „Cóż, takie miałem wrażenie”, ale powiedział tylko:

– Wobec tego nie przeciągaj już sprawy. Dlaczego to robisz?

Przypomniały mi się te dawne czasy, kiedy Evelyn Home prowadziła rubrykę z poradami w „Woman”. Jaka prosta była wtedy moralność. Kiedy On naciskał i mówił: „... Gdybyś mnie kochała, zrobiłabyś to...”, najogólniej rzecz ujmując, rada Evelyn brzmiała: „Pozbądź się tego mężczyzny. Wykonaj w tył zwrot na swojej obleczonej w pończoszkę pięcie i odmaszeruj. Bo gdyby cię kochał, darzyłby cię szacunkiem; gdyby cię kochał, czekałby z TYM spokojnie, aż się pobierzecie”. Tak wówczas mówiła Evelyn. A teraz Matthew przedstawiał mi świat postawiony

na głowie, świat, w którym tradycyjna rola żeńska zostaje zawłaszczona przez jakiś jej postmodernistyczny męski wariant. On bowiem mówił: „Gdybyś mnie kochała, to przestałabyś się z tym kryć i usankcjonowała nasz związek”. Gdzie się podzieli ci niegodziwi mężczyźni, którzy chcieli zjeść ciasteczko i je zachować, wyciąć jeszcze jeden karb na lasce ze złotą rączką. Wpadłam w ramiona mężczyzny, który chciał wszystko robić poprawnie i stosownie, podczas gdy mnie samej potrzebny był tylko archetyp mężczyzny. Nic dziwnego, że faceci byli zdeorientowani. Skoro ja, kobieta, byłam.

W końcu ustaliliśmy, że ja się skoncentruję na wszystkim, co związane z pogrzebem Cory, a tymczasem on zaplanuje i przygotowuje podróż. Wydawało się to dość uczciwym rozwiązaniem. Ja byłam podniecona perspektywą niespodzianek. Zadowolona, że nie muszę o niczym myśleć ani nic planować. Francis lubił bowiem zasiadać i studiować przewodniki, mapy, broszury i roztrząsać, co nam może sprawić przyjemność, a co nie, tak że wyjeżdżając w podróż, zawsze byliśmy dobrze przygotowani. Dotąd mi to odpowiadało. Teraz natomiast, kiedy słuchałam Matthew i dowiadywałam się, jak wyglądają jego podróże, moje wydały się staromodne i asekuranckie. Z niecierpliwością oczekiwałam chwili, w której po prostu wsiądę do samolotu i odlecę.

Popatrzyłam na Matthew. Jego twarz rozjaśniła się prostodusznym uśmiechem. Uśmiechał się jak ktoś, kto nie boi się konfrontacji ze światem. Żadnej przebiegłości. Twarz miał uczciwą i otwartą, jak jasny, ledwo rozkwitły kwiatusek. Lekko przyprószony drobinami irytacji.

– Nie mógłbyś być trochę bardziej podobny do Tommy’ego Wilkinsa? – spytałam.

Źle zrozumiał moje pytanie. Wpatrzył się we mnie z niedowierzaniem.

– Chcesz mieć dziecko? – zapytał.

Pokręciłam głową, ogarnięta nagle ogromnym bólem na myśl o synach, o wnukach, o ich życiu.

– Indie? – spytał, przywołując mnie do rzeczywistości. Skinęłam głową. Był moim szczęściem, tak jak ja jego.

Nie mogliśmy od tego uciec. Będę musiała powiedzieć Francisowi. Skoro niełatwo było pojechać na jedną noc do Lichfield, tym trudniej byłoby pojechać do Indii. A chciałam z nim tam pojechać, bardziej niż można sobie wyobrazić. Trzeba powiedzieć Francisowi. Ale jeszcze nie teraz. Mając w najbliższej perspektywie sprawę pogrzebu jednej ciotki i zajęcia się drugą, znowu skorzystałam z wypróbowanego sposobu kolegi strusia i głąbo zanurzyłam głowę w piasku odwlekania.

ALISON W KRAINIE CZARÓW

Kiedy odbierałam ciotkę Lizę z dworca kolejowego, powiedziała mi, że jeśli będzie miała jakieś trudności z Francisem, to po prostu zagra zbikowaną staruszkę. „Którą zresztą do pewnego stopnia jestem, moja droga”. Potem zapytała, czy na pogrzebie będą jacyś panowie stanu wolnego. „Odpowiedni panowie – dodała. – Dystyngowani”. Odpowiedziałam, że nie sędzę. „Szkoda – powiedziała. – To by była dobra nauczka dla tamtego łajdaka”.

Niezła zawodniczka, pomyślałam. Po osiemdziesiątce i wciąż jej to w głowie. Jednocześnie jakaś część mnie zatęskniła nagle za czasem, w którym tego rodzaju pragnienia już mnie nie będą dotyczyły. W tej chwili wydawało się to bardzo odległe. Miałam przed sobą perspektywę zaledwie kilku dni bez spotkań z Matthew, a już zaczynało mi go brakować.

Zapięłam jej pas i ruszyłam.

Kiedy włączyłam się do ruchu, zaczęła się rozglądać.

– Mam pojechać przez centrum? – spytałam.

– Tak, proszę – odparła bez chwili wahania. – Pojedź przez Park Lane. Lubię tę okolicę. – Rozsiadła się wygodnie. – Ładny samochód – zauważyła. – Drogi.

Jechałyśmy, a ona rozglądała się wokół i wykrzykiwała na temat tego i owego. Zauważała, co się zmieniło, a co nie, przywoływała wspomnienia.

– No tak, tam był pub, a tamto było sklepem z sukienkami, gdzie chodziliśmy czasem z twoją matką... teraz wszędzie elektryczność. Och, ta twoja matka. Gdyby tylko miała odrobinę więcej rozsądku.

Zatem wróciła do formy. Możliwe, że pod wpływem widoku ulubionych miejsc. Cóż, równie dobrze mogłyśmy się bawić w tę grę obie. Zaproponowałam, żebyśmy się zatrzymały w hotelu Dorchester i zjadły lunch.

– Zabrałam tam matkę – dodałam. – Z okazji sześćdziesiątych urodzin. Doskonale się tam czuła.

Ciotka uniosła brew i ściągnęła usta.

– Lepiej już jedź prosto do domu – poradziła. Wydawało mi się, że zareagowała, jakby była urażona, ale może to tylko moja wyobraźnia.

Po przyjeździe do domu czekała mnie nieunikniona, ciężka próba nerwów. Francis obchodził się z ciotką, jakby była z delikatnej porcelany. Tyle mu naopowiadałam o jej kruchości, wrażliwości i lęku przed mężczyznami, a ona, bez najmniejszych oznak podenerwowania, zawstydzona czy skłonności do mizantropii, wręczyła mu laskę i wtoczyła się do domu przed nim, obdarzywszy go – trudno o lepsze określenie – taksująco chytrym łypnięciem. Spojrzał na

mnie przez ramię zdumionym wzrokiem. A potem, żeby jeszcze pogorszyć sytuację, rozgadała się na temat wielkiego kapitału zainwestowanego w nasz dom oraz zgromadzonych w nim cennych przedmiotów.

– Och – westchnęła – kiedy człowiek pomyśli, skąd Dilly wyszła...

Francis posłał mi kolejne spojrzenie.

– Twoja matka nigdy nie miała podłóg przykrytych luksusowymi wykładzinami dywanowymi od ściany do ściany. A ten żyrandol... cóż, teraz nie masz problemów z szylingiem do licznika prądu, prawda?

– Nie – wyszeptałam żałośnie.

Francis uśmiechnął się do mnie. Po czym, z tym charakterystycznym dla siebie wdziękiem przemieszanym z ironią, której ciotka nie dostrzegła, powiedział:

– Ona mnie sporo kosztuje, Elizo. Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Ci, którzy nic nie posiadali, zawsze przesadzają – skonstatowała.

Ruszyła przed siebie, podziwiając wszystko po drodze. Potem zatrzymała się przy lustrze, pochodzącym zresztą z Wenecji. Poglądziła palcami brzeg złoconej ramy.

– Jak możesz w ogóle myśleć o zostawieniu tego wszystkiego, moja droga? – rzuciła przez ramię.

Francis obdarzył mnie jeszcze bardziej zdezorientowanym spojrzeniem. Ja wzruszyłam jedynie ramionami, wznosząc oczy do nieba. Postukałabym się przy tym znacząco w czoło, gdyby nie to, że patrzyła właśnie w lustro i pewnie by to zobaczyła.

Najważniejsze było dopilnowanie, żeby miała przez cały czas jakieś zajęcie, tak by Francis nie wdał się z nią w niewinne pogaduszki. Trudno byłoby kłaść wszystko na karb starczego dzieciennienia, a ja wprost oblewałam się potem na myśl, że mogłaby się nachylić ku niemu i całkiem zwyczajnie powiedzieć, że ostatni raz przed Lichfield widziała mnie, kiedy nosiłam szkolny mundurek... Byłaby to prawdziwa niespodzianka dla Francisa. Ze strachem wyobrażałam sobie, jak proponuje jej Białą Damę, „wiem, jak ją lubisz”, a ona odpowiada, zgodnie z prawdą zresztą, że nie znosi alkoholu pod żadną postacią i w żadnych okolicznościach, a jedyne, na co sobie bardzo rzadko pozwala, to odrobina sherry.

Wizyta w sklepie ze zdrową żywnością wydawała się bezpiecznym rozwiązaniem. Przedstawiliśmy Johna jego ciotecznej babce, a Petra była zachwycona, kiedy ciotka, stanąwszy w progu, pociągnęła nosem raz i drugi i oznajmiła z tą swoją specyficzną, staranną wymową wielkiej damy:

– Ach... pachnie tu tak, jak niegdyś pachniało w wytwornych sklepach.

Potem zabrali ją do siebie na herbatę; Petra podała stosowny gatunek – wysokiej klasy „siki Weroniki” – bardzo przez gością wychwalany.

– Jakość – oznajmiła ciotka z rozanieloną miną. – Jakość.

Zachwyliła dziewczynki, pokazując im, jak zrobić kwietną tiarę z kilku róż i liści z ogrodu oraz z kawałka drutu. Były oczarowane. A ja wykończona.

Wszystko to było bardzo subtelne i wytworne, niemniej ledwo to wytrzymałam. W każdej chwili Francis mógł odkryć prawdę. Ostatecznie na tym między innymi polegała jego praca. Jej uwaga „No cóż, mój drogi, jak nie będzie cię chciała, to zawsze może oddać cię mnie... „ wywołała dziwny błysk w jego oku, a ja poderwałam się z miejsca i zaczęłam nerwowo obijać się po pokoju. Tak zachowywali się w dawnych latach ojcowie moich niektórych koleżanek, kiedy na ekranie telewizora pojawiła się scena choćby delikatnie erotyczna.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczyma.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Och, to jego zatroskane i kochające spojrzenie. Jakże chciałam się tego pozbyć.

Naszą liną ratowniczą był telefon. Matthew ciężko to wszystko znosił. Nic w tym zresztą dziwnego. Gdybym była nim, wychodziłabym pewnie ze skóry. Miał prawo czuć żal. Nie wiem, który to już raz powiedział:

– Kochamy się, dlaczego więc nie jesteśmy razem? – i dodał: – W przyszłym tygodniu idę na ślub. Nie mogę cię zabrać. Człowiek czuje się samotnie, prowadząc takie połowiczne życie.

– To już ostatni raz – obiecałam. Moje serce przepelniały obawy. Ślub oznacza, że będzie wesele, a na weselach ludzie zazwyczaj dużo piją i flirtują. I mój Matthew, bez towarzyski, do wzięcia, taki samotny... Do tego tak boleśnie odczuwałam jego brak. Nie ma powrotu do małżeńskiej doliny zdrowia. – Jak tylko to się skończy – dodałam. – Obiecuję.

– Dobrze – oświadczył z przekonaniem. – Bo czeka nas życie, które trzeba przeżyć. Wspólnie.

Stałam w ogrodzie z telefonem przyklejonym do ucha, przykuta do miejsca tym jego ostatnim stwierdzeniem, kiedy z domu wyszedł Francis. Powiedział, że wyglądam, jakbym ujrzała ducha.

Dwie przyjaciółki ciotki Cory z Norfolk, obie po osiemdziesiątce, koniecznie chciały przyjechać, żeby oddać jej tę ostatnią posługę. Francis i ja gościliśmy je w wieczór poprzedzający pogrzeb – czym bowiem była jeszcze jedna para staruszek w tym szaleńczym wirze, jakim stało się obecnie moje życie? Poza tym ich obecność była przydatna – dzięki nim rozmowy nie zbaczały na niebezpieczne tory. Czy to możliwe, że za trzydzieści lat sama będę zdolna mówić tak dużo i tak szybko? Oczywiście najważniejszym tematem była śmierć ciotki Cory. Wybrały się na wycieczkę grupową nad morze i ona po prostu zasłabła i umarła. Pomimo szczerzego żalu z powodu jej śmierci obie panie wydawały się odrobinę rozzłoszczone. Jedna z nich, Susannah, oznajmiła, że one wszystkie chciałyby w taki sposób odejść. Z logiczną implikacją, że Cora zwinęła im sprzed nosa ostatnią ku temu sposobność i jedyne, co im zostało, to długie i żmudne umieranie.

– To cudowne mieć ponad osiemdziesiątkę i brodzić sobie w morzu – zauważyłam.

– Nigdy z niczego nie rezygnuj – poradziła mi Susannah. – Kiedy będziesz w naszym wieku, przypomnisz sobie te wszystkie nie wykorzystane okazje i będziesz się zastanawiać, gdzie się one podziały.

Nie były to akurat słowa, które chciałam usłyszeć.

Francis, na którego patrzyły z uwielbieniem, oświadczył, że właśnie dlatego zamierza przejść na emeryturę, póki jest w dobrej formie.

Tego też nie chciałam słyszeć.

– Straciłyśmy mężów, ale odnalazłyśmy siebie – stwierdziły zgodnie.

– Jeszcze jest czas, żeby znaleźć ukochanego – ocenił.

– Ależ nie – zarzekały się, robiąc wrażenie wstrząśniętych.

Spojrzał na mnie i mrugnął.

– Ależ tak – rzuciłam ni stąd, ni zowąd.

– Nie, jeśli się jest szczęśliwym w małżeństwie! – zaprotestowała Susannah, tym razem szczerze wzburzona.

– Jasne, że nie – przyznałam, wymawiając te słowa dziwnym, wysokim głosem, który, jak mi się wydawało, nie należał do mnie. Na wszelki wypadek unikałam oczu Francisca.

– Niektórzy – zaczaj prowokująco – twierdzą, że posiadanie ukochanego na boku podtrzymuje więź małżeńską...

Starsze panie robiły wrażenie jeszcze bardziej zaszokowanych... i zachwyconych. Z kolei ja starałam się zachować minę starszej pani.

Wszystko to było bardzo kokieteryjne i figlarne. Prosiły, żeby przestał mówić podobne bezceństwa, po czym same podprowadzały go do dalszych żartów w tym samym stylu.

– Dzięki miłości zachowujemy młodość i urodę – oznajmił. I puścił do nich oko. Wyglądało to okropnie. Ale one były jeszcze bardziej zachwycone. W sumie osądził je prawidłowo. Czemu, zważywszy na jego zawód, nie należało się zbyt dziwić.

Zgromadziliśmy się wszyscy nazajutrz. Bliskich krewnych było niewielu. Spowodowane to było jakimś związanym z pieniędzmi rodzinnym konfliktem oraz rozproszeniem potomków Smartów po świecie. Byłam wdzięczna losowi. Im ich mniej, tym lepiej dla mnie. Oczywiście były tam córki Cory, Lucy i Pauline, wraz z mężami, Frankiem i Kennethem; był też syn Lucy George z żoną i z dziećmi. John i Petra nie mogli się stawić, bo przewodniczyli gdzieś jakiemuś wydarzeniu związanemu ze Stowarzyszeniem Upraw Ekologicznych. No i bardzo dobrze, ponieważ ostatnio również w ich towarzystwie czułam się dość nieswojo. Było też kilkoro jakichś kuzynów, których pamiętałam jak przez mgłę, a kilka innych osób było nie znanymi mi przyjaciółmi lub znajomymi z przeszłości Cory. I właśnie w momencie, w którym miały się rozpocząć egzekwie, kiedy zaczęła już przycichać melodia „Ślubuję ci, moja ziemię”, usłyszałam za sobą jakieś szuranie. Odwróciłam się i zobaczyłam niewysoką blondynkę, nieco ode mnie młodszą, w bardzo szykownym, czarnym kapeluszu z woalką. Zajmując miejsce w ławce, ostentacyjnie zaczęła opuszczać woalkę na twarz. Pomyślałam sobie, że wygląda to wszystko nieco zbyt teatralnie, i zastanawiałam się, kto to może być. Na pewno nikt z rodziny. Nie było w niej zupełnie nic ze Smartów.

Uroniono kilka łez, trumna zniknęła i podczas gdy śpiewaliśmy ostatni już hymn „Wszystko,

co jasne i piękne”, ciocia Liza nachyliła się ku mnie i oświadczyła, że kwiaty są wyjątkowo niegustowne.

W końcu podeszliśmy, żeby popatrzeć na te wyjątkowo niegustowne kwiaty, wieńce i wiązanki ułożone w porządne, równe rzędy – dziwny zwyczaj, jak zawsze uważałam, sprzyjający współzawodnictwu – a potem, by się obejmować i otrzeć łzę, a w końcu, by udać się do domu Pauline na poczęstunek. Ciotka ujęła pod rękę najpierw Francisa, potem mnie i rozpoczęliśmy spokojną wędrowkę w kierunku auta, kiedy – w zamęcie woalek, czarnych skórzanych rękawiczek i perfum – nadbiegła ta ostatnia z przybyłych na pogrzeb osób i porwała ciotkę w ramiona.

– Mamusiu – zawołała, a jej wymowa była jeszcze bardziej piskliwą wersją charakterystycznej wymowy cioci Lizy. – Z trudem zdążyłam. A ci mili państwo to na pewno moja kuzynka Dilys... – tu zrobiła teatralną przerwę i dokładnie naśladowując matkę, dodała: – ... i na pewno jej mąż.

– Moja najmilsza – przywitała ją ciocia Liza głosem, jakiego nie słyszałam od dzieciństwa. – Najmilsza Alison. – Ciocia Liza wróciła do wzniosłego stylu sprzed lat.

Ucałowały się jak aktorki na scenie, po czym najmilsza Alison odstąpiła na bok, pozwoliła matce przejść, a sama poprawiła zawadiacko przekrzywioną woalkę. Kiedy ucałowałam moją kuzynkę, stwierdziłam ze zdumieniem, że jest podpita. Najwyraźniej dotarła pociągiem z Kettering do stacji Streatham Hill, a stamtąd ktoś ją podwiózł do kościoła. Teraz też założyła, że może liczyć na podwiezienie.

– Nie prowadzę ostatnimi czasy – oznajmiła wyniośle. Pomyślałam, że wiem dlaczego.

– Mamusiu – wyrzuciła z siebie – czy oni dbają o ciebie? Poczułam, że mnie ponosi. To słówko „oni”. Zupełnie jakby przeszłość nigdy nie odeszła, zupełnie jakbym była jakąś tępą, obcą osobą, bez pieniędzy i bez własnego miejsca, która przypadkiem znalazła się w przeznaczonym tylko dla nich świecie. Ona mnie po prostu skreślała.

Już miałam coś odszczeknąć, kiedy ciotka udzieliła jej odpowiedzi.

– O tak. Jak o królową, Ally – powiedziała tym swoim dziwnie zduszonym głosem, który pamiętałam z dzieciństwa, takim, który, jak określiła to moja babka, powstaje w jej tyłku i przebywa długą drogę, zanim się wydobędzie na zewnątrz. – Twoja kuzynka Dilys naprawdę wysoko zaszła w świecie.

Kuzynka Dilys trzymała tymczasem buzię na kłódkę z obawy przed powiedzeniem czegoś bardzo impertynenckiego. W myślach powtarzałam jedynie: Dzięki Bogu, że Virginia tego nie słyszy, bo mielibyśmy dwie staruszki na stosie pogrzebowym. Za każdym razem, kiedy nadają tamte dawne Orędzia do Narodu, słyszę, jak ciocia Liza mówi: „Herbatkę pijać mogę jedynie z cienkiej porcelanowej filiżanki”. Przynajmniej Celia Johnson i nasza droga królowa uważały za stosowne porzucić tamten sposób mówienia i zaczęły używać języka dwudziestego pierwszego wieku... Coś, co się najwyraźniej udało nawet najmilszej Ally.

– Świetnie – zaświergotała Alison. – Doskonale, mamusiu. Uczępiła się wolnego ramienia

Francisa i wszyscy razem ruszyliśmy do samochodu.

– Bardzo atrakcyjny – oznajmiła kuzynka zdumionym tonem, kiedy wsiadaliśmy.

Miała na myśli samochód albo mojego męża, albo też mój płaszcz. Trudno mi było odgadnąć. Jednak po chwili już wiedziałam. Ściągnęła bowiem swoją cieniutką skórzaną rękawiczkę i ścisnęła rękaw mojego płaszcza, dokładnie w taki sam sposób, w jaki jej matka potraktowała moją spódniczkę.

– Kto by się tego po tobie spodziewał, Dilys? – I zaniósła się głębokim, ryczącym śmiechem.

– Pamiętasz tamto paletko... Boże, ależ ty wtedy wyglądałaś...

Zastygłam. Zwyczajnie nie mogłam się ruszyć. W żadną stronę. Nie rozumiałam dlaczego. Wiedziałam jedynie, że nagle mam znowu osiem lat i że jestem traktowana protekcyjnie, nawet jeszcze nie wiedząc, że takie słowo istnieje. Jestem znowu uboga, mam na sobie stary przeciwdeszczowy płaszcz Ginny, sięgający mi do kostek. Pasek od niego zagubił się już wcześniej i matka dała mi inny: plastikowy, niebieski. Na nogach mam ciasne trzewiki. Jestem na stacji Finsbury Park, skąd mnie odbierano, i Alison, w uroczym płaszczyku z aksamitnym kołnierzem, naśmiewa się z mojego okrycia. Trudno wyzbyć się starych przyzwyczajęń. Żeby nie okazać, jak przykre jest mi to wspomnienie, a także dlatego, że moja kuzynka stała bez ruchu, pomogłam cioci Lizie wsiąść do auta i usadowić się na tylnej kanapie. Kiedy podniosłam oczy, zauważyłam, że Alison zamierza wślizgnąć się na przedni fotel, obok Francisa. Spojrzenia moje i męża spotkały się. To, co wyczytał w moich oczach, kazało mu się mieć na baczności.

– W porządku? – spytał lekko.

Z niespodziewaną wściekłością pociągnęłam Alison za rękę, a następnie pchnęłam bardzo stanowczo na tył auta, gdzie nieco rozmamłana klapnęła obok matki. Chyba w ogóle nie zauważyła gwałtowności mojej reakcji. Podniosłam rękawiczkę, którą upuściła, z trudem się powstrzymałam, żeby jej nią nie spoliczkować, po czym zajęłam należne mi miejsce. I wreszcie się uspokoiłam.

– W porządku? – spytał Francis ponownie, kiedy zamknęłam drzwi.

– Wyśmienicie – odparłam, bardzo głośno. I dodałam jeszcze głośniejsze: – Jeszcze tylko zsunę ten płaszcz z mieszanki wełny i kaszmiru na oparcie fotela i wtedy będzie już całkiem wyśmienicie...

Nie sądzę, by cokolwiek z tego dotarło do najmilszej Ally. Do mojego męża i owszem. Jak już powiedziałam, nie jest głupcem.

– Och, Dilys – rzucił pełnym uczucia głosem. – Nie powiedziałaś jeszcze, z czego jest podszewka.

Samochód ruszył, kto wie, dokąd nas wszystkich unosząc.

– I czymże się zajmujesz, Frank? – spytała moja kuzynka, wychylając się tak daleko do przodu, że szczerze mówiąc, prawie lizała jego ucho.

– Francis – poprawiliśmy unisono. On łagodnie. Ja gniewnie.

– Pamiętasz, jak Carole próbowała nazywać mnie Frankie? – spytał lekko. Po czym

zwracając się przez ramię do mojej kuzynki, oznajmił: – Nawet najlepszej przyjaciółce Dilys nie wolno było tak mnie nazywać.

– O – tyle tylko zdołała wystękać Alison, która poczuła się zakłopotana albo skruszona.

Tymczasem mnie znowu ogarnęło dawne poczucie niższości, które oznaczało, że cokolwiek bym miała, niewarte było posiadania, a jeśli nawet było warte, to jacyś tajemniczy, lepsi ode mnie oni mieli do tego większe prawo. Odzywała się we mnie feudalna mentalność moich chłopskich przodków; nic tak naprawdę nie było moje, bo wszystko należało do bogacza. Rozmawiając z moim mężem w sposób tak poufały, kuzynka mnie poniżała. A co gorsza, ja nadal czułam się bezbronna.

A Francis czytał jak w otwartej księdze. Odpowiedział jej zatem w ten jedyny stosowny sposób.

– Czym się zajmuję, kuzynko Alison? Cóż... zarabiam pieniądze, furę pieniędzy – uśmiechnął się do niej w lusterku wstecznym – którymi potem obsypuję swoją ukochaną połowicę.

Cofnęła się, wyglądała na wyraźnie dotkniętą, a jednocześnie zdumioną. O, tak. To na pewno do niej dotarło.

– A ty? – spytał Francis. Uświadomiłam sobie, że całkiem dobrze się bawi... nawet jeśli robi to tylko ze względu na mnie.

– Och, ja odziedziczyłam wszystko po ojcu. Był biznesmenem – wyjaśniła.

– W jakiej dziedzinie?

– Kwiatowe dekoracje wnętrz – odparła bez chwili zwłoki.

Ciotka, co widziałam w lusterku, nawet nie mrugnęła.

– Tak więc nie muszę się niczym zajmować – ciągnęła radośnie Alison.

Albo też nie możesz, pomyślałam, jednak z szacunku dla niektórych obecnych zachowałam ewentualny komentarz dla siebie.

Ciotka zerknęła na mnie, a ja na ciotkę. Miała niezwykle szczęście, że Alison była do niej trochę z wyglądu podobna. Bo za diabła nie można się było w niej doszukać nic z wuja Arthura.

Tajemnice, myślałam. Nasze na pewno są bezpieczne. Bo obie zachowamy sekret tej drugiej wyłącznie dla siebie. Niemniej, męczyło mnie wspomnienie tamtego płaszcza. Ba... tak naprawdę, to bardziej niż męczyło. Dosłownie piekło. Skupiało w sobie wszystko. Wstyd, niepewność, samotność. Myślę, że gdyby jeszcze wspomniała tamte trzewiki, rzuciłabym się jej do gardła. Tamte ciasne, niezwykle ciasne trzewiki. Ta męczarnia. Nosiłam je cały czas, codziennie, i nie powiedziałam nikomu, przez ten cały czterodniowy pobyt, że zrobiły mi się pęcherze na palcach. Musiałam znosić w milczeniu takie cierpienie; teraz uważałabym się za jakąś małą świętą, ale wtedy nic jeszcze nie wiedziałam o świętości. Dzieci jednak mają instynkt, a mój mi podpowiadał, że jeśli poskarżę się na te trzewiki, to zawiodę własną matkę. Dla niej ubóstwo było powodem wielkiego wstydu. Wstyd natomiast wywoływał u niej gniew. „Albo te, albo żadne”, oświadczyła ze złością, wciskając je na moje stopy. Jaki sens miały narzekania,

skoro nie było innej możliwości?

Kobiety z mojej rodziny zawsze miały problemy ze stopami. Być może adidas (które matka Francisca nazwała pogardliwie obuwem ortopedycznym, kiedy zobaczyła je w Nowym Jorku, gdzie zabraliśmy ją przed laty) zlikwidowały te męczarnie, ale nie dotyczyło to mojego pokolenia. Jeśli pod koniec życia jakaś konkretna część ciała może świadczyć o wcześniejszym ubóstwie kobiety, to są nią stopy, które powinny być drobne, wysklepione, różowiotkie i niezbyt szerokie. Stopy damy. Moje są szerokie, płaskie, odrobinę zrogowaciałe, nieco halluksowate, wątpliwie ozdobione paroma nagniotkami; przez lata dorastania wciskane były w marne, niedopasowane, noszone po innych buty. Nie są tak zniszczone jak stopy matki czy babki, bo jednak od pewnego momentu dzięki pieniądзом przestały być źle traktowane. Niemniej stanowią pewną pamiątkę.. Zgrabne stopy świadczą o wysokiej pozycji społecznej, zupełnie jak małe, krępowane stopy w przedmaoistowskich Chinach. Stopy ciotki Lizy były w niezłej formie, jako że wychowała się we względnym dobrobycie, jednak piękne na pewno nie były. Natomiast Alison miała stopki kształtne, długie, wysmukłe, różowiotkie, a kiedy chodziła boso, każdy palec układał się doskonale, ani śladu odcisków czy halluksów. Wiem, bo zapamiętałam je z dzieciństwa. Ona miała stopy księżniczki. Ja – nędzarki.

– To co, zatrzymasz się u nas? – spytałam.

– Nie macie nic przeciwko temu, żeby mnie przenocować?

– Ależ skąd – oświadczyłam, całkowicie zgodnie z prawdą. – Odwdzięczę ci się za te wszystkie sytuacje, kiedy opiekowałaś się mną, jak byłam mała.

– O tak – rozczuliła się. – Tak ci to było potrzebne. Pamiętasz, że zawsze przyjeżdżałaś zawszona?

Ciocia Liza zasnęła. Głębokim snem. Alison podłożyła coś pod głowę matki w zagłębieniu pomiędzy oknem i oparciem kanapy i wyglądało na to, że jest jej tam dość wygodnie. Od czasu do czasu pochrapywała tylko dystygowanie.

– Śpi jak kamień – oświadczyła kuzynka, wyjątkowo teraz ożywiona.

Gawędziliśmy o tym i owym... kiedy pojawił się nagle temat jej małżeństwa. Powiedziałam, że przykro mi z powodu jej rozvodu.

– Och – rzuciła niedbale – lepsze to, niż tkwić przy kimś, z kim się nie ma ochoty być. Poczekalam, aż tato odejdzie. Nie zniósłby tego. Uważał, że skoro człowiek wziął ślub, to ma się tego trzymać, na dobre i na złe.

– Naprawdę? – spytałam. Francis trącił mnie ostrzegawczo w bok.

– Owszem. Wyjść za męża za obcokrajowca to jedno, rozwieść się to zupełnie co innego. Lata całe przyzwyczajał się do nieszczęsnego faceta, żeby chociaż móc pójść z dziećmi na zakupy, tak że sama myśl o rozwodzie... W każdym razie... Farouk ojca nie lubił. Mówił, że jest w nim coś, co nie budzi zaufania. Naturalnie dokładnie to samo powiedział ojciec o Farouku, kiedy go pierwszy raz przyprowadziłam do domu. Ach, ci mężczyźni.

– Co powiedziała matka, kiedy go przyprowadziłaś? Alison zarechotała radośnie.

– Och, po prostu zaczęła wszystkim opowiadać, że jest księciem. I że jest bogaty... co zresztą było prawdą. Problem w tym, że miał tę samą słabość, co twój ojciec.

Wyprostowałam się. Francis położył dłoń na moim ramieniu.

– O jakiej konkretnie słabości mówisz, Ally? – spytałam bardzo spokojnie.

– Och, o hazardzie – odparła i dodała lekkim tonem: – Nie musisz się przejmować... nigdy nie pił alkoholu ani mnie nie bił. A już na pewno nie był żonaty z inną. – To ostatnie zdanie wręcz wyrzeszczała.

– No cóż – oświadczyłam spokojnie – ojcowie potrafią być prawdziwym kamieniem u szyi, prawda?

Ponownie delikatne muśnięcie dłoni Francisca. Miałam ochotę wrzasnąć jak ona, powiedzieć mu, że jestem dorosła, żeby dał mi spokój. Zamiast tego odsunęłam się trochę od niego. Niech tylko ona dalej tak się zachowuje, pomyślałam, niech tylko dalej się tak zachowuje... Na szczęście dała spokój.

– Niestety niewiele tego zostało, kiedy doszło do rozwodu. – Opadła ciężko do tyłu.

– Byłaś w trudnej sytuacji finansowej?

– Och, nie – wyznała z zadowoleniem. – Miałam, co trzeba, po tacie. Ale pieniądze to nie wszystko, prawda?

Spróbuj bez nich pożyć, pomyślałam.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Alison się zdrzemnęła. Ja myślałam o Matthew. Nieustanny lęk – jak długo jeszcze zechce czekać, podczas gdy ja mitręzę czas w małżeństwie? Już niedługo. Przecież powiedział: „Czemu by nie odwrócić tej sytuacji? Wyobrazić sobie, że ja jestem kobietą, a ty mężczyzną. Czy wówczas byłoby ci tak trudno zrozumieć, o co mi chodzi?” To właśnie był ten jego świat, inny niż świat z dawnych porad Evelyn Home. Matthew miał rację. Przecież tak wielu żonatyh mężczyzn przewinęło się przez życie Carole, ale żaden z nich nie dowiódł swojego uczucia, porzucając dla niej żonę.

Gdybym tylko spotkała kogoś mniej inteligentnego i mniej wrażliwego. Kogoś, z kim mogłabym się pobzykać i odejść, i spotkać ponownie, kiedy bym była napalona. Nie zaś takiego Matthew, który był nieporuszony niczym kolos moralności. Pomiedzy nim a Francisem czułam się jak wyciśnięta, wyschnięta wredna starucha, podczas gdy oni byli tacy szlachetni i rycerscy. Nie mogłam rozwinąć skrzydeł i pokazać w pełni mojej niegodziwej natury, bo ci dwaj mi na to nie pozwalali. A przecież historia pokazuje, ile w nas podłości!

Alison obudziła się raptownie, wychyliła do przodu i rzuciła w przestrzeń pomiędzy fotelem moim i Francisca:

– W każdym razie mam teraz wspaniałego przyjaciela. Przyszedł, żeby mi naprawić centralne ogrzewanie i... cóż... jakoś tak samo z siebie...

– Skąd wiedziałaś, że to miłość? Podobał ci się sposób, w jaki chwycił kolanko?

– Dilys – hamował mnie Francis.

– Och, miłość... – powiedziała lekceważąco, jakby myślała o wczorajszym budyniu. – Nie o

to chodzi... on się po prostu wprowadził. Niezłe ciało. Teraz rozumiem, dlaczego Ginny wybrała Bruce'a. Hydrauliccy są seksowni...

Jedyne, o czym byłam w stanie w tej chwili myśleć, to że nawet najmilsza Ally, z tą swoją zniszczoną wątrobą, mogła poznać kogoś przy tak mało romantycznej okazji jak naprawa centralnego ogrzewania i zainstalować go u siebie bez tych wszystkich wybiegów, bez tego całego nerwowego zamieszania – tego całego niczym nie wynagrodzonego poczucia braku. To niesprawiedliwe, całkowicie, bezgranicznie niesprawiedliwe.

Alison śmiała się.

– Mój syn też go lubi – mówiła. – A propos, chłopak jest gejem... Kiedy był mały, tata ciągle się na niego wściekał. Próbował zmusić go do gry w piłkę i do różnych zabaw na świeżym powietrzu. A mały chciał się jedynie stroić. Znałaś tatę. Cenił sobie męskie towarzystwo.

Francis i ja przelknęliśmy ślinę.

– Dilys – ostrzegł mnie.

– I... eee... czy twój ojciec to ostatecznie zaakceptował?

– Skąd. Zresztą nikt tego nie oczekiwał. W każdym razie mój syn będzie kiedyś wielkim projektantem mody. Dosłownie kipi talentem. – I ponownie przysnęła.

– Przerazająca kobieta – szepnął Francis.

– Powiedziałabym, że niezła córeczka tatusia.

Roześmiał się.

– I mamusi.

Kiedy dojechaliśmy do domu, Alison znowu miała błyszczący wzrok i była pełna werwy. Ostrożnie obudziłyśmy ciotkę i bez najmniejszego zamieszania położyłyśmy ją do łóżka. Niewiele do niej docierało; była wykończona.

– To cudowne z twojej strony, że się tak nami zajmujesz, Dilys – zdążyła powiedzieć. – Gdyby tylko twoja biedna matka mogła cię teraz zobaczyć...

Jej ostatnie słowa, kiedy już siedziała na brzegu łóżka, a ja ściągałam jej pantofle, brzmiały:

– Hmm. Ładna lampa. Chyba go jednak nie zostawisz, moja droga?

Pocałowałam ją na dobranoc. Dzięki Bogu, jutro wyjedzie i niebezpieczeństwo minie.

Tymczasem na dole Francis zaoferował Alison kieliszek koniaku przed snem. A potem jeszcze jeden. Sądząc po ilości nalewanego trunku, można by pomyśleć, że zamierza ją uśmiercić. Nie miałabym nic przeciwko temu. W rezultacie padła. Po prostu padła. W połowie zdania. W jednej chwili siedziała wyprostowana, składając zrozumiałą, jeśli nawet powolnie wygłaszaną deklarację, o treści związanej z jej niejasnym podejrzeniem, że Francis zamierza ją upić – doprawdy, godna zazdrości umiejętność dedukcji – by w następnej paść bezwładnie na bok, niczym szmaciana lalka. Nie było mi jej żal. Ona już swoją szansę miała. Poza tym było w niej coś twardego – jakaś obojętność wobec całego świata – i nie miało to nic wspólnego z alkoholem. To był egoizm, postrzeganie siebie jako ośrodka wszystkiego. Miała to we krwi. Dopóki nie pojawiła się znów w moim życiu, nie miałam pojęcia, ile zła wyrządziły ona i jej

matka.

Kiedy przenieśliśmy ją na łóżko, kapelusz zsunął się jej komicznie na oczy, a zmiętoszona woalka okręciła wokół jednego ucha. Ściągnęłam jej to nakrycie głowy, rzuciłam na podłogę i podeptałam. Francis schylił się, podniósł je i ułożył porządnie na toaletce.

– Już lepiej? – spytał. Alison cicho pochrapywała.

Ciotce znakomicie udawało się nie dostrzegać zamięłowania córki do alkoholu. Stało się to oczywiście zaraz po ceremonii pogrzebowej, w domu Pauline. Najwyraźniej w ogóle nie zauważyła, ile najmilsza Ally wlewała w siebie, i zupełnie nie zdziwił jej fakt, że córeczka zasnęła na kanapie kuzynki.

– Wcześniej wstała, żeby tu przyjechać – oznajmiła ciocia Liza – i dlatego musi chwilę odpocząć.

Później, kiedy ją obudziłam, bo już był czas do wyjazdu, spytała, czy nie mogłabym dać jej odrobiny perfum. Wręczyłam jej flakonik Arpege, a ona wzięła go do ręki, popatrzyła na nazwę, po czym zrobiła tak zaskoczona minę, że prawie rozplakałam się z wściekłości.

– Waliła na odlew i nie był to tylko rezultat wypitego alkoholu – skarżyłam się Francisowi, kiedy rozbieraliśmy się przed snem. – Nadal jestem obolała.

– Posłuchaj – uspokajał mnie Francis – to wszystko się skończyło. Jesteś tutaj i nie jesteś już tamtym dzieckiem. Nie zwracaj uwagi na najmilszą Ally; ona nie może ci już dopiec.

Pomyślałam, z ponownie odkrytą goryczą: Co on może o tym wiedzieć? I, co dziwne, żałowałam, że nie było tam mojej siostry. Ona by zrozumiała. Rzeczywiście, jako dziecko byłam uodporniona na wszelkie prawdziwie silne uczucia, ale teraz odczuwałam tego skutki. Zaczęłam rozumieć, dlaczego Virginia nie była w stanie wybaczyć.

Położyłam się z uczuciem, jakbym cały dzień spędziła w okopach nad Sommą. Francis przysunął się do mnie. Pachniał mydłem, spokojem i domem.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powtórzył.

– Nie będę – obiecałam. Chciał mnie objąć, ale odsunęłam się i odwróciłam do niego plecami. Pragnęłam Matthew, który pachniał wszystkim, co niebezpieczne, godne pożądania i wolne; udałam, że śpię.

MAŻ IDEALNY

Nazajutrz od rana byłam rozdrażniona. Miałam nadzieję, że uda mi się odwieźć naszych gości, każdą z pań osobno na jej stację, a potem ruszyć na spotkanie z Matthew. Tymczasem Francis koniecznie chciał być pomocny. „Oczywiście jadę z tobą”, oznajmił. I tyle. Czułam się pokonana, przemęczona, zbyt rozchwiana emocjonalnie, żeby przedstawić jakieś sensowne argumenty. Poza tym... cóż mogłam powiedzieć? Oto mój mąż robi rzeczy, o których marzą inne kobiety i skarżą się swoim psychologom na ich brak; nie mogłam zatem mu powiedzieć, żeby dał mi święty spokój i że tak naprawdę to jest jedyna rzecz, jakiej od niego chcę. Ironia losu. Nasze życie jest pełne takiej ironii.

Można było odwieźć je przed lunchem, co szeptem sugerował mi Francis, ja jednak postanowiłam zorganizować im niespieszną i szczegółową wycieczkę po siedzibie Holmesów. Może to była dziecinada, ale przyszedł czas na definitywne przegnanie wspomnienia tamtego nędznego paltocika, ciasnych trzewików i wszy. Najlepiej do tego celu nadawały się dobra materialne, poza tym znacznie poprawiało mi to samopoczucie. Szczególnie kiedy otworzyłam drzwi szafy z ubraniami i we wciąż nieco przymglonym spojrzeniu mojej kuzynki zobaczyłam nieklamany podziw. Przesuwałam dłonią po tweedach i wełnach, i dżersejach, i atlasach, patrzyłam na nie tak, jakbym je pierwszy raz widziała.

– Cóż, wszystkim nam się zdarza trzymać zbyt dużo ubrań – zauważyłam beztrąsko – prawda? Po prostu nie umiem się powstrzymać od kupowania.

Francis się ulotnił.

Zmusiłam ją nawet do obejrzenia łazienek, żeby tylko móc zwrócić jej uwagę na bursztynowe kurki i na całą tę pochodzącą ze starego hotelu w Perugii armaturę. Istny balsam na tamtą dawną ranę. Łazienka z mojego dzieciństwa była obskurnym pomieszczeniem, o ścianach pokrytych liszajami wilgoci, z rozlatującym się, koszmarnym piecykiem gazowym, niezdolnym do podgrzania wody w ilości wystarczającej do umycia nóg. Byłam ciekawa, czy ona to pamięta. Na końcu języka miałam pytanie, czy przypomina sobie moją ostatnią wizytę, jako „ubogiej krewnej”, kiedy to zjawiłam się bez szczoteczki do zębów. Ponieważ, jak niewinnie poinformowałam ciotkę i kuzynkę tuż po przybyciu, mogłyśmy sobie pozwolić albo na bilet, albo na szczoteczkę do zębów, trzeba było wybierać. Powiedziałam im, że dokładnie obmacaliśmy zagłębienia foteli oraz starej kanapy, z których sypało się przy tym końskie włosie... czego nie znosiłam, zawsze wyobrażając sobie, że natknę się tam na myszy. Tam znalazłyśmy sześć pensów akurat na połówkę biletu metra. Ależ one wtedy rechotały. Ten rechot szczególnie zapadł mi w pamięć. I ciotka bez zwłoki zaprowadziła mnie do łazienki – nieskazitelnej, pachnącej i

rozkosznej – żebym umyła ręce. Kupiono mi także szczoteczkę, którą uwielbiałam, a którą kazano mi zostawić „na następny przyjazd”. Wstrętne kutwy.

Po przeglądzie ubrań i bursztynowych kurków zabrałam ją do gabinetu Francisa, z masywnym, starym biurkiem i książkami od sufitu do podłogi na wszystkich ścianach.

– Ho, ho – wyraziła swój podziw Alison. – On rzeczywiście dużo czyta.

– Wiele z nich należy do mnie – rzuciłam od niechcienia. – Wszystkie, które dotyczą sztuki.

Zrobiłam na niej wrażenie. Potem lekko przesadziłam, prowadząc je do kuchni, gdzie zachowałam się, jakbym reklamowała kuchenne utensylia.

– A tu mamy okap... widzicie, jak wyjeżdża ze ściany, kiedy wcisnę guzik... a te siedziska przy oknie, można w nie wkładać różne rzeczy... – I tak bez końca.

Kiedy zakończyłyśmy zwiedzanie, nie miały najmniejszej wątpliwości, że posiadam absolutnie wszystko, czego tylko moja dusza zapagnie. I że moja dusza pragnie wszystkiego, co tylko można kupić. Szczególnie widoczne to było w pełnej ubrań szafie, luksusowych, puszystych dywanach i sprzęcie elektrycznym. Jakoś udało mi się powstrzymać przed zaciągnięciem ich na dół, żeby pokazać im naszą świetnie zaopatrzoną piwniczkę. Pomyślałam sobie, że wtedy pewnie najmilsza Ally zostanie tu na zawsze. Przez całutki czas ciocia dreptała za nami, wysilając wzrok i dotykając wszystkiego, i szczebiotała, raz po raz mnie poklepywała; ucieleśnienie odkupienia.

Ostatecznie pozbyliśmy się ich i ruszyliśmy z powrotem do domu. Pograżyłam się w ponurym nastroju. Jedna wizyta ciotki i kuzynki, a roztrzaskało się całe to idealne zwierciadło. Zalałam się łzami wściekłości i żalu nad sobą. Gdzie jest Carole, która by mnie zrozumiała? I dlaczego nie mam prawdziwej siostry, z którą mogłabym to wszystko dzielić? Po powrocie do domu Francis zmusił mnie, żebym się natychmiast położyła. Bez obietnic, że zaraz tam przyjdzie. Byłam zbyt zmęczona nawet na jeden telefon. I spałam. Udało się. Przebrnęłam przez to wielkie łgarstwo bez uszczerbku. Tyle że, jak by spytał Matthew, po co?

Po przebudzeniu czułam się znacznie lepiej. W wiadomościach znalazłam pytanie, jak mi poszło, i natychmiast zapagnęłam znaleźć się jeszcze tej nocy w Paddington. Miałam jednak pecha. Zrobiłam na dole herbatę i tak wesoło gawędziłam z Francisem, że on – zamiast udać się, jak miałam nadzieję, do kancelarii, żeby nadrobić zaległości w pracy – zamówił stolik w naszej ulubionej restauracji. Minę miał niewyraźną, kiedy poinformował mnie o tym i ujrzał, jak jego przed chwilą radośnie szczebiocząca zoneczka nagle zaczyna zachowywać się jak rozwścieczone, zepsute dziecko. Mógł oczywiście odwołać rezerwację, jeśli nie byłam w nastroju. Ale jak ja miałam mu oznajmić, że nie mam ochoty tam iść, a potem powiedzieć, że wychodzę? Poza tym, dokąd miałam wyjść? Ciotka nie mieszkała już w Paddington, a Lichfield było odrobinę za daleko na szybką rundkę koktajli. Byłam uziemiona. Czułam się uziemiona. I co oczywiste, znów poczułam się okropnie znękana. W końcu, pamiętając, jak alkohol wpłynął otepiająco na Alison, wypłam o wiele za dużo. Przynajmniej półtorej butelki wina do kolacji. Francis, z godnym podziwu stoicyzmem, powstrzymał się od jakiegokolwiek krytyki. Co tylko zachęcało mnie do

dalszego picia, zupełnie jakbym była zbuntowanym dzieciakiem. Bogu dzięki, że wino było dobre.

– Jaka kuzynka, taka kuzynka – powtarzałam pomiędzy jednym czknięciem a drugim, kiedy już nieco zniecierpliwiony Francis w stanowczy sposób wypychał mnie z restauracji.

Ostatecznie jednak był tą całą sytuacją dość rozbawiony. Jest dobry aż do przesady, kołatało w mojej głowie. To niesprawiedliwe... nie mógłby być choć odrobinę podły? Dostarczyć mi jakiegoś pretekstu? Przyłożyć mi czy coś takiego?

W samochodzie milczałam. Z czym mi było łatwiej, a jemu trudniej. To przykręcanie śruby. W każdym razie, kiedy wróciliśmy do domu, czułam się zupełnie rześka – przespałam przecież całe popołudnie – i za podszeptem tkwiącego we mnie diabła nastawiłam płytę Bryana Ferry'ego. Francis siedział oklapnięty w fotelu, popijał koniak i wyglądał na przygnębionego. Wydawał się bliski płaczu.

– Po prostu nie potrafię tego rozszyfrować – oznajmił i wstał gotów odejść.

Przez jedną, krótką chwilę poczułam smak triumfu, a zaraz potem głęboki wstyd. To przecież mój mąż, którego kiedyś kochałam... nadal, na swój sposób, kocham. Lepsza strona mojego charakteru przeważała.

– Nie odchodź – powstrzymałam go. – Jeszcze nie. Spojrzał na mnie z tym okropnym błyskiem nadziei w oczach. Pod wpływem rozbrzmiewającej muzyki i wypitego alkoholu przypomniał mi się Elvis i jego Old Shep¹. Niezbyt miłe skojarzenie. Niezbyt też miłe poczucie władzy.

– No chodź – poprosiłam. – Zatańczmy.

Kiedy znalazłam się w jego ramionach, poczułam ulgę.

– Nie ma czego rozszyfrowywać – powiedziałam. – Nawet nie próbuj. Zwyczajnie jestem jędzą.

– Nie – zaprotestował i westchnął. – Miałś ostatnio sporo do udźwignięcia. Ten pogrzeb, powrót do przeszłości. Różne trudne sprawy. Musiało cię to rozstroić. Ja miałem szczęście. Ty nie.

Poczułam lekki przyptyw złości. Zaskakujące źródło niezadowolenia. Owszem, on miał wszystko. Czy zatem nie zasługiwał... ?

– Powinniśmy gdzieś wyjechać – powiedział. – Natychmiast, gdziekolwiek.

– W miejsce, które dostarcza stawy duchowej – powiedziałam marzycielskim tonem, przypominając sobie słowa Matthew.

– A może chciałabyś pobyć trochę sama? – spytał ze smutkiem w głosie.

I to był ten odpowiedni moment. Wymarzona wprost sposobność. W uszach dzwonił mi głos Matthew: „Powiedz mu”. Ja jednak nie stanęłam na wysokości zadania.

– Zobaczmy – odmruknęłam mu w ramię.

– Gdziekolwiek zechcesz – obiecał, już spokojny, ogrzewając moje włosy ciepłym oddechem.

– Gdziekolwiek. – A potem dodał lekko: – Pieniądze się nie liczą.

Płyta wciąż grała. I my dwoje, mąż i żona, po dobrej kolacji, wyśmienitym winie, sami w całym tym domu... stało się więc to, co było nieuniknione. Odurzona alkoholem i świadoma siły oddziaływania mojego ciała, bawiłam się sytuacją, ignorując Matthew i jego przestrogi. Ostatecznie to był mój mąż, mój mąż, który obsypywał mnie pięknymi rzeczami. Zapełniał szafy wspaniałymi strojami, w które mogłam się spowijać, pantoflami, w które mogłam wsuwać stopy, pachnidłami, którymi mogłam zlewać swoje nagie, dobrze karmione ciało. Tkwiący we mnie diabeł wżarł się jeszcze głębiej. Przynajmniej tyle mogłam zrobić... Przecież mnie kupił, może mnie wobec tego mieć, nawet jeśli tylko na chwilę.

- Dokąd pojedziemy? – spytał później.
- Co powiesz na Indie? – rzuciłam na pół uśpiona.
- Wspaniale – powiedział.
- Wspaniale – zgodziłam się.

To była ta noc, kiedy nazwałam mojego męża Matthew. Ale wtedy on już spał; oddychał głęboko i spokojnie, a ja przesunęłam delikatnie palcami po jego plecach i wyszeptałam to imię, zupełnie jakbym w ten sposób ponownie chciała znaleźć się we własnej skórze. Po czym, tak jak tej pierwszej nocy, na moich platfusach bezszelestnie zeszałam na dół i nalałam sobie kieliszek koniaku. Nie potrzebowałam książki telefonicznej – znałam numer na pamięć.

- Co porabiałaś? – spytał mój kochanek zaspanym głosem.
- Myślałam o tobie.
- Przyjeżdżaj i wskakuj do mojego łóżka.
- Za dużo wypiałam.
- To ja wskoczę do twojego. Cisza.
- Kiedy?
- Wkrótce – obiecałam.
- Powiedziałaś mu już?
- Wkrótce.

Kiedy wróciłam do łóżka, Francis nadal spał. Długo przyglądałam się jego oświetlonej księżycowym światłem twarzy. Spokojna, znajoma, dobrodusznna. Jakże jej nienawidziłam.

SMAK PIENIĘDZY

Nie było w tym żadnej logiki. Kiedy obudziłam się nazajutrz, z bólem głowy i w ogóle, nagle zachciało mi się zobaczyć siostrę. Chciałam z nią porozmawiać o całym naszym dzieciństwie. O tym ponurym bagnie życia mojej matki, w którym właśnie cioteczka Liza i najmilsza kuzynka Ally zamieszały swoimi beztruskimi uwagami. To było coś, o czym Virginia i ja nigdy nie rozmawialiśmy – te pierwsze lata. Ona zdecydowanie sobie tego nie życzyła. W psychobelkocie nazywają to zaprzeczeniem... a ja po prostu nie mogłam tego pamiętać. To, co wiedziałam, było wątpliwe, ledwie zasłyszane, oparte na domysłach. A teraz, ten skromny szkic przeobraził się w pełnych rozmiarów malowidło i chciałam koniecznie podzielić się moim odkryciem z jedynym żyjącym świadkiem tamtych czasów.

Kiedy oświadczyłam Francisowi, że chcę pojechać z wizytą do siostry, pomyślał, iż tym razem na pewno odebrało mi rozum. To bardzo zabawne, że mężczyźni, którzy uważają samych siebie za świątłych, wyznają to staroświeckie przekonanie, że kobiety wiecznie balansują na cienkiej linii dzielącej szaleństwo od normalności. To oczywiste, że kilka dziesiątek lat nie wystarczy, by pokonać dwa milenia uprzedzeń. Francisa jednak można było w jakimś stopniu usprawiedliwić. Przez te wszystkie lata naszego wspólnego życia widział, jak staram się uniknąć podobnej burzliwej konfrontacji, tymczasem teraz, kiedy wyglądało na to, że mam zapewniony bezpieczny byt i spokojny żywot do końca moich dni, nie tylko, że zachowywałam się dziwnie we własnym domu, to na dodatek zamierzałam wyruszyć na siostrzaną wojnę.

Zwrócił mi na to uwagę. Ze znużeniem stwierdził, że może lepiej byłoby nie komplikować sobie życia.

– Może moglibyśmy dać sobie z tym spokój i wyjechać do Indii? Zobaczyć po powrocie, jak się sprawy mają?

– Muszę to zrobić – oświadczyłam stanowczo. – Dla samej siebie.

– Cóż, na pewno nie dla niej. – Popatrzył na mnie przenikliwie. Ale ustąpił. – Co zrobisz? Pojedziesz do niej czy... – tu króciuteńka pauza, niemal niezauważalna, gdybym nie znała swojego męża – zaprosisz ją tutaj?

– O Boże – jęknęłam. – Nie pytaj...

– Biedactwo – rozculił się. – Powiedziałem przecież, że może lepiej będzie poczekać. – W jego głosie usłyszałam podejrzany filisterski ton. A potem po prostu się roześmiał. – Och, Dilys – zakpił – cokolwiek zrobisz i tak wyjdzie to na złe.

– Więc?

– Więc zrób to, na co masz ochotę. Dzięki temu przynajmniej ktoś będzie zadowolony.

Przyszła kolej na moje przenikliwe spojrzenie.

– Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że każda tragedia ociera się niemal o komedię – powiedziałam. – Oraz że nie jest sprawą przypadku, że te wielkie, przejmujące greckie historie... te wszystkie Medee, Agamemnoni, Antygony... dzieją się w rodzinie. Ale nie ma tu nic do śmiechu.

– Och, przestań biadolić, Dilys – rzucił nadspodziewanie ostro. – I nie przesadzaj. Życie jest przyjemne, nie sądzisz?

Oniemiałam. Nie słyszałam u niego takiego tonu od czasu, gdy James, dostawszy szlaban za wagarowanie, groził, że zadzwoni do Towarzystwa Pomocy Dzieciom. Nagle rozzłościł się, a jego spojrzenie było lodowate.

– Ty i twoja siostra zupełnie nie pasujecie do greckiej tragedii. Owszem, było wam kiedyś trudno. Zdażyłyście już o tym zapomnieć. Dlaczego ni stąd, ni zowąd musisz to teraz rozgrzebywać? Co, na miłość boską, jest z tobą nie tak?

Właśnie o to mi chodziło. Żeby Francis zachował się niewłaściwie. Najwyższy już czas. Wyszedł z domu z chmurną miną, trzaskając drzwiami, i kiedy patrzyłam, jak odjeżdża, przyrzekłam sobie, że powiem mu o Matthew natychmiast po rozmowie z siostrą. Potem, pożegnawszy się z przeszłością, będę mogła pomaszerować w przyszłość, znów czysta i uzdrowiona. Do miejsca, w którym powinnam była zostać, za rzędem wierzb. Takie sobie snułam myśli, odczuwając przy tym ulgę, przekonana o słuszności własnych poczynań, kiedy patrzyłam, jak ze złością, gwałtownie zmienia biegi. Żadnych więcej kłamstw. I żadnych już dawnych, zbyt płytko pogrzebanych tajemnic. Ta odrobina buntu ze strony Francisca skryształizowała wreszcie wszystko. Jego przyzwoite zachowanie było nieznośne. Od chwili poznania Matthew marzyłam, żeby mój mąż przestał być dla mnie miły, żebyśmy mogła od niego odejść. I teraz przestał.

Wiedziałam, że w relacjach z siostrą nie byłam w stanie niczego zrobić właściwie. Musiałam jednak przebrnąć przez ten bolesny rytuał próbowania – zazwyczaj bez sukcesu – by wybrać tak zwane mniejsze zło. W tym przypadku było to dość proste: zadzwonię do niej i powiem, że chcę z nią zjeść lunch i

(a) poczekam, aż mi powie, że mam przyjechać do niej, a ona poczęstuje mnie lunchem;

(b) zaproponuję, żeby przyjechała do centrum, i zaproszę ją na lunch w jakiejś restauracji;

(c) zaproponuję, żeby zjadła ze mną lunch w restauracji, ale nie wspomnę, że zapłacę;

(d) zaproponuję, żeby przyjechała na lunch do mnie;

(e) zaproponuję, żeby zjadła ze mną lunch w restauracji w centrum, a kosztami się podzielimy;

(f) zaproponuję, że przyjadę do Kingston i tam zjemy lunch w restauracji, dzieląc się kosztami;

(g) zaproponuję, że ja przyjadę do Kingston i zjemy lunch w restauracji, z tym że ja zapłacę;

(h) zaproponuję, żebyśmy zjadły gdzieś razem kanapki;

(i) zaproponuję, żebyśmy sobie darowały lunch, a zamiast niego zabrały w plener piersiówki

i uraczyły się wódką;

(j) zaproponuję, żeby się trochę odchudziła i w ogóle o lunchu zapomniała?

Wszystkie te możliwości byłyby niewłaściwe. Francis miał rację. Jednak która z nich byłaby najgorsza? Zrobiliśmy ich przegląd razem, kiedy już oboje uderzyliśmy się w piersi i nawzajem przeprosili. Jego smucił fakt, że dał się wyprowadzić z równowagi, ja byłam obojętna. Zawieszenie broni.

Po rozważeniu wszystkich pozycji oświadczył z kamienną miną, że istnieje jeszcze jedna możliwość.

– Jaka? – spytałam skwapliwie.

– Zaproponować jej lunch w naszym domu, a potem poprosić, żeby za niego zapłaciła – co powiedziawszy, zaczął się wręcz pokładać ze śmiechu.

Jeszcze jeden gwóźdź do twojej trumny, mój ty małżonku, pomyślałam nienawistnie. Nikt nie ma normalnej rodziny. Bez wątpienia jednak człowiek musi odczuwać wspaniałą *Schadenfreude*, kiedy spotka się z taką, która jest znacznie gorsza od jego rodziny.

Ten ostatni absurd pozwolił mi ujrzeć rzecz całą we właściwej perspektywie. Zadzwoiłam do Virginii i powiedziałam:

– Słuchaj, muszę przyjechać do Kingston. Czy mogę przy okazji zaprosić cię na lunch? Zrobisz mi tym wielką przyjemność.

– A po co przyjeżdżasz do Kingston? – zapytała bardzo uprzejmie.

– Nie pytaj – odparłam, myśląc jednocześnie, że coś wykombinuję, zanim się spotkamy. Nie było to łatwe. Gdybym powiedziała, że zamierzam kupić coś konkretnego, coś, co w jakiś tajemniczy sposób dostępne jest wyłącznie w Kingston, podpadłabym podwójnie – raz za snobistyczny eklektyzm gustu, dwa za posiadanie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pozwalać sobie na takie fanaberie.

Ostatecznie poprosiłam Petrę o adres jakiejś dobrej wegetariańskiej restauracji w tamtej okolicy, a na dodatek o pozwolenie na bezczelne kłamstwo, że to niby ona mnie prosi o przeprowadzenie badania rynkowego obejmującego także tę restaurację. Pomyślałam, że to wyjątkowo sprytny pomysł – mózg w takich sytuacjach wyraźnie dziecinnieje – ale Petra, podobnie jak większość wegetarian, nie ma zwyczaju kłamać, jakoś te rzeczy idą w parze. W końcu jednak przyzwalając, choć bardzo niechętnie, skinęła głową, ściągając przy tym usta zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy jej dzieci zachowują się niewłaściwie.

Francisa bawiło to, że tak się zachwycam własnym planem. Bezдушny drań, pomyślałam, łapczywie chwytając go na podobnych uchybieniach.

– Jeden-zero – oświadczył. Pokręcił głową, na ustach cień uśmieszku. – Nie miałem pojęcia, że z ciebie taka wytrawna kłamczucha.

– Musiałam to odziedziczyć po ciotce – odparłam ostro. On jednak nie zwrócił uwagi na zawartą w tych słowach ironię.

– Dziękuję niebiosom, że nigdy nie będę cię musiał przesłuchiwać w sądzie.

Czy był w tym jakiś podtekst? Kogo to obchodzi? Byłam już niemal wolna. Zatem tylko się uśmiechnęłam, słodka jak gołębica, mając nadzieję, że zamaskuję w ten sposób swoją niegodziwość. Odwzajemnił mi uśmiech, z ulgą, jak sądziłam. Szalona żona, skrywana na poddaszu, powraca potulna do kuchni.

– Jeśli to wszystko przekracza twoją wytrzymałość, pomyśl o Indiach i duchowym pokrzepieniu – radził lekko rozbawiony. – Poleć to swojej siostrze. Przydałaby się jej odrobina ukojenia...

Tego dnia, podczas śniadania, Francis rozłożył na stole cały zbiór folderów oraz kilka nowych, grubych na cał przewodników.

– Nie zapomnij – powiedział – że potrzebne nam są szczepienia i takie tam.

– Och, ja się już zaszczepiłam. Spojrzał na mnie podejrzliwie.

A niech to szlag: nie ten mężczyzna, nie te wakacje.

– Przed poprzednią podróżą – słowa wyfrunęły gładko z moich ust. Uśmiechnęłam się. – Ale sprawdzę, czy nie straciły ważności.

Po czym on, Bogu dzięki, wyruszył do kancelarii, a ja, Bogu dzięki, wyruszyłam do Paddington... Interesująca trasa, kiedy ktoś się wybiera do Kingston, ale skoro nie można inaczej...

Jak było do przewidzenia, wszystkie moje szczerze zamiary, że usiądę z Matthew i porozmawiamy rozsądnie, rozplątując, co zasupłane, i tym podobne banały, wszystko to roztopiło się w ogniu wywołanym całym niemal tygodniem spędzonym z dala od siebie. On też miał swoje materiały dotyczące Indii rozłożone na łóżku, choć nie było wśród nich żadnych błyszczących folderów ani przewodników.

– Zaplanowałam trasę, sporządziłam listę niezbędnych rzeczy i wszystkiego, co wiąże się ze zdrowiem. Możesz to sobie później obejrzyć – oznajmił, wrzucając papiery do mojej torebki. – Zobaczysz prawdziwe Indie, ale nie będziemy się zatrzymywać w Holiday Inn i będziemy musieli zachować ostrożność.

– W życiu nie mieszkałam w Holiday Inn – oświadczyłam z udawanym oburzeniem. – Zatrzymywaliśmy się wyłącznie w pałacach maharadzów.

– Cóż, trzygwiazdkowy hotel w Indiach to coś troszeczkę innego.

Oczy błyszczały mu jak gwiazdy, a jego szeroki uśmiech nie miał nic wspólnego z ryzykiem egzotycznych chorób. Tak mi przypominał dzieciaka w sklepie ze słodyczami, że nie mogłam powstrzymać śmiechu. Ściągnęłam mu koszulę przez głowę.

– Wszystko mi jedno; bylebym była z tobą. – Zaczęłam go obsypywać pocałunkami, ale on się odsunął.

– Rozmawiałaś z... ?

Przecież i Indie, i Francis, wszystko mogło zaczekać.

– Dzisiaj wieczorem.

– Nie żartuje. – ostrzegł.

– Ja też nie.

Już zapomniałam, w jaki sposób ponownie stałam się młoda, skąd to poczucie, że jestem dokładnie tam, gdzie chce. być. Matthew miał rację. Zawsze wiedziałam, że ma rację, kiedy byliśmy razem. To nie mogło tak dłużej trwać; nie było sensu żyć dalej, jeśli nie mogłam być z tą jedyną osobą, przy której czułam, że żyję.

– Oboje trwamy w zawieszeniu – powiedział później. – Ja istnieję jedynie w maleńkim kąciku twojego życia, podczas gdy jego reszta, większość twoich nocy i dni, stanowi dla mnie kompletną tajemnicę, podobnie jak ja jestem tajemnicą dla nich. Nikt z ważnych dla ciebie ludzi nie wie o mnie i nikt z moich przyjaciół i rodziny nie wie nic o tobie, poza tym, że w ogóle istniejesz. Nie wiedzą, czy jesteś mężatką, czy jesteś chora na jakąś śmiertelną chorobę, czy masz może trzy głowy... Niektórzy myślą, że jesteś niepełnoletnia, inni, że pewnie zbliżasz się do dziewięćdziesiątki, inni jeszcze, że jesteś sławna... wszyscy oni spekulują, biorąc pod rozwagę najdziwaczniejsze możliwości, a ja po prostu chciałbym, żeby cię poznali i żeby wiedzieli, kim jesteś... Jak to normalnie bywa... pamiętasz, jak to jest normalnie?

– Ja żyję normalnie. Za bardzo, cholernie wręcz normalnie.

– No cóż, będziemy musieli poszukiwać naszej własnej normalności i nie będzie to łatwe. Trudno powiedzieć, żebyśmy się z tym szczególnie spieszyli – zauważył. – Minęło sześć miesięcy.

– Prawie.

– Jesteś przekonana, że uda ci się porzucić to wszystko, co przynależy do klasy średniej? – Rzucił mi przekorne spojrzenie. Już wcześniej graliśmy w te. grę. „Czy ona potrafi bez tego żyć?”

– Nie tylko potrafi, ale i pokaże, jak to się robi... dziś wieczór. Chcę tylko rozwiązać tę kwadraturę koła z Virginią. Jeśli nie rozliczę się z przeszłością, nie będę umiała zacząć żyć od nowa. W głębi serca już jestem gotowa.

Popatrzył na mnie sceptycznie. Tymczasem to była prawda. Od wizyty ciotki miałam wrażenie, jakby dobra materialnie ze mnie szczydziły. Dobrze utrzymana fasada domu, porządny chodnik do drzwi frontowych. Wygodne, eleganckie fotele i kanapy. Biblioteczki, serwantki, barek, mebelki mieszczące sprzęt grający, telewizor. Dywany, wykładziny i ciężkie, nie do zdarcia zasłony. Tapety i miejsca wykończone farbą, włoskie lampy rzucające dyskretne, ciepłe światło. Poustawiane w całym domu oprawione zdjęcia szczęśliwych rodzin. Obrazy Ivona Hitchensa¹ i grafiki wczesnego Hodgkina². Kilimy z różnych stron świata, te kurki z bursztynu, te kryształły, ta porcelana, te sztucce codziennego użytku i ten komplet sreber stołowych na lepsze okazje. Połyskliwe, politurowane meble...

Rozejrzałam się po sypialni Matthew. W skromnej liczbie jego ubrań, w tymczasowym charakterze plakatów niedbale przyczepionych pinezkami do drzwi, w braku jakiegoś osobistego oddziaływania na otoczenie, w sposobie, w jaki książki leżały ułożone w stosach pod ścianami od czasu, kiedy Jacqueline zabrała półki i nie zostały zastąpione innymi – dostrzegłam, że jest to

przestrzeń, którą w każdej chwili można porzucić, i że on gotowy jest to uczynić: był jednym z tych godnych zazdrości dziwaków, których widuje się czasami z plecakiem i z wypchanymi kieszeniami, gdzie mieści się ich cały dobytek. Na zakurzonej parapecie zobaczyłam nasze kieliszki do jajek. Jedyne symbole przyszłej wspólnej własności. Powinny tu być, bo przecież miały istotne znaczenie, były echem wspomnień. W niczym nie przypominały tych wiecznotrwałych przedmiotów, które wystawialiśmy z Francisem w naszym domu niczym jakąś dyskretną wersję złota darowanego podczas hinduskich zaślubin. Patrząc na te kieliszki, widziałam swoją młodość – nieskażoną pierwszą miłość – tę młodość i tę pierwszą miłość, do których odwróciłam się plecami, kiedy wypowiedziałam tamto „tak” w Henley.

Być może rozumiałam wcześniej teksty o miłości, ale nigdy przed poznaniem Matthew i tej jego skromnej, bezpretensjonalnej sypialni nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak świetnie Szekspir znał swoich kochanków – zawsze chciał, by był to słowik, nigdy zaś skowronek... Jedno muszę przyznać: nawet te najbardziej naglące i natarczywe miłosne potrzeby musiałam poskromić ze względu na tego tyrana – moją siostrę. Mimo ogromnej chęci, by zasunąć te kuse zasłonki, wyłączyć telefon i spędzić cały dzień w łóżku z Matthew, musiałam się pozbierać. Dokładnie zmyłam z ciała wszelką woń naszego nielegalnego związku, wyjaśniłam, co trzeba, nieświadomemu moich planów kochankowi i wyruszyłam do Kingston, starając się jednocześnie nadać swojej twarzy poważny wygląd i wciskając wszystkie te broszury oraz inne dotyczące Indii papierzyska tak głęboko do torebki, jak tylko się dało. Jeszcze mi tylko było trzeba, żeby siostrzyczka odkryła, że czekają mnie następne egzotyczne wakacje; wykluczyłoby to wszelką możliwość kontaktu pomiędzy nami aż do Bożego Narodzenia.

– Opowiedz jej o mnie – rzucił rozbawiony na pożegnanie. – Może być tą pierwszą, która się dowie. To by się jej spodobało...

Uniosłam dłoń w monarszym geście i odjechałam. Poczułam gwałtowny, przeraźliwy chłód na myśl, jak by zareagowała, gdybym jej o nim opowiedziała. Czy raczej, jak zareaguje, kiedy to zrobię.

Kiedy siedziałyśmy naprzeciwko siebie w miłej i sielskiej atmosferze stworzonej przez sosnową boazerię, obrusy w kratkę, uwijające się nieskazitelnie odziane kelnerki, sączącą się z głośników muzykę relaksacyjną, popijając żurawinowy sok, Virginia spytała znienacka:

– Schudłaś?

W jej ustach pytanie to nie było wyrazem troski; była to z trzaskiem rzucona mi rękawica.

– Może odrobinę – wymamrotałam w ten sok, o którego zaletach nie wypada głośno mówić, w każdym razie wiadomo, że sok żurawinowy jest napojem zbawiennym dla kobiet, i niemal dodałam, że w przyszłości bardziej się będę starała nie stracić na wadze. Zamiast tego wypuściłam strzałę. Rzecz ryzykowna, ale najwyraźniej w tamtym momencie nie bałam się ryzyka. – Sama byś schudła, gdybyś biegła z Francisem i trzema starszami, i najmilszą kuzynką Ally na dodatek.

– Cóż, zgłosiłaś się na ochotnika – rzuciła ostro.

– Przecież cię nie krytykuję, Ginny – powiedziałam, rezygnując z żartobliwego tonu, uświadamiając sobie po raz kolejny, że muszę się z nią obchodzić jak z jajkiem.

– Mam nadzieję.

I wtedy odniosłam wrażenie, że ona ustępuje, chociaż tak naprawdę nigdy nie byłam w stanie stwierdzić, czy moja siostrzyczka ustępuje, czy przeprasza, czy może dostała jakiegoś ataku – dla mnie we wszystkich tych sytuacjach grymas jej twarzy wyglądał dokładnie tak samo. Niemniej, wyraźnie dostrzegłam, jak jakiś cień żalu przemyka przez jej oblicze.

– Za rzadko to robimy – oznajmiła.

– To prawda – przyznałam.

– Zauważ... – rozpoczęła. Aha, zaczyna się, pomyślałam.

– ... że w twoim życiu nigdy nie było dla mnie zbyt wiele miejsca... no bo kariera i rodzina, i...

– Ty też masz rodzinę. Tak samo jak ja.

– Ale ty miałaś Carole – zauważyła. – Zawsze zazdrościłam ci takiej przyjaźni... Musi ci jej bardzo brakować.

Powiedziała to z zupełnie nietypowym dla siebie współczuciem. Nagle znalazłam się raz jeszcze na tym ponurym dworcu w Bristolu, wpatrywałam się w tory, czując w sobie przeraźliwą, lodowatą pustkę. To dopiero pół roku, sześć miesięcy, w kategoriach bólu i żalu to niewiele. Jediną ciepłą, pełną życia osobą, jaką teraz miałam w pobliżu siebie, był Matthew. Chciałam jej o nim opowiedzieć, obalić te bariery. Była moją siostrą. Dlaczego nie? I akurat w tym momencie usłyszałam bipnięcie, ona się zaczerwieniła i zaczęła gwałtownie grzebać w torebce.

– Virginio! – zapałam, nie ukrywając zachwytu. – Masz komórkę... Zawsze twierdziłaś, że są pretensjonalne. No, no, nieźle upadli ci wielcy...

Miała w sobie dość przyzwoitości, żeby robić wrażenie na wpół rozbawionej i tylko na wpół zirytowanej moją uwagą.

– Jest mi potrzebna do utrzymywania kontaktu z Bruce'em; poza tym dołożyli mi ją gratis do nowej pralki.

– Cieszę się, że masz nową pralkę. – Nie mogłam się powstrzymać.

– No cóż, ta stara...

– Miała milion lat. Jest mnóstwo kombinezonów Bruce'a do prania, przecież to nie żaden luksus...

Przemyśliwała, jak potraktować to siostrzane naigrywanie się, po czym – raz jeszcze ten nagły grymas – poddała się i wybuchnęła śmiechem.

Wyjęłam swój telefon i poprosiłam ją o numer, żeby go sobie wpisać. Robiła wrażenie zadowolonej, kiedy mi go podawała. Potem wpisała sobie mój. Byłyśmy sobie równe.

– Och – rzuciłam, pełnym entuzjazmu głosem – możemy sobie przysyłać SMSy. Możesz też wejść na stronę Johna i Petry i...

Uświadomiłam sobie nagle, że spogląda na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

Zapomniałam, że należy się z nią obchodzić jak z jajkiem. Jednym niezręcznym ruchem stłukłam ich tysiące. Kostki moich nóg obmywały wszystkie żółtka i białka naszego kruchego świata. Komórka Virginii nie była najnowszym osiągnięciem techniki. Dołączona gratis, przy zakupie pralki automatycznej, nie wprowadza człowieka od razu w świat najnowszych technologii. Cóż za pomysł, żeby rozplątywać supły wzajemnych relacji przy okazji czegoś tak głupiego jak telefon komórkowy, kiedy ja właśnie zamierzam wywrócić cały swój świat – i do pewnego stopnia jej – do góry nogami, z lewej na prawą i jeszcze przenicować? Niech to szlag, pomyślałam w tym niebezpiecznym i szalonym momencie. Skoro siostra się sprawdzała, kiedy miałam jakieś poważne kłopoty, to może ta sytuacja zrobi na niej odpowiednie wrażenie. Matthew, miałam ochotę krzyknąć. Jestem zakochana w Matthew. To było przecież tak niesamowite, pożałowania godne i przerażające, że jak usłyszy, to zostanie moją przyjaciółką na resztę życia. Tak bardzo chciałam komuś powiedzieć, że aż odczuwałam to jak fizyczne cierpienie; poza tym, po to przecież wymyślono instytucję siostry.

– Virginio, poznałam pewnego mężczyznę... – zaczęłam. Przerwała mi, unosząc do góry dłonie.

– Nawet nie próbuj mi powiedzieć, że znasz kogoś, kto mi całą sprawę załatwi... powiąże jedno z drugim, wyreguluje to, dopasuje tamto, jednym ruchem ręki zmieni moje pieprzone życie.

Przyszło mi do głowy, że moja siostra, zupełnie nieświadomie, nie najgorzej podsumowała Matthew. Po chwili, całkiem raptownie, to się skończyło. Nachyliła się ku mnie ponad stolikiem, wskazała mój telefon, po czym palcem wymierzyła we mnie.

– Powiedz mi tylko, ile rzeczy, które te urządzenia potrafią robić, rzeczywiście jest ci potrzebnych...

Usiadła wyprostowana i z triumfującą miną splotła przed sobą ramiona. Pokręciłam głową.

– Masz rację. ‘ Uśmiechnęła się.

– Wiem.

Odłożyłyśmy telefony. Virginia nachyliła się nad stolikiem i oparła brodę na dłoniach.

– A teraz – poprosiła – opowiedz mi wszystko o cioci Lizie. I o drogiej, jadownej kuzynce Alison. Nie ma wątpliwości, że odniosła w życiu wielki sukces, taki jak powinna, zważywszy na pieniądze i wysiłek, jaki został w to włożony, z tego, co...

– Droga, jadowna kuzynka Alison pije.

– Pije? – Virginia wydawała się zachwycona. – Co masz na myśli?

– Aha... jak smok. A ciocia Liza nazywa to przemęceniem czy podekscytowaniem, albo po prostu ignoruje. O... i wyszła za Egipcjanina. Ciocia Liza oczywiście nazywa go księciem.

– Oczywiście.

– W każdym razie, Alison się z nim rozwiodła... a jej syn jest gejem...

Nareszcie bezpieczny grunt.

– Gejem? – spytała Virginia, uśmiechając się z nie ukrywaną satysfakcją. – Kurczę blade.

Użycie przez nią przekleństw z młodzieżowego leksykonu świadczyło o tym, że jest bardzo poruszona. Po chwili zresztą dorzuciła jedną z tych swoich wnikliwych, mądrych, niestety niezwykle rzadkich uwag:

– Cóż, statystycznie rzecz ujmując, ktoś w rodzinie musiał być...

Nie pociągnęłam tego wątku.

– A Eliza nadal jest tą samą, starą snobką – zasłony dymne, by skryć rzeczywistość, wszystko idzie jak najlepiej i w jak najlepszym guście. A mieszka w maleńkim mieszkanku, w ponurej dzielnicy. Wiele się zmieniło od czasu połowy bliźniaka z dwuspadowym dachem i garażem.

– Czy jest szczęśliwa?

Nie pomyślałam o tym wcześniej, teraz natomiast przypomniały mi się jej pożegnalne słowa: „Ani mrumru”. Jeśli się wystarczająco długo żyje w kłamstwie, to najwyraźniej traci ono swoje żądło.

– Tak – odpowiedziałam. – Chyba rzeczywiście jest.

– Cóż, ostatecznie niewiele osób może powiedzieć o sobie, że są szczęśliwe, kiedy zbliżają się do końca życia, czyż nie? – zauważyła Virginia z goryczą. – Przypomnij sobie mamę.

Popatrzyłyśmy na siebie. Nagle, niczym wielka, ciemna otchłań, pojawiła się pomiędzy nami przeszłość. Otworzyłam usta, żeby się odezwać, jednak była szybsza.

– No ale to Lichfield – powiedziała, marszcząc nos. – Lichfield?

– Och, Lichfield jest bardzo ładne – tłumaczyłam. – Katedra jest oszałamiająca i ma wspaniałą dziedziniec...

Błąd. Virginia znów stała się powściągliwa.

– No tak, cóż – zaczęła – ja nigdy nie byłam...

Co miało jak zwykle oznaczać, że niektórzy z nas to obrzydliwie bogaci hedoniści, podróżujący – w tym przypadku – z jednego miasta katedralnego do drugiego po to tylko, żeby chępcić się swoją wiedzą przed siostrami...

Uśmiechnęłam się pokornie i wyjaśniłam:

– Liza mieszka daleko od centrum. Na skraju miasta... poza nawiasem... takie odniosłam wrażenie. Wygląda na to, że Alison odziedziczyła wszystko, co było do odziedziczenia.

– Jakże nisko upadają wielcy, powiedziałaaby babcia. Przynajmniej ten raz zdawała się łączyć nas jakaś więź.

Znowu powróciła myśl, że w końcu, być może, okaże się to właściwym posunięciem.

– Kochana staruszka. Naprawdę mi jej brak.

– Dla mnie była wredna – przypominałam jej. Virginia, jak zawsze, zignorowała moje słowa.

– Cóż, Liza sobie na to zasłużyła. Skoro już mówimy o upokorzeniach... Kiedy pomyślę, jak nas traktowała. Nie mam pojęcia, jak matka była w stanie to znieść. Dałabym jej popalić, gdyby spróbowała tego w stosunku do mnie.

– Liza bardzo... wypytywała o mamę. Najwyraźniej były przyjaciółkami... miały wspólne

tajemnice...

Zobaczyłam, że oczy Virginii stają się mroczne, jak zawsze zresztą, kiedy wspomniano przeszłość.

– Nie znosiła jej. Cała rodzina jej nie cierpiała.

– Chyba nie zawsze tak było.

– Nie? – Virginia wbiła we mnie wzrok.

– Przecież każdy ma jakieś ukryte powody tego, że staje się ostatecznie taki, a nie inny. – Chciałam, żeby zabrzmiało to jak najlżej. – Popatrz chociażby na nas...

– Na nas? Co masz na myśli? Nie ma nic tajemniczego w tobie czy we mnie. Tobie doskonale się powiodło; pozostawiłaś mnie daleko w tyle.

– I z powodów, których nie mogę pojąć, to ci doskwiera... Spojrzenie nadal było twarde, ale Virginia milczała.

– Dlaczego? – spytałam.

– Niby co dlaczego?

– Cóż, dlaczego niby fakt, że mnie się powiodło, miałby ci przeszkadzać? Zazwyczaj ludzie się cieszą, kiedy ktoś z rodziny odnosi sukces.

– Chciałabyś. Poza tym nie przeszkadzałoby mi to, gdybyś się z tym tak nie obnosiła.

– Nie obnoszę się.

– Używasz pieniędzy, jak inni używają papieru do sracza. To już była przesada. Nawet ona to zauważyła.

– Przepraszam – powiedziała. – To nie było sprawiedliwe.

– Na pewno tak uważasz, skoro tak się wyraziłaś. Dlaczego?

– Och, ponieważ... – Tak?

– Moje uszanowanie... Specjalnością dnia jest dziś sałatka tabule z parmezanem i z oliwkami faszerowanymi chili, grzanki z bakłażanem i migdałami, krem z zielonego groszku...

Głosem, w którym wyraźnie dało się słyszeć ulgę, Virginia oznajmiła:

– Proszę zupę.

Ja, w roztargnieniu, marząc o powrocie do interesującego mnie fragmentu rozmowy, też wybrałam zupę. Na co moja siostra zaprotestowała: „Nie możesz” – i kopnęła mnie pod stolikiem. W rezultacie nagle wyparowała ze mnie ta niedorzeczna pokora. Papier do sracza, też coś. Nie miałam dziesięciu lat, na miłość boską, i pomimo tego jej dziecinnego „kurczę blade” obie byłyśmy dorosłe.

– Zupa – powtórzyłam głośniej. Kiedy Virginia rzuciła ostrzegawcze:

– Dilys, nie wolno ci jeść tego samego co ja... – wściekłam się.

– Dlaczego, do ciężkiej cholery, nie? – spytałam, podnosząc głos. – Niedobrze mi się robi od tego, że muszę uważać przy tobie na każdy krok, i jeśli życzę sobie pieprzonej zupy z zielonego groszku, to będę jadła pieprzoną zupę z zielonego groszku.

Uniosłam głowę, szczękę wysunęłam do przodu. W rzeczy samej miałam dziesięć lat i ta

chwila należała do mnie. Przyznaję, że to połączenie spraw ważnych z tak trywialną jak zupa z zielonego groszku (z ekologicznych upraw) było dość komiczne, niemniej zagotowało się we mnie. Ostatecznie zamierzałam rozwalić całą swoją rodzinę, w sensie metaforycznym, i uciec do Indii z luzackim kochankiem... dlaczego zatem nie pójść na całość i przy tej okazji nie zniszczyć wszelkich szans na siostrzane porozumienie? I co tam zupa.

Virginia patrzyła na swoje nakrycie bardzo, ale to bardzo potulnym wzrokiem.

– Cóż, myślę, że dotarło to do wszystkich w tej restauracji, Dilly... W porządku, wezmę grzanki.

Kurczę blade, pomyślałam sobie, moje zwycięstwo.

– Coś do picia? – spytała nerwowo kelnerka.

– Owszem – rzuciłam ostro. – Weźmiemy butelkę czegoś naprawdę dobrego... i ja za to zapłacę.

Niech tylko Virginia spróbuje coś powiedzieć. Ona jednak wciąż wpatrywała się w swoje nakrycie. Kelnerka wycofała się po kartę win. Po chwili dostrzegłam, że ramiona Virginii drgają. O mój Boże, doprowadziłam ją do płaczu. Cóż, nie da się tego cofnąć.

– Ginny? – odezwałam się stanowczo.

– Tak? – wymamrotała.

– Musiałam odzyskać pewność siebie. Wiesz, że nie zawsze potrafimy się kontrolować. Zresztą nie jest to wcale zdrowe. – Nawet w moich uszach, mimo podniosłego nastroju, zabrzmiało to dość napuszenie. Ramiona wciąż jej drgały, głowę trzymała opuszczoną. Ona nie płakała. Śmiała się.

– Ale z ciebie oślica dardanelska – wykrztusiła, tym razem czerpiąc ze skarbicy książek Enid Blyton. – Nie mówiłam ci, co masz jeść... miałam na uwadze te badania Johna i Petry. Nie ma chyba sensu, żebyśmy obie składały raport na temat tego pieprzonego kremu z zielonego groszku, nie sądzisz?

Kiedy skończyłam zupełnie, a ona grzanki, wymieniliśmy niezwykle szczegółowe uwagi dotyczące zalet obydwu specjałów. Ośmielona winem próbowałam skierować rozmowę na bardziej znaczące tory. Virginia natychmiast dopasowała się gładziutko. Obserwując, jak piję drugą lampkę wina, odezwała się w typowy dla siebie sposób:

– Przypuszczam, że jeśli zatrzymają cię za jazdę po pijanemu, to wystarczy, że Francis wciśnie dychę właściwemu urzędnikowi...

Idealne otwarcie. Odstawiłam kieliszek, nabrałam powietrza i zapytałam:

– Virginio, dlaczego zawsze koniecznie musisz się mnie czepiać?

Zamrugnęła.

– I dlaczego uważasz, że ja i moje pieniądze to jakieś złowrogie przysiężenie?

– Bo je masz i wiesz, jak z nich korzystać... i do jasnej cholery, korzystasz...

Wstrząsnęła mną jej gniew.

– Virginio, co ja ci takiego zrobiłam?

Równie wstrząśnięta, uniosła do góry brwi, jakby pytała: *Moi?*

– Owszem, ty! Wypiłam jeden kieliszek wina i kropelkę z drugiego, a ty już wyobrażasz sobie, jak mi odbierają prawo jazdy, a mój mąż wciska przedstawicielowi władzy dychę... Nieźle trzeba w tym celu wysilić wyobraźnię.

– Och, nie przesadzaj. Pieniądze mają swoją siłę.

– Virginio, to ty przesadzasz. Zupełnie jakbyś nie była w stanie dostrzec we mnie niczego dobrego...

Ponownie spojrzała na mnie tym swoim pełnym zdziwienia *Moi?*

– Nie jestem ci potrzebna do szukania w tobie niczego dobrego. Sama sobie z tym całkiem nieźle radzisz.

– I znowu to samo... przerabianie komplementu w krytykę...

– Cóż, a ty uważasz, że zasługujesz na wszelki uśmiech losu? – Podniosła głos. Z jakiegokolwiek studni czerpała, była to studnia bardzo głęboka i bardzo, ale to bardzo mroczna. – Rzecz w tym, że... ja byłam... to zawsze byłam ja... a potem ty...

– Co to niby ma znaczyć?

– Tłumacz to sobie, jak chcesz...

– Nie... chcę, żebyś ty mi to wyjaśniła. Nie może to być nic tak prostego jak zazdrość, prawda?

Virginia wyprostowała się, zeszywniała; była szczerze oburzona. I bliska łez. Uratował nas omlet po hiszpańsku, który postawiono przede mną. Kelnerka delikatnie i ze współczuciem w oku podała Virginii tagliatelle z opiekanymi paprykami. Całkiem dziwne dla mnie uczucie – być z siostrą i znajdować się po tej drugiej stronie rozsądku. Na ogół miałam do czynienia z sytuacją odwrotną – włącznie z tamtym przypadkiem, kiedy chciałam jej wyjaśnić, jak rozróżnić strony świata, a ona wybiegła, wyrzaskując, że jestem protekcyjną świnią, co właściciel pubu przyjął, otwierając usta ze zdziwienia. Spędzaliśmy wtedy w Kent we czwórkę nasz jedyny wspólny weekend. Krótko mówiąc, skierowała nas na niewłaściwą drogę i bez ustanku powtarzała, że to jest po prostu niezrozumiałe... Mapa musiała się mylić. Mapa, co oczywiste, należała do mnie.

Problem z ludźmi takimi jak Virginia polega na tym, że ludzie tacy jak ja bardzo się starają ich nie urazić i nieustannie obchodzą się z nimi jak za jajkiem i skorupki, choć kruche, trwają i trwają. Kiedy ostatecznie pękną, co zawsze w końcu następuje, wydobywa się z nich prawdziwy smród. W tamtym kentyjskim pubie wykorzystałam całe mnóstwo językowych subtelności, próbując jej delikatnie wytłumaczyć, że wschód znajduje się – eee, no cóż – zazwyczaj znajduje się gdzieś po stronie przeciwnej zachodowi. Bruce, obdarzywszy mnie zawstydzonym, ale i pełnym zrozumienia uśmiechem, ruszył za nią biegiem. Francis jęknął współczująco i potem już właściwie tamtych dwoje nie oglądaliśmy – w jakimś znaczącym sensie tego słowa – aż do niedzieli, kiedy mieliśmy wracać. Wtedy przynajmniej miałam świadomość, że inni wiedzą, iż to ona zachowuje się jak wariatka. Nie ja.

Tym razem kelnerka obsadziła mnie w roli złooczyńcy, która to niesprawiedliwość jeszcze bardziej wzmocniła we mnie chęć dotarcia do podłoża tej tłumionej frustracji, cokolwiek ono było. Tę moją determinację wzmocniło też wcześniejsze spotkanie z ciotką, przywołanie przykrych faktów z mojej przeszłości, wysłuchanie tego, jak ona poradziła sobie z własną. To wszystko plus nagle przypomnienie sobie pewnej rozmowy sprzed kilku lat, tuż po tej nieszczęsnej historii „wschód-zachód”, ze spotkanym na przyjęciu psychoanalitykiem. Byłam tak zdesperowana, że posunęłam się do rzeczy niewybaczalnej, jaką jest przeszkadzanie komuś w rozgrywaniu partii szachów. On wszakże zachował się uprzejmie i tamtą sytuację podsumował dość precyzyjnie.

– Ludzie nie posiadający cienia pewności siebie uważają, że świat usiłuje się do nich dobrać, co najczęściej odczuwają jako protekcyjnalne traktowanie ze strony innych.

– Cóż, nie bardzo wiem, dlaczego miałyby się czuć tak niepewnie – oznajmiłam rzeczowym tonem – skoro ja nie...

Uniósł brew.

– Próbowала pani ją pytać? – spytał stanowczym tonem.

– No cóż, odebrałyśmy takie samo wychowanie.

– Nikt nie otrzymuje takiego samego wychowywania – stwierdził jeszcze bardziej stanowczo.

– Ona nie chce o tym rozmawiać.

– Ludzie, którzy nie chcą na jakiś temat rozmawiać, są zazwyczaj przerażeni tym tematem albo w związku z nim nieszczęśliwi. Proszę spróbować.

Dwadzieścia lat po tamtej sugestii siedzimy naprzeciwko siebie. Czemu by nie spróbować? Jaka tajemnica ukrywana przez moją siostrę mogłaby być gorsza od tej ukrywanej przeze mnie? Spojrzałam na omlet. A potem podniosłam szybko wzrok i zdążyłam zobaczyć, jak wzrok Virginii przeskakuje z mojego talerza na jej. Ona porównywała te cholerne dania... To wprost niedorzeczne. A niech tam, skoro się rzekło A, trzeba powiedzieć B. Pociągnęłam prowokacyjnie duży haust Pinot i zaczęłam.

– Ginny – powiedziałam – kiedy byłam z ciotką Lizą i z Alison, nic nie poruszyło niektórych strun mojej pamięci. Tego wszystkiego, co było związane z tym, że byliśmy ubogimi krewnymi, traktowanymi protekcyjnalnie...

Zobaczyłam, jak się wzdrygnęła. Dlaczego myśl, że możemy być potraktowane protekcyjnalnie, niemalże zabija moją siostrę i tylko lekko dotyka mnie?

– I zaczęłam się zastanawiać nad nami... nad tobą i mną... oraz nad tym, dlaczego między nami istnieje... taka przepaść.

Nie przerywała jedzenia i nie podnosiła wzroku.

– Dlaczego zawsze zdawałaś się gniewać na mnie... i na świat, kiedy sama byłaś taką gwiazdą – wszyscy cię lubili, byłaś piękna, byłaś inteligentna, byłaś tym wszystkim, czego tylko człowiek mógł sobie zażyczyć, a tymczasem ja, w porównaniu z tobą, byłam bezkształtną bryłą

nicości...

Kłula ten swój makaron, jakby wydłubywała komuś oczy, by po chwili trzasnąć widelcem o talerz. Siedzący w pobliżu podnieśli wzrok.

– W tym właśnie rzecz – syknęła, chwytając kieliszek i zaciskając wokół niego dłoń tak, że aż jej zbieleły kostki. – Że byłaś, no cóż, tak naprawdę, zerem, utrapieniem, kimś, z kim nikt się nie liczył, a teraz, popatrzcie tylko...

– Masz na myśli pieniądze?

– Mam na myśli wszystko. Prawdziwy kameleon. Wszystkie te oznaki pełnego sukcesu. Nigdy niczego ci nie zabraknie – nigdy nie będziesz się musiała zastanawiać, czy mąż cię kocha, czy twoje dzieci lub wnuki chcą z tobą być albo czy powinnaś pojechać na wakacje, czy zjeść ten posiłek... Wyprzedziłaś pod tym względem mnie... wszystkich... i to bez najmniejszego bólu czy wstydu. Mnie wychowano w przekonaniu, że jestem kimś. Ja miałam pewne nadzieje... ty ich nie miałaś. Ta psychiczna nirwana, do której wszyscy rzekomo dążymy...

– Ejże, ejże – niemalże krzyknęłam. – Skąd u ciebie taka terminologia? Psychiczna nirwana? Virginia była wyraźnie zadowolona.

– Przeczytałam w pewnej książce – odparła. – Ty nie zjadłaś wszystkich rozumów. – Teraz uzyskała nade mną przewagę. – W przeciwieństwie do mnie, ty nie miałaś szczególnych nadziei, kiedy dorastałaś, i dlatego nic nie jest w stanie cię speszyc... możesz konwersować z księciem, a możesz też rozmawiać z...

– Prosięciem? Uśmiechnęła się łaskawie.

– Nie dostrzegasz tego, bo z tym żyjesz. Możesz się z tego naśmiewać, bo sama to posiadasz. Chciałabym jednak zobaczyć, jak byś sobie poradziła z tym, z czym ja sobie muszę radzić. Spotykasz na jakimś przyjęciu kogoś, kto pyta Bruce'a: „A czym szanowny pan się zajmuje?”

– Zadawanie takich pytań świadczy o braku wycho...

– No i proszę; znowu udajemy księżną... A potem, kiedy Bruce odpowiada, że jest hydraulikiem, ja widzę, jak wzrok pytających staje się nieobecny, albo słyszę, jak zaczynają ni stąd, ni zowąd mówić o jakimś pęknięciu i wycieku... jak zostajemy automatycznie przypisani do klasy rzemieślniczej.

– Nie sądzisz chyba, Virginio, że potraktuję twoje słowa poważnie? Bruce to prawdziwy artysta wśród...

– On jest pieprzonym hydraulikiem, Dilly. Przestań więc robić z tego sztukę...

„Pieprzony hydraulik” również przyciągnął wzrok siedzących nieopodal gości. Bez wątplenia zafundowałyśmy im niezłe przedstawienie. Zasznurowałam usta. Nie ma wyjścia. Trzeba pozwolić siostrze się wygadać. Nie podobało mi się to, ale przynajmniej w końcu coś mówiła.

Pociągnęła z kieliszka.

– Och, dla ciebie nic tak naprawdę nie jest realne, bo ty nie musiałaś doświadczać podobnego upokorzenia. Łatwo człowiekowi, kiedy nie ma żadnych nadziei. Gorzej, kiedy je ma i zostają

mu odebrane. Nawet wtedy, kiedy byłyśmy małe i w domu działo się jak najgorzej, ty byłaś za malutka, żeby o tym wiedzieć... Gdy tymczasem ja utraciłam coś cudownego... Czułam matkę, dom pełen porządnymi rzeczami oraz ładnych strojów... przytulania, ciepła. A potem wrócił tamten i mama była w ciąży, i próbowała się zabić, i w domu nie było nic do jedzenia, i on się wściekał. Babcia, która mnie uwielbiała, musiała się wyprowadzić i zamieszkać gdzieś indziej. Nigdy przedtem nikt mnie nie uderzył, nie ukarał, a tymczasem on mnie bił – za to, że na niego spojrziałam, że rozlałam piwo, kiedy mu nalewałam, wręcz za samo oddychanie.

Ciebie nigdy nie uderzył. Nazywał cię swoją, naprawdę swoją. „Ta przynajmniej jest na pewno moja”, mawiał. Potem, kiedy wreszcie odszedł na dobre, a my zostałyśmy w ciemnościach i w zimnie, ty nieustannie płakałaś. Zawsze cię było pełno – w łóżku, na jej kolanach, przy jej piersi – ona cię nie chciała, a jednak musiała się tobą zajmować, co oznaczało, że nie mogła się troszczyć o mnie. A ciotki i kuzynki, wszystkie napawały się tą sytuacją, że taka była przedtem ze mnie mała księżniczka i już więcej nią nie będę. Nie powinnam była wychodzić za Bruce’a. Kiedy zobaczyłam, co trafiło się tobie, mało nie padłam...

Zamilkła i wypila resztę wina z kieliszka.

Musiałam się powstrzymać, żeby nie rzucić: „No cóż, Virginio, przestań już kluczyć... jeśli masz coś do powiedzenia, to powiedz to wprost... „ Dzięki Bogu zmilczałam. Siedziałam tylko, czekałam, a uczucie szczęścia wypływało ze mnie, opuszczało mnie wszystkimi porami skóry. Być tak znienawidzoną? Virginia czekała przez całe życie, żeby mi to powiedzieć; sama zresztą to wyznanie sprowokowałam. Myślałam, że jestem taka silna. Ja, niepokonana. Teraz już nie mogłam tak po prostu kazać jej się zamknąć i odejść.

Napełniłam jej kieliszek. Nawet tego nie zauważyła.

– O tak, siostrzyczko. Poczułam w sercu jakąś twardość... musiałam mieć wtedy ze sześć lat, a pomyślałam sobie: O Boże, teraz będę musiała opiekować się matką... I tym głupim niemowlakiem, którego nikt nie chce. Nigdy już nie będę szczęśliwa. W wieku sześciu lat, Dilys, tak sobie pomyślałam i, wiesz co, nigdy już nie byłam szczęśliwa. Wszystko przez ciebie. Och, po co ty się w ogóle musiałaś urodzić? Po co? Czy to uczyniło cię taką... taką... – szukała odpowiedniego słowa – nieporuszoną? Bo taka właśnie byłaś. Tym wszystkim nieporuszona. Uodporniona. Na miłość boską, czy nie bolało cię, że nikt cię nie chce?

Cierpienie Virginii było tak namacalne i tak wstrząsające, że mogłam jedynie ukryć swój lęk przed nim i skupić się na praktycznym aspekcie sytuacji. Nie miałam pojęcia, co czuje niechciane dziecko... bo, żeby czuć się niechcianym, trzeba najpierw wiedzieć, co to znaczy być chcianym.

Ona tymczasem czekała, dysząc przez nos jak jakiś smok; oczy miała twarde i błyszczące jak kryształ.

– Nie sędzę – odpowiedziałam ostrożnie. – Ja po prostu... no cóż... z tym żyłam, po prostu żyłam. Wstawałam rano, oddychałam i dzień się toczył, jak to dzień... nie sędzę, bym kiedykolwiek prosiła, żeby było lepiej, po prostu dryfowałam, przyjmowałam ciosy, przeżywałam jakieś radości i trwałam. Pamiętam, jak zabrałam to, co byłam w stanie znaleźć...

na co nas było stać... na święto plonów w szkole, a były to trzy ziemniaki i dwie pomarańcze... i torba pękła, a państwo Corbettowie i ich córki spod dziewiątki zaczęli się śmiać... nie oczekiwałam wtedy ani czegoś gorszego, ani lepszego. Po prostu podniosłam je, położyłam na podium i wróciłam na miejsce... nie zwracając uwagi na te wszystkie szeptki, jakby mnie one nie dotyczyły.

– Nie chciałaś się zemścić?

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Oni mieli, co mieli, i ja miałam, co miałam, i taki był „porządek dziobania”. Widoczny w różnych rzeczach: hodowanych przy domu kabaczkach czy koszach pięknie wypolerowanych owoców, czy wreszcie uczuciach albo strojach. Kiedy nie miałam butów, to czekając na dzień wypłaty mamy, po prostu siedziałam w domu. Było mi wszystko jedno...

– Poradziłaś sobie z tym okresem... z tym wszystkim... bardzo dobrze – zauważyła z pretensją w głosie. – Mam na myśli ten czas, zanim poznałaś Francisa i zanim stałaś się złotą księżniczką.

– Niewiele z tego pamiętam.

– Dlatego właśnie sobie poradziłaś. Uodporniona, nieporuszona. Bo ja pamiętam każdą chwilę. Podbite oczy mamy, posiniaczone ramiona, wybity ząb, łzy i to najgorsze... ciszę, karetkę pogotowia, przewróconą buteleczkę z tabletkami oraz whisky, dzień, kiedy ojciec zrzucił ją ze schodów, wieczór, kiedy przyszli ludzie komornika i wszystko zabrali... wszystko, ale ciebie nie. Zostawili jedynie łóżko, w którym się urodziłaś, a w którym leżałaś wtedy z matką, oraz moje łóżko po drugiej stronie pokoju. Leżałaś, zawodząc, matka cię pocieszała, karmiła cię piersią, gdy tymczasem ja byłam odrzucona, pomiędzy kolce, w zarośla, do wieży. Dorastałam jako złota księżniczka. A mój ojciec, bogaty i sławny król, przebywał daleko, na morzu... a moja matka była królową w swoim malutkim pałacu i miałyśmy piękne stroje, i trzymałyśmy wysoko podniesione głowy, i była też ta cudowna matka chrzestna – dobra wróżka, która się mną opiekowała i hołubiła mnie, i pewnego dnia miałam poślubić księcia...

– Ginny – przerwałam jej. – Czyś ty kompletnie oszalała?

Nic już jednak nie było w stanie jej powstrzymać. Połowa sali słuchała w napięciu.

– ... I pojawiło się to coś, dziecko podrzucone przez wróżki, chude, nieszczęśliwe, wrzeszczące, niepożądane... i ten odmieniec spowodował, że pałac zawalił się wszystkim na głowy... Wszystkie dobre wróżki natychmiast rozpoznały zwiastuna zła, rozpoznały bezwartościowe byle co, gdy tymczasem trzynasta wróżka, ta, której nie zaproszono razem z pozostałymi, wyszeptła nad łóżeczkiem dziewczynki – choć nikt jej słów nie słyszał – że pewnego dnia los się do niej uśmiechnie, że będzie miała pieniądze, satysfakcję, dobrego, mającego wysoką pozycję męża, miłość i uczucie, i piękną rodzinę, co zrekompensuje tamto życie biednego dziecka odmienca. To wszystko, oświadczyła trzynasta wróżka, mieć będzie do końca życia. Pozostali mogą sobie uważać, że mają wszystko, ale ona im pokaże, że nie mają nic. Ona otrzyma bogactwa portfela i bogactwa serca i nigdy ich nie utraci. Ginny roześmiała się,

podniosła kieliszek, potem uśmiechnęła się tym swoim gorzkim półuśmiechem i powiedziała:

– I ty, co oczywiste, nigdy nie uczynisz nic, by je utracić, prawda siostrzyczko? Może i jesteś, jak wszyscy powiadają, miła i wielkoduszna, ale na pewno nie jesteś głupia. To twoja ostoja. Moją jest Bruce. Wybrałam go, bo był porządnym człowiekiem, spokojnym i można było na nim polegać. Uważałam, że zawsze taki pozostanie.

– Jest dobry. Bardzo dobry.

– Z przyzwyczajeniem... hydraulika... które nigdy nie wyjdzie z mody...

– Ale chyba go kochałaś?

– Kochałam to, że on mnie kochał. Czułam się z tym bezpiecznie... Nie obawiałam się, że wywróci mój świat do góry nogami i złamie mi serce... albo kark. Jednak to nie było życie, Dilly. Ja po prostu nie żyłam.

Tamci wioślarze, ta wierzba, przekonanie, że tak będzie dobrze.

– Ja też nie – oznajmiłam.

Virginia nie dopuściła tego do swojej świadomości.

– Och, ty. Ty masz wszystko. Trafiałaś najwyższą wygraną. Wszystkie te rzeczy, o których nic nie wiedziałam, a których nagle zapragnęłam. I nawet nie musiałaś czekać. Nie miałaś nawet dwudziestki, kiedy pojawił się Francis, i mieliśmy w rezultacie najlepiej dobraną parę dziesięciolecia, ze złotą karocą i w ogóle...

– Chwileczkę, Ginny... posuwasz się już odrobinę za daleko...

– Chwileczkę, Dilly... miałaś zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy podano ci na półmisku to życie usłane różami.

– Chwyciłam się go, dokładnie jak ty, i pewnie z takich samych powodów.

Popatrzyła na mnie sceptycznie.

– Zawsze było z ciebie takie chuchro, traktujące innych protekcyjnie – oświadczyła.

To nawet całkiem ciepłe określenie, pomyślałam, zważywszy na okoliczności. Byłam zadowolona, że względu na wyciągnięte ku nam uszy, że nie użyła jakiegoś mocniejszego wyrażenia.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. W każdym razie masz polisę ubezpieczeniową na to, co kryje się wewnątrz. Co to było, co ktoś powiedział... o tym, że środek nie wytrzyma?

– To z Yeatsa – odparłam. – Irlandzkiego poety.

– Wiem, do jasnej cholery, kim był Yeats – zirytowała się. – Zapomniałam tylko, kto to powiedział. Pozwól sobie przypomnieć, że ja chodziłam do liceum, a ty nie.

– Pozwól sobie przypomnieć, że nie wiedziałam wystarczająco dużo, żeby mi to robiło jakąkolwiek różnicę. Bo tobie, owszem.

– *Touche* – przyznała. – W każdym razie państwu Doskonałym nic się nie rozsypie w gruzy, prawda? A w czarnym narożniku reprezentująca trzy brzydkie siostry oraz cały zbiór złych królowych...

Powinam była pomyśleć, zanim się odezwałam. Powinam była, ale czułam się jak zahipnotyzowana tym, co usłyszałam, oplatana dramatyzmem sytuacji... prawdy wreszcie, po tych wszystkich latach dwuznacznych min czy insynuacji... że zachowałam się jak słoń w składzie porcelany.

– Ginny? – spytałam, miłym zresztą i konwersacyjnym tonem. – Czy myślałaś kiedyś o poddaniu się terapii?

Z tamtego momentu prawdopodobnie najlepiej zapamiętam żabio wytrzeszczone oczy kelnerki, kiedy patrzyła, jak moja siostra o wiele za energicznie odsuwa do tyłu krzesło, wali nim w krzesło siedzącego za nią mężczyzny, wstaje i spotyka się z jego ostrym protestem, ponieważ w wyniku jej gwałtowności wychlusnął zupę na stolik i ta niczym bajoro zielonych alg popłynęła ku jego towarzysze – ładnej, młodej kobiecie – teraz już zaskoczonej ładnej, młodej kobiecie – i jak się wydaje zupełnie nie zachwyconej faktem, że krem z zielonego groszku – z upraw ekologicznych czy nie – spływa na jej elegancką spódnicę.

Pobiegłam za siostrą, która dotarwszy do drzwi, odwróciła się, podniosła do góry palec wskazujący i oświadczyła głosem tak jadowitym, że musiałam cofnąć się o krok, z obawy, żeby jej ślina mnie nie uśmierciła:

– Nie idź za mną i nigdy już, przenigdy nie próbuj się ze mną kontaktować. Ty... sama myśl, że to ty... nie dość, że spowodowałaś całe to zamieszanie, to jeszcze śmiesz sugerować, że ja jestem psychicznie nieźrównowazona... to najlepszy dowód... że sama masz nierówno pod sufitem...

Odwróciła się i poszła.

Gdzieś w oddali usłyszałam głos Francisa, mojego przewodnika i mentora: „Och, Dilys... jak mogłaś?”

I rozbawiony głos Matthew: „Opowiedz jej... ucieszy się”.

Powróciłam do tego drugiego, wymagającego natychmiastowej reakcji zamieszania i przeprosiłam wszystkich obecnych. Dałam kelnerce solidny napiwek, dałam tej młodej, ładnej współbiednicze sumę znacznie przekraczającą ewentualny rachunek z pralni i zapłaciłam za lunch obojga. Wszystko to bez mrugnięcia okiem. Wysłam w to piękne wrześnie popołudnie z przekonaniem, że uporządkowałam ten maleńki kawałek świata, kiedy z raptownym głośnym szczękiem w czasie uświadomiłam sobie, że właśnie przed chwilą sama, jak to ujęła moja siostra, rozdawałam te przysłowiowe dychy. Zobaczyłam to. Od drugiej strony. „Ta, która nic nie miała, ma teraz wszystko”. Tam, na oświetlonym słońcem chodniku starego miasteczka targowego, pełnego sklepów i banków z niezliczonymi możliwościami kredytowymi, byłam boginią na szczycie góry. To był mój świat. Otwarta bombonierka z czekoladkami. Świat luzu i dogadzania sobie, i szczęścia... Uległam pokusie, rzuciłam się weń, a anioły mnie nie uratowały. Był to świat, w którym mogłam udać się do banku i zamówić każdą liczbę czeków podróży na swoje najbardziej nawet rozrzucone wakacje. Świat, w którym, kiedy już bym to zrobiła, przy założeniu, że w Kingston są jakieś porządne sklepy, mogłabym kupić na tę podróż ładne, lekkie

stroje, a potem pojechać do domu i umówić się z fryzjerką i kosmetyczką, gorącym woskiem pozbyć się włosów z nóg, może i zrobić jakiś zabieg kosmetyczny. Jeździłabym z jednego miejsca do drugiego swoim ładnym, nowym autem. Pod koniec dnia czekałby na mnie wspaniałe urządzone dom w zamożnej dzielnicy Londynu. A w nim uprzejmy, dobry, kochający mąż, ojciec moich dwóch szczęśliwych, kochających synów oraz ich szczęśliwe, kochające rodziny. Nikt z nas nie odczuwałby nigdy żadnych braków. Virginia miała rację. To były owe błogosławieństwa, bezrefleksyjne dary, konstrukcja oraz fundament mojego życia. Wyrosłe na kamienistym gruncie; istny cud. A ja zamierzałam je wszystkie wyciąć, wyrwać korzenie, z kimś o imieniu Matthew, którego kochałam bardziej niż kogokolwiek przedtem, bardziej nawet niż własne dzieci.

– Niech to szlag – rzuciłam w kierunku przepływającej pod mostem pary łabędzi. Popłynęły sobie dalej, w błogiej nieświadomości i nie okazując mi najmniejszego współczucia. Również w ich świecie dobiera się partnera na całe życie.

Poszłam nad brzeg rzeki, usiadłam i zaczęłam myśleć – zastanawiać się, gdzie też może się teraz czaić ta trzynasta wróżka i co może sobie myśleć – a zważywszy na baryłkę prochu, jaką właśnie zamierzałam podłożyć pod ten szczodry dar, jakim obdarzyła mnie z okazji chrztu, czy ma jeszcze dla mnie w zanadrzu jakieś inne prezenty. Niewdzięczny, mały kameleon, pomyśli pewnie. Głupi, niewdzięczny, mały kameleon. Daję jej całe szczęście tego świata, a ona robi to.

Od niechcenia, niemalże automatycznie, sprawdziłam, czy nie ma jakichś wiadomości. Była jedna, od Matthew. „Nie zapomnij kupić dobrego, mocnego plecaka”. Serce zabiło mi mocno na widok jego imienia. Wymazałam przekaz i wystukałam numer.

Francis stał osłupiały przed kominkiem; tył jego głowy odbijał się w lustrze. Pierwszy raz zauważyłam, z wielkim wzruszeniem, że włosy zaczęły mu się przeredzać. Rzuciwszy przed chwilą bombę, nie uważałam, że jest to stosowny czas, by zwrócić mu na to uwagę. Po tym jak oświadczyłam: „Jadę do Indii, Francis, ale nie z tobą...”, interesująca byłaby jego reakcja, gdybym jeszcze dodała: A przy okazji, skarbie, czupryna troszkę ci się z tyłu przeredza...

Poza jego odbiciem był jeszcze tamten doskonały lustrzany świat, w którym wszystko robiło wrażenie solidnego i rzeczywistego, podczas gdy tak naprawdę było jedynie kruchą iluzją. Rozbij lustro, a skończy się ten świat. Tam, po drugiej stronie, żyją te dobre wróżki. Jedynie ta trzynasta żyje po tej stronie, po mojej stronie.

Francis wyglądał raczej na zaleknionego niż rozgniewanego, co przez jedną ulotną chwilę uważałam za rzecz dziwną. Bo twarz, którą widział przed sobą, moją twarz, trudno było odczytać, nawet mnie samej.

– Jedziesz sama? – spytał.

– Nie.

MIŁOŚĆ w GORĄCYM KLIMACIE

Kierowca zaparkował ten mały, kremowy samochodzik tak blisko przejazdu kolejowego, jak tylko mógł, po czym zaczął ochoczo poklepywać dłonią twarze, których kilka naraz pojawiała się w otwartym oknie. Ludzie przyglądali się nam, siedzącym na tylnej kanapie, wymieniali podekscytowanymi głosami uwagi – młodzi, starzy, w średnim wieku, na przedzie sami mężczyźni, niektórzy chłopcy zaledwie. Pokryci kurzem, bo od dawna nie padało, a samochód wzbudził gęste tumany pyłu na gruntowej drodze. Trochę tego pyłu dostało mi się do gardła i zaczęłam kaszleć, podczas gdy widzowie zaglądali do środka i kiwali z aprobatą głowami. Kasłanie i odchrząkiwanie to jedna z mniej pociągających rozrywek w tym ogromnym i pięknym kraju. Kiwali głowami, błyskali białymi zębami, uśmiechali się szeroko, oczy ożywione rozbawieniem, kiedy zachęcali mnie, żebym poszła na całość i ulżyła sobie. Ja tymczasem wysuszyłam swoją małą butelkę wody i jakoś udało mi się powstrzymać kaszel. Nadal się uśmiechali. Na ogół odziani w stare ubrania, wypłowiałe, zachodnie. Jeden wskazał palcem na swoją koszulkę, gdzie widniał napis „Levis”.

– Halo, halo – wołali, machając do nas rękoma. – Anglicy, Anglicy... Ja machałam im w odpowiedzi, czując się jak księżna Diana. Uśmiechy obcych są zaraźliwe. Zaczęli się uśmiechać jeszcze szerzej, machać jeszcze bardziej energicznie, mocniej napierać na auto. Teraz nawet kilka drobnych dziewczynek odważyło się precyzyjnie do okna; sprane, wzorzyste sukienki ześlizgiwały się im z ramion, w uszach tkwiły ozdoby ze złota. Ich matki i starsze siostry trzymały się z tyłu, nieśmiało uśmiechnięte, spowite w sari, różowe, pomarańczowe i żółte, barwne jak rajskie ptaki. Mężczyzn jeszcze przybyło, przepychali się i śmiali, wyciągali ręce, żeby uścisnąć nasze. Znajdowaliśmy się w szczerym polu – gdzieś pomiędzy Bharatpurem i Dżajpurem – i panował nieznośny upał. Ponownie zakasłałam, a butelka była już pusta.

– Chodźcie do mojego domu – zaproponował jeden.

– I do mojego – powiedział inny.

– Napijcie się. Dobre piwo, dobra coca-cola.

Wysoki mężczyzna z długą, siwą brodą, odziany jedynie w podarte dhoti, znalazł się na czele tłumu, który się rozstał, by zrobić mu miejsce. Mężczyzna złożył dłonie w geście *namastei* wsunawszy je w okno, uniósł ku nam błagalnie. Potem trzykrotnie skłonił przed nami głowę.

– Wracajcie, Anglicy – zaapelował. – Wracajcie, żeby ocalić nas przed tą straszną korupcją.

Wszyscy kiwali głowami, uśmiechali się jeszcze szerzej.

– Anglia. Piękna – roześmiał się jeden.

– Lordowie – rzucił inny, przepychając się łokciami do przodu. – Bardzo dobry krykiet.

– Manchester United – zawołał trzeci, uśmiechając się i kiwając głową.

– Wracajcie, Anglicy – powtórzył starzec. I ponownie zniknął w tłumie.

– Cóż, to bardzo pokrzepiające – oświadczyła moja siostra. – Miło jest dla odmiany dowiedzieć się, że nas gdzieś chcą. – I obdarzyła stojących iście monarszym ruchem ręki.

– Oddałabym majątek za coś do picia – wyznałam.

Z łoskotem przejechał pociąg. Uniosły się szlabany. Siostra się odwróciła i kiedy samochód ruszył z miejsca, powtórzyła tamten monarszy gest. Przepychanki i uśmiechy za nami ustały.

– Proszę stanąć – poleciłam kierowcy.

Zaczął zjeżdżać na skraj drogi. Tłum zafalował i ruszył w naszym kierunku, ponownie podniecony i rozgadany.

– Panie Singh – spytałam – czy byłoby stosowne wejść do jednego z ich domów?

Pan Singh popatrzył na zegarek. Miałyśmy być w Karauli na kolacji z maharadzą w przepałacowym hotelu. Pan Singh nie lubił mówić nam nie, wobec czego wykonał ów osobliwie indyjski manewr polegający na mówieniu tak i równocześnie przeczeniu ruchem głowy. W ciągu kilku minionych dni nauczyłyśmy się, jak go interpretować, żeby nie prosić o rzeczy niemożliwe, tym razem jednak postanowiłam nie ustępować.

– Ile godzin jazdy do Karauli? – spytałam. Robił wrażenie niepewnego.

– Dwie – odparł – może trzy.

– Co oznacza cztery – wyjaśniła Virginia.

Czas w Indiach dopasowany jest do indyjskich mil. Byłyśmy w drodze już od dwóch godzin.

– Och, daj spokój – przekonywałam. – Czemu by nie? Przecież to przygoda.

– W takim razie idź – powiedziała Virginia.

Pan Singh wzruszył ramionami i wyglądał na zbolałego, ale zatrzymał samochód. Tłum na zewnątrz nie posiadał się z radości.

– Tak, chodźcie, zapraszamy – wołano. – Zobaczcie mój dom, to bardzo ładny dom.

Pan Singh westchnął. Virginia roześmiała się nerwowo.

– Dobrze – zgodziła się. – Ostatecznie tak będzie uprzejmie.

Naszym gospodarzem został młody, może dwudziestopięcioletni mężczyzna, drobny i bosi, odziany w zachodnią koszulę oraz zakurzone, niebieskie dhoti. Był bardzo zadowolony, że wybrano właśnie jego; prowadząc nas po pobrużdżonych, zakurzonych ścieżkach, odwracał się nieustannie, żeby uśmiechem zachęcać nas do podążania za nim. Powietrze nie było ani cuchnące, ani też szczególnie świeże, a domy po obydwu stronach drogi okazały się skleconymi z byle czego konstrukcjami bez okien. Najbardziej przypominały mi budki, jakie starsi ludzie stawiają sobie na działkach. Dotarliśmy do parterowego budynekczku, zbudowanego z betonu, kawałków drewna i blachy falistej, z wejściem przesłoniętym spłowiała, pomarańczową zasłonką.

Popatrzyłyśmy z Virginią na siebie, po czym, kiedy uniesiono zasłonkę, ona posłała mi spojrzenie wyrażające poczucie więzi. Mężczyzna zawołał w mrok – jego słowa mówiły coś o

Anglikach i o chlebie – słyszałam bowiem powtarzane „roti, roti”. Wtedy zjawiała się bardzo młoda, bardzo ładna i bardzo nieśmiała kobieta z dzieckiem na ręce i z drugim, mniej więcej dwuletnim, czepiającym się jej drugiej ręki. Przechodząc obok nas, opuściła wzrok, a potem oddaliła się szybko nierówną ścieżką; tylko zatrzepotało jej żółte sari, kiedy znikwała, ciągnąc za sobą starsze dziecko.

– Zaraz, zaraz – powtórzył nasz gospodarz. – Wchodźcie, wchodźcie.

Zaczepił zasłonkę u góry, a my, pochyliwszy głowy, weszliśmy do środka.

Światło wpadało do wnętrza z niewielkiego otworu w tylnej ścianie – jedna jasna smuga, pełna pyłków i drobin, oślepiająca w tym spowijającym wszystko mroku. W pomieszczeniu było chłodno, pachniało wilgotną ziemią i naftą. Gospodarz wskazał na stół i krzesło, stojące przy niewielkim, kwadratowym stoliku; stół był miejscowej roboty, z grubsza obrobiony, krzesło natomiast – najwyraźniej powód do dumy właściciela – z prostym oparciem i wyściełanym, pokrytym pluszem siedziskiem, wyglądało tak, jakby wylądowało tutaj wprost z jadalni jakiegoś pensjonatu w Brighton. Usiadła na nim Virginia; ja wzięłam stół. Złożyłyśmy dłonie na kolanach i czekałyśmy, a tymczasem nasz gospodarz aż promieniał radością i kiwał głową. Dom miał tylko to jedno pomieszczenie, tylko to jedno wejście. Ludzie stłoczyli się na zewnątrz, ale ich przepłoszył i nadal stał przed nami, wykonując zamaszyste gesty powitania i uszanowania.

Kiedy złożył ręce w geście *namaste*, odpowiedziałyśmy tym samym, a on oświadczył:

– Jestem Sunil.

– Ja mam na imię Virginia – powiedziała na to moja doskonale opanowana siostra. – A to moja siostra, Dilys.

– O – ucieszył się – ja też mam siostrę. Siostry to dobra rzecz.

Chwila ciszy była niemal niezauważalna.

– To prawda – przyznałam.

– To prawda – dodała szybko Virginia, jakby nie chciała być gorsza.

Wszyscy troje skinieniem głowy potwierdziliśmy naszą zgodę.

Niezbędna była długa podróż – dłuższa od lotu do Delhi i od tych wszystkich wypraw różnymi drogami – bym dotarła do punktu, w którym zaczęłam uważać to za całkiem możliwe. W każdej chwili jednak istniało prawdopodobieństwo, że Virginia zachowa się jak niegdyś i że raptownie wybuchnie. Albo też ja zachowam się jak kiedyś nieodpowiedzialnie i ją do tego sprowokuję. Byłam odpowiedzialna za to, co działo się podczas tej podróży – pomiędzy nią a mną, pomiędzy nią a Indiami – ponieważ praktycznie to ja ją zmusiłam, żeby tu przyjechała. Taki eksperyment, mówiłam sobie po cichu. Względy praktyczne, mówiłam jej.

– Proszę – przekonywałam. – Wszystko zaplanowane i opłacone, a okazuje się, że Francis jednak nie może pojechać. Byłoby to okropne marnotrawstwo.

To, jak się zresztą spodziewałam, trafiło do niej. Powoli uczyłam się przystosowywać do jej niezwykłego przeczulenia na punkcie różnych rzeczy.

Ostatecznie zaapelował do niej sam Francis.

– Na miłość boską, pojedź z nią, Ginny – prosił bardzo przekonująco. – Wyświadczysz nam przysługę. W przeciwnym razie musiałaby wyruszyć sama, a ty wiesz lepiej od innych, co to mogłoby oznaczać.

– Och, co takiego? – spytałam szczerze zaintrygowana, on jednak powstrzymał mnie spojrzeniem od dalszych uwag.

Virginii spodobała się atmosfera spisku. Szalona, młodsza siostra dotknięta jakąś dziwną przypadłością wieku średniego. I jeszcze Bruce zdobył się na odwagę i oznajmił, że jeśli nie pojedzie, to na pewno do końca życia będzie żałować... Wobec czego pojechała. Sądzę, że propozycja była zbyt kusząca, żeby mogła z niej nie skorzystać.

Indie – w luksusowym stylu i wszystko opłacone przez innych. Nawet odrzucona złota księżniczka ma swoją cenę.

Dotychczas, jeśli nie liczyć drobnych trudności – jak wspólny nocleg w podwójnym łóżku; przeżycie, które rozwiało wszelkie siostrzane tęsknoty do buduarowej bliskości w stylu Jane Austen, jakie mogłam ewentualnie wcześniej odczuwać – szło nam całkiem nieźle. Może i rzeczywiście „siostry to dobra rzecz”... tyle że niektóre mają cholernie twarde łokcie.

Sunil czekał, z niepokojem przenosząc wzrok z nas na drzwi i z powrotem. Przesadne zainteresowanie otoczeniem nie wydawało się zbyt uprzejme, kiedy jednak nasz wzrok przyzwyczał się do półmroku, zobaczyłyśmy drewnianą skrzynkę pełniącą funkcję kołyski oraz leżące na podłodze plecione maty, najwyraźniej służące za łóżka. Na ławie pod ścianą stało kilka misek i dzbanków oraz ogromny, metalowy sagan, z którego Sunil emaliowanym kubkiem zaczerpnął sobie wody. Pijąc, trzymał uniesiony w górę palec, jakby chciał powiedzieć: „Już wkrótce wasza kolej”. Co zresztą okazało się prawdą. Bo po kilku chwilach wróciła jego żona z dwiema puszkami coca-coli i – wprost nie do wiary – z małą paczką pokrojonego białego chleba, zawiniętego w pergamin.

– Specjalne roti – oświadczył nasz gospodarz.

Jego żona usunęła się nieśmiało w najdalszy kąt pomieszczenia, zagarniając w sari swoje dzieci. Podano nam z namaszczeniem puszki, które Sunil wpierw dla nas otworzył, a potem ściągnięto pergamin z tego kuzyna Mother's Pride¹. Wzięłyśmy po kromce. A potem, kiwając głowami, jadłyśmy i popijałyśmy colę.

– Bardzo specjalne roti – oświadczył z zadowoleniem. – Z Anglii.

Pan Singh zajrzał do wnętrza, zerkając przy tym nerwowo na zegarek. On też dostał kromkę chleba.

– A jak się ma królowa? – spytał nasz gospodarz.

– Bardzo dobrze – odparła Virginia.

– Piękna pani – oświadczył, wykonując przy tym rękoma wymowny gest. Po czyni dramatycznie westchnął. – I księżna Diana – dodał i pokiwał smętnie głową.

– O tak – powiedziałam.

Zamilkliśmy wszyscy, żeby wyrazić swój smutek z należytą powagą.

– A wy macie mężów? Przyznałyśmy, że mamy.

– Na dobrych posadach? Przyznałyśmy, że owszem.

– A ty, Sunil? Czym ty się zajmujesz? – spytała Virginia.

– O, ja mam dużo szczęścia, bardzo dużo szczęścia. Ja robię... – Wstał i poszedł w kąć pomieszczenia, skąd wrócił po chwili z na pół wykonanym sandałem.

– Sandały – powiedziałam. I wzięłam z jego ręki nie dokończony wyrób, obejrzałam dokładnie, jak wymagała uprzejmość. Zauważyłam, że obrzucił błyskawicznym spojrzeniem moje stopy, natychmiast zresztą umykając wzrokiem w bok. Stopy Virginii skryte były pod spódnicą; najwyraźniej nie zamierzała ich pokazywać. Wszyscy przenieśliśmy wzrok z sandała na moje stopy i nawet trzymająca się matki dwulatka wybuchnęła śmiechem. Kobieta natychmiast ją uciszyła, co nie przeszkodziło, że jej własne oczy aż tańczyły ze zdziwienia i z uciechy. Należała do tej bardzo ubogiej nieobutej społeczności, a mimo to jej stopy były o wiele zgrabniejsze i delikatniejsze od moich. Wiedziałam, że to ona dźwiga na głowie ten ogromny, metalowy sagan. Ile razy dziennie? Dwa? Trzy? Cztery?

– Chłopskie stopy – oświadczyłam.

Sunil robił wrażenie zakłopotanego; wykonał charakterystyczny ni to przeczący, ni to potwierdzający ruch głową. Nastąpiła chwila krępującego milczenia. Dzieci jeszcze bardziej wtuliły się w matkę; tylko ich wielkie oczy nadal obserwowały nas z ciekawością.

– To bardzo ładny dom – odezwałam się. Virginia skinęła głową.

– A ty jesteś bardzo uprzejmy.

– Dzięki, dzięki – powtórzył dwukrotnie Sunil, ponownie składając nam głęboki ukłon. Jego żona słała tymczasem promienne uśmiechy zza swojego sari; chichotały zachwycone dzieci.

Byłyśmy z siostrą wzruszone niemal do łez wielkodusznością tych ludzi.

– Mem? – zawołał pan Singh. Przez odsłonięty otwór drzwiowy wskazywał na swój zegarek. Wstałyśmy i złożyłyśmy ukłon.

– Czas na nas. Dziękujemy, dziękujemy – powiedziałyśmy obie.

Virginia złożyła dłonie i wykonała gest błogosławieństwa. Wszyscy obecni odpowiedzieli tym samym. Otworzyłam torebkę. Virginia spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem. Potem odwróciła oczy, połaskotała bródkę niemowlęcia i przemówiła do niego szczebioczącym głosem. Jakże to dla niej typowe, pomyślałam z irytacją, zostawiać decyzję mnie. Wzruszyłam ramionami, niepewna, jaka suma będzie stosowna. Uwzględniwszy koszt coca-coli i chleba oraz ich widoczne ubóstwo, powinnam być szczodra. Dałam Virginii znak, że się tym zajmę. Popatrzyła na mnie jeszcze bardziej niepewnym wzrokiem i delikatnie pokręciła przecząco głową. Ponownie wzruszyłam ramionami i gestem wskazałam puste puszki oraz chleb. Spojrzałam w kierunku pana Singha, ten jednak nie okazywał niczego poza chęcią ruszenia w dalszą drogę. Mężczyzna, jego żona i dzieci wpatrywali się w nas z półuśmiechem, niepewni. Włożyłam rękę do torebki i wyjęłam dwa banknoty rupii o wysokim nominale – warte jakieś pięć funtów – i podałam je Sunilowi.

W tym samym momencie jego uśmiech zastygł – on zaś cofnął się, jakbym trzymała w palcach truciznę. Kiedy pokazałam gestem, że ma wziąć banknoty, cofnął się jeszcze bardziej. Za sobą usłyszałam, jak pan Singh wciąga ze świstem powietrze. Przed sobą zobaczyłam, jak żona gospodarza chowa się w głęboki cień. Przez chwilę panował całkowity bezruch – a potem Virginia rzuciła się do przodu, pochwyciła banknoty i zaczęła paplać o zwyczaju naszego kraju, nakazującym obdarowywanie każdego napotkanego dziecka pieniędzmi.

– To taki angielski zwyczaj, Sunilu – oświadczyła stanowczo.

Mężczyzna sprawiał wrażenie zakłopotanego – tym bardziej że pan Singh kiwał zachęcająco głową – wobec czego Virginia podeszła do dzieci i włożyła każdemu banknot do rączki. Dziewczynka patrzyła w osłupieniu na swoją garść, podczas gdy to młodsze na rękach u matki, zaczęło zbliżać banknot do ust – typowe w jego wieku. Virginia szybko wyrwała banknot z zaciśniętej dłoni dziecka i ukryła go gdzieś w fałdach matczynego sari. Wszyscy się roześmiali, poza tym najmłodszym, które znowu zareagowało jak wszystkie małe dzieci świata – tym razem płaczem. Napięcie zniknęło. To był jedynie podarunek dla dzieci, nic więcej. Virginia uratowała wszystko – twarz, dumę, honor. Kiedy wypowiadałyśmy nasze ostatnie do widzenia, rzuciła mi takie spojrzenie, jakie musiało być widoczne w oczach Złej Królowej, kiedy w jej obecności ożywiono Królową Śnieżkę.

– Przepraszam – sumitowałam się bezgłośnie.

– Ty i te twoje zagrywki w stylu szczodroblivej damy – skarciła mnie. I wypchnęła na zewnątrz.

Podreptałyśmy z powrotem do samochodu, machając do naszych gospodarzy i szczerząc zęby w promiennych uśmiechach.

– Zaprosiłabyś kogoś do domu na lunch, a potem wzięła za to pieniądze?

Przypomniała mi się żartobliwa uwaga Francisca, żeby tak właśnie postąpić w stosunku do niej. Tyle że teraz nie wydawała mi się ona zabawna, a mnie samej nie było do śmiechu. Wzdrygnęłam się. Pomyślałam też, nie wiadomo który już raz, że gdyby była tu ze mną Carole, zamiast tej trudnej krewnej zwanej siostrą, ta podróż okazałaby się znacznie łatwiejsza. Z drugiej strony, nie chodziło przecież o to, żeby było łatwo. Ja miałam tutaj odnaleźć odkupienie. I miałam nauczyć się kochać siostrę. I mieć nadzieję, że kiedyś, być może, ona nauczy się kochać mnie.

Myślałam też, kiedy już wsiadłam do samochodu i włożyłam portmonetkę do torebki, cholera, cholera, cholera, ona ma rację.

– Przepraszam – powtórzyłam, gdy nasz kierowca z wyraźną ulgą zapalił silnik i znowu pokręcił i potrząsnął głową.

– Nie ma się czym przejmować – rzucił. Co oznaczało, że jest.

Kiedy podążaliśmy tą zakurzoną drogą do Karauli, przypomniało mi się, jak stałam przed lustrem i mówiłam Francisowi, że postanowiłam pojechać do Indii ze swoją siostrą, ponieważ uważam, że jeśli zobaczy tę drugą stronę, to może wyleczy się z zawiści w stosunku do mnie.

Uświadomi, jak wiele sama posiada. Przypomniałam sobie również jego reakcję.

– A co z tobą? – spytał łagodnie.

– Ja już wiem – odparłam. Rzucił mi dziwne spojrzenie.

– Nie jestem taki pewien – powiedział. Ale przynajmniej w jego twarzy nie było już tamtego lęku.

NIEUCHRONNY ZMIERZCH DŁUGIEGO DNIA

Lata temu, kiedy poznałam Francisa, powiedział mi, że nocami wciąż gnębią go koszmary związane ze szkołą. Czy odrobi lekcje – nazywał je pracą domową – na czas? Czy potrafi znieść tych najgorszych nauczycieli, uniknąć ich sarkazmu i złośliwego traktowania? Czy odniesie sukces w sporcie? Czy zda egzaminy?

Słuchałam i robiłam wrażenie, że mu współczuje, choć tak naprawdę nie pojmowałam tych dziecięcych traumatycznych doświadczeń. Virginia miała rację. Och, owszem, cierpiałam z powodu tamtych trzewików, płaszczyka, torby z ziemniakami i pomarańczami, jednak żadna z tych rzeczy nie wniknęła we mnie zbyt głęboko. Moje życie nigdy nie wywróciło się do góry nogami, bo nie bardzo co miało się wywracać. Nie byłam świadoma, że mogłoby być inaczej. Nigdy w moim życiu nie było złotego okresu, nigdy nie było roześmianej matki ani siostry, która uśmiechałaby się miło; nigdy nie odczuwałam braku dywanu na podłodze, zabawek czy prezentów, miękkich, nowych sukienek kupionych specjalnie dla mnie, uwielbienia oraz czułości przynależnych małej bogini. Inni ludzie po prostu inaczej żyją i tyle, tak sobie myślałam.

Kiedy tak się spogląda na to dzieciństwo, może się ono wydawać nawet całkiem szczęśliwe. Nigdy nie pojawiło mi się w żadnym nocnym koszmarze, tak jak Francisowi pojawiała się szkoła, nigdy nie spędziłam bezsennej nocy na rozmyślaniach o moim dzieciństwie, nie męczyłam się też tak jak moja siostra od tamtej chwili, kiedy pojawił się ten kwilący zwiastun nieszczęścia. W porównaniu z doświadczeniami tych dwojga, moje dorastanie przypominało bezcelową wędrówkę po płaskiej równinie. Bez rozczarowań. I zanim zdążyłam osiągnąć wiek, w którym jakiegokolwiek pociski i strzały mogłyby mnie dosięgnąć, byłam już bezpieczna we wnętrzu mojego małżeńskiego kokonu. Rozumiałam gniew Virginii. Ja, która tak niewiele potrzebowałam, o tak niewiele prosiłam, dostałam tak dużo. Na dodatek bez najmniejszego wysiłku.

Owszem, teraz to wiedziałam; miałam tej wiedzy aż nadto. Każdej nocy, od Delhi do Agry, od Agry do Dżaisalmeru, od Dżaisalmeru do Dungarpuru, towarzyszył mi ten ból i towarzyszył mi Matthew, tak rzeczywisty, że czułam jego ciało obok swojego, słyszałam słowa, które mi szeptał do ucha, kuszące, uwodzicielskie słowa, od których budziłam się zlna potem pożądania, i leżałam, tonąc we łzach tęsknoty, czując obrzydzenie do samej siebie.

Albo budził mnie jego głos wzywający do obejrzenia czegoś nowego – świątyni dżinistów, ślubnej procesji, starodawnego, zaniedbanego pałacu z lustrzanymi sufitami i szklanymi ścianami, sali pełnej wymownych, erotycznych fresków. Otwierałam oczy i zrywałam się z łóżka, żeby już po chwili sobie przypomnieć. Gryzłam wtedy palce, wreszcie wszystko pojmując,

a ból był tak dotkliwy, że chciałam krzyczeć. Virginia to wszystko przesyiała. To była moja tajemnica. Gdybym miała odnieść cokolwiek z opowieści ciotki Elizy do swojej osoby, to chyba to, że również ja powinnam zachować tajemnicę. Podobnie jak w jej przypadku, na całym świecie istniały zaledwie trzy osoby, które ten mój sekret znały, co i tak było dość ryzykowne. Już jedno życie zniszczyłam. Och nie, nie w świecie rzeczywistym – coś takiego uczynił mój ojciec oraz ten system, który przypisał kobiety do klasy podrzędnej i zgodnie z którym ich wartość jako matek była bez znaczenia, jeśli nie towarzyszył im mężczyzna pchający wózek i płacący czynsz. Nie – to, co ja zniszczyłam, to ten piękny świat znajdujący się po drugiej stronie lustra, który dla niej był całkiem realny, a do którego już nigdy nie będzie mogła wejść. Zaprzeczanie jego istnieniu było bezcelowe, kiedy miała sześć lat; tym bardziej było bezcelowe teraz, kiedy miała pięćdziesiąt sześć. Przecież widziała go kiedyś na własne oczy; wiedziała, że jest realny, ale już nieosiągalny.

Nie sądzę, by Virginia kiedykolwiek uważała się za egzystencjalistkę czy za uczennicę Sartre'a, ale na pewno wierzyła, że to ja jestem odpowiedzialna za to, co jej uczyniłam, że stosownie do tego powinnam sama siebie osądzić. Uczyniłam to. Nie mogłam ponownie skrzywdzić swojej rodziny. Ani męża, ani dzieci, ani siostry. No i było coś jeszcze, co wpłynęło na moją decyzję. Bo oprócz snów z Matthew prześladowały mnie nieustannie słowa mojej ciotki: „Nie utrzymałabym się za dwadzieścia pięć szylingów tygodniowo... „ i „Miłość, moja droga? Ona nie odpędzi komornika od domu”.

Kiedy powiedziałam Matthew, że jadę do Indii i że nie zamierzam się już z nim więcej spotykać, nie był zaskoczony. Wściekły, owszem, zraniony, tak, ale nie zaskoczony.

– Zawsze wiedziałem, że tak będzie – przyznał. – Miałem tylko nadzieję. Ale nigdy nie wierzyłem.

– A ja tak.

– Dlaczego akurat teraz?

Po tym, jak tamtego dnia zadzwoniłam na komórkę Virginii, wprost znad brzegu rzeki w Kingston, wróciłam do Paddington i oświadczyłam... co oświadczyłam. Chciał wiedzieć, kiedy się ostatecznie zdecydowałam, i co dziwne, powiedziałam mu prawdę..

– To z powodu tego plecaka – rzuciłam niemal histerycznie. – Po prostu nie umiałam sobie wyobrazić siebie z plecakiem.

Siedział na brzegu łóżka, w tym niemal pustym wnętrzu; na tle tej dekoracji, jaką stanowiły łuszczące się plakaty, obwisająca luźno zasłonka na oknie oraz te błahe, bezużyteczne kieliszki do jajek, wyglądał jeszcze młodziej. Jego oczy znów miały ten ostry błękit tycjanowskiego nieba, egzotyczne szafiry wierności.

– Jak to możliwe, że zawsze wiedziałeś? Odpowiedział głosem, jakiego wcześniej nie słyszałam.

Neutralnym, obojętnym, jakby tak naprawdę już go tam nie było.

– Od chwili, kiedy wszedłem na tamten prywatny pokaz i zobaczyłem cię w białej sukience,

z włosami takimi, jak trzeba, taką wytworną i opanowaną, wiedziałem. Miałaś o wiele za dużo do stracenia. Sama nie miałaś pojęcia ile. Brakowało ci punktu odniesienia, by to ocenić. Ja natomiast mam szósty zmysł... ten, który się odzywał, kiedy mówiłaś, żebym zmienił samochód czy kupił telefon komórkowy, czy kiedy wspominałaś o pięciogwiazdkowych hotelach w Indiach. Taka jest skała, na której budowałaś. Dobrze się czujesz w świecie, który sobie stworzyłaś, i tylko w tym świecie pozwalasz się kochać. Zatem ostatecznie i tak byś odeszła. Za dużo do stracenia.

To zabolalo. Bo były to słowa, jakich użyłaby moja siostra.

– Cóż, ja nie sądziłam, że tak się to skończy. Bo ja nie wiedziałam, jak to ująłeś. Po co więc to ciągnąłeś? Po co Dorset? Po co w ogóle to wszystko?

– Nigdy nie słyszałaś o bękarciej nadziei?

– O wiele za dużo do stracenia to nie tylko stroje czy samochody. To również szczęście innych ludzi.

– Kiedy się spotkaliśmy, pewna część ciebie była martwa. I wkrótce ponownie stanie się martwa.

– Wiem – zgodziłam się. Oczywiście to ta królewska komnata.

Na moment zniknęła ta prawdziwa czy udawana neutralność, a jego głos zabrzmiał twardo.

– Wiesz, że żadne z nas już nigdy nie będzie szczęśliwe, prawda? Ani ty, ani ja. Znikną na zawsze te dni, kiedy człowiek się budzi i dziwi, dlaczego się uśmiecha. Od tej chwili będziemy jedynie trwali, podpierając się przy tym czymkolwiek. Już nigdy więcej nie zakosztujemy pełni szczęścia.

Nie mylił się.

Głos sześćioletniej Virginii: Nigdy już nie będę szczęśliwa. Cóż, moja siostrze. Teraz ja dołączyłam do ciebie.

Francis czekał na nas na Heathrow. Bruce nie mógł przyjechać, bo nadwreżył sobie kręgosłup. Widziałam, jak na tę wiadomość opuszczają się kąciki jej ust.

– Typowe... – zaczęła.

– Ginny... – rzuciłam ostrzegawczo.

Wyczułam raczej, niż widziałam, jak Francis zastyga bez ruchu. Czekał na wybuch. Tymczasem moja siostra zaczerpnęła głęboko powietrza – można wręcz było zauważyć, jak liczy – i oświadczyła:

– Przepraszam. To był długi lot. Biedny Bruce.

Francis spojrział na mnie i uniósł jedną brew.

Zrewanżowałam mu się spojrzeniem, które wyrażało zdecydowane samozadowolenie. Serce pękało mi na tysiąc kawałków – ból przenikał całe ciało – a na mojej twarzy utrzymywał się wyraz figlarnego samozadowolenia. Muszę być taka jak niegdyś. Doskonała. Jakże zimna jest doskonałość, jak powiedziałby poeta.

Ni stąd, ni zowąd pomyślałam o Davinie Bentham. Jak wielkie, tak naprawdę, zmiany zaszyły

w ciągu ostatnich dwustu lat? Kto pamięta ją oraz jej poświęcenie? Wciąż przecież mnóstwo, całe mnóstwo kobiet, często mężatek, poddaje się i rezygnuje z walki, by prowadzić leniwe życie w strojach od Jaegera i Harveya Nicksa. Rzeczywiście, „Żywoć nasz krótki w sen jest owinięty”¹, długi, bardzo długi sen. Nawet to lotnisko, cholerne, pocziwe Heathrow, też miało moc sprawiania bólu. Powinnam stać tam z Matthew, a nie iść pod rękę z mężem i odgrywać rolę żony doskonałej.

Pomyślałam, że znowu popracuję nad książką... zajmę się czymś. Już rozumiałam, co to znaczy mieć namiętą naturę, zrozumiałam, co to znaczy poznać cierpienie, i pojęłam też ogrom odwagi Daviny, odwagi, jakiej wymagało stawienie czoła wszelkim przeciwnościom i dochowanie wierności temu, co kochała. To był ten element układanki, którego nie umiałam odnaleźć. Nawet jeśli nikt tej książki nie wyda, to przecież czułam do Daviny ogromną sympatię i być może ona sama okaże się lekiem na moją chorobę. Skoro nie mogę być taka jak ona, to przynajmniej ją uhonoruję. Dzięki temu będę miała się czym zająć...

Podrzuciliśmy Virginie do Kingston, pozdrowiliśmy cierpiącego Bruce'a; mężowie słuchali, podczas gdy my snułyśmy nasze opowieści, zgadzając się, że w atmosferze Indii każdy w jakiś sposób się odradza. Oni mają tak niewiele, my tak dużo. I na odwrót.

Jak w hollywoodzkim filmie uściskałyśmy się z Virginią na progu jej domu. A potem byliśmy już tylko we dwójkę w samochodzie. Towarzyska, nic nie znacząca rozmowa. Jedyne do tego byłam zdolna. Wracaliśmy tą samą trasą, którą jechałam, kiedy ostatni raz widziałam się z Matthew.

– Biedaczyska – powiedziałam. – Jeśli stan zdrowia Bruce'a szybko się nie poprawi, nie będzie mógł pracować... co oznacza, że nie będzie zarabiał.

Francis skinął głową. A potem zauważył:

– Jak to dobrze, że wyszłaś za mnie.

Poczułam uderzenie tych słów. Zatem rany będą mogły zacząć krwawić wszędzie, zawsze, w każdej dosłownie chwili. Zastanawiałam się, kiedy da się zapanować nad tym bólem. Kiedy?

W domu on przyrządził herbatę; by ją wypić, usiedliśmy jak kiedyś, po przyjacielsku na kanapie. Byłam taka i zmęczona. Odchyliłam głowę na oparcie, zamknęłam oczy ! i usłyszałam westchnienie Matthew, poczułam na uchu jego oddech. Natychmiast podniosłam głowę, wyprostowałam się. Otworzyłam oczy. To był Francis. Mówił coś do mnie. Potrząsnęłam głową, żeby dojść do siebie.

– Przepraszam – powiedziałam – byłam gdzieś daleko... Przyciągnął mnie, oparł moją głowę na swoim ramieniu i przytaknął.

– Odbyłaś daleką podróż – oznajmił. – Bardzo długą...

– Tylko dwa tygodnie... – zaczęłam.

– Bardzo długą. Ale już do mnie wróciłaś.

W tonie jego głosu zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Odwróciłam głowę, by mu się przyjrzeć. Patrzył na mnie. A więc on też zawsze wiedział.

PRZYPISY OD TŁUMACZY

Prolog. Na początku nie było słowa...

¹ Słynna Piątka i Tajemnicza Siódemka – bohaterowie serii kiedyś popularnych powieści dla dzieci autorstwa Enid Blyton (1897-1968).

² Autorstwa Jane Pilgrim.

³ Fragment z: T. S. Eliot, *Wydrążeni ludzie*, tłum. Marta Jabłońska-Majchrzak.

⁴ J. w., tłum. Czesław Miłosz.

1. Na dworcu Tempie Meads usiadłam i płakałam

¹ Kate Greenway (1846-1901) – popularna ilustratorka książek, znana ze słodkich rysunków przedstawiających dzieci.

² David Hockney (ur. 1937) – brytyjski malarz, rysownik i fotograf.

³ Gerald Scarfe (ur. 1936) – malarz, scenograf, autor filmów animowanych, dowcipów rysunkowych, karykaturzysta.

⁴ Ken Livingstone – zwany „Naszym Kenem”, członek Partii Pracy, w latach 1981-1986 przewodniczący Rady Miejskiej Aglomeracji Londyńskiej (zlikwidowanej w 1986).

⁵ Alan Davie (ur. 1920) – brytyjski malarz; różne style, ostatnio zafascynowany filozofią zen i mistycyzmem Orientu.

⁶ Jean Dubuffet (1901-1985) – francuski malarz pod wpływem surrealizmu i dadaizmu, wprowadził termin art brut (twórczość ludzi odizolowanych; więźniowie, pacjenci oddziałów psychiatrycznych).

⁷ Kenneth Armitage (1916-2002) – rzeźbiarz brytyjski.

⁸ Sir Eduardo Paolozzi (ur. 1924) – brytyjski rzeźbiarz i grafik pochodzenia włoskiego, wpływy surrealizmu i dadaizmu.

⁹ Army & Navy – sieć sklepów, kiedyś wyłącznie z zaopatrzeniem dla wojska.

¹⁰ Rules – reguły, zasady, normy.

¹¹ Richard Hamilton (ur. 1922) – malarz brytyjski, przedstawiciel pop-artu.

¹² Morris Louis Bernstein (1912-1962) – malarz amerykański eksperymentujący z nowymi technikami malowania.

¹³ Bohaterki powieści Susan Coolidge *Po prostu Kąty* (powieść dla dziewcząt z końca XIX wieku).

¹⁴ Bohaterki powieści Jane Austen (1775-1817) *Rozważna i romantyczna*.

¹⁵ Bohaterki powieści *Tęcza* D. H. Lawrence’a (1885-1930).

¹⁶ *Spotkanie (Brief Encounter)* – dramat obyczajowy, USA 1974, reż. Alan Bridges, wyk. Sophia Loren, Richard Burton, Jack Hadley, Rosemary Leach. Remake klasycznego filmu Davida Leana z 1946 r.

2. Koniakowe noce

¹ Charles Dickens, *Martin Chuzzlewit*.

² T. S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, tłum. Michał Sprusiński.

³ T. S. Eliot, *Sweeney Erect*, tłum. Marta Jabłońska-Majchrzak.

⁴ Zaczerpnięte z: Andrew Marvella (1621-1678), *To His Coy Mistress* (tłum. Marta Jabłońska-Majchrzak).

5. Hotel Granda

¹ *Tytus Andronikus* Szekspira. Tytus podcina gardła synom Tamory, Demetriusowi i Chironowi, każe przygotować pieróg z nadzieniem z ich szczątków i podać go Saturninowi i Tamorze.

6. Człowiek w żelaznej masce

¹ Jeffrey Archer – członek parlamentu brytyjskiego z ramienia partii konserwatywnej, trafił do więzienia za krzywoprzysięstwo w związku z oskarżeniem go o cudzołóstwo. Pisarz.

² Alan Clark – parlamentarzysta, członek partii konserwatywnej, przyznający się otwarcie do niemożności dochowania wierności małżeńskiej.

7. Mieć albo nie mieć?

¹ Tradycyjny, obecnie tylko inscenizowany, obrzęd, w którego trakcie małżeństwo staje przed sądem złożonym z sześciu panien oraz sześciu kawalerów z Dunmow (w Essex) i stara się udowodnić, iż przez jeden rok i jeden dzień ani razu nie żałowało, że zrezygnowało ze stanu wolnego. Jeśli im się to uda, otrzymują poć boczku („flitch”).

² Zdanie pochodzące od Johna Bradforda (1510-1555), wypowiedziane przez niego, gdy był świadkiem egzekucji. Sam został spalony na stosie jako heretyk za panowania Marii Tudor.

³ 15 kwietnia 1989 w Hillsborough podczas meczu doszło do zatarowania 96 osób z powodu braku organizacji ruchu kibiców na trybunach.

⁴ 22 kwietnia 1993 w Londynie grupa białych wyrostków bez żadnego powodu zadźgała nożami czarnoskórego chłopca, Stephena Lawrence’a. Nikt nigdy nie został za to postawiony przed sądem.

⁵ Aphra Behn (1640-1689) – angielska agentka i pierwsza profesjonalna pisarka, bardzo postępową, obecnie znów czytana. Pisała o miłości, zdradzie, pieniądzach i władzy. Autorka komedii *Tulacz*.

⁶ Sir William Congreve (1670-1729) – dramatopisarz angielski, jeden z czołowych reprezentantów komedii obyczajowej epoki restauracji, autor błyskotliwych komedii obyczajowych. Najśłynniejsza sztuka: *Światowe sposoby*.

⁷ Volkswagena Transporter Westfalia – sztandarowy wehikuł hippisów.

⁸ Trzej bracia Krayowie (Ronnie i Reggie – bliźniaki jednojajowe i Charlie 7 lat starszy) –

legendarni gangsterzy londyńscy lat sześćdziesiątych, powiązani ze światem polityki, rozrywki itd. Wszyscy skazani za różne zbrodnie, włącznie z morderstwami.

⁹ Sir E. H. Gombrich (1909-2001) – urodzony w Austrii angielski historyk sztuki.

¹⁰ Bernard Berenson (1865-1959) – urodzony na Litwie amerykański krytyk i historyk sztuki.

¹¹ Jeremy Bentham (1748-1832) – angielski prawnik, filozof, ekonomista.

¹² „South Sea (albo Seas) Bubble” to pierwszy wielki krach na angielskim rynku akcji, w roku 1720. „Bubble” ma dwa znaczenia: 1) jest synonimem oszustwa i 2) oznacza coś nadmuchanego, co może pęknąć; obydwa znaczenia mają tu zastosowanie. Rok 1720, kiedy to powstało wiele spółek akcyjnych, których celem było wykorzystanie panującej wówczas manii spekulacyjnej, nazwano „Bubble Year”.

¹³ Mary Wollstonecraft (1759-1797) – angielska pisarka i feministka, matka Mary Shelley (autorki *Frankensteina*).

8. Na dnie w Pałacu Londyńskim

¹ Edward Heath – brytyjski premier z ramienia Partii Konserwatywnej 1970-1974.

² James Keir Hardie (1856-1915) – brytyjski przywódca robotniczy, górnik, działacz związkowy, polityk.

³ Jacob Bronowski (1908-1974) – znany brytyjski naukowiec i humanista urodzony w Łodzi. Prowadził programy przyrodnicze w BBC.

⁴ Madame de Staël-Holstein (1766-1817) – francuska pisarka, prowadziła salon literacki, gdzie zbierali się intelektualiści. Napoleon wygnał ją z Paryża, a potem z Francji.

⁵ Edward Hopper (1882-1967) – znany malarz amerykański, przedstawiciel tzw. nowego realizmu, tutaj chodzi prawdopodobnie o obraz *Sierpień wmieście* (*August in the City*).

⁶ Jeremy Paxman, znany brytyjski dziennikarz w 1998 podczas wywiadu z ministrem spraw wewnętrznych Michaeliem Howardem zadał mu to samo pytanie czternaście razy.

9. Strach przed klamaniem

¹ William Szekspir, *Wieczór Trzech Króli* tłum. Leon Ulrich, PIW, Warszawa 1963.

² Jacques Luis David (1748-1825) – malarz francuski, przedstawiciel klasycyzmu.

³ Cytat z amerykańskiego oscarowego filmu *Trzykameliez* 1942 roku (reż. Irving Rapper, w rolach głównych Bette Davies i Gladys Cooper).

10. Kobieta w kąpielu

¹ Kukułczyn Chmurny z dramatu *Ptaki* Arystofanesa to stworzona w przestworzach utopia. Ogólniej terminem tym określa się jakikolwiek system teoretyczny, oryginalny i całkowicie niepraktyczny.

² Charlotte Bronte, *Dziwne losy Jane Eyre*, 1847.

13. Łowy na ciotkę

¹ Ralph Reader (1903-1982), brytyjska znana postać związana ze skautingiem i showbiznesem.

14. Bądźmy nieuczciwi na serio

¹ „Smart” – po angielsku m. in. „wytworny”, „elegancki”.

² Festival of Britain (VIX 1951) – festiwal poświęcony brytyjskiej sztuce i osiągnięciom brytyjskiego przemysłu, zorganizowany w celu podniesienia ducha w narodzie po wojnie.

17. Mąż idealny

¹ Przejmująca piosenka Presleya o wiernym psie, którego właściciel miał od szczenięcia i nie potrafił go uspić, kiedy zwierzę było już chore, niedożywione i cierpiące.

18. Smak pieniędzy

¹ Ivon Hitchens (1893-1979) – brytyjski malarz znany z abstrakcyjnych pejzaży.

² Sir Howard Hodgkin (ur. 1932) – brytyjski malarz, kolekcjoner i znawca sztuki.

19. Miłość w gorącym klimacie

¹ Mother's Pride – firma indyjska zajmująca się przetwórstwem i dostarczaniem produktów spożywczych na światowe rynki.

20. Nieuchronny zmierzch długiego dnia

¹ William Szekspir, *Burza*, tłum. Leon Ulrich, PIW, Warszawa 1963.